

*Francisco
Azevedo*

RYŻOWY
podarunek



*Francisco
Azevedo*

RYŻOWY
podarunek

Przełożyła
DARIA KUCZYŃSKA-SZYMALA



*Tym, którzy już odeszli,
tym spośród nas,
którzy są tu dziś i tym,
którzy dopiero nadejdą.
Wszyscy jesteśmy rodziną.*

RODZINA TO TRUDNE DANIE

Ja, tutaj, w majątku. Ja, tu w kuchni tuż po czwartej nad ranem. Isabel jeszcze śpi, a słońcu się nie śpieszy. Ja, tutaj, stary człowiek, osiemdziesiąt osiem lat. Dla młodszego pokolenia Wieczny Dziadek, który nie ma ani początku, ani końca, który przyszedł na świat od razu z pomarszczoną twarzą. Ja tutaj, w białym fartuszk, siekający zioła. Przygotowuję lunch dla rodziny. Czy starczy mi sił? 88 – dwa symbole nieskończoności w pionie. To dobry wiek. I to będzie dobry posiłek. Mam mnóstwo doświadczenia.

Ciotka Palma nauczyła mnie gotować, gdy byłem mały. Gdzie się teraz podziała? Czasem nie pojawia się przez dłuższy czas. Czasem widzę ją, jak wędruje po domu z mamą i tatą, nawet nie potrzebuję okularów. Zjawiają się w różnym wieku, szczęśliwi lub zmartwieni, gadatliwi albo milczący. To zależy od dnia albo od momentu, w którym ich widzę. Wyobraźnia? Demencja? Zatracam się. Czyżby? Przyłapuję się na rozmowach z chłopcem, którym kiedyś byłem. Albo na pisaniu na głos do samego siebie. Rozmawiam z tymi, którzy są mi drodzy, a teraz znajdują się daleko w czasie i przestrzeni. Czasem boję się, pogwizduję sobie w ciemności. A potem nagle światło. Film! Puszczam sobie historie. Znowu widzę moje rodzeństwo w dzieciństwie, całkiem wyraźnie, przeskakujących jedno przez drugie, biegających tam i z powrotem, i tarzających się jak małe szczeniaki. Widzę znowu moją Isabel, zakochaną. Widzę znowu dzieci, gdy były jeszcze blisko i były moje. Żywe wspomnienia pod każdym względem: smaku, zapachu, dźwięku, obrazu i dotyku. Idę dalej. Dalej aż do terażniejszości – którą uwielbiam! – a potem w kierunku tego, co wskazuje akurat mój nos, a wzrok dosięga. Idę dalej, tam, gdzie prowadzić może już tylko nadzieja. Jestem przeszłością, terażniejszością,

przyszłością – trzy odrębne osoby w jednym, tajemnica Trójcy Ziemskiej. Zwierzam się wam, a wy dotrzymujecie mi teraz towarzystwa, czytając moje myśli.

Stary człowiek tęskni za mamą i tatą. To było tak dawno temu! Stary człowiek pragnie być przytulony, nakarmiony łyżeczką, która zbliża się z daleka z warkotem samolotu, chce być – po kąpieli – położony do łóżka, gdzie jest kojąca, świeża pościel i miękkie poduszki. Ulubiona bajka, kołysanka, całus na dobranoc. Odrobinę uchylone drzwi sypialni, zapalone światło na korytarzu – zawsze dobrze jest mieć jakiś punkt odniesienia. Stary człowiek czuje brak autorytetu. Kto osądzi go bezstronnie i mądrze? Kto lepiej od niego samego będzie wiedzieć, jak rozważyć sprawę? Stary człowiek jest dzieckiem o innym rodzaju energii. Nie interesuje go już bieganie po ogrodach, huśtanie się na huśtawkach, do przodu, do tyłu, w górę i w dół. On chce się teraz wzbić w niebo, uwolnić stworzenia, które kolekcjonował przez całe życie. Wszystkie stworzenia – dzikie i oswojone, pożyteczne i szkodliwe. Ciężkie gady, które wciąż nosi w swoim sercu, motyle i ryby, małe ptaszki, wszystkie je wypuścić do góry! Ciotka Palma zwykła mawiać, że stary człowiek tuż przed śmiercią wie o sobie najwięcej i najmniej. Jest jednocześnie słoniem i modliszką. Sekwoją i dzikim kwiatem, oceanem i kałużą po deszczu, grzbietem górskim i ziarenkiem soli. Twierdziła, że doskonale wiemy, kiedy następuje moment przemiany. Dusza zaczyna wydawać wszystkie dźwięki natury: wiatru, wody, kroków ludzi na żwirze, płonącego ognia, skrzypiącego drewna, urywanych oddechów i nagłego trzepotania skrzydeł. Oto chór – głosy zwierząt. Dusza starego człowieka mruczy groźnie – druga część koncertu. Dusza ryczy, wyje, krzyczy, rzy i muczy. A potem brzęczy, kląska i ćwierka. Uwalnia się w kierunku nieskończoności i wtedy, tak, wtedy – sopranem, tenorem, kontraltem, basem – śpiewa najpiękniejszą arię z najpiękniejszej opery! Gdy byłem dzieckiem, nabożnie jej wierzyłem. Później, jako dorosły mężczyzna, uważałem, że to śmieszne. Jakiś czas temu znów zacząłem jej wierzyć.

To właśnie w kuchni odpuszczam sobie i uwalniam zwierzęta. To właśnie w kuchni podróżuję bez paszportu, bez biletu, bez przechodzenia przez lotniskowe bramki. Władze chcą moich odcisków palców? Są w cieście zagniatanym na chleb. Chcą zdjęć? Mam kilka, *en face* i z profilu, z rodzicami, z rodzeństwem i z tymi,

którzy nadeszli później. Mówione portrety – głośne, cała rodzina mówi naraz. Buntownicza rodzina. Święta rodzina...

Muszę się skupić. To bardzo ważne. Dlaczego? Och, co za pytanie! Rodzina to niełatwe danie. Mnóstwo składników. Zebranie ich razem jest trudne – zwłaszcza w Boże Narodzenie i Nowy Rok. Jakość garnka nie ma znaczenia. Przygotowanie rodziny wymaga odwagi, poświęcenia i cierpliwości. To nie dla każdego. Te małe triki, te sekrety, te niespodzianki. Czasem wystarczy, żeby mieć ochotę to wszystko rzucić. Wolimy już dyskomfort pustego brzucha. Do tego dochodzi jeszcze lenistwo, brak pomysłów na to, co zjemy oraz brak apetytu. Lecz życie – zielona oliwka nabita na wykałaczkę – zawsze znajdzie jakiś sposób, żeby nas pobudzić i przywrócić apetyt. Czas nakrywa do stołu, określa liczbę krzeseł i ich ustawienie. I nagle, niczym jakiś cud, rodzina zostaje podana. Jedna osoba okazuje się być najmądrzejsza ze wszystkich. Tamten z kolei jest przygotowany idealnie, najdowcipniejszy i najrozmowniejszy, wszyscy są tego zdania. A jeszcze inny, jak on ma na imię – kto by pomyślał? – nie wyrósł, stwardniał i przedwcześnie zwietrzył. Ten jest najtłuszciej, najbardziej hojny, obfity, bogaty. Tamten zaskoczył wszystkich i wyjechał, by żyć gdzieś daleko. Ta jest najbardziej zakochana. A tamta najbardziej konsekwentna.

A wy? Tak, wy, wy, którzy czytacie moje myśli i znaleźliście się tutaj, by dotrzymać mi towarzystwa. Jak wypadliście w albumie rodzinnym? Jako najbardziej praktyczni i obiektywni? Najbardziej sentymentalni? Najbardziej wymagający? Jako ci, którzy zawsze migają się od pracy? Kimkolwiek jesteście, nie siedźcie i nie obruszajcie się na tego rodzaju porównania. Zbierzcie wszystkich, którzy są wam bliscy i których nie lubicie, ale stanowią część waszego życia. Nie ma pośpiechu. Poczekam. Są tam? Wszyscy? Doskonale. A teraz załóżcie fartuszki, wybierzcie deseczkę, najostrzejszy nóż i bądźcie ostrożni. Wkrótce wy też będziecie cuchnąć cebulą i czosnkiem. Nie przejmujcie się, jeśli zapłaczecie. Rodzina to wzruszające danie. A my płaczymy – z radości, wściekłości lub smutku.

Pierwsza uwaga: egzotyczne przyprawy zmieniają smak pokrewieństwa. Niemal zawsze pochodzą z Afryki i ze Wschodu i wydają się naszym podniebieniom dziwne, lecz jeśli dodane zostają z rozwagą, sprawiają, że rodzina ma intensywniejsze barwy.

Jest bardziej interesująca i smaczniejsza.

Uważajcie też na wagi i miary. Szczypta za wiele tego czy owego i po wszystkim – całość to totalna katastrofa. Rodzina to najbardziej delikatna potrawa. Wszystko musi być uważnie zważone i dobrze zmierzone. I jeszcze jedno: trzeba mieć dobrą rękę, trzeba być profesjonalistą. Zwłaszcza w momencie, gdy decydujemy się zamieszać w garnku. Mieszanie w garnku to prawdziwa sztuka. Moja dobra znajoma powiedziała mi kiedyś, że zepsuła przepis na całą swoją rodzinę, bo zamieszała w garnku w nieodpowiedniej chwili.

Najgorsze jest to, że wciąż są ludzie, którzy wierzą w przepis na idealną rodzinę. To nonsens. Kompletna fikcja. Nie ma czegoś takiego jak „Rodzina *Carbonara*” albo „Rodzina *à la Belle Meunière*”, „Rodzina *Marinara*” czy „Rodzina *à la Cabidela*” – w przygotowaniu tego ostatniego przysmaku szczególnie istotna jest krew. Rodzina to bliskość, ona zawsze jest *à la maison*, po domowemu. A każdy dom lubi przygotować rodzinę na swój sposób.

Są rodziny, które są słodkie. Inne – lekko gorzkie. Jeszcze inne mocno pikantne. Są też takie, które zupełnie nie mają smaku – takie jakby „Rodziny dietetyczne”, które toleruje się tylko po to, by zachować figurę. Bez względu na wszystko, rodzina to danie, które zawsze podaje się na gorąco, na bardzo gorąco. Zimna rodzina jest nie do zniesienia, nie do przełknięcia.

Są rodziny, których przygotowanie wymaga dużej ilości czasu. Te przepisy pełne zaleceń, że to czy tamto trzeba zrobić tak albo siak – koszmar! Tymczasem inne pojawiają się nagle, z godziny na godzinę, w wyniku niekontrolowanego fizycznego przyciągania – niemal zawsze w nocy. Budzisz się pewnego ranka, pełen radości życia, patrzysz, a rodzina już gotowa. I dlatego warto wiedzieć, w którym momencie zmniejszyć ogień. Widziałem rodziny, które zniszczył za duży ogień.

W każdym razie przepis na rodzinę to nie jest coś, co można skopiować, tylko coś, co trzeba wymyślić. Ludzie uczą się stopniowo, improwizując i przekazując to, czego się nauczyli z dnia na dzień. Bierzemy jedną radę stąd, od kogoś, kto się zna i chętnie się podzieli, inną stamtąd, bo ktoś zapisał ją na skrawku papieru. W pamięci ginie mnóstwo rzeczy. Zwłaszcza w pamięci starego człowieka, nieco już zniedołężniałego, jak ja. Co taki kucharz weteran może wam powiedzieć? Rodzina,

nawet jeśli nie wygląda apetycznie, nawet jeśli nie smakuje najlepiej, jest potrawą, której musicie spróbować i którą naprawdę powinniście zjeść. Jeśli możecie jej spróbować, spróbujcie. Nie zwracajcie uwagi na etykiety. Umoczcie chleb w odrobinie sosu, który został na talerzu, w misce albo w garnku. Cieszcie się tym, jak się da. Rodzina to danie, którego, gdy jest już gotowe, nie da się powtórzyć.

ŚLUBNY PREZENT

O wszem, mam przebłąski świadomości. Nazywam się Antonio. Antonio, i jak dalej? Antonio, i wszystko to, co przeżyłem i przeszedłem, wszystko to, co przeżywam i przechodzę teraz. Później jest łatwiej. Odejdę – tak jak odeszło już wielu – by zrobić miejsce dla niezliczonych istnień, które dopiero nadejdą. Pewnego dnia, taktownie, stary człowiek, który długo żył, podziękuje za okazaną mu uwagę, zamknie grzecznie oczy, wstanie i odda swoje miejsce dziecku, które ma się pojawić, komukolwiek, kto ma właśnie nadejść. Jesteśmy rodziną, my wszyscy.

Tak, to ja, Antonio. Starszy syn Joségo Custódia i Marii Romany. Moi rodzice przyszli na świat w Viana do Castelo, na północy Portugalii. I tam się pobrali, 11 lipca 1908 roku, i zostali obsypani ryżem na szczęście. Ciotka Palma z uczuciem opisywała tamtą scenę: ryż niczym gwałtowny deszcz padający na nowożeńców, gdy wychodzili z kościoła. Sypano całymi garściami. Biała ulewa niemająca końca. Nigdy wcześniej nie było takiej obfitości życzeń szczęścia.

– To najszczęśliwszy dzień mojego życia! – Ciotka Palma naśladowała głos mojej matki. A potem oszołomionego ojca: – Dziś zabieram ze sobą moją miłość! – A potem wszystkich gości: – Niech żyje Maria Romana! *Viva!* Niech żyje José Custódio! *Viva!*

Gwizdy, łyzy radości. Ciotka Palma pamiętała te wszystkie słowa, naśladowała mimikę, tiki, ton głosu każdego krewnego, wyraz twarzy przyjaciół. I byłem tam ja, z szeroko otwartymi oczami, urzeczony jej opowieścią, postaciami, tłem, strojami z epoki. Nie byłem tam osobiście, to było na długo przed moimi narodzinami, ale byłem częścią tego wszystkiego. Dostrzegałem najdrobniejszy detal. Jedna z moich

ulubionych scen: bukiet z kwiatów pomarańczy leci do tyłu, najpierw unosi się zdumiewająco wysoko w błękit, wśród panien wybucha zamieszanie, a potem przyprawiający o zawrót głowy upadek prosto w ręce tej, która jest niewidoma od urodzenia, jedynej spośród dziewcząt, która nie przepychała się łokciami – nie wykonała najmniejszego ruchu, by spróbować pochwycić pewność, że będzie następną w kolejce do zamążpójścia. Szczęście przyszło do niej bez wysiłku, to była kwestia chwili. Zdumienie, wszyscy umilkli. Niezręczna cisza. Kto by się spodziewał? Niektóre z panien nawet protestowały. Ale to była ona. Ta, która nawet nie mogła docenić piękna, które jej się przytrafiło. Po co więc te białe płatki, zielen listków, wstążka zawiązana w kokardę z takim kunsztem i starannością? Wszystko to bezużyteczne, utracone w całkowitej ciemności. Niczym orzechy dla bezzębnego. I wtedy niewidoma dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, bo zapach i dotyk były silniejsze od barw. Czyjeś oklaski przerwały szok. Ktoś jeszcze dołączył. A potem wszyscy zaczęli klaskać, nawet zawiedzione rywalki. Kto miałby osądzać, kto zasłużył, a kto nie? Kto ośmieliłby się wyjaśnić niewytłumaczalne? Jest w tym jakaś logika. Bo czy rzut do tyłu nie jest lotem na oślep? Bóg Niebieski działa w tajemniczy sposób, a bukiet mojej matki, Marii Romany, wylądował w ciemnościach, gdzie ukryta była miłość. Tak, to z pewnością jedna ze scen, które ze mną pozostały.

Ciotka Palma była moim teatrem – co za repertuar! Co za spektakle! Ale przedstawienie przerywano w najlepszym momencie każdej opowieści. Obrażony krzyżowałem ramiona. Pora spać. Naprawdę muszę teraz?

– Antonio, nie grymas. Bo jutro nic ci nie opowiem! Pora do łóżka, jest późno. Zaniose cię, chodź.

Jej propozycja wystarczała, żeby mnie przekupić. Ja, chudy sześciolatek z psotnym chichotem wczepiałem się rękami i nogami w jej wygodne objęcie – objęcie pozbawione jakiegokolwiek podparcia. Uścisk ciotki Palmy był niczym otwarte łono, które niosło mnie, jak kabriolet, przez fantastyczny świat – świat, który fascynował mnie tym bardziej, że znałem jego bohaterów, mieszkalem z nimi.

Kolejnego wieczoru, tuż po kolacji, siedziałem niecierpliwie przed fotelem. Zwykłym fotelem. Zwykłym? Oczywiście, że nie. Dla mnie to był fotel-scena, fotel-

kurtyna, fotel-dekoracja, fotel-wszystko. A w nim promieniejąca własnym światłem Palma – teraz nie ciotka, lecz aktorka. Zawsze w czerni i zawsze nieprzewidywalna. W niektóre wieczory poważna. W inne swobodna. Czasem skora do śmiechu. Kiedy indziej pełna napięcia. I nagle dzieje się coś magicznego – wypowiedziane zostaje słowo! Na pierwszym planie pojawia się przeszłość. A ja, pomarszczony chłopiec, tu w kuchni, wciąż podróżuję w barwny czas przeszły.

– Niech żyje Maria Romana! *Viva!* Niech żyje José Custódio! *Viva!*

Wszyscy ruszają za nowożeńcami. Lecz ciotka Palma zostaje z tyłu, jej wzrok przyciąga ryż rozrzucony na placu przed kościołem. Dla niej ten szeroki, biały, ziarnisty haft, to nie oznaka marnotrawstwa, lecz hojności. Efekt zbiorowego rękodzieła. Konkretny dowód na to, że surowy, nieczuły człowiek może, choćby tylko na kilka chwil, poznać, co to delikatność i poezja. Pośpiesznie zaczyna zbierać cały ten ryż. Nie zostawia na bruku nawet jednego ziarenka. W domu, ważąc to, co uzbierała, cieszy się z aż dwunastu odważników ustawionych na wadze. Dwanaście kilo ryżu! To będzie prezent ślubny, który da swojemu bratu, Josému Custódio i swojej drogiej bratowej, Marii Romanie. Na kartce zapisuje, niezbyt ładnym pismem, mądre słowa:

Ten ryż – który wyrósł z ziemi, spadł z nieba niczym manna na pustyni i został zebrany z kamienia – to symbol płodności i wiecznej miłości. Oto moje błogosławieństwo.

Palma

Viana do Castelo, 11 lipca 1908

Matka jest zachwycona prezentem, wzruszona do łez. Ojciec natomiast uważa, że to śmieszne, wręcz obraźliwe. I oto ironia losu: ryż ciotki Palmy, podarowany z taką miłością, staje się przyczyną pierwszej kłótni małżonków.

– Jedenasta, José! Właśnie skończył się pierwszy dzień naszego małżeństwa!

– To jak sen.

– Palma była cudowna.

– To wariatka. Ta kobieta jest moją siostrą, ale to wariatka.

– Jest wspaniała. Kobieta, która straciła matkę w wieku szesnastu lat i dała radę sama wychować pięcioro rodzeństwa, zasłużyła na mój podziw i szacunek.

– Irytują mnie jej przemowy. Zawsze mówi takie niestosowne rzeczy. Uważa się za romantyczkę, ale tak naprawdę nie ma żadnych manier.

– Palma jest romantyczką. Niezrozumianą romantyczką.

Pukanie do drzwi. Ojciec i matka są zaskoczeni.

– Spodziewasz się kogoś?

– José, nie bądź śmieszny!

Oboje ogarniają się w pośpiechu. Ojciec idzie otworzyć drzwi.

– Palma?!

Ciotka wchodzi z ciężkim konopnym workiem. Z ulgą odkłada go na stół.

– Co to niby jest?!

Ciotka Palma nie odpowiada mu, podchodzi prosto do matki. Kobiety obejmują się czule i całują.

– Mario Romano, wyglądałaś tak pięknie! Dzięki tobie zniosłam jakoś tę pełną zabobonów paplaninę wrony w sutannie.

Ojca irytują jej zuchwałe komentarze.

– Dom Plácido to nasz wuj, zasługuje na więcej szacunku!

– W chorobie i w smutku, w biedzie i w starości, dopóki śmierć was nie rozłączy! Dobry Boże, to nie błogosławieństwo, tylko klątwa!

Matka ledwo powstrzymuje chichot. Ojciec, rozzłoszczony, próbuje sprawdzić, co jest w worku.

– Co ty tam masz? Proch strzelniczy?

Ciotka Palma trzepie go po rękach, wyjmuje kartkę z kieszeni sukni i wręcza ją matce. Maria czyta po cichu, a w tym czasie każde z rodzeństwa oczekuje czegoś zupełnie innego.

– José, nie uwierzysz!

– Już nie wierzę.

– To ryż z naszego ślubu!

Zaskoczony ojciec. Zdenerwowana ciotka Palma wyciera spocone ręce w suknię. Matka czyta kartkę na głos. Patrzy na męża, czeka na słowo albo prosty gest podziękowania, jakkolwiek reakcją. Nic. Moment wielkiego napięcia. Ciotka Palma opiera się o stół, nie spuszcza wzroku, nie daje się zastraszyć wielkiemu Portugalczykowi, który idzie w jej stronę. Ciężkie kroki wstrzymywanego gniewu. Brat i siostra twarzą w twarz. Każde czuje ciepło i oddech drugiego.

– Posłuchaj, Palmo. Może i jestem biedny. Prawdziwy nędzarz. Ale nikt nigdy nie zobaczy, jak jem brudny ryż, który zebrano z ziemi, resztki tego, czego inni nie chcieli.

– Nie dziwi mnie, że tak myślisz. Zawsze zżerała cię duma.

– José, ten prezent to wyraz miłości. Naprawdę tego nie widzisz?

– To śmieszne! To obraza! Czuję się poniżony jako mężczyzna i głowa tej rodziny!

Ciotka Palma próbuje zabrać worek. Matka ją powstrzymuje.

– Prezent zostaje.

– Nie chcę śmieci w moim domu!

Ciotka Palma zaczyna płakać.

– Śmieci?! Ryż od twoich przyjaciół i krewnych, którzy błogosławili wasz związek?

– Tak, śmieci! Kupa bezużytecznego śmiecia, skoro pytasz.

Ciotka Palma rzuca się na ojca. Kłócą się. Matka próbuje ich rozdzielić i to ona obrywa ciosy.

– Na litość boską, przestańcie!

– Dziwadło! Skąpiradło!

– Przeklęta niech będzie godzina, w której urodziliśmy się jako brat i siostra! Niebiosy sprawią, że zapłacisz za swoje okrucieństwo!

– Idź lepiej, wydaj parę groszy i kup mi prezent, który byłby wart cokolwiek!

Ciotka Palma wychodzi zapłakana. Atmosfera jest ciężka. Grobowa cisza. Matka ma ochotę udusić ojca, pali ją od środka, ale potrafi nad sobą zapanować.

– I ty twierdzisz, że to Palma nie umie się zachować.

– Wystarczy. Koniec tematu. Oddaj komuś ten ryż. Palma nie musi wiedzieć.

– Ten ryż to prezent. I zostaje.

– Proszę bardzo. Zatrzymaj sobie ten cholerny podarunek. Z czasem spleśnieje, zalęgą się w nim robaki i tak będziesz go musiała wyrzucić.

– Posłuchaj mnie, José Custódio, mój ukochany. Ten ryż to miłość, czysta miłość. Nie zepsuje się.

Ojciec miał mnóstwo zalet, ale był dumnym i zrzędlwym facetem. Ciotka Palma miała teorię, która doskonale wyjaśniała podły humor mojego ojca – zatwardzenia. To prawda. Ojciec cierpiał na koszarne zatwardzenia. Ciotka Palma nauczyła mnie, że ludzie z zatwardzeniami łatwo się denerwują. I to chyba był taki przypadek, gdy teoria zawsze sprawdzała się w praktyce. Za każdym razem, gdy ojcu powiodło się w toalecie, wiedziała o tym cała rodzina. Po prostu był, całkiem dosłownie, lżejszy. Jeśli ktoś musiał go o coś poprosić, pilnował, kiedy idzie do toalety, bo to mógł być idealny moment. Jeśli się udało, ojciec wychodził z łazienki w prawdziwym stanie łaski. Oczyszczony.

Szybko się też nauczyłem, że ciało ma inne sposoby na oczyszczenie. Mocz, menstruacja, wymioty, pryszcze, nasienie, smarki i pot, wszystko to nas oczyszcza. Wszystko, co ciało z siebie wydała, to oznaka oczyszczenia. A lzy to najwyższy sposób, w jaki możemy się oczyścić. Najpełniejszym jest urodzenie dziecka.

BERNARDO I ODROBINA ROSÁRIO

Ja, tu w majątku. Ja, tutaj w kuchni, tuż po czwartej nad ranem. Ja, tutaj, w białym fartuszkach, otoczony duchami i wspomnieniami. Nie sugeruję, że jestem martwy, wręcz przeciwnie. Cieszę się idealnym zdrowiem. Sprawdziłem się już dzisiaj w lustrze. Nie zobaczyłem niczego, co przypominałoby słońca albo modliszkę, grzbiet górski albo ziarenko soli. Oto dowód: mamy rok 2008. Mam kablówkę, która nadaje programy z całego świata. Zmieniam kanały, to prawda, ale po to przecież jest pilot. Oglądam filmy, wywiady i programy informacyjne. Mogę ćwiczyć francuski, angielski. Lubię te japońskie programy z publicznością w studiu, choć nie rozumiem ani słowa. Kiedyś miałem odtwarzacz video. Teraz mam odtwarzacz DVD. Obraz i dźwięk są bez porównania lepsze. Mam świetny system audio, wśród moich płyt CD jest i Mozart, i ścieżki dźwiękowe telewizyjnych seriali. Mam bezprzewodowy telefon z automatyczną sekretarką i faksem. I można też się ze mną skontaktować przez komórkę. Mam internet i uwielbiam korzystać z czatów.

To mój wnuk Bernardo zaznajamia mnie z najnowszymi wynalazkami techniki. Co trochę przyjeżdża z Rio de Janeiro z jakąś nowością. Jest taki podobny do mojego ojca, Joségo Custódia, gdy ten był młodym człowiekiem. Wnuk to dobra rzecz dla zdrowia. Jeśli dziadek to ojciec z dodatkiem cukru, to wnuk jest synem z dodatkiem białka, witamin i składników mineralnych. Przytulanie wnuka co dwadzieścia cztery godziny idealnie zastępuje wszystkie lekarstwa. Moje ciało z wdzięcznością przyjmuje samą świadomość, że Bernardo jest tuż obok.

Bernardo przywozi mi życie, młodość. I kłopoty rodzinne. Nic tragicznego, nic dramatycznego. Kłótnie z ojcem, z matką, pragnienie opuszczenia domu i usamodzielnienia się, drobne codzienne troski. Och, takie trywialne komedie

sytuacyjne. Zawsze mu powtarzam, że to wszystko głupstwa, że tacy właśnie są ojcowie i matki, że musi być cierpliwy. I tyle innych banałów dotyczących typowych problemów typowej rodziny. Pewnego dnia, późnym popołudniem, spędziliśmy trochę czasu, siedząc na werandzie. Bernardo opowiedział mi o swojej dziewczynie. I o innej dziewczynie, w której się kocha. Nie wie, co robić. Nie może mieć ich obu. A może jednak? Uznałem, że to zabawne. Odkryłem, że młodzi ludzie dziś, choć są chronieni najbardziej zaawansowanymi technologicznie zabezpieczeniami, wciąż mają tę samą trudność, co ich przodkowie: nie wiedzą, kiedy zmniejszyć ogień. Wytłumaczyłem mu, że nie mają sensu programowane komputerowo mikrofalówki, mrożone posiłki, zupki w proszku i inne nowoczesne wynalazki: w kuchni zawsze będą niespodzianki, zawsze będzie coś, czego trzeba się nauczyć. Maszyny mnożą się i ewoluują w takim tempie, że nie ma nawet czasu na konflikt między jednym pokoleniem a następnym. Ale my, ludzie – nawet ci z najnowszej generacji – jesteśmy zbyt powolni. Dokonujemy postępów z minimalną prędkością. Potrzeba nam dekad, żeby rozpoznać własne sukcesy i porażki. Gdy po wielkich staraniach stajemy się mistrzami sztuki kulinarnej, gdy potrafimy dobrze przygotować deser nawet z zamkniętymi oczami, wielu osób już nie ma. Rodziną, która siada do posiłku, to jest już inna rodzina. A my nie jesteśmy już wnukami, tylko dziadkami.

Bernardo nie znał mojego ojca, Joségo Custódia ani mojej matki, Marii Romany, nie słyszał też opowieści ciotki Palmy. Stary fotel wciąż istnieje, wciąż tam jest, na tym samym miejscu. Nie miałem odwagi oddać go do renowacji. Dla mnie to teatr ze zgaszonym światłem, zasuniętą kurtyną, pustą sceną. Dla mojej córki, Rosário, która jest projektantką, ten fotel to koszmarny grat. Wszystko w nim jest okropne, naprawdę. Nic do niczego nie pasuje. Podłokietniki, cóż, lepiej o nich nie wspominać. Zupełnie nieproporcjonalne. To jedna wielka katastrofa. Córka nie rozumie, dlaczego upieram się, by nadal go trzymać. Niespecjalnie ją interesuje, że w tym fotelu siadywała jej stryjeczna babka Palma, żeby opowiadać mi historie. Rosário wypowiada się jak uznana artystka i kończy temat. Rosário, artystka. Rozmawiać w taki sposób o fotelu z taką biografią?! Staram się zrozumieć. Wrażliwość zmienia się z pokolenia na pokolenie. O gustach się nie dyskutuje – mówię – nawiązując do starego powiedzenia. Piękno jest w oczach odbiorcy –

odpowiada Rosário, nawiązując do starego powiedzenia. Gdy w grę wchodzi sentyment, sprawy natury estetycznej się komplikują – zgadzamy się oboje. Bernardo nie angażuje się w spór. Uważa, że to śmieszne. Dla niego ten fotel jest po prostu niewygodny. Nawet nie jest taki brzydki.

MIARY MIŁOŚCI

Wyraz jej twarzy niczego nie zdradza. Czy dzisiejsza opowieść będzie smutna? Czyje głosy będzie naśladować? Jaka sceneria się ukáže, gdy odsłoni kurtynę? Jadalnia? Alejka w Viana do Castelo? Czy to będzie dzień? A może... Ciotka Palma odchrząkuje, czeka chwilę, a potem z powagą rozpoczyna.

Akt pierwszy. Jest późny wieczór – mówi mi. Ogarek świecy na blacie stołu ledwo oświetla twarze. Matka i ojciec, kilka miesięcy po ślubie, nie mają co jeść. Nie ma nic. Żadnych warzyw, owoców, ziarna, nic. Matka łagodnym, pełnym szacunku głosem proponuje ryż. Odpowiada jej wściekłość, walnięcie w stół i śmiech, który brzmi jak płacz.

– Ryż Palmy?

Kolejny głośny śmiech, a potem łzy. Ojciec nie panuje nad sobą.

– Ryż Palmy, nigdy! Kara, potępienie, proszę bardzo! Umrę z głodu, ale ten ryż, który zamieciono z ziemi, nigdy!

– Ryż Palmy jest błogosławiony. To ryż, który wyrósł z ziemi, spadł z nieba i został zebrany z kamienia.

Matka spokojnie wstaje, idzie cicho do sypialni i znika w ciemnościach. Ojciec zostaje. Migotanie świecy. Resztką człowieka, który zżera sam siebie z powodu drobiazgu. Jaki sens ma wściekłość i zgorzknienie?

– Jaki sens ma...?

Przedłużająca się cisza ze strony ciotki Palmy zaskakuje mnie. Dramatyczna pauza? Nie, wyraźnie nie. Doskonale znam pauzy, które mają podkreślić napięcie. Wyczuwam, że zawiódł ją własny głos i że aktorka nie chce, żebym ja, jej

publiczność, to sobie uświadomił. Zna wszystkie sztuczki, próbuje mówić dalej.

– Jaki sens ma...?

Kolejna pauza. Ciotka Palma jest wzruszona. Te łzy nie są elementem opowieści. Milczy, pociąga nosem, ociera oczy. Głupio się śmieje. To nie pomaga – ten głupi śmiech też nie jest elementem opowieści. Nie jest, ja wiem, że nie jest. Siedząca przede mną kobieta nie jest już aktorką – jest moją ciotką. Scena zamieniła się z powrotem w fotel, widzę to na własne oczy. A więc, skoro przedstawienie zostało przerwane, mogę podejść do niej bez obawy, że okażę brak szacunku. Przytulamy się. Obsypuje mnie pocałunkami i chowa pod swoje wielkie skrzydła.

– Nie pytaj mnie, dlaczego, Antonio. Ja sama nie wiem. Jesteś jeszcze chłopcem, nie chcę cię zranić ani namieszać w twojej małej główce. Bardzo lubię twojego ojca. Wiesz, że on i ja byliśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi, lecz powinieneś poznać całą historię o ryżu. Twoja matka dała mi pozwolenie, żebym ci wszystko opowiedziała. Nie pytaj mnie, dlaczego.

Całe moje ciało przeszedł dreszcz, taki, jaki czasem odczuwam, gdy kończę sikać. Ale to coś innego, ja wiem. I wtedy uświadamiam sobie, że ten dreszcz pochodzi stąd, że nie jestem już bratankiem, tylko aktorem, a ona znowu jest aktorką. Stąd te skrzydła zamiast rąk! I fotel jest sceną, a my przytulamy się do siebie, bo ja też jestem częścią tej sceny i nadeszła pora na moją kwestię. To mój debiut. Mój niespodziewany, od tak dawna wyczekiwany debiut.

– Nie martw się. Lubię ryż. Wszystko jedno, czy kleisty czy sypki, lubię ryż.

Kończę moją kwestię z największą szczerością:

– Lubię nawet sam ryż, bez fasoli, bez niczego. Przysięgam.

Aktorka śmieje się, całuje mnie, gryzie po dłoniach i ramionach, mówiąc, że zje mnie całego, szczypie mnie w policzki. To boli, ale nie narzekam, to część sceny. A potem wstaje, bierze mnie na ręce i zaczyna się kręcić, a ja poddaję się temu i oboje, jakbyśmy byli jedną osobą, wirujemy szaleńczo. Matka zagląda i mówi, że jak będę zbyt rozbawiony, to nie zasnę. Czy mnie to martwi? Wcale mnie to nie martwi, oczywiście! W najmniejszym stopniu nie martwi to ani aktorki, ani mnie! Podążamy wydeptaną ścieżką przez drzwi, przez ganek, a potem na zewnątrz. Oboje,

z łomoczącymi sercami, łapiąc oddech, wyciągamy się na miękkiej trawie i patrzymy w gwiazdy – maleńkie żarówecki, które oświetlają nasz teatr! Jesteśmy szczęśliwi i spełnieni. Oczywiście! Mój debiut to triumf. Szczekanie Poety, mojego psa, to aplauz, który to potwierdza. Jego ekscytacja, gdy liże mnie po twarzy, to niepodważalny dowód na to, że publiczności się podobało.

– Antonio, bardzo cię kocham, wiesz?

– Ja też cię kocham, ciociu Palmo.

– Wcale nie! Jak bardzo? Powiedz.

Rozpościeram ramiona najszerzej jak się da. Ciotka Palma droczy się ze mną.

– Tak mało?

Trzymam ramiona najmocniej rozpostarte. Patrzę z jednego końca na drugi. Wyciągam palce, próbując osiągnąć jeszcze większej miary miłości. Daremny trud. Ale pokażę jej, że nie poddam się łatwo. Nawet jeśli zajmie to trochę czasu.

– Jak urosnę, to moje ręce też urosną, prawda?

– Oczywiście, że tak, skarbie.

Wzruszam ramionami i podaję najlepszą ofertę.

– W takim razie będziesz musiała poczekać, aż urosnę.

Uśmiech ciotki Palmy pokazuje, że pomiędzy jednym kącikiem ust a drugim, nawet się nie starając, potrafi zmieścić całą miłość świata. Niezmierzoną miłość, która nie potrzebuje wielkich słów ani gestów. Wtulamy się w siebie na chłodnej trawie, niczym dwa zwierzątka. Poeta wciska się tam, gdzie nikt go nie zapraszał. On też jest zwierzątkiem, umie znaleźć sobie miejsce i nikt go nie przegania.

Bezkresne ukojenie nagle się kończy.

– Lepiej wróćmy do środka. Twój bracia i siostra już dawno są w łóżkach.

MORZE MA JOD, UZDROWI CIĘ

Kolejny wieczór. Akt drugi. Jesteśmy teraz na portowym nabrzeżu. Wieśniacy, rybacy, ich żony i dzieci. Dramat, spodziewana nieobecność. Wielu z nich opuszcza prowincję, kraj. Wszyscy szukają godniejszego życia i bezpieczeństwa dla swoich rodzin. To wszystko, czego chcą: pracy i nadziei na lepsze jutro. Przyjaciele starają się przekonać ojca, żeby z nimi wyruszył. Matka jest zachwycona pomysłem, by spróbować szczęścia i wyjechać do Ameryki, odkrywać Nowy Świat. Ojciec nie ufa tak intensywnej propagandzie, jest niechętny.

– Jaki Nowy Świat?! Świat tam z pewnością jest tak samo stary, niesprawiedliwy i nędzny jak ten tutaj.

Ciągle nowe wieści. Mówią o Brazylii, o żyznych ziemiach, które czekają na każdego, kto jest gotów zakasać rękawy. Mówią o nowym dwudziestym wieku. Wieku postępu i możliwości! Ale ciotka Palma doskonale rozumie ojca.

– Twój ojciec był zawsze dumny z tego, że jest Portugalczykiem, jego ciało zapuściło już w tym miejscu głębokie korzenie. Twoja matka, Maria Romana i ja nie wiedziałyśmy, czy gdyby wyrwano go z tej naszej Portugalii, to czy przetrwałby takie przeflancowanie.

Akt trzeci. Ojciec decyduje się wyemigrować do Brazylii. Twarz ciotki Palmy rozjaśnia się, ton i rytm opowieści zupełnie się zmieniają. Zmiana, nawet jeśli na gorsze, jest dobra dla zdrowia ciała i duszy. Stara panna z powołania przekonuje brata, że będzie dobrą towarzyszką dla Marii Romany, poza oczywistym pomaganiem jej w obowiązkach domowych. Ojciec, który zawsze wszystko dobrze sobie przemyśli, rozważa za i przeciw i uświadamia sobie, jak korzystne byłoby

zabranie ze sobą siostry, która go wychowała. 12 lipca 1909 roku, w rok po kłótni o ryż, cała trójka wyrusza do Rio do Janeiro.

Gwizd parowca, a potem kolejny. Czy wrócą? Będą znów śmiać się nad rzeką? Spacerować brzegami Limy? Kiedy znów usłyszą dzwony katedry, zobaczą Plac Królowej, widok ze wzgórza Santa Luzia? Ciotka Palma i matka stoją na pokładzie, trzymając się za ręce. Machają białymi chusteczkami tym, którzy zostają. Na nabrzeżu setki chusteczek odpowiadają pogodną, wzruszającą ciszą. Niektórzy próbują jeszcze użyć gardeł, by posłać ostatnią wiadomość, której nie słytać. Co mogą mówić? Kocham cię? Uważaj na siebie? Do zobaczenia albo żegnaj? I tak, z odległości, tu i tam, nikt nie jest z ciała i kości. Wszyscy są tkaniną w ruchu. Więc skąd ten ucisk w gardle, ból w piersi? Czy to musiał być taki piękny dzień? Z chłodną bryzą pieszczącą twarz? Czy to nie lato? Czemu nikt się nie poci? Drobiazgi boskiego okrucieństwa. Błuznierstwo w chwili bólu jest dozwolone. Błuznierstwo w takich momentach jak ten, jest dobre dla zdrowia ciała i duszy. Czy Viana musiało być dzisiaj, a zwłaszcza teraz, takie piękne? Morze, góra, rzeka, wszystkie współwinne wraz ze złośliwym Stwórcą. Czy to było konieczne? Zieleń boli, błękit boli, blask wody boli. Boże! Czy to naprawdę było konieczne, to okrucieństwo wobec moich najdroższych, którzy są też przecież twoimi najdroższymi? Czy ta cała wyrazistość była konieczna?

– Boję się, Palmo.

– Brazylia. Podoba mi się ta nazwa. Wydaje się prosta, jak my. Uda się.

– Nie zapomnieliśmy czegoś?

– Mamy garnki i patelnie. I kilka książek, które posiadamy. Wszystko inne jest zbędne.

– Na litość boską, zabrałyśmy nawet ryż z mojego ślubu! Całe dwanaście kilo! Jest w drewnianej komodzie z ołtarzykiem.

Ciotka Palma reaguje prawidłowo.

– José Custódio nas zabije.

– Biedactwo. Jest tam, w kabinie. Nie chce wyjść. Mówi, że patrzenie na to, jak ziemia, na której się urodził, znika pochłaniana kawałek po kawałku przez morze,

jest torturą.

– Cóż, ja śmiało patrzę na nasz poddańczy akt. To część opowieści. Nie odwracam się od tego, co jest życiem.

Matka przysuwa się do ciotki Palmy. Portugalia jest już ledwie dostrzegalną linią. Kilka mew nadal skrzeczy, krążąc wokoło i zawracając na kontynent. Głowa do góry, weź głęboki oddech. Wciąż boli? Morze ma jod, uzdrowi cię. W połowie podróży ucisk w gardle ustąpi i zawiążą się przyjaźnie. Nowe znajomości, uścisk dłoni. Cała przyjemność po mojej stronie. Cała po naszej.

KSIĄŻKI CZY MIARKI?

Jeśli chcecie wiedzieć, to moim rodzicom, po przybyciu do Brazylii wcale nie było łatwo. Byli młodzi i niedoświadczeni. Mieli tylko swoje marzenia i silne ciała, odrobinę wykształcenia i żadnych pieniędzy. Mimo niewielkiej różnicy wieku, ciotka Palma opiekowała się nimi niczym najczulsza matka. Cała trójka pracowała ciężko i oszczędzała, ile się dało. Dowiedziałem się na przykład, że pewnego razu, gdy mieszkali jeszcze w Rio de Janerio, moja matka zobaczyła, jak młody chłopak sprzedaje jabłka – z uśmiechem, dumny ze swojego towaru. Widok świeżych owoców i zapach unoszący się znad kosza przypomniał jej Portugalię. Ślinka napłynęła jej do ust i zapytała o cenę. Tylko dwa *tostoes* za sztukę. Nawet wybrała jedno, ale potem uświadomiła sobie, że za te same pieniądze mogłaby dokupić zapasów do spiżarni. Jabłka były luksusem, na który nie mogła sobie pozwolić. Speszona oddała owoc, pochwaliła urodę towaru i wróciła do domu.

I tak ciotka Palma i moi rodzice jakoś podołali życiu w stolicy. Niedługo potem, za namową przyjaciela, podjęli ryzyko i wyruszyli do interioru, gdzie prosperowały plantacje kawy. Opłaciło się. Ojcu udało się dostać pracę tutaj, w posiadłości Santo Antonio de União, której właścicielami byli senhor Avelino de Alves Machado i jego żona Maria Celeste. On był Brazylijczykiem, choć rodziców miał z Portugalii, a ona była Portugalką z Guimarães, bardzo dumną z tego, że urodziła się w tym samym miejscu, w którym narodziła się sama Portugalia.

Ojciec dość szybko zorientował się, że Nowy Świat jest starszy od katedry w Bradze. A wartości są dokładnie takie same. I podłości też. „Przeflancowanie” się powiodło. Przerazało go jedynie terytorium Brazylii, olbrzymie i niezgłębione. Zastanawiał się, czy żeby podbić te ziemie, powinien być lepszy w matematyce czy

w portugalskim, sprawniejszym w operowaniu miarką czy słowami. Dokładnie wymierzone milimetry czy dobrze wyartykułowane zwroty? Nawet dziś wielu ludzi używa właśnie miarki – katastrofa. Ojciec nie był głupcem. Choć był dumny i w gorącej wodzie kąpany, inwestował w dialog, w rozmowę. I to raczej bardziej dzięki książkom niż tabliczce mnożenia zręczliwy José Custódio zapanował nad własnym charakterem. I udało się. Zdobył zaufanie senhora Avelino. Silny charakter, dobrze i z powagą wykonywana praca oraz szacunek, jakiego wymagał od swoich podwładnych, zapewniły mu stanowisko generalnego zarządcy fazendy Santo Antonio de União.

Tu, w tej kuchni, z rękami pachnącymi cebulą, dostrzegam, że jestem spadkobiercą ojca. Zawsze wolałem słowa od liczb, właściwie sam nie wiem dlaczego. W szkole byłem okropny z matmy. Choćby słynne liczby pierwsze – nigdy nie rozumiałem, co sprawia, że są lepsze od innych. Pewnego razu, gdy byłem już dorosłym mężczyzną, moja nienasycona ciekawość doprowadziła mnie do próby rozwinięcia zainteresowania arytmetyką, algebrą i geometrią. Poddałem się już na bardzo podstawowym poziomie. Nigdy nie pojąłem „ $a + b = c$ ”. Przyznaję, że z czystej ignorancji. Doskonale rozumiem, że ekran komputera działa tylko dlatego, że „ $a + b = c$ ”. Ale dla mnie sensowne jest to, że „ $b + a = ba$ ”, „ba, be, bo, bu”. Zamykam cudzysłów, przykrywam patelnię pokrywką. Dumam nad ideą, zeskrobuję ją.

Nagle, w jednej chwili, życie podejmuje decyzję: wystawimy Joségo Custódia i Marię Romanę na próbę. Tak jest z każdym. Kto zaprzeczy? Wy? Ironia przypadku. Weź to zrozum. Nawet nie próbuj. Pojawiają się trudności, stopniowo. Dni pełne trosk. Dużo słów w pracy. Niewiele słów w domu. Coraz rzadsze rozmowy, coraz bardziej surowe. O książkach zapomniano. Dla mojego ojca jedynym, co pozostało, jest prawo tabliczki mnożenia. Coraz częstsze kłótnie z matką. Najgorsza w 1919 roku. Najbrzydsza ze wszystkich, pełna liczb. Niemal rozbiła ich małżeństwo. Jedenaście lat, zero dzieci. Tu właśnie pojawiły się miarka i pomiary. Po co to wszystko, przyjazd do Brazylii, przebyte mile, oszczędzone pieniądze? Gdzie ten dom, w którym liczne pokoje zapełniłyby dzieci? Ile planowali ich mieć? Gdzie kołyska, którą sam wystrugałby z drewna? Tylko jedna, nad którą pochylałby się po

każdych narodzinach, by podziwiać kolejne dziecko. Gdzie ten długi na mile stół w jadalni? Nie mógł już znieść tego małego na cztery osoby – było ich tylko troje dorosłych. Jałowych, pustych, bezpłodnych. Bez przyszłości. I dlatego, w przypływie wściekłości, ojciec chwycił czwarte krzesło – zawsze puste – i wyrzucił je przez okno. Kto miał go powstrzymać? Roztrzaskana szyba nie nasyciła gniewu. Jego nie da się zmierzyć miarką. Leżące na zewnątrz krzesło było bezbronne, gdy gwałtownie uderzała w nie siekiera, i w pełnym rezygnacji milczeniu słuchało najokrutniejszych słów. Może je spalić? Nie! Nie zasłużyło na ciepło ognia, było zbyt zimne. Zakopać? Nigdy! Pod ziemią wznoszą nasiona, kiełkują, tam chowa się skarby, które kiedyś zdołają same wydostać się na zewnątrz. Pod ziemię trafiają wszyscy zmarli, ci kochani i ci znienawidzeni. Chowanie zmarłych to akt chrześcijańskiego miłosierdzia, nawet jeśli to tylko wspólny dół dla biedaków. Nie, to krzesło ma zostać tak, jak było, na widoku. Żadnego całunu, by okryć jego ciało, twarz, oczy rozszerzone bólem. I biada temu, kto ośmieli się mu je zamknąć.

UMOWA

Po gniewie – cisza. Smutek nie ma nic do powiedzenia. Co można powiedzieć? Posiłki są torturą. Ojciec z zawsze spuszczonego wzrokiem. Ciotka Palma idzie jeść do kuchni. Albo zabiera talerz i siada przed domem. Matka, rozumiejąca ich ból, nigdy nie zostawia ojca samego przy stole. W głębi ducha czuje się odpowiedzialna za to, co się dzieje.

– Jesteś zdrowa. To on ma problem.

– Nie wiem, Palmo. Nie wiem.

– To kwestia jakiejś blokady. A to on jest w tym domu zablokowany.

– Tę blokadę to ma tylko z tyłu, Palmo. Bo z przodu to prawdziwy wodospad.

– Daj spokój, Mario Romano! Nie bądź idiotką. Twój mąż ma blokadę w duszy.

I to poważna sprawa, mówię ci. Kiedyś to przynajmniej rozmawiał. Mówił byle co, ale mówił. Miał gorsze lub lepsze okresy z tymi swoimi zatwardzeniami. Często był dowcipny, zabawny. Poza domem wszyscy nadal go kochają. Ale tutaj, to co innego. Jest nie do poznania. I jest tylko jeden sposób, żeby go uleczyć: ryż!

– Ryż?!

– Masz go jeszcze?

– Oczywiście! Jest schowany tu, w komodzie z ołtarzykiem. Ostatnim razem, gdy go otwierałam, był dokładnie taki sam, jak w dniu naszego wesela.

– Płodność was jako pary jest w tym ryżu. To błogosławieństwo, które odrzucił jedenaście lat temu.

– Obiecałam Josému, że ryż zostanie, ale nigdy nie podam go do jedzenia. Tak się umówiliśmy.

– Cóż, ja niczego nie obiecywałam...

Matka jest na poły rozbawiona, na poły przestraszona.

– Palmo! Co ty zamierzasz zrobić?

– Po pierwsze, dodam do jego jedzenia końską dawkę środka przeczyszczającego, żeby odblokować go z tyłu. A potem przyniosę mu mały, lekki posiłek na odzyskanie sił. Specjalny rosółek z kurczaka, chudziutki, tak jak lubi. Wystarczy filiżanka ryżu.

– Specjalny rosółek!

Umowę zawarto. Współdziałal przypieczętowano śmiechem i mocnym uściskiem.

GDZIE SĄ WSZYSCY? GDZIE JESTEŚCIE?

19 marca 1920. Głośny płacz dziecka. Ojciec słyszy go z salonu. Unosi ramiona w geście wielkiej radości.

– Dziecko się urodziło! Płacze! Urodziło się! Jaki głośny płacz! Jaki cudowny głosik!

Ciotka Palma wyszła z sypialni, wycierając ręce w fartuch.

– To chłopiec. Tak jak chciałeś.

– W takim razie to Antonio. Mój Antonio!

Wzruszony ojciec podchodzi do ciotki Palmy, całuje jej ręce. Obejmują się mocno.

– A Maria Romana?

– W porządku, zajmuje się dzieckiem.

– Mogę już wejść?

Ciotka Palma kiwa głową. Z matczyną czułością prowadzi ojca za rękę. Po drugiej stronie drzwi pierworodny, dziedzic, spadkobierca rodzowego nazwiska. Brazylijczyk z urodzenia, Portugalczyk z krwi. Dobra mieszanka. Spójny zaczyn na chleb.

Widzę twarz ojca po raz pierwszy. Jako noworodek zastanawiam się: czy mój ojciec jest nieskończony? Co ja wiem o wielkościach i wymiarach? Jego uśmiech taki bliski. Podoba mi się ten widok. Oczy, usta, broda, włosy – to wszystko tak nagle, naraz, to mnie nie przeraża. Wręcz przeciwnie, uspokaja. Podmucha powietrza

od wielkiej istoty, która pochyla się nad synem, to oddech życia. To on jest tym wielkim człowiekiem, który odpowiada za to, że tu jestem, wiem to, nikt nie musi mi mówić. I ja, owoc grzechu pierworodnego, pierwotnego w swej kreatywności. Prawica ojca wyciąga się do mnie skądś, a jego dłoń przywiera płasko do mojej piersi. To nasz pierwszy fizyczny kontakt i jego pierwsze błogosławieństwo. A potem czuję, jak jego usta i wąsy delikatnie muskają moje czoło. Czym jest woda w jego oczach?

Powinienem być lepiej przygotowany na przyjście na ten świat. Wszystko jest takie ogromne. A ja taki malutki. Na dwie ich dłonie, najwyżej. Wtulam się w ramiona matki. Gdzie kończy się moje ciało, a zaczyna jej? Stąd, gdzie jestem, matczyna twarz jest niewidoczna – chyba jest uniesiona. Czym jest to ciepło, które teraz czuję? Ten dyskomfort jest jakiś inny, nie znam go. Narzekam. I znów widzę twarz ciotki Palmy, która wyciągnęła mnie z ciemności, odcięła bezlitośnie i sprawiła, że zapłakałem, uczyniła mnie wyjątkowym, a trzymając mnie za nogi pokazała sufit, jakby był podłogą, ale to była tylko zabawa, pierwszy psikus, jaki mi zrobiła. Moja pierwsza, bardzo świeża przeszłość. Ciotka Palma znowu mnie bierze i znowu, z taką samą czułością, obraca mnie. A potem nagle znów patrzę na zmęczoną twarz mojej matki, która wydała mnie na światło. Ale światło mnie boli, a jasność przeraża. Gdy mnie układają, jest lepiej. To miękkie i wygodne miejsce. Stąd przyjdzie jedzenie, jestem pewien. Zasypiam. To mój pierwszy powrót do ciemności, moje pierwsze poddanie się nieznanemu. Kroczę bez lęku, bo na razie nie wiem nic o religii.

Po jakimś czasie, nie wiem, jak długim, zupełnie nic nie śniąc, wracam do światła. Naprawdę mnie razi, budzi niepokój. Płaczę. Dużo. I nie przestaję. Może to głód? O tak. Uciszam się przy piersi matki. Nie mówiłem, że to stąd zjawi się moje jedzenie? Czy to miłość, ten biały płyn, który przełykam? Czy pierwszy łyk to pierwszy zachwyty? Czy ta kobieta to moja ukochana? Jesteśmy ze sobą tak mocno wewnętrznie powiązani, ta sama krew, to samo ciało. W ten sposób, przy drugim ciele, nie czuję się taki mały, to prawda. Czy jak będę większy i przywrę do czyjogoś ciała i ten ktoś przywrze do kolejnego, aż wszyscy do siebie przywrzemy, to czy ludzkość spełni swój cel? Czy to będzie miłość absolutna? Czy będziemy uprawiać

seks, wszyscy tak do siebie przywarci? Czy to będzie czyste fizyczne przyciąganie? Czyste? Pornograficzne, niektórzy stwierdzą, bez wątplenia. Będziemy potrzebować mnóstwo pożądania i mnóstwo spoiwa, żeby spełnić naszą misję. Myślę, że mleko matki sprawia, że majaczą. Noworodek, a już się zatracam. Czyżby? Najważniejsze, że cały czas rosnę. To dotyczy każdego, prawda? Cały czas rosnę. Albo pytam.

Ktoś jest mi winien wyjaśnienie. Ale kto? Przeżyłem ból narodzin, dzieciństwa, dorastania. Z braku wyobraźni ożeniłem się i mam dzieci. Tak było z moimi rodzicami, dziadkami i zapomnianymi przodkami.

Udało się. Stałem się mniej samolubny, bardziej zrównoważony emocjonalnie. Dlaczego? To oczywiste! Zmieniły mnie moje dzieci. Każde dziecko to praktyka, lekcja życia. A jednocześnie mnóstwo prac domowych, skomplikowanych zadań, które my, rodzice staramy się cierpliwie i jak najlepiej rozwiązywać przez całe życie. Na początku bardzo brakuje cierpliwości, a zadania są takie, że wrywamy sobie włosy z głów. Ale nie ma niczego, czego nie rozwiązałyby porządny wrzask. Wrzask z samej głębi, z wnętrzości. Wrzask grzmotu. Boskiego gniewu i nieskończonej miłości. Każde dziecko rozumie taki wrzask. Rozumie i zwraca uwagę.

W pewnych sytuacjach może być potrzebny dodatkowo klaps, ostateczny środek, do którego uciec się może znajdujący się na granicy szaleństwa ojciec czy matka. Ale pupa dziecka jest mądra. Jeśli klaps jest sprawiedliwy, jeśli pada w odpowiednim momencie, pupa dziecka wie od razu. Pupa dziecka nie jest głupia. Ma poczucie, co jest dobre, a co złe. A z bożej woli nie tylko pupa dziecka robi się czerwona. Także ręka, która wymierzyła klapsa. Tylko pieczenie jest inne. Pieczenie dłoni boli o wiele bardziej. I głębiej. I dlatego inteligentna pupa na zawsze pozostanie wdzięczna dłoni.

Jako dziecko dostawałem dużo klapsów. Zasłużonych klapsów. Naprawdę byłem małym łobuzem. Zanim skończyłem dziesięć lat, moja pupa musiała być już mądra jak Konfucjusz, bo doskonale poznała dłonie matki, ojca, a zwłaszcza ciotki Palmy.

Ciotka Palma była niczym matka. Z tego, co wiem, miała paru adoratorów i kilka gwałtownych romansów, ale z przekonań ideologicznych nigdy nie chciała wyjść za mąż. Była pierwszą feministką, jaką znałem. Powtarzała, że „stara panna” to nie jest

stan cywilny, tylko stan łaski. Uwielbiała dzieci. To ona pomagała ojcu i matce nas wychowywać. Była akuszerką nas wszystkich, a także matką chrzestną. Zasłużyła na to.

Dziś, gdy moje dzieci i wnuki się pożeniły, klapsy, które dostałem, smakują inaczej. To już nie jest wdzięczność, bo wdzięczność była od razu, gdy byłem jeszcze młody. To smak tęsknoty za domem. Ciociu Palmo, czy opowiesz mi jakąś historię? Gdzie są kwiatki w dzbankach? Śliczne gladiole, *palmas de Santa Rita*! Najbardziej lubiłaś białe. Gdzie ta słonina, co tu była? Kot zjadł. A gdzie kot? Gdzie drewno? Gdzie ogień? Gdzie woda? Gdzie są mama i tata? Gdzie wy wszyscy jesteście? Gdzie?

CZWARTE KRZESŁO

Ojciec woła ciotkę Palmę. Chce porozmawiać z nią na osobności. Coś takiego! Aż trudno uwierzyć. Są przyjaciółmi – pomimo wybuchowego charakteru jednego i bezczelności drugiego. Od słynnej kłótni o ryż odzywają się do siebie i to wszystko. Banalne rzeczy, rutynowe sprawy, codzienne głupstwa. Ale prawdziwa rozmowa – nigdy. Jaki temat pozwoliłby na najdrobniejszą wymianę opinii bez przeradzania się błyskawicznie w kłótnię? Jaki wspólny interes? Jaka wspólna sprawa? Zawsze są po dwóch stronach barykady. Od najodleglejszej przeszłości w Portugalii, gdy ona, starsza siostra, też przejęła rolę matki i wychowywała go. Nie z wyboru, musiała. Życie jej to narzuciło. Z czasem pojawiły się różnice i pogłębiły się. Niczyja wina. Natura ich takimi uczyniła. Woda i wino. Nie, wino i wodę można połączyć. Woda i oliwa. Każde z nich odrębnie realizuje swoje cele. Jedno gasi, drugie dodaje smaku. Więc taka propozycja jest wykluczona, nie zasługuje nawet na rozważenie, nic dobrego z tego nie będzie. Ojciec nalega, cierpliwie. Byłeś w łazience? Tak, i było dobrze. Świetnie. Jakieś porozumienie jest możliwe. W takim razie o co chodzi? To niespodzianka. Prezent. Prezent?! Ojciec podnosi głos.

– Tak, Palmo. Prezent! Chcę dać ci coś na znak mojej wdzięczności. Wyraz sympatii. Jestem do tego zdolny. Wierzysz mi, prawda?

– Wierzę. Tylko że prezenty nie są twoją mocną stroną.

– Znowu ten ryż? Przyznaj, chodzi ci o ten ryż?!

– Nie chcę na ten temat rozmawiać. Nie zaczynaj!

– To ty zaczynasz. Od tamtej pory nigdy nic mi nie dałaś. Ani ja tobie. Więc

musi ci chodzić o ten ryż.

– José Custódio, to nie jest dobry pomysł, żebyśmy rozmawiali na osobności. Skończmy to, proszę.

– Nie. Nie przerwiemy teraz, Palmo.

– Proszę cię, bracie. Proszę. Porozmawiamy kiedy indziej. Nie teraz. Antonio dopiero co się urodził. Jestem wykończona.

– Jeśli zbiera ci się na łzy, cóż, mnie także. Tylko że dziś są to łzy radości, wzruszenia, wdzięczności wobec ciebie.

– To Bogu powinienes być wdzięczny. I oczywiście swojej żonie. Okazałeś mi już wdzięczność, gdy zawołałam cię, żebyś zobaczył Antonia. Ucałowałeś moje dłonie i mocno się przytuliliśmy. Wyraziłeś zachwyt, to była moja nagroda. Nie potrzebuję prezentów. Powtarzam: prezenty nie są twoją mocną stroną.

– Owszem. Zgadzam się. Nie są moją mocną stroną. I dlatego tym razem, zamiast przejąć inicjatywę i podarować ci coś, co może ci się nie spodobać, chcę, żebyś powiedziała mi, jaką pamiątkę chciałabyś ode mnie dostać. Coś, żeby upamiętnić dzisiejszy dzień. Biżuteria, jakiś przedmiot, materiał, nie mam pojęcia. Cokolwiek zechcesz, zrobię wszystko, żeby ci to kupić. I cokolwiek to będzie, będzie jedynie symbolicznym podarkiem. To, że zgodziłaś się pomóc Antonio przyjść na świat, ma nieoszacowaną wartość.

Ciotka Palma wie już, czego chce. Ale taka prośba wywoła szok, a może nawet wściekłą awanturę, bolesną, ostateczną. Więc po co ją składać? Bo jej serce o to prosi. Bo właśnie narodziło się dziecko. W świetle dnia prośba od serca jest rozkazem, którego umysł nie kwestionuje, tylko wykonuje.

– Skoro chcesz...

– Tak, chcę.

– Dobrze. Chcę, żebyś podarował mi krzesło.

– Krzesło?! Nie przestajesz mnie zadziwiać!

– To szczególne krzesło. A ty doskonale je znasz.

– Każde, którego sobie zażyczysz. Wiesz, że nie przywiązuję się do przedmiotów. Wybierz i będzie twoje.

– Chcę czwarte krzesło. To, które tak niesprawiedliwie upokorzyłeś. To, które wyrzuciłeś przez okno i porąbałeś na kawałki siekierą. A potem, co najgorsze, postanowiłeś, że tak je zostawimy, wystawione na kaprysy pogody. Chcę to krzesło.

– Palmo, jesteś niemożliwa!

– Jestem cierpliwa.

– Po co ci te połamane kawałki drewna?

– Kto powiedział, że chcę połamane kawałki drewna?

– O, nie, to zbyt wiele!

– Chcę, żebyś naprawił to krzesło. Masz trudny charakter, ale jesteś dobrym człowiekiem. Utalentowanym i troskliwym. Jestem pewna, że świetnie sobie poradzisz.

– To wymaga czasu.

– Nie ma znaczenia.

– Wiesz, jakie mam obowiązki w majątku. I ile ich mam.

– Nie ma znaczenia. Nie śpieszy mi się.

– W takim razie dobrze. Dotrzymuję słowa. Będziesz miała krzesło, tak jak chcesz. To będzie dowód mojej wdzięczności wobec ciebie.

– Więcej. To będzie dowód twojej pokory. Najlepszy hołd, jaki możesz złożyć synowi, który właśnie zjawił się na świecie.

Nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy dalej. Żadne z nich nie ma już nic więcej do powiedzenia. Decyzja o tym, czy się wycofać, przypada ojcu. Tylko że on nie wie, co robić dalej. Przytulić siostrę? Niemożliwe po tym, co właśnie usłyszał. To byłoby nieszczerze. Myśli o wyciągnięciu do niej ręki. Może i wymienili parę szorstkich słów, ale nie doszło między nimi do nieporozumienia. Nie, nie może tego zrobić. Samo wyciągnięcie ręki nie ma żadnego sensu. I jak miałyby to zrobić? Z uśmiechem? Żalosne. Z powagą? Wyszędłby na wyniosłego. Ciotka Palma spostrzega zakłopotanie ojca. Podchodzi do niego i poklepuje go energicznie po rękach.

– Nie martw się. To będzie śliczny prezent.

Ojciec słucha. Głos tej kobiety, stanowczy, ale jednocześnie złagodzony nutą

czułości, sprawia, że czuje się dobrze. Rozpoznaje w nim matczyzny autorytet.

– Zrobię co w mojej mocy.

I tak robi. Idzie stamtąd prosto do śmietnika znajdującego się na zewnątrz. Zbiera kawałki krzesła, jakby dopasowywał układankę. Klei, szlifuje, maluje, odnawia cały mebel: nogi, siedzisko, oparcie. Pracuje przez całe tygodnie w niezwykle dobrym humorze. Tylko że na tym nie kończy. Postanawia, że czwarte krzesło nie będzie już elementem kompletu w jadalni. Rozda stare meble przyjaciom, którzy też pracują w majątku. Zadaje sobie trud, żeby zanieść je im osobiście. W domu dodatkowa niespodzianka. Nowy stół, o którym razem z Marią marzyli. Ogromny, z długimi ławami po obu stronach. Tylko dwa krzesła, z jednego końca i z drugiego. Niech przyjdą dzieci. Będzie dość miejsca. I kto twierdzi, że prezenty nie są jego mocną stroną? Wreszcie długo wyczekiwana chwila, prezentacja czwartego krzesła, które stoi przykryte białym prześcieradłem obok okna w małym pokoju obok. Zanim pokaże je ciotce Palmie, ojciec wyjaśnia, że przeszło radykalną odmianę, jest teraz wyjątkowe i dlatego nie jest już takie, jakie było. Matka, raczej pełna obaw niż ciekawości, prosi go, żeby się pośpieszył, uniósł zasłonę i skończył to wszystko. Ciotka Palma zwraca się do wszystkich świętych: byle nie kolejna awantura. Czeka z imponującym spokojem.

Napięcie. Raz, dwa i ...

Ojciec chwyta prześcieradło za róg i ściąga je jednym ruchem. *Szust!*

– ...!

– ...!

– Macie zamiar stać tak we dwie i nic nie mówić?

– To krzesło nie miało podłokietników!

Ojciec bierze głęboki oddech. Stara się nie irytować.

– To prawda, Palmo. Tak sobie właśnie pomyślałem. Chciałem, żeby było inne. I trochę wygodniejsze. I co? Podoba się?

Ciotka Palma podchodzi do krzesła. Przesuwa palcami po podłokietnikach. Przygląda się uważnie. Rzeczywiście wyrzeźbiono je bardzo starannie. Siada z powagą. Mości się wygodnie. Nieruchomieje na chwilę. Wygląda przez okno.

Widok jest ładny, wieje łagodna bryza.

– Podoba się. Bardzo.

Nic więcej nie mówi. Jest już daleko wśród swoich wspomnień. Matka dobrze zna swoją bratową, bierze ojca za rękę i gestem sugeruje mu, żeby wyszli po cichu. On się opiera, jest taki dumny. Kto twierdzi, że prezenty nie są jego mocną stroną? Chce napawać się tą chwilą trochę dłużej. Jego siostra siedzi jak jakaś królowa. Za parę chwil powróci do bycia „synem”, najmłodszym, zbuntowanym, tym, który zawsze dawał się jej we znaki. Czy musiał przyprawiać jej tyłu trosk? Oczywiście. Zajęła miejsce jego matki! Ale czy ta pogubiona młoda kobieta nie doznała takiej samej przedwczesnej straty co on? Czy ona też nie płakała w samotności w sypialni? Czy nie przeklinała obowiązku wychowania całego rodzeństwa? Byli prawdziwymi, małymi diabłami. Ona ich nie stworzyła, nie powołała na świat, a mimo to musiała z nimi wytrzymać. Więcej, musiała ich wychować. Ona, która wolałaby uciec w świat z trupą hałaśliwych artystów. Ona, dziewczyna, która wymyślała historie i wystawiała je bez publiczności. Która stała się obiektem drwin. Całe Viana do Castelo o niej mówiło:

– Palma?! Artystką? Co takiego?! Ona chce tylko awanturniczego życia z tą bandą nicponi. – A jej rodzina śpiewała w chórze z resztą miasteczka: – Tak, włóczęgi, w powycieranych łachach, żebrzący o drobne w zamian za durne piruety, piskliwe ballady i parodie, w których kpią z Boga i świata. Burmistrz miał rację, że zrobił, co zrobił. Przepędził ich. Na łeb na szyję z tym całym ich kramem.

Ona – Palma, romantyczka – była jedyną, która szła za wozami, płacząc i machając białą chusteczką. A niechlujna zgraja odpowiedziała, całując kwiaty i rzucając je za sobą. A ona, ta „pogubiona młoda kobieta”, pochylała się i zbierała je bez najmniejszego wstydu. I dlatego ojciec przywalił jej przy wszystkich. I dlatego matce było przykro, a rodzeństwu wstyd. I stąd jej reakcja, która zaskoczyła wszystkich, i jeszcze bardziej rozwścieczyła agresora: zamiast łez, bólu czy gniewu, Palma, romantyczka, wciąż ściskając w dłoni kwiaty, uśmiechnęła się i podziękowała mu, tak jak robili to ci wędrowni grajkowie – z tym samym lekko ironicznym uśmiechem i poczuciem wyższości. Odeszła, nie odwracając się plecami ani do ojca, ani do matki, ani do niego, ani do reszty rodzeństwa, ani do

publiczności. Szła tyłem, uśmiechając się i mówiąc dziękuję. Uśmiechając się do kogo? Dziękując za co? Za drwiny? Za cios? Za czerwony ślad na twarzy? Kto to wiedział? Cały czas szła ciągle do tyłu. Czy to możliwe? Posuwać się do przodu, idąc ciągle do tyłu? Ona, Palma, zdolna do wszystkiego. Na tej szalonej trajektorii, w tonacji D-dur, patrząc głęboko w oczy wszystkim po kolei. Na niego też patrzyła – na niego szczególnie. Dlaczego na niego szczególnie? Czy nie było tam całego rodzeństwa? Czy to dlatego, że nie było nikogo innego, kto odważyłby się wystąpić przeciwko niej tak jak on? Może z pogardy, a może dlatego, że widziała w nim coś szczególnego. Z każdym uśmiechem i dygiem coraz bardziej przypominała królową, a nie poddaną. I tak dalej, aż zniknęła całkiem z widoku, niczym zjawą, niczym sen, niczym ułuda. Kochał ją za to, podziwiał ją za to, nienawidził jej za to.

Matka znowu go ciągnie. W ułamku sekundy „syn” z powrotem staje się bratem. Co za wspomnienia! Dobry Boże! Maria Romana ma rację. Lepiej zająć się życiem. Lepiej zostawić siostrę samą, królującą na krześle. Ojciec wychodzi, nie odwracając się plecami do ciotki Palmy, sunie do przodu, idąc do tyłu. Z nabożeństwem.

MOJA CIOTKA, SIOSTRA OJCA

Ojciec i matka zajmowali się robieniem dzieci. Byli w sypialni, późno w nocy, skrupulatnie realizując standardową procedurę, która stanowi przepis na każdą rodzinę: gwałtownie mieszać na dużym ogniu. I nagle – znów! – płacz noworodka. Niczym przyłapani nastolatki, patrzą sobie w oczy, nawet nie mrugną, czekają. W kołysce płacz. W łóżku gorąco, pot i galopujące serca. Żadnych słów. Żadnych ruchów. Żadnej inicjatywy. Płacz ustaje. Ulga. Ciało wracają do erotycznej sceny ze wznowionym entuzjazmem. To nie trwa długo. Dziecko znowu płacze. To niemożliwe. Ona to robi specjalnie.

– Antonio tak nie płakał. Zobaczysz, przez tę wymuszoną przez Leonor wstrzemięźliwość zostaniemy jeszcze świętymi!

I znowu matka wstaje, bierze Leonor na ręce, kołysze ją, całuje, pyta, co się dzieje, maleństwo, o co chodzi? Ojciec, w morderczym nastroju, wyskakuje z łóżka. Idzie w kierunku przeciwnym niż kołyska. Tak jest najlepiej, najmądrzej. Stoi tam, opierając się o szafę, zupełnie nagi i liczy do stu, z patosem. Trzydzieści dwa, trzydzieści trzy... A czy on nie chciał dzieci? To co? Czterdzieści pięć, czterdzieści sześć, czterdzieści siedem... Czy nie chce, żeby jeszcze kilkoro zajmowało długą ławę przy stole? Siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt cztery... Leonor przestaje płakać i zostaje odłożona do kołyski. Wzruszonego tą sceną ojca opuszcza gniew. Osiemdziesiąt jeden, osiemdziesiąt dwa... W obliczu pewnych sytuacji człowiek jest bezradny, lekcja życia. Dziewięćdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt sześć... Matka kładzie się, uwodzicielska, wdycha zapach poduszki. Wyciąga się, zachęca go. Dziewięćdziesiąt siedem, dziewięćdziesiąt osiem... Biedny ojciec buntuje się. Trudno nawet powiedzieć, ile razy przerwano im o tej wczesnej porze. Pozycje

z Kamasutry śmiesznie unieruchomione, spektakularne pozy, które w chwili ekstazy spełzają na niczym, zmarnowane wspaniałe erekcje. Wyczerpujące próby osiągnięcia nieosiągalnego orgazmu. Dziewięćdziesiąt dziewięć, sto. Rodzina to trudne danie do przygotowania.

– Widzisz? Uspokoila się. No chodź.

Ryż ciotki Palmy pomógł. Po błogosławionym rosołku ojciec robił kolejne dzieci. Najpierw byłem ja, Antonio. Zaraz potem Leonor. Mijały noce i dni jaśniejące od kilometrów białych pieluch, łopoczących na sznurach do prania. Wyglądały jak małe flagi błagające o pokój. Lecz ojciec i matka nie mieli litości. I tak pojawili się Nicolau i Joaquim. Mieszanka płaczów, płacz z głodu, z pragnienia, od kolki czy po prostu ze złego humoru – ten ostatni łatwo już rozpoznać i ignorować.

Ciotka Palma, zawsze wybiegająca myślą naprzód, oceniała swój stopień pokrewieństwa. Była doskonale świadoma tego, że ojciec i matka mają przewagę, dzięki potężnym więzom krwi i ciała, które potrafią być inspiracją dla najpiękniejszych i najokrutniejszych historii ludzkości. Od greckich tragedii do wielkich oper. W sztuce poetyckiej co rusz jakiś bard wysławia swojego ojca lub matkę: „Bycie matką pruje twe serce nitka po nitce! Bycie matką to tortura w raju!”. Świat łka. Ale czy znajdą się poeci, którzy złożą hołd swoim ciotkom? Możecie sobie wyobrazić wzruszający poemat pod tytułem „Ciotka”? Jakby miał brzmieć? „Bycie ciotką to bycie siostrą matki”. Albo „Bycie ciotką to bycie siostrą ojca” – jeszcze bardziej dołujące. Siostra ojca, naprawdę smutne. W takiej właśnie sytuacji znajdowała się ciotka Palma. Powtarzała, że nie ma nic gorszego w relacjach rodzinnych niż bycie ciotką, siostrą ojca. Twierdziła, że pomiędzy kuzynami albo bratowymi i szwagrami wciąż można sobie wyobrazić seksualne fantazje, zakazane zabawy... Ale ciotka ze strony ojca, to ćwiczenie w pokorze, które Stwórca uwzględni na Sądzie Ostatecznym. Ciotka Palma wzdychała.

– Żebym chociaż była bogata i mogła zostawić wam spadek... Ale nie mam nawet tego.

Jej sposobem było więc zachowywanie się jak matka – tym razem z wyboru. Prała brudne pieluchy, kąpała nas, przygotowywała butelki, śpiewała nam kołysanki

i utulała do snu. Później czesała nam włosy, uczyła, że trzeba zjadać posiłek do końca i wiązać sznurówki, sprawdzała nam prace domowe, przyszywała guziki, cerowała skarpetki, wydłużała ubrania, odpowiadała na najbardziej wstydliwe pytania i, co najlepsze, opowiadała nam historie! I wreszcie, siedziała w nocy, zerkając na zegar, aż do wczesnych godzin poranka, nigdy przez nas nie zauważona, świadoma naszych przyjaźni w wiosce i naszych romansów. I słuchająca każdego z nas, naszych niezwykłych marzeń, wspaniałych planów na życie. To właśnie najbardziej lubiła. Jej szeroki uśmiech, błyszczące oczy.

MOJA SIOSTRA, MOI BRACIA I JA

Gdy byliśmy dziećmi, cała czwórka chodziła boso. Nie z powodu braku obuwia, tylko tak po prostu żyliśmy. Leonor, Nicolau i Joaquim mieli szkapy do jazdy – konie, które podarował im senhor Avelino, a oni, zachwyceni i wdzięczni, nigdy nie zajrzeli im w zęby. Ja wołałem dostać Poetę – najmądrzejszego kundla, jakiego kiedykolwiek poznałem. Moi bracia i siostra jeździli po wzgórzach fazendy. Ja i Poeta chodziliśmy pieszo. Zawsze wołałem poruszać się w ten sposób, bliżej krzewów i ziemi. Może po to, by zrównoważyć ulotność mojej duszy. Poeta umiał chodzić nawet bliżej ziemi niż ja, czasem wąchał trop, za którym szedł. Uwielbiałem obserwować go, jak podąża ścieżką po zapachu. I zastanawiałem się, czy to dlatego, że jego dusza lata jeszcze wyżej niż moja? Niejeden raz sam próbowałem, ale mój niekompetentny nos męczył się szybko, a poobijane kolana przypominały mi o dwunożnym losie. Poeta rzucał mi pełne pociechy spojrzenie. – Nie smuć się. Każdy jest taki, jaki jest. – Zgadzałem się z nim. Natura wie, co robi. I dalej ruszaliśmy we dwóch po śladach. Często zaciekawieni, od czasu do czasu wymieniając spojrzenia.

Leonor, Nicolau i Joaquim większość czasu spędzali na powietrzu. Dom służył do spożywania posiłków, kąpieli i snu. Ale dla mnie był ważny z innego powodu. Pozwólcie mi wyjaśnić. Pewnego dnia, miałem wtedy z pięć lat, ciotka Palma kazała mi go narysować – nie jakikolwiek stary dom, ale ten nasz. Zacząłem od kwadratu. A potem, bardzo starannie, dorysowałem u góry trójkąt. Gdy chciałem narysować drzwi i okna, złapała mnie za rękę. Dom był gotowy.

– Gotowy?!

Absolutnie gotowy, nauczyłem się wtedy. Kwadrat – ściany, ziemia, cztery kierunki świata – północ, południe, wschód, zachód. Trójkąt – dach, niebo, trzy osoby Trójcy Świętej – Ojciec, Syn i Duch Święty. Kwadrat, podstawa. Trójkąt, osłona. To był rysunek elementarnego domu. Mógłbym najwyżej dodać kolejne kwadraty i trójkąty. Dzięki ciotce Palmie zacząłem widzieć nasz dom innymi oczami. Moja wiedza się pogłębiła. Wyewoluowałem z trójkąta do piramidy. Z kwadratu do sześciangu. Dzięki nauce i ćwiczeniom, życie i miejsce, w którym mieszkałem, zyskiwały nowe perspektywy.

Leonor, Nicolau i Joaquim byli zdrowymi, dobrze rozwijającymi się dziećmi. Wszystko robili wspólnie, trzymali się razem cały dzień. Mieli taki sam gust, te same zainteresowania. Leonor była jak chłopiec. Gardziła jedyną lalką, jaką dostała w prezencie. Nazwała ją Pascoala, nie wiem dlaczego. Wymierzano biedulce niewiarygodnie okrutne kary. W końcu, oślepiąca i pozbawiona włosów Pascoala, zaczęła wyglądać jak postać z horroru. Spotkała ją tragiczna i przedwczesna śmierć. Od czasu do czasu przyłapywaliśmy Poetę na gryzieniu jednej z jej kończyn. Jej łysa głowa, oddzielona od reszty ciała, znalazła lepsze zastosowanie – stała się piłką do nogi i przetrwała lata. Leonor prowadziła zabawy, które opierały się raczej na sprawności fizycznej niż wyobraźni.

Nigdy nie miałem kłopotów ze zdrowiem, ale moje ciało funkcjonowało według odmiennego rytmu. Choć moi bracia i siostra byli młodszy ode mnie, szybko mnie przerośli i stali się silniejsi. Mnie plątały się nogi i ręce i każdy mój występ w grach na świeżym powietrzu był katastrofą. Poeta, który zawsze trzymał się blisko, kładł się i zasłaniał oczy łapami, żeby nie być świadkiem mojej hańby. A potem patrzył na mnie smutno: – Każdy jest, jaki jest.

Nigdy nie lubiłem tego, że jestem najstarszym bratem, tym, który ma ciężko pracować i być dobrym przykładem. Przykładem czego, skoro udawałem tak samo, jak oni? I dlaczego miałbym być wzorem dla nich, skoro oni i ja byliśmy tak odmienni? Zawsze się przyjaźniliśmy. Bardzo. Ale jeśli chodzi o bliskość, nie było żadnej. Matka i ojciec nigdy nie zrozumieli, dlaczego zrobiłem się taki „osobny”. Ciotka Palma nie zwracała na to uwagi. Lubiła to, jaki byłem. Nawet wymyśliła słowną zabawę. Mówiła, że Leonor, Nicolau i Joaquim są synonimami. A ja,

Antonio, jestem antonimem. Jedynym chudzielcem. Jedynym okularnikiem. Jedynym, który doceniał dom, cieszył się z deszczowych dni. Jedynym, którego interesowały słowa, gdziekolwiek się nie trafiły: w książkach, czasopismach, starych gazetach – na każdym zadrukowanym kawałku papieru, który znajdował się w najbliższym otoczeniu. Jedynym, którego interesowały rodzinne opowieści i który chciał słuchać historii o ryżu.

Wszyscy chodziliśmy do szkoły w najbliższym miasteczku, dwanaście kilometrów od majątku. Zrujnowany budynek przerażał nas, a brazylijska flaga, bardzo spłowiała, budziła raczej lęk niż szacunek. To właśnie nauka zbliżyła mnie do rodzeństwa. Często tłumaczyłem im lekcje. Albo kończyłem swoje, a potem robiłem ich. Pomaganie im – nic mnie to nie kosztowało, a czułem się wspaniale. Słuchali mnie i szanowali, doceniali moje umiejętności.

Słońce, ukochane przez wszystkich, było punktem zgody w naszej rodzinie, natomiast deszcz nas dzielił. Matka i ciotka Palma lubiły go, z pewnymi zastrzeżeniami. Leciutka mżawka – tak. Ulewa – nie. Ojciec przechodził z jednej skrajności w drugą, czasem wdzięczy za opady, kiedy indziej je przeklinał. Jego zdanie różniło się w zależności od stanu upraw. Natomiast Leonor, Nicolau i Joaquim zamieniali się w dzikie zwierzęta zamknięte w klatce. Drzwi otwarte, a oni nie wystawią nawet palca. Weź zrozum! Ja natomiast nie posiadałem się z radości. Grzmoty, nawet dalekie, sprawiały, że moja dusza rozkwitała. Delikatny zimowy deszcz, letnie burze – cieszyłem się ze wszystkich. Gdy zaczynało kropić, Poeta wychodził na ganek, otrząsał się, machał ogonem i czekał na mnie. Jeśli lało, spacer był gwarantowany.

Nasz dom, cały pobielony i z otwartymi szeroko zielonymi okiennicami, znajdował się w niższej części Santo Antonio da União. Był przestronny, z dwoma niewielkimi salonami i trzema wygodnymi sypialniami. Największa, od frontu, należała do ojca i matki. Drugą zajmowały ciotka Palma i Leonor. Nicolau, Joaquim i ja spaliśmy w pokoju na tyłach. Nie ma co, naszym rajem była kuchnia. A jedyna łazienka – naszym piekłem.

Mieszkałem tu, w tym dużym domu, dawno temu. Boże, jak dawno! Lecz dom mojego dzieciństwa, dom marzeń, który można było zmieścić, rysując kwadrat

i trójkąt, ten dom istnieje już tylko w pamięci. Ściany wciąż tam są. Czwarte krzesło i komoda z ołtarzykiem też. Ale brakuje duszy. Duszy, która choć po tej stronie Atlantyku, to zdawała się śpiewać: „*Uma casa portuguesa*. To portugalski dom, bez wątpienia. To bez wątpienia portugalski dom”.

ISABEL

Dobrze znam dźwięki tego domu. Te dochodzące z zewnątrz i z wewnątrz. Dźwięki wiatru i deszczu, zwierząt i ludzi, martwych i żywych. Przyjazne dźwięki, groźne dźwięki, dźwięki, które są dziwne albo znajome. Isabel wciąż jest na górze, w sypialni. Ale obudziła się już. Trochę potrwa, zanim zejdzie na dół. To rytuał. Upiera się, że zanim złamie post, odmówi poranne modlitwy. Modli się za mnie i za siebie. Nie wiem, jak to robi.

Isabel, moja żona. „Moja?”. Coś takiego – ja i posiadanie? Nasze pierwsze spotkanie zaczęło się od upadku. Brzydkiego upadku. Już jako dzieci byliśmy upadłymi aniołami. My, dwoje na jednej ścieżce. Ona, zafascynowana owadami, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ja, biegnący z latawcem, zapatrzony wysoko w niebo. Nie zauważyłem jej. Poczulem tylko uderzenie. A potem szok. Głowa, tułów i członki lecące w dół. Ktoś, kto też się przewrócił, bezwładnie, prosto na mnie. To była ona. Wpadliśmy na siebie. Katastrofa określiła to, o czym życie już zdecydowało – że córka właścicieli majątku wylądaje na mnie. Miałem dwanaście lat, byłem dzieciakiem, ale kontakt z ciałem zrobił na mnie wrażenie. To było dobre, nieznane uczucie. Dziwne, łączące ból z przyjemnością. Uczucie, które do dziś mnie porywa. Co się działo z moim ciałem, że nie przeszkadzało mu to, że leży zboląle tuż pod nią? Dlaczego ona, choć zaniepokojona, pozwoliła nam tak leżeć, rozciągniętym na ziemi, twarzą do siebie, bez słowa? Dlaczego nawet dziś, choć jestem stary, przeżywam tamten moment tak wyraźnie, w całej pełni kolorów, zapachów, bólu, zauroczenia?

Nagle wieczność staje się ułamkiem sekundy. Wszystko znika w okamgnieniu. Isabel wstaje, sprawdza, czy nie zniszczyła sukienki, kolana ma zakrwawione. Wciąż

leżąc na ziemi, patrzę na nią, nie na siebie. Ale moje ciało, bez leżącej na nim Isabel, zaczyna okropnie boleć. Nie mogę wstać. Czyżbym złamał nogę? Isabel krzyczy, biegnie, biegnie, żeby sprowadzić pomoc, zanim zapadnie noc. Ojciec wyrasta jak spod ziemi. Podnosi mnie ostrożnie, niesie w ramionach. Ta dorosła obecność zajmuje przestrzeń, przeraża, ale wzbudza jednocześnie zaufanie. Senhor Avelino, który stoi obok niego, całuje mnie w czoło. A potem każda rodzina idzie w swoją stronę. Isabel macha z daleka. Moje serce odpowiada, choć ona o tym nie wie.

Jakiś czas temu świętowaliśmy złote gody. Ale po co, skoro jesteśmy tak odmienni? We wszystkim: pod względem temperamentu, gustu, w najdrobniejszych rzeczach. Wczoraj na przykład, podczas gry w kanastę. Miała pełną rękę asów i dzokerów. A ja miałem fatalny dzień. Podnosiłem słoneczniki van Gogha z zielonego filcu. Co też może być po drugiej stronie plastikowego kartonika? Uniosłem rożek karty, bardzo powoli, i, katastrofa, wziąłem jakąś blotkę, która do niczego mi się nie przyda. Od razu odrzucam te cztery trefle. Przeklinam pecha. Nie da się tak grać. To żadna przyjemność. Nie da się oszukać bloczku z wynikami. Różnica jest hańbiąca. Isabel niskim, stonowanym głosem, nawet nie odrywając wzroku od kart, prosi mnie, żebym nie robił scen. Jakich scen?! Pokazuję jej, co mam na ręku, nic do niczego nie pasuje. Porażka! Narzeka, że ją rozpraszam. Upiera się, że, owszem, przez wpływ ciotki Palmy zawsze byłem teatralny. Ja, teatralny? To dlaczego tak długo ze mną jest? Moje przedstawienia nie mogą być aż takie złe. Gdy mówię, ona wybiera kolejne karty, wyklada je i doprowadza mnie do rozpacz. Odrzuca resztę wyniośle. I dopiero wtedy na mnie patrzy. Została jej jedna.

– Naprawdę przesadzasz, Antonio. Żyjesz o oktawę wyżej niż wszyscy inni. Czasem męczysz mnie, owszem, muszę to przyznać.

Ma rację, absolutnie. Niewytłumaczalny, zdumiewający, niezwykły, cudowny fakt jest dla niej tylko ciekawostką, zwykłym przypadkiem. Łączą nas opowieści. Ich nieskończoność, jak przyznaje. Ale dwie wersje nigdy się nie spotykają, nigdy nie mają części wspólnej. Dla Isabel, gdy nastąpił tamten upadek, już ze sobą rozmawialiśmy, już się znaliśmy. To z pewnością nie było nasze pierwsze spotkanie. Są inne niezgodności: był środek dnia, byliśmy niedaleko domu, ja puszczałem

latawiec – ona, z innymi dziewczętami grała w kółko i krzyżyk. Nic poważnego się nie stało. Zwichnąłem kostkę. Ona pobrudziła spódnicę i podrapała kolana. Nie pamięta nawet tego, że mnie przygniotła. Pamięta swoją matkę, donę Marię Celeste, na szczycie schodów, domagającą się stosownych manier, wołającą ją do domu. Mój ojciec, José Custódio wziął mnie na rękę, to się zgadza. Ale wcale nie zrobił tego czule i dostałem od niego burę. Gdybym siedział spokojnie w swoim pokoju nad lekcjami, to nic takiego by się nie wydarzyło. A on nie musiałby przerywać pracy. Senhor Avelino pocałował mnie w czoło raczej niecierpliwie niż na znak solidarności. Chciał to jak najszybciej zakończyć. Naprawdę? Tak – upiera się.

Nie musiałem nosić gipsu, zgadzam się z nią. Ojciec unieruchomił mi stopę zaimprovizowanymi łubkami i bandażem. Ale tej nocy powrócił do mnie cały epizod z upadkiem: moje ciało całkowicie, absolutnie zetknięte, po raz pierwszy i naprawdę, z ciałem dziewczyny. Uczucie przyjemności zaczęło wracać, a ja nie miałem nad tym kontroli. I nie chciałem mieć, wcale nie. Odwróciłem się brzuchem do łóżka, zacząłem ocierać i objąłem poduszkę władcym gestem doświadczonego kochanka. Noga w ogóle przestała mnie boleć. Czułem tylko gorąco na twarzy i płonący wewnątrz mnie ogień. Miałem gorączkę, bez wątpienia. Wysoką gorączkę, ale taką zdrową, która nie pokazuje się na termometrze. Moja ręka instynktownie pomogła mi zrozumieć, co się ze mną dzieje. Tam, po raz pierwszy, stało się coś większego. Stałem się wielkim, przerażającym mężczyzną. Nagle przyszła ekstaza, a potem ulga. Gorączka opadła. Wróciłem z powrotem do rozmiarów chłopca. Nie martwiłem się tym, co wydalilo z siebie moje ciało. To był jakiś biały klej, który mnie oczyścił. Ułożyłem się wygodnie w pościeli. Odwróciłem się do ściany i natychmiast usnąłem.

Mężczyzna czy kobieta, ciało wie, czego chce. Zmienia się wiek, zmieniają się pragnienia. Takie już jest ciało. Zawsze musisz się go uczyć. Łatwo jest je zadowolić, to proste. Spacer, poranne słońce, dobrze wykonana praca, prysznic, wygodne ubranie, drzemka, chłodna bryza na werandzie, zapach lawendy, owocowy sok. Drobne ekstrawagancje też są mile widziane: papieroszek, odrobina caipirini, smażona kiełbaska. Rozpieść swoje ciało, tylko troszkę, a będzie ci wdzięczne. Moje ciało to mój najlepszy przyjaciel. Nawet zmęczone i pełne ograniczeń i tak mnie,

pomalutku, wszędzie zabierze, w dowolnej chwili. Ze swoją charakterystyczną urodą i brzydotą nie opuszcza mnie ani na moment, choć wie, że pewnego dnia ja je porzucę. Nie narzeka. Pomimo niedosłuchu, słabego wzroku, stawu, który znienacka zaczyna boleć i fizycznego dyskomfortu, z którego nie zdajemy sobie sprawy, ale który po przekroczeniu pewnego punktu staje się częścią naszego codziennego życia. Kolejna niedogodność, którą w naturalny sposób przyswajamy. Tak to się dzieje. Zużywamy, znosimy nasze ciała aż do samego końca, jak nam się żywnie podoba. A potem wyrefinowane teorie teologiczne uwalniają nas i przenoszą w świat odmiennych, mniej ziemskich przygód. Nadchodzi etap poczwarki – krótka faza słońca i modliszki – a później, nagle, dusza zostaje uwolniona, czysta energia, promienne uczucia wolne od ciężaru przytłaczającej powłoki. Okropna niesprawiedliwość. Nasz najlepszy przyjaciel porzucony na pastwę losu. Nawet jednego słowa podziękowania – i już nas nie ma. Czujemy ulgę. Wymykamy się wcześniej bez pożegnania, aż do dnia odległego i jakoś mało prawdopodobnego Sądu Ostatecznego. Czy wierzę w ciało zmartwychwstanie, życie wieczne, amen? Wszystko osądzone, podpisane i przypieczętowane w ciągu dwudziestu czterech godzin? Mam wątpliwości. Wielu ludzi czeka już w kolejce. Coraz bardziej skomplikowane procedury. Sprawa karna czy cywilna? Skąd wziąć numerek? Wszyscy jesteśmy mąką z jednego worka. Gdzie ja, na litość boską, zostawiłem tę sakramencką pszenną mąkę? Potrzebna mi teraz.

Ciotka Palma często mówiła, że Jezus był jedynym, który zrobił to tak, jak należy. Nieskończenie wdzięczny zabrał swojego trzydziestotrzyletniego przyjaciela ze sobą. Nie dbał o ciężar, krew i wszystkie rany, które mu zadano. Zabrał to wszystko ze sobą, tak po prostu. On z wielkiej litery, bo ktoś, kto odchodzi i zabiera ze sobą własne ciało, zasługuje przynajmniej na wielką literę.

Isabel i ja jesteśmy w tym samym wieku. Gdy modli się wieczorem, prosi Boga o dobrą śmierć. Pytam ją, jaka jest dobra śmierć. Naturalna – odpowiada. Czyli lekka. Ale my nie jesteśmy „lekką” rodziną. Mnie to nie wystarcza. Spróbuj mi to lepiej wyjaśnić, proszę... Isabel jest wobec mnie cierpliwa. Czasem potrafię być męczący, wiem o tym. Daje mi obraz, bo to najlepszy sposób, żebym ją zrozumiał.

– Jest późno. Zjadłeś kolację, obejrzałeś jakieś bzdury w telewizji. Poszedłeś na

górze do sypialni, przeczytałeś parę rozdziałów z książki z nocnego stolika. Czujesz, że sen nadchodzi. Powieki ci opadają. Jedyne czego pragniesz, to spać. Wykąpałeś się, umyłeś zęby, masz na sobie czystą piżamę i leżysz w świeżej pościeli. Materac obłożony prześcieradłem wygląda tak kusząco. Mogliby zaprosić cię na najwspanialsze przyjęcie, na najlepszą imprezę, mógłbyś spotkać najukochańszego przyjaciela albo dziecko, zwiedzić miasto, o którym zawsze marzyłeś, zjeść ulubiony deser, pozwolić sobie na dawną ekstrawagancję, najdziwszy seks. Ale nic cię nie nęci. Nic nie może odciągnąć cię od tego rozkosznego poczucia senności. Akceptujesz je, jesteś zadowolony z życia. Jesteś pewien, że to będzie spokojna noc. W każdym razie jedyne, czego teraz pragniesz, to zgasić światło i zasnąć. I zasypiasz, poddajesz się nieznanemu bez strachu.

Może ubarwiłem nieco to, co powiedziała Isabel. Moja żona ma podejście dydaktyczne, a nie teatralne. Przekonuje, używając wiedzy i autorytetu, jak nauczycielka z podstawówki – bo profesorowie uniwersyteccy są niewiarygodni, ciągle ktoś kwestionuje ich tezy. Przyjmuję eleganckie wyjaśnienie Isabel w dobrej wierze i z bezwarunkową akceptacją ucznia pierwszej klasy.

– Wiesz, że nie wyznaję żadnej religii. Ale mimo wszystko, gdy odmawiasz te wieczorne modlitwy (albo jak nie możesz, to poranne), to mogłabyś poprosić o dobrą śmierć także dla mnie?

SPAKOWANE TORBY

Patrzę na siebie, gdy mam dziesięć lat, dwadzieścia czy czterdzieści parę z przyjemną nostalgią. To możliwe, oczywiście. W związanym ze wspomnieniami bólu zawsze jest coś radosnego. Gdy skończyłem siedemdziesiąt lat, dużo płakałem, wypłakiwałem łzy, które się zebrały. „Ile czasu mi jeszcze zostało? I czy zachowam przytomność umysłu w tym skrawku życia tuż przed końcem? Będę miał jasny umysł? Wszystkie te zmarszczki na mojej twarzy, na szyi, takie liczne, takie głębokie... Ciotko Palmo, jesteś obok mnie? Naucz mnie czegoś nowego, proszę, naucz mnie”. A łzy płynęły. I płynęły. Niepowstrzymanym strumieniem. Aż zabrzmiał głos – jej, jestem pewien – lecz nie dramatyczny, tylko komediowy. „Zabaw się, nadając nazwę rzeki każdej swojej zmarszczce, Antonio”. Zacząłem się śmiać i płakać jednocześnie. „O czym ty mówisz, ciociu Palmo?”. Zrozumiałem dopiero, gdy niemal natychmiast rozpoznałem Ganges, Nil i Amazonkę pośród bruzd na moim czole. A potem Tygrys i Eufrat – starożytnych braci – wzdłuż prawej i lewej strony nosa, razem z Paraną i São Francisco. Na szyi, jakże wyniosłe, Tag, Tybr, Tamiza, Wołga i Ren. Wokół oczu – Sekwana, Plata i ich dopływy. Geografia dziwna i piękna. Płakałem jak głupi, widząc strumienie wody spływające po mojej twarzy. Słodkiej wody.

Dziś, gdy zbliżam się do dziewięćdziesiątki, gołę się, nie obawiając się ostrza tuż przy skórze. Najlepiej jak potrafię, najlepszy wygląd dla tych, którzy są blisko. Okazyjne zadrażnienie tu czy tam nie ma znaczenia, krótkotrwałe zadrapania, nieoczekiwane podrażnienie skóry. Ufam starej wodzie kolońskiej. A moja twarz nie zmieni się już tak bardzo. Nikt nie zauważy nowych zmarszczek, nowych rzek. Przynajmniej na zewnątrz, dokładnie wiem, jak będę wyglądać jutro w lustrze.

Minęło trochę czasu, odkąd mój widok mnie przerażał. Byłem już tyłoma osobami!

Dwudziestego piątego czerwca 1941 roku, dokładnie rzecz biorąc, byłem tym gwałtownym, byłem nagłym zakrętem życiowym, przerwana rozmowa. Na ganku naszego domu. Ojciec, posiwiały, kłóci się z matką, mówi, że to absolutne kłamstwo, że nie wierzy w ani jedno słowo, nazywa ciotkę Palmę intrygantką. Nikt nie przekona go, że to nie ona zachęca mnie do romantycznych spotkań z Isabel. Szaleństwo, taka jest jego opinia. Senhor Avelino de Alves Machado i jego żona, choćby byli naszymi największymi przyjaciółmi, nigdy nie pozwolą swojej bogatej córeczce na związek z synem zarządcy majątku. Naprawdę kiepska powieść w odcinkach z taniej gazety, bez żadnej przyszłości. Oni żyją w innym świecie...

– Nie martw się, ojcze, wszystko w porządku.

Jestem tym w wełnianej marynarce, z walizką w rękę, gotów do podróży. Tryskam zdrowiem i śmiałością. Matka nie wierzy własnym oczom. Ojciec domaga się wyjaśnień. Zaczyna się jedna z naszych scen.

– A co to ma znaczyć, Antonio? Po co ci ta walizka?

– Spokojnie, nie wybieram się na wojnę!

– Wiem. Wyjeżdżasz przez tę dziewczynę – Isabel. To wszystko wina Palmy.

– Doskonale wiem, co robię.

– Tak nagle, tak po prostu?

– Będę pracować w restauracji, spotkam wpływowych ludzi, rozniesie się o mnie wieść i powiedzie mi się!

– Czym jesteś taki podekscytowany? Zmywaniem naczyń? Obsługiwaniem stolików?

– Tym też. Ale nie tylko. Chcę gotować. Kto wie, może pewnego dnia uda mi się założyć własny biznes.

Ojciec zaczyna się irytować.

– Co to znaczy gotować? Skąd się u ciebie wziął taki szalony pomysł?

– Jaki szalony pomysł, ojcze? To uczciwa praca. Przygotowanie warzyw, mięsa, zagniatanie ciasta. Tworzenie wszelkich smaków!

– Nie masz pojęcia o gotowaniu, ledwo rozpoznajesz piekarnik!

Matka spuszcza wzrok, nic nie mówi. Ojciec nie jest głupi.

– O co chodzi? Och, nie mówcie mi, że...

– Palma nauczyła go paru rzeczy. Jest pewna, że Antonio może odnieść sukces w sztuce kulinarnej.

Staram się mówić lekkim tonem, ale gdy otwieram usta, mój głos brzmi nerwowo, a entuzjazm wydaje się udawany.

– Jedyne rodzaje sztuki, która karmi zarówno duszę, jak i ciało!

– Sztuka kulinarna! Chyba zrobię z niej siekanke! I to zaraz.

– Ciocia Palma chce dla mnie jak najlepiej, tato. Chyba w to nie wątpisz?

Pytanie trafia celu, rozwiązuje problem.

– Oczywiście, że nie, Antonio. Palma kocha was wszystkich, tak samo jak matka i ja. Tylko że...

Cisza. Cisza, ponieważ nie ma już odwrotu od tej decyzji. Cisza, ponieważ gdy nie ma zbyt wiele do powiedzenia, lepiej nie mówić nic. Cisza, ponieważ jestem rychłą nieobecnością w tym pomieszczeniu.

– Błogosławieństwo, ojciec. Błogosławieństwo, matko.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, moje dziecko. I niech Matka Boska będzie z tobą.

Ojcowskie i matczyne błogosławieństwo zawsze dobrze wróżyło, to był znak, że nic złego nie spotka mnie po drodze, było niczym tarcza, ochronna aura. Miałbym odwagę zwalczyć każdą przeciwność, nawet najbardziej przerażającą przeszkodę. Mocno ich przytulam, oboje naraz. Schodzę ze sceny. Ciotka Palma jest na zewnątrz, odprowadza mnie z powagą do bramy. Dalej nie pójdzie. Patrzy mi w oczy, nie żegnając się. Gdy minę pierwszy zakręt drogi, teatralny jak zawsze, od razu zacznę rekonstruować w wyobraźni scenę z domem i ciotką Palmą stojącą przy bramie. Jest sama, tylko ze swoimi wspomnieniami, może już popłakać nad wyjazdem bratanka. Ulubionego? Każdy chce być tym ulubionym. Matka jest silna, ale zupełnie nie ma pomysłu, co zrobić na lunch. Ojciec godzi się ze stratą. Zaczyna się tęsknota.

– On już nie jest nasz.

– Opuściliśmy domy rodziców. Oni opuszczają nasz. To naturalna kolej rzeczy.

– W pewnym sensie to dobrze, że nie powiódł mu się ten romans z córką Avelino. Nasz Antonio jest bystry, mądry. Da sobie radę w wielkim mieście.

– Jeśli Bóg zechce... A ja wiem, że zechce.

– Pozostali są domatorami. Zostaną.

Lecz życie bywa czasem mało kreatywne. Powtarza te same sceny, jakby brakowało mu wyobraźni. Rok 1943, na ganku naszego domu. Zarówno ojciec, jak i matka posiwiali. Wchodzi Nicolau. Beret, koszula w prążki z długim rękawem, luźne spodnie na szelkach. W ręku walizka.

– Co to ma znaczyć, Nicolau? Po co ci ta walizka?

– Spokojnie, spokojnie, nie wybieram się na wojnę!

– Wiem. To przez te listy od Antonia przychodzą ci do głowy różne pomysły.

– Mam dwadzieścia lat, ojczy. Doskonale wiem, co robię. Życie na wsi nie jest dla mnie. Jadę do stolicy.

– Tak nagle, tak po prostu?

– Jakiś czas temu napisałem do Antonia. Poprosiłem, żeby mnie powiadomił, jeśli pojawi się jakaś dobra praca.

– Dobra praca...

– Nie mogę odrzucić oferty, którą otrzymałem. Będziemy pracować razem.

– Cóż, skoro tak, skoro zamierzacie pracować razem...

– Błogosławieństwo, ojczy. Błogosławieństwo, matko.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, moje dziecko. I niech Matka Boska będzie z tobą.

Nicolau mocno ich przytula, oboje naraz, a potem schodzi ze sceny. Widzę, jak ciotka Palma odprowadza go z powagą do bramy, patrzy mu w oczy, nie żegnając się. Nicolau znika za pierwszym zakrętem drogi. Matka i ojciec godzą się ze stratą, rozpoczyna się kolejna tęsknota.

– On już nie jest nasz.

– Opuściliśmy domy rodziców. Oni opuszczają nasz. To naturalna kolej rzeczy.

– Leonor i Joaquim są domatorami. Zostaną.

Lecz życie czasem bywa mniej kreatywne, niż można się spodziewać. Rok 1944,

na ganku naszego domu, ojciec i matka posiwiali jeszcze bardziej. Pojawia się Joaquim, z walizką w rękę, i scena się powtarza.

– Co to ma znaczyć, Joaquimie?

– Wiem. Bracia cię do tego namówili!

– Mam dwadzieścia jeden lat, ojcze. Doskonale wiem, co robię. Życie na wsi nie jest dla mnie. Jadę do stolicy. Antonio i Nicolau czekają na mnie. Mają już dla mnie pracę.

– Nie mogę narzekać. Daleko czy blisko, ważne, że dzieci razem ciężko pracują...

– Ale to tylko na razie, ojcze. Potem pójdę swoją drogą. Będę bogaty, mam smykałkę do interesów!

– Smykałkę do interesów... Cóż, skoro tak mówisz...

– Błogosławieństwo, ojcze. Błogosławieństwo, matko.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, moje dziecko. I niech Matka Boska będzie z tobą.

Joaquim przytula ich mocno, oboje naraz. Wychodzi, a ciotka Palma odprowadza go z powagą do bramy. Ojciec godzi się ze stratą, zaczyna się kolejna tęsknota.

– Synowie już tacy są. Żądni przygód. Za to córki są bliżej z rodzicami. Leonor...

Wchodzi Leonor. Na ganek naszego domu. Ładnie ubrana. Nie ma nawet szansy otworzyć ust. Ojciec i matka mówią jednym głosem.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, moje dziecko. I niech Matka Boska będzie z tobą.

Nie, wcale nie tak. Bywa, że życie nie jest zbyt kreatywne, ale ta scena różni się od poprzednich. Wyobraźcie sobie córkę – niezamężną córkę – która tak po prostu opuszcza rodzinny dom, jak ja i nasi bracia, z błogosławieństwem ojca i matki. Bez szans. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności idea przeniesienia się do dużego miasta wcale nie kusiła Leonor. Żadnych krów, żadnych kaczek, żadnych kur... Co za nuda: tylko ludzie, ludzie i ludzie, chodzący w tę i z powrotem. Leonor nigdy nie była w mieście, ale wiedziała, że jest, jakie jest. Co takiego, ona? Nigdy w życiu!

Błogosławieństwo, które otrzymała, rutynowe „Niech Matka Boska będzie z tobą” padło, bo ojciec i matka wiedzieli, że Leonor nie odejdzie daleko, najwyżej zajrzeć do krów w oborze. Ale ona wcale się tam nie wybierała. Szła zobaczyć stopy Sebastião. Ach, stopy Sebastião! Leonor była pewna, że w mieście nie ma niczego równie spektakularnego. Naprawdę, była gotowa się o to założyć.

Sebastião od niedawna pracował w majątku. W bardzo dziwny, śmieszny sposób, który łączył w sobie naiwność i przebiegłość, Leonor zwierzyła mi się, że gdy pierwszy raz zobaczyła Sebastião, wcale nie zobaczyła Sebastião, tylko jego stopy. Podwinięte spodnie i te gołe stopy – olbrzymie, nieskończone. To była miłość od pierwszego wejrzenia, Leonor była pewna. Nie chodziło o jego twarz, jego śmiech, o niego całego. Naprawdę chodziło o jego stopy. Bo gdy wróciła do domu, próbowała przypomnieć sobie twarz Sebastião i za nic nie mogła. Próbowała z całej siły, ale nic z tego. Widziała tylko te niezwykle stopy. Leonor miała oczywiście kłopot. Serce szybko jej biło, ale nie wiedziała nawet, czyje to stopy. Nie mogła chodzić po majątku i przyglądać się stopom każdego mężczyzny, którego napotka. Co by sobie o niej pomyśleli? Lecz Bóg przyszedł jej z pomocą. Bóg jest wielki – zupełnie jak stopy Sebastião. I pewnego dnia, z daleka, z niewiarygodnej odległości, ona, Leonor, Kopciuszek *au rebours*, zdołała rozpoznać stopy, których szukała. Od tamtej pory zaczęli ze sobą chodzić. Był jej nowym „gniotkiem”, jak to określiła. „W takim sensie, w jakim ludzie ugniatają owoc, żeby sprawdzić, czy jest dojrzały” – dodała znacząco. I tak właśnie było. Mały gniotek tu, mały gniotek tam i Leonor nigdy już nie wypuściła stopy Sebastião. Przykład udanego wioskowego romansu.

PORTUGALSKIE KAMIENIE

Ja, spacerujący po ulicach stolicy kraju! Ja, który nigdy nie wyjeżdżałem dalej niż na przedmieścia Santo Antonio da União, teraz w wielkim świecie! Tak, Rio de Janeiro to wielki świat! Świat, o którym tylko słyszałem. Świat zawarty na trzech mapach, które mieliśmy w szkole: „Mapa świata”, „Mapa stanów Brazylii” i „Mapa stanu Rio de Janeiro i Dystryktu Federalnego”. Świat papieru – liter, rysunków i grafik. Świat, który ja – niczym poszukiwacz szmaragdów Ferñao Dias Paes Leme we własnej osobie! – odkrywałem, odkąd byłem małym chłopcem, przy pomocy opowieści ciotki Palmy, lekcji mojej nauczycielki, doni Emílii Alvarengi oraz książek z biblioteki senhora Avelino. Kto by pomyślał? Ja, tutaj, na swobodzie, w samej stolicy.

Pokój na stacji. Wynajem tylko dla mężczyzn. Recepcja nie wygląda najlepiej, za to powitanie wypada doskonale. Nie ma w tym sprzeczności. Recepcjonista i ja byliśmy szczęśliwi, może to był przypadek, że obaj byliśmy w świetnych humorach. A może to był taki dzień?

– Tutaj mam podpisać?

– Tak, dokładnie tutaj.

Podpis uprawnia mnie do klucza oraz powitania. Walizki niosę sobie sam. Na kółku od klucza plakietka z numerem 11. Wysokie sufity, klatka schodowa niczym drabina Jakubowa, drugie piętro, trzecie drzwi po lewej. Nic mnie nie martwi. Ani łóżko, ani materac, ani pościel. Dostrzegam w tym szczególnym ubóstwie poezję, urządzę się jakoś pośród franciszkańskich niewygód, potrafię. Jedyna łazienka znajduje się na korytarzu, będę ją musiał dzielić z innymi gośćmi. Co w tym złego,

skoro mam pokój z widokiem na akwedukt Carioca?

Zostaw tu swoje bagaże, Antonio. Zmęczenie po podróży też zostaw na później! Obmyj twarz odrobiną wody, to wszystko, czego ci trzeba! Wychodź, człowieku. Dalej! Oglądaj! Tam, na zewnątrz!

Nie trzeba mi dwa razy powtarzać, słucham. Zdecydowanym gestem otwieram drzwi i wyrzucam samego siebie. Mam dwadzieścia jeden lat. Pora sprawdzić, czy te wszystkie lektury na coś się zdały. Co za wstrząs! Czy to naprawdę rok 1941?! Czy ja się nareszcie znalazłem w dwudziestym wieku? Gazety i czasopisma! Ile ich jest! Obwieszane ludźmi tramwaje elektryczne, iskry, szyny! Lśniące czarne auta, nosowy dźwięk klaksonów, gwar ulic i kawiarni – jak to możliwe, że nie znam tu nawet jednej duszy? Dwudziesty wiek, bez wątpienia! Olbrzymie place, aleje, które ciągną się aż po horyzont, pomniki! Rozpoznaję je wszystkie i triumfuję! Pałacio Monroe, Biblioteka Narodowa, Muzeum Sztuk Pięknych, Teatr Miejski! Czy ja oszalałem czy też Encyklopedia dla Młodzieży właśnie stała się ciałem?! Dlaczego ilustracje z Uniwersalnego Słownika Encyklopedycznego Lello nagle wydają mi się pełne życia i nie mają malutkich napisów?! Dlaczego z trudem mi się oddycha?! Skąd ten radosny, kolorowy zawrót głowy?! Dlaczego ci wszyscy ludzie są na ulicy o tej samej porze?! Czy wszyscy szukają szmaragdów?! Przez nieuwagę potrącam ramię człowieka zmierzającego w przeciwną stronę.

– Przepraszam!

Biały garnitur i panama ledwo się ku mnie obracają, błyskawicznie przyjmują przeprosiny i już ich nie ma – kolejny odkrywca gorączkowo poszukujący bogactw.

Kto to powiedział, że młody człowiek, by urządzić się jakoś w życiu, musi tylko patrzeć w górę? Zupełnie się nie zgadzam. Nie zgadzam się i koniec. Lubię to, co pod nogami – jezdnia i chodnik. Szary asfalt i mozaika z drobnego białego i czarnego bruku. Portugalskie kamienie, tutaj! Widziałem już takie wzory! Przykucam, zdumiewając mijających mnie przechodniów. Głaszczę kostkę mozaiki, czarne i białe, fasola i ryż, światło i ciemność, pozytyw i negatyw. To Portugalia, to Brazylia, to ja. Przycupnąwszy wygodnie, pozostaję tak przez chwilę, podziwiając piękno z bliska. Aż za dobrze znam historię tych kamieni.

– Antonio, nie masz pojęcia, jacy wzruszeni byliśmy, twoja matka, twój ojciec

i ja, gdy przybyliśmy tutaj w 1909 roku, gdy opuściliśmy dzielnicę portową Rio i przeszliśmy po drobnym bruku chodników Avenida Central. Byliśmy nim zafascynowani, tym biało-czarnym deseniem. Co za piękno! Pewnego dnia, kiedy ty pojedziesz do stolicy, musisz go zobaczyć. Byliśmy więc tam, cała trójka, podziwiając to piękno, gdy ktoś powiedział nam, że te kamienie sprowadzono z Portugalii. Nie mogliśmy uwierzyć. Portugalskie kamienie! Ułożyli je brukarze, którzy pochodzili z naszego kraju, na polecenie Pereiry Passosa, burmistrza miasta. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Twój ojciec przykucnął, pogładził bruk i potem szybciotko pocałował, jakby całował twarz Portugalii. Twoja matka i ja podniosłyśmy go z tej tęsknoty. Przytuliliśmy się we trójkę, pewni jednego: że ta ziemia to przedłużenie naszego kraju. Jesteśmy w domu. W rodzinie.

Nagle do moich uszu dociera głośnie wołanie. Nie pytając o pozwolenie, ucisza głos ciotki Palmy w mojej głowie. Sprzedaje bilety na loterię.

– Spróbujcie, to będzie pies! Wygra los z psem! Na czerwcowym festiwalu wielka nagroda! Losowanie dwudziestego dziewiątego, wtedy wygra pies!

To chłopak niewiele młodszy ode mnie. Uśmiecha się zmyślnie. Wie, że jestem ze wsi. Sądząc po jego wyglądzie i pewności siebie, rozpoznaje wszystko i wszystkich po samym zapachu.

– Skąd jesteś, przyjacielu?

Wstaję.

– Z pensjonatu niedaleko stąd.

Moja odpowiedź go zaskakuje. Uważa, że jest zabawna, więc, dostrzegając we mnie jakiś talent, podejmuje grę.

– Nie wyglądasz na panicza. Naprawdę wyglądasz na kumpla. Nie mówię tego jako człowiek, tylko jako pies.

– Co?!

– Co cię tak oburza? Przy biletach zawsze staję się zwierzęciem: lwem, małpą, tygrysem, krokodylem... Dzisiaj jestem psem. Czemu mi nie wierzysz?

– Skoro tak twierdzisz...

– Miałeś kiedyś psa?

– Tak. Rasowego kundla.

– Jak ma na imię?

– Poeta. I umarł jakiś czas temu.

– Wspomożesz mnie, kupując los?

– Przepraszam, dopiero co przyjechałem i mam niewiele pieniędzy. Dopiero tu przybyłem, nawet nie mam pracy.

– Dwadzieścia, numer dla Poety. Wygrasz. Z całą pewnością.

– Skoro jesteś taki pewien, to czemu nie zatrzymasz losu dla siebie?

– Teraz to mnie obraziłeś. Moje szczęście nie pochodzi z losów, które sprzedają.

– Nie o to mi chodziło.

– Kup los.

– Nie mogę, mówiłem ci.

– Gdybyś mógł spojrzeć na mnie innymi oczami, wiedziałbyś, że nie mam gładkiej skóry tylko sierść. Mam wielbłądzi kolor, z białymi łatami na klatce i łapach. Wiem, że mój ojciec był rasowym labradorem, a matka mieszańcem, jak ja.

– Poeta?!

Przechyliła głowę na bok i patrzy na mnie tym inteligentnym spojrzeniem, które znam z dzieciństwa.

– Nie wygrasz na loterii. Ale znajdziesz pracę. Bo nie jesteś paniczem. Tylko kumplem.

– Poczekaj! Nigdy nie wiadomo, może ja jednak...

Młodzieniec patrzy w dół, nie jest już zainteresowany sprzedażem mi losu, zmienia temat. Mówi, że on też lubi wzór z portugalskich kamieni. Zapewnia mnie, że desenie bliżej Placu Mauá są bardziej urozmaicone. Uśmiecha się szelmowsko i odchodzi. Rozpoznaje wszystko i wszystkich po samym zapachu. Gdy już go nie ma, zaczynam się zastanawiać.

– Czy to byłeś ty, Poeto? To ty?

Pomiędzy niebem a ziemią może się wydarzyć mnóstwo rzeczy. Chcecie zaprzeczyć? Cztery dni później, bez żadnych trudności, znalazłem zatrudnienie jako pomocnik kucharza. Akurat przy ulicy Gonçalves Dias. Ja, na alei Sete de Setembro.

Skręciłem za róg, tylko po to, żeby skręcić za róg. Z ciekawości, sam nie wiem. Statek bez steru, z wyboru. Pchały mnie dobre wiatry. Kilka błędnych podmuchów i nagle – świat w świetle – patiseria Colombo! Największy ze wstrząsów! Większy niż Teatr Miejski, Muzeum Sztuk Pięknych, kościół Candelária, Pałac Królewski. Większy, o wiele większy, bez porównania! Ale to wstrząs innego rodzaju. Ja – sam Kolumb odkrywca! Ja, zdobywca! Docieram do portu. Mam we krwi prostotę żeglarza. I odwagę. Samo moje przybycie daje mi pewność i prawo własności. Jestem panem swojego losu, ale ostrożnie wkraczam na nieznaną teren. Wkraczam, odkrywam. Czy to wielkie lustro sprawiają, że patrzę w górę? Robię to. Czy wyżej jest następne piętro? Nie boję się kolejnych wyzwań. Morze stolików to zaproszenie do przygody. Ruszam. W spiżarni i w kuchni nawałnica sztuców i naczyń. Te okrzyki to głos wszystkich gotowych mnie przyjąć żeglarzy. To są moi ludzie, nie mam co do tego wątpliwości. To jest mój statek i...

Ktoś stuka mnie dwa razy w ramię, przerywając moją podróż. Łysy Portugalczyk z dużym wąsem chce wiedzieć, co robię w kuchni, do której wstęp jest zabroniony. Przepraszam, przedstawiam się, wymieniam swoje umiejętności, oferuję usługi, mówię, nie przerywając nawet na moment. Zalany potokiem informacji biedak prosi mnie, żebym się uspokoił, mówi, że nie od razu Rzym zbudowano. Mówi, że musi porozmawiać z kimś tam, gdzieś tam. Odbywa się rozmowa. Ja czekam. Każda minuta to wieczność. Kolejna rozmowa, spojrzenia, podobieństwa. Nie ma już czasu na pytania. Przypominam sobie fartuch, który mi wręczają, na próbę, bez żadnych zobowiązań. Wiążę go sobie z łatwością na plecach. Robię dobre wrażenie tą szybkością i ścisłą kokardą. Chciałbym się zobaczyć w jednym z lusterek na sali – chwila zadumy. Zajmuję stanowisko i poddaję się testowi, który na mnie przeprowadzają. Staram się, najlepiej jak mogę. Wypacam zdenerwowanie, które we mnie tkwi. Ciotko Palmo, pomóż mi, proszę. „Wszystko, co nasze ciało wydziela, oczyszcza je”. Mądre słowa. Ciotka Palma nigdy mnie nie zawodzi. Zaraz marchewki i ziemniaki są pokrojone, pomidory w plasterkach i pozbawione nasion, cebula pięknie poszatkowana, wszystko tak, jak trzeba i tam, gdzie trzeba. Coś jeszcze? To i to. Okej, zrobione. Nawet się nie zmęczyłem. Na koniec próby wciąż tryskam energią i entuzjazmem. Niechętnie rozwiązuję fartuch. Co, już?! To moi ludzie, nie mam co

do tego wątpliwości. To mój statek i...

– Masz tę robotę, chłopie. Zaczynasz jutro, o szóstej.

Idę wzdłuż Largo do Carioca z dłonią w kieszeni i pogwizduję. Nigdy nie zapomnę owego dwudziestego dziewiątego czerwca. Zatrzymuję się przed klasztorem Santo Antonio. Nie jestem pewien, czy to jemu powinienem podziękować za łaskę, którą mnie obdarzono, ale na wszelki wypadek się zatrzymuję. Bez cienia skruchy wypowiadam słowa podziękowania tu, na zewnątrz, z ulicy. Więcej uwagi poświęcam urodzie klasztoru niż swojej modlitwie do świętego. Wdzięczny za dar, który otrzymałem, mamroczę zdrowaśki. Wystarczy. A potem, w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, amen. Idę dalej w kierunku przystanku Tabuleiro da Baiana. Widok ulicznego fotografa pobudza moją próżność. Czarna zasłona zniechęca, jednak zbieram się na odwagę i przybieram pozę. Czuję się trochę śmiesznie, ale tak, chcę mieć pamiątkę. Zasłużyłem na fotografię. Pozwalam sobie na luksus. Zdobyłem pracę, tak? Wywalczyłem ją sobie, przelewając pot. Klasztor w tle, to najlepszy widok, każdy tak chce. Lecz nie ja. Proszę odwrócić aparat w tę stronę. Chcę mieć na pamiątkę zielone tramwaje. Proszę unieść głowę. Trochę na bok. Tak? Doskonale! Gotowe? Już! Proszę zatrzymać kwit i przyjść odebrać tego i tego dnia. Skręcam w ulicę Senador Dantas. Mijam Portugalskie Kolegium Literatury. Kilka drzwi dalej stoisko z losami. Wciąż otwarte, prezentujące rozmaite kombinacje. Nagle sobie uświadamiam. Dwudziesty dziewiąty czerwca. To ten dzień. Czy tamten los zwyciężył? Tak. Wylosowany został numer dwadzieścia, pies! Między niebem a ziemią może się wydarzyć mnóstwo rzeczy. Nie zgadzacie się? Myślę o Poecie na ulicy, który chciał zapewnić mi szczęście. Ale on już wiedział, że nie jestem paniczem, tylko kumplem. Tak lepiej. Ruszam w drogę. Chcę dotrzeć do Passeio Público. Potrzebuję zieleni. Dom towarowy Mesbla, do którego wszedłem pewnego dnia, jest jak sen. Teraz zadowolam się patrzeniem na wystawy z daleka – moje ciało potrzebuje parku. Wyobrażam sobie, że Plac Paryski jest w Paryżu. Jestem w Europie, fantastyka naukowa, Juliusz Verne mieszka tuż obok. Siadam na najbardziej odosobnionej ławce, nikogo nie ma w pobliżu, wyciągam nogi. Krzewy w kształcie zwierząt są zabawne. Co za szalony pomysł! A czy wydają odgłosy? Liść migdałowca opada

bardzo blisko mnie. I kolejne. Przeskakują tu i tam na lekkim wiatyku, niczym ptaszki czekające na jedzenie. Nieco dalej, z przodu wiatr unosi ziemię, zabiera mnie z powrotem do korzeni. Zastanawiam się, co oni tam wszyscy robią w Santo Antonio da União?

RYŻ Z SOLONYM DORSZEM

Ogrodnik pielęgnuje ogród. Chwasty zarastają ogród. Co woli ogród? Pamięć o ogrodniku, który go pielęgnował czy wolność porastających go chwastów? Pielęgnuję swój umysł. Zarasta go zapomnienie. Co woli umysł? Pamięć starego człowieka, który go pielęgnuje czy wolność zapominania, która go zarasta? Pamięć może być piękna, ale potrafi być ciężarem, wiem to. Zapominanie jest lekkie. Może nieść ulgę. Tyle zagubionych rodzinnych historii, historii przyjaciół. Na zawsze? Tak, na zawsze. Już nigdy. Przeraza mnie to i czasem smuci. Emocjonalna pamięć świata stopniowo zanika, podczas gdy wszelkie dane na planecie można umieścić w komputerze. Nic nie możesz na to poradzić, Antonio. Tak już jest. Z każdą śmiercią, czyjąkolwiek śmiercią, płonie niesamowicie bogata kolekcja doświadczeń i wrażeń. A ten ogień – jest dobry, pożyteczny, potrzebny? Mówię o tych wspomnieniach, które nas poruszają, nie tych, które nam tylko schlebiają. Martwimy się mocno, że stracimy te drugie, czujemy się poniżeni, gdy zapominamy nazwisko znanego autora, tytuł jakiejś powieści albo bardzo słynnej sztuki. Taka utrata pamięci jest dla mnie lekcją pokory, która pokazuje, że maszyna nie działa, że jest zepsuta. To dobrze mi robi, uspokaja moje ego. Chcę wierzyć, że z czasem stajemy się bardziej wybiórczy, zachowując tylko te informacje, które są dla nas ważne. Mózg w naturalny sposób pozbywa się nadmiaru, kasuje go, jakby to określił Bernardo. Lecz pamięć emocjonalna jest inna. Gdy opowiadam wnukowi o swoich doświadczeniach albo o doświadczeniach bliskich mi ludzi, albo tych przekazanych mi przez rodziców lub ciotkę Palmę, nie staram się dotrzeć do potomności. Bez względu na to, czy ludzie będą kojarzyć je dobrze czy źle, moje nazwisko nie przetrwa dłużej niż kilka pokoleń. Ja pragnę tylko pielęgnować swój ogródek.

A potem będą go mogły zarosnąć chwasty. Wszystko w swoim czasie.

Wciąż zachowałem kilka cennych wspomnień, które, gdy umrę znikną, bo mają znaczenie tylko dla mnie. Materialna pamięć o nich zaczyna się i kończy wraz ze mną. One poruszają tylko mnie, tylko ja doceniam ich wartość. Lecz coś mówi mi, że w każdej chacie, w każdym mieszkaniu i w każdej rezydencji jest pudełko, teczka czy szuflada, gdzie ktoś schował papierek po cukierku – rozwiniętym w kinie, gdy siedzieliśmy obok osoby budzącej w nas namiętność. Albo pośpiesznie pokolorowany obrazek rodziny, każdy jej członek niczym lalka z wielkim oczami i sterczącymi włosami, jak po elektrowstrząsach oraz bazgroły: „Ja, tata, mama”. Albo korek od szampana z wyjątkowego sylwestra, zaproszenie na uroczystość wręczenia dyplomów wnuczki, bilet na musical z numerem 03. Albo malutki obrazek Matki Boskiej Fatimskiej, nikt nie rozumie, skąd się tam wziął, skoro zmarły był ateistą.

Wciąż się nad tym głowię: co stałoby się, gdyby można było zebrać całą tę miłość, która tkwi w tych wszystkich maleńkich wspomnieniach trzymany w ciszy na dnie szuflad na całym świecie?

Gdy umarł ojciec, matka dała mi list, który stał się częścią mojej kolekcji skarbów z szuflady. Opowiedzenie mi historii tej pożółkłej kartki papieru wzięła na siebie ciotka Palma. Widzę ją wyraźnie, jak siedzi na swoim słynnym czwartym krześle, podczas gdy ja opieram się o okno, popijając gorącą kawę. Teraz wszystko nagle powraca.

Rio de Janeiro, 27 maja 1945

Mój drogi ojcze,

przez te cztery lata, odkąd tu jestem, pisałem listy niemal zawsze do matki albo do ciotki Palmy. Wiesz, jak to jest: kobiety są bardziej ciekawskie. Uwielbiają nowiny! Ale wierz mi, nigdy nie chciałem okazać Ci lekceważenia.

– Lekceważenia?

Ojciec godzi się z niewiedzą. Czyta dalej.

Zawsze byłeś wzorem do naśladowania, ojcze: twoja uczciwa praca, twoja miłość do rodziny. Mogę Ci teraz powiedzieć, że pieniądze, które dałeś mi, gdy przyjechałeś do Rio de Janeiro przyniosły wspaniałe zyski. Dały dobre owoce. To były błogosławione pieniądze!

Mam dobre wieści i chciałbym, żebyś Ty poznał je pierwszy. Przyjadę w odwiedziny. Będę przed jedenastym lipca – żeby zdążyć na Waszą rocznicę ślubu.

Ojciec przerywa lekturę i natychmiast idzie podzielić się nowiną. W takiej prostej rodzinie jak nasza zwykle nie ma o czym opowiadać. Same banalne zdarzenia, które stają się wyjątkowe jedynie wtedy, gdy dotyczą nas samych. Więc tego rodzaju nowina, niespodziewana, o synu powracającym do domu jest ważniejsza od najważniejszych wydarzeń w historii ludzkości! I aż ściska nas w oczekiwaniu na uścisk. Głos, zapach, uchwycenie twarzy, by obsypać ją pocałunkami, bo synowie są po to, żeby ich całować. I w takich momentach ponownego zjednoczenia korzystamy z tego w pełni, przyduszając ich nadmiarem uczuć, na co zwykle pozwalają. A potem cofamy się, by lepiej im się przyjrzeć, by zacząć obserwować ich ruchy, które przypominają ich matkę, sposób, w jaki mówią, podobny do ojca, blask oczu i włosów, które odziedziczyli po ciotecznej babce! Nasi synowie, których sadzaliśmy sobie na kolanach, ciągle rosną. Stają się przystojniejsi od nas, mają lepsze maniery i są o wiele lepiej wykształceni. Mają bardziej wyrafinowane uczucia. Nasi synowie są nami, ale tymi lepszymi. Dobrze, żeby tak było, dobrze, gdy tak jest.

Matka i ciotka Palma są w warzywniku. Ojciec przekazuje im wieści już z daleka. Stoją tam, we trójkę i czytają list od początku, z głowami niemal do siebie przyklejonymi. Ciotka Palma oczywiście pośrodku. To ona go teraz czyta, na głos. Dochodzi do końca, z wdzięcznością przyciska kartkę mocno do piersi.

... z wyrazami miłości od syna, który jest zawsze obok Was, Antonio.

Z miną złośliwej małej dziewczynki, ciotka Palma patrzy na ojca i matkę, budując napięcie, a potem dodaje:

PS Przywiozę dobrego solonego dorsza, oliwę, sery, butelki vinho verde i inne pyszności, które przybyły z Portugalii.

Uściski zadowolenia. Życie jest dobre – mają na to prawdziwy i konkretny dowód. Wracają do domu w iście latynoskiej euforii, od razu czyniąc plany na przyjęcie powitalne, zapominając o warzywach pozostawionych w ogródku.

– José, warzywa! Wracaj po nie! Bo nie będzie zupy na obiad!

Późna noc. Przejąwszy we władanie grubą kopertę, ciotka Palma i matka muszą porozmawiać. Wyrzucają ojca z sypialni. List jest teraz ich. On już zna wszystkie linijki i nie musi się zagłębiać. To, co między wierszami, wnioski, sugestie, to wszystko leży w gestii kobiecej intuicji, to sprawa dla tych dwóch kobiet i nikogo innego. Niech idzie na swój hamak, na papierosa albo gdziekolwiek. Matka zakłada okulary.

– Podoba mi się ten fragment, gdy pisze, że pieniądze, które dał mu ojciec, są błogosławione.

– Czy to znaczy, że ten mały diabeł zamierza otworzyć swoją restaurację?!

– Ciężko pracuje, więc to chyba dopiero początek.

– Szkoda, że nie znalazł sobie jeszcze miłej dziewczyny, która by na niego zasługiwała.

– Jest tutaj, Palmo! Nie doczytałaś?! On wciąż myśli o Isabel.

Ciotka Palma wyjmuje list z rąk matki i wkłada okulary do czytania.

– Gdzie, co przegapiłam?

– Umysł ci szwankuje, Palmo. Tu na dole, pod koniec. Pyta o nią.

– Och, nie przeczytałam tego!

– Owszem. Przeczytaj porządnie, to ważne.

I proszę, ojcze, byś wspomniał o mnie Isabel. Jeśli to stosowne, to bardzo chciałbym, żeby wiedziała o moim przyjeździe.

– Widzisz? Jeśli to stosowne...

– To znaczy, że jeśli nie jest po słowie...

Ciotka Palma zdejmuje okulary.

– Musimy coś zrobić.

– Pójdę do senhora Avelino, żeby im powiedzieć. Osobiście porozmawiam z Isabel.

– To niewiele, nie wystarczy.

– Co jeszcze możemy zrobić?

– Czy nie obchodzicie rocznicy ślubu w dniu przyjazdu Antonia? Tak? Więc przygotujemy poczęstunek i zaprosimy senhora Avelino, donę Marię Celeste i oczywiście Isabel.

– Palmo, rodzina Alves Machado nigdy nie usiadła z nami do stołu. Nie wiem. Czuję się niezręcznie. A poza tym nasz dom jest bardzo skromny. Oni są bardzo mili i hojni, ale to są nasi pracodawcy. Ich świat jest tam, w wielkiej rezydencji.

– A czy José Custódio i senhor Avelino nie są dobrymi przyjaciółmi? Więc? W czym problem? Myślę nawet, że powinniśmy byli ich zaprosić już jakiś czas temu. Często słyszałam, jak dona Maria Celeste mówi swojemu mężowi, że lubi naszego Joségo jak brata.

– Cóż, słyszałam coś takiego z ust samego senhora Avelino.

– Najgorsze, co może się stać, to że nie przyjdą.

Cisza. Cisza, bo to naprawdę nabożny strach zaprosić Alves Machadów. Cisza, bo te dwie kobiety knują intrygę i muszą się skoncentrować, bowiem natchnienie zawsze przemawia cicho. Nagle w oczach mojej matki pojawia się szczególny błysk.

– Palmo, nie masz pojęcia, co przyszło mi właśnie do głowy...

– Oczywiście, że mam!

Obie ruszają prosto do komody z ołtarzykiem. Żegnają się przed obrazem Serca Jezusowego. Otwierają najniższą szufladę z nabożeństwem i ciekawością. A potem rozwiązują konopny worek. Matka wyjmuje pełną garść ryżu i przesypuje go z powrotem do worka.

– Idealny! Palmo, zobacz! Weź trochę!

– Na Boga! Niemal czterdzieści lat, a on wciąż jest dobry!

Matka całuje ciotkę Palmę po rękach.

– Prawdziwa miłość się nie psuje. Jest na zawsze.

– Trzy kilo to wszystko, czego nam trzeba. Zrobimy pyszny ryż z solonym dorszem.

– Nie ma sposobu, żeby z Antoniem i Isabel nie wyszło.

Przyjęcie się udaje. Alves Machadowie wydają się na początku nieco sztywni, ale wkrótce, gdy już pojedli i popili, jesteśmy jedną rodziną. Jakie znaczenie mają nazwiska? Zawsze o tym marzyłem: żeby być w rodzinie złożonej z różnych klas, ras, kultur, religii, kuchni. Kraje i ludzie uczą się od siebie nawzajem. W każdym z nas jest ludzkość. Wierzę w to. Wszyscy z nas we wszystkich z nas. Stary czarnoskóry mężczyzna umiera w głębi Angoli. Nie wiem o tym, nie widzę tego, nie cierpię. Ale wraz z nim umiera ktoś we mnie i jestem uboższy. W centrum Nowego Jorku rodzi się dziecko. Nie wiem o tym, nie widzę tego, nie cieszę się. Ale wraz z nim rodzi się ktoś we mnie, kogo nazywają nadzieją, a my *esperança* – różne dźwięki, które oznaczają dokładnie to samo.

Nie wierzę własnym oczom. Dona Maria Celeste nie przestaje chwalić solonego dorsza. Senhora Avelino bawią opowiadki mojego ojca i przemowy ciotki Palmy na rzecz likwidacji państwa i wszystkich klas społecznych. Właśnie skończyła i podjęła decyzję:

– Klasa to styl. Wszystko inne to polityczne wymysły ludzi, którzy nie wiedzą, jak cieszyć się życiem! – I powtarza: – Klasa to styl!

Dona Maria Celeste podniosłym gestem dolewa sobie wina i kiwa głową na zgodę. Ryż, to prawda, ma w sobie nasze serca i budzi w obecnych najlepsze uczucia. Gdy przychodzi pora się pożegnać, całujemy się z uczuciem, jak w Portugalii i wylewnie ściskamy, jak w Brazylii. Dzięki szczypcie brazylijskości różnice nie mają już znaczenia. Przyjęcie, poza uczczeniem przybycia syna i rocznicy ślubu, przynosi pożądaną efekt: w następnym roku Isabel i ja weźmiemy ślub za zgodą i z błogosławieństwem naszych rodzin.

GDZIE JESTEŚ?

Po co ta historia z ryżem? Po co kopać tak głęboko w przeszłości? Akurat teraz, gdy zostało mi tak niewiele życia? Umysł często płata mi figle. Jakiś ciekawy fakt znika, nagle, tak po prostu. A inny, choć bardzo bym tego pragnął, za nic nie chce mnie opuścić. Stara rozmowa z przyjacielem, który już nie żyje, wraca do mnie, gdy się tego najmniej spodziewam i zupełnie mnie zaskakuje. Dawna uraza pojawia się znikąd i mnie dręczy. Dyskretnie czy ostentacyjnie – kto, choćby nie wiem jak mądry i uczony, ośmieliłby się zorganizować takie osobiste archiwum? Ustawić smutek w porządku alfabetycznym? I szczęście też? Przyjaźnie w kolejności, w jakiej się rodziły? Albo według kryterium ważności? Daremny wysiłek. W której teczce mielibyśmy trzymać nasze sny, uczynki, frustracje?

Próbuję zrozumieć swój niepokój, bo w naturalny sposób staramy się zrozumieć to, co złe. Tego, co dobre, po prostu doświadczamy, bez żadnego poczucia tajemnicy. Gdy jesteśmy zdrowi, gdy układa nam się w interesach, gdy nasz syn to dobry chłopak, myślimy, że tak właśnie powinno być i już. Wątpliwości dotyczą tylko tego, co czyni nas nieszczęśliwymi, co nas martwi – niekończące się wątpliwości. W szczęściu wszystko ma sens. Wszechświat staje się prosty i łatwy, niczym urzekająca magiczna sztuczka. Ale dokładnie w tym momencie, choć zawsze byłem ciekawski, proszę Boga, żeby nie wyciągał już nic więcej z mojego kapelusza. Chcę zanurzyć głowę w tej obramowanej na czarno wazie, która się nie tłucze, by zrozumieć przyczynę chaosu i porządku, by nauczyć się wszystkich sztuczek... Bóg kolekcjonuje wszechświaty, ja kolekcjonuję wspomnienia i sny, Bernardo kolekcjonuje przyjaciół w swojej internetowej „sieci społecznościowej”. Nawet jeśli nie jest najmądrzejszy, to z pewnością jest najbardziej komunikatywny z nas trzech.

Wspominam Bernardo i natychmiast czuję, że za nim tęsknię. Tęsknię za jego szelmowskim uśmiechem i mocnym, długim uściskiem. Gdzież on może być, ten wędrowny anioł? Tak bardzo się martwię. Dlaczego? Bernardo jest niepokonany. Zupełnie zniecka przyjeżdża tu do majątku i instaluje Skype'a z kamerą na moim komputerze, zabawki, które dają więcej radości niż telefon. Później, już w domu rodziców, włącza nowy kanał komunikacji i z prędkością błyskawicy pisze:

dziadek, jesteś tam?

Odpowiadam uśmiechniętą buźką.

Cześć, Bê! Jak się masz?

Wstawia buźkę w okularach przeciwsłonecznych.

dobrze. wolne mam.

a ty to chyba zawsze masz wolne?

o co ci chodzi, dziadek, w batl 2 gram, ekstra jest.

Widzę jak Bernardo walczy na wojnie. Wszyscy wokół uzbrojeni po zęby. Hełmy ciężkie jak ołów. Maczugi. Ostre włócznie i miecze. Wymierzone bez litości ciosy. I Bernardo, w samym środku bitewnego szału, w kolorowych szortach, popijający sok z kokosa. Niezdyscyplinowany krzyżowiec, bez krzyża, bardzo kolorowy. Zamiast rumaka deska surfingowa. Fale – dzikie konie, które układają się grzecznie pod jego stopami – ani się nie wyłamują, ani nie ranią...

dziadku, jesteś taaaam?

Z jednej strony ojciec, matka i ciotka Palma. Z drugiej – Bernardo. Jestem długim na milę mostem pomiędzy dwoma brzegami, które nigdy się nie spotkają. Gubię się na całej długości. Gubię się, ale w jaki sposób? Czy na takich mostach są skrzyżowania? Na moim jest. I żadnych znaków.

dziadku, gdzie jesteś????????????????

Jestem tu, Bê. Rozłączyłem się tylko na chwilę, już jestem.

Wrzuca uśmiechniętą buźkę. Dobrze mnie zna. Doskonale wie, o jakim rozłączeniu mówię.

jedziesz, dziadek! lajtowo nie będzie, ale się nie wywiniesz. pokazuj mi się. gites.

Pewnego dnia będziesz musiał dać mi parę lekcji, żebym zrozumiał, co piszesz!

Biedny stary poeta Camões przewraca się w grobie!

Niczym Champollion staram się rozszyfrować zapisy na tym nowym kamieniu z Rosetty.

daj spokój, dziadku, włącz kamkę i mica, pokaż się i już.

Bernardo wysłała mi zaproszenie. Przyjmuję je. Za moment śmiejemy się do kamer. To już prawie mężczyzna, ale przesyła mi buziaka i mówi do widzenia jak mały chłopiec. Jego głos sprawia, że drżą głośniki i moje łokcie. Skrywam emocje związane z tym, że go widzę i słyszę w taki sposób. Jak na filmie fantastycznym. Nie jesteśmy już cieleśni. Jesteśmy świetlnymi obrazami, które się ze sobą komunikują. A wszechświat wydaje mi się prosty i łatwy, niczym urzekająca magiczna sztuczka.

BO TAK

Zaręczony już z Isabel, wracam do majątku. Przygotowania do wesela. Matka i ciotka Palma odbywają ze mną długą rozmowę o ryżu. Zamierzają powiedzieć ojcu wszystko, choć wiedzą, co może się stać. Myślę, że to słuszna decyzja. On jest przecież częścią tej historii, jednym z jej głównych bohaterów. Tak, macie rację – raczej oponentów. Ale dlaczego teraz, gdy jesteśmy akurat bardziej zdenerwowani i emocjonalni niż zwykle? Jakiś szczególny powód, żeby wkładać głowę do paszczy lwa? Stoją tam, przyklejone do siebie, wymieniają spojrzenia, trzymając się za ręce. Niczym syjamskie bliźnięta, mówią mi jednym głosem: tak, jest szczególny powód. Nie można tego dłużej odkładać. Chcą skorzystać z mojej obecności, żeby wszystko wyjawic i uporządkować. Dwie małe dziewczynki o srebrnych włosach, tym właśnie jesteście. Ta uwaga sprawia im przyjemność. W ich oczach widać oczekiwanie, czekają na moje wsparcie. Proszę bardzo, możecie na mnie liczyć, zawsze. Czy wy dwie mogłybyście przestać się śmiać? To wcale nie będzie łatwa rozmowa. Lepiej dokładnie wybrać moment, w którym mu się powie.

Następny dzień. Ojciec wychodzi z łazienki z poczuciem, że ze światem wszystko jest w porządku. To jest ten moment. Prawda, cała prawda, ze wszystkimi szczegółami. Matka wie, że to musi tak właśnie być, wszystko naraz, raptownie, by nie miał czasu na myślenie. Atak z zaskoczenia.

– Lepiej, żebyś usiadł.

– Usiadł? A co się stało?

– Krótka sprawa.

– Jeśli krótka, to po co mam siadać, czemu masz taki wyraz twarzy i dlaczego

Palma i Antonio zwierają szyki wokół ciebie?

– Bo ta sprawa dotyczy ciebie.

– Brzmi poważnie. Coś z senhorem Avelino albo doną Marią Celeste? Coś powiedzieli?

– Nie, wręcz przeciwnie, oboje są zachwyceni ślubem naszych dzieci. Uspokój się, to sprawa między nami.

– To coś poważnego. Widzę, że to coś poważnego.

– Kiedyś było poważne, naprawdę poważne. Ale dziś jest zupełnie inaczej. Wysłuchasz wszystkiego, co trzymałam zamknięte w sobie przez bardzo długi czas.

– Wolałbym, żebyś przeszła od razu do rzeczy.

– Proszę bardzo. Chodzi o ryż Palmy.

– Co takiego?!

– To, że już pora, żebyś się dowiedział, że ryż Palmy jest wyjątkowy, że nie zepsuł się przez trzydzieści sześć lat, że był błogosławieństwem dla naszego małżeństwa i czwórki zdrowych dzieci, a teraz sprawił, że połączyły się dwie zupełnie różne rodziny!

– Co masz na myśli mówiąc, że był błogosławieństwem dla naszego małżeństwa? Co ryż Palmy ma wspólnego z naszymi dziećmi?

– Wszystko.

– Do diabła! Znowu te same bzdury!

Matka nie da się zastraszyć. Opowiada mu prawdę za prawdą. Ryż przywieziony z Brazylii w komodzie z ołtarzykiem, jej spisek z ciotką Palmą, środek rozwalniający w jego jedzeniu, delikatny rosółek z kurczaka, ryż z solonym dorszem podany w ich ostatnią rocznicę ślubu, a to jeszcze nie wszystko. Nie wszystko?! Ojciec wstaje, musi zareagować. Matka każe mu z powrotem usiąść. Tak, każe mu. I ojciec słucha – właśnie wyszedł z łazienki, jest lekki, rozbrojony, niezdolny do irytacji. Ciotka Palma i ja mrugamy do siebie – stara toaletowa strategia nigdy nie zawodzi. Matka kontynuuje, nie szczędząc szczegółów. Narzuca swój autorytet na władzę ojca. Przywołuje konkrety. O tym, co musiała znosić z powodu błogosławionego ryżu. Tak, błogosławionego! A on ciągle temu zaprzeczał.

Najpierw ze ślepej dumy. Potem z czystej przekory. Wspomina nawet o wypalonych świecach i głodzie w Viana do Castelo. Burza minęła, zapada cisza. Ojciec siedzi spokojnie, chce mieć pewność, że nawałnica naprawdę odeszła. Dopiero wtedy podnosi wzrok. Nie wyniośle, ale żeby móc spojrzeć matce w oczy. Jest zachwycony. Nigdy go takim nie widziałem.

– Na Boga, zupełnie zapomniałem o tym ryżu. Myślałem, że go wyrzuciłaś.

– Wyrzuciłam?! Co za pomysł! A przez te wszystkie lata to ty byłeś osobą, która najczęściej się nim napychała.

– Jest smaczny, nie przeczę.

Ojciec, niewiarygodnie uległy. I oszołomiony, to fakt. Nie odpowiada w ten sposób tylko dlatego, że mu dobrze poszło w toalecie. Naprawdę! W powietrzu jest coś, czego nie rozumiem. Matka nadal dowodzi. Nie opuszcza gardy. Wygląda na to, że czekała przez te wszystkie lata, żeby to z siebie wyrzucić. Staje się młodsza z każdą kolejną prawdą, którą wyjawia. Przekonuję się, że „dość!” powiedziane we właściwym momencie jest dobre dla zdrowia. To naprawdę coś. Od chwili ujawnienia prawdy, aż do teraz odmłodziła co najmniej o dekadę. I wypiękniła. Ojciec to widzi. Jego Maria Romana promienieje. Wyniosła, spokojna, nieustraszona? Owszem, ona ma rację. A on uświadamia sobie to dopiero teraz. Idiota! Tak, przez wszystkie te lata był uparty i bezduszny. A mimo to niebiosy obdarzyły go czwórką zdrowych dzieci. Ze względu na jej cnoty, oczywiście. Nie jego. Ojciec chce wiedzieć więcej, musi. Matka nie zamierza go rozczarować.

– Podjęliśmy z Palmą decyzję. Ryż, który jeszcze został – co najmniej osiem kilo – będzie prezentem ślubnym dla Antonia. Razem z karteczką. A my oboje się na niej dopiszemy.

Nawet ja jestem zaskoczony. Próbuje zrozumieć tę zaimprovizowaną przemowę podczas sceny, którą tak dokładnie przećwiczyliśmy. To wyjaśnia „szczególny” powód, dla którego „nie można tego dłużej odkładać”. Dwie małe dziewczynki o srebrnych włosach, tym jesteście. Ciągłe knujące spiski. Nie musiały mi tego robić, nie musiały wprawiać w zakłopotanie w obecności ojca.

– Co?!!!

W bezwarunkowym odruchu, matka i ciotka Palma zwracają się do mnie. Spontaniczne, pełne zdumienia „co?” sprawia niesłuszne wrażenie, że nie chcę takiego prezentu. Ale to nieprawda. Oczywiście, że chcę. I to jak! Od dziecka byłem jedyną osobą, która знаła sekret ryżu ze szczegółami i obiecała zachować go w tajemnicy. Ani słowa, nigdy, nikomu. I byłem wierny obietnicy. Ale żeby dostać cały ten ryż w prezencie ślubnym, to zbyt wiele. Czym sobie na coś takiego zasłużyłem?

– Może podzielę się nim z siostrą i braćmi? Skoro zapewni nam szczęście, zdrowie i płodność, skoro jest gwarancją wiecznej miłości, to czemu się nim nie podzielić? Nie. Nie mogę go tak po prostu dla siebie przyjąć. Czemu?!

– Bo tak!

Gwałtowne słowa ojca przerażają mnie. „Bo tak” to ostateczny argument, który kończy wszelkie dyskusje z najbardziej zbuntowanym dzieckiem. Nic nie muszę mówić, po prostu to wiem. Lecz odpowiedź powinna paść od matki. Nie od niego. W powietrzu jest coś, czego nie rozumiem. Ojciec wstaje, nie zwracając uwagi na matkę i ciotkę Palmę. Patrzy mi prosto w oczy. Chcę się wycofać, ale nie ruszam się z miejsca. Co się dzieje? To jakieś czary, a ja w samym środku. Co to za gwałtowna przemiana ojca? Dlaczego patrzy na mnie taki poruszony? Ja nie chcę tego ryżu! A raczej – tak – chcę go, ale myślę, że to niesprawiedliwe, żebym dostał wszystko. Chcę swój udział i wystarczy. Proste! Czy to możliwe, żeby nie rozumieli czegoś tak oczywistego? Przecież wszyscy troje są tacy mądrzy i doświadczeni. Ja, młody czeladnik, mam pokazać im, co jest słuszne, a co nie? Ojciec czyta mi w myślach. Wiem, że tak jest. I słyszę go, choć nie otwiera ust. Trwamy tak przez kilka chwil milczącego dialogu, który zająłby godziny, gdyby miał być wyartykułowany. Tyle różnych rzeczy między niebem a ziemią. Ciotka Palma i matka wiedzą. Nie słyszą nas, ale wyczuwają, że dzieje się coś odmiennego. Nie potrzebują wyjaśnień. Cieszą się, widząc, że ściskamy się z ojcem mocno i z uczuciem. Dlaczego? Do diabła, bo tak!

WŁAŚCICIEL RYŻU

W moim życiu zdarzały się takie chwile, dość liczne, gdy byłem zmuszony zrezygnować ze swoich przekonań. Zdradzić samego siebie. A potem elegancko przeprosić, żeby zmniejszyć ciężar na swoim sumieniu. Twierdząc na przykład, że nie miałem wyboru. Nie miałem wyboru?! Zawsze gdy działałem w sprzeczności z tym, w co wierzę, robiłem to z czystej wygody. Żeby usprawiedliwić samego siebie, odwoływałem się oczywiście do wytartych haseł: „Nikt nie ma monopolu na prawdę, Antonio”, „Antonio, nie możesz być zbyt radykalny”. „Jeśli postawisz stopę na piasku, Antonio, fala cię przewróci. W falę trzeba albo zanurkować, albo dać się jej ponieść”.

I tak, choć byłem całkowicie przekonany, że to niesprawiedliwe, przyjąłem ryż w ślubnym prezencie. Więcej. Po paru tygodniach poczułem nawet egoistyczną radość, że jest cały mój. Nie obchodzi mnie już rodzeństwo. Żadnego poczucia winy. Łatwo się usprawiedliwić – przecież ta decyzja zapadła szczebel wyżej i na dodatek została ostatecznie zatwierdzona przez ojca. Skoro teraz nawet on – antagonistą, zły charakter w tej opowieści – oznajmia, że ryż ma trafić do mnie, to przecież nie mam się jak sprzeciwić. Skoro w tym naszym milczącym uścisku, z błogosławieństwem matki i ciotki Palmy, zrozumiałem, że między niebem a ziemią jest mnóstwo rzeczy, których nie da się wyjaśnić, to nie mogę zakładać, że uda mi się zmienić przeznaczenie. Przeznaczenie, które mi sprzyja, pozwalając wkroczyć na scenę jako bohater i zaprosić Isabel, by wystąpiła obok mnie. Ona też wkrótce pozna opowieść o ryżu. Dramat i komedię, poezję i nonsens – wszystko. Ale czy zrozumie znaczenie prezentu? Czy będzie wzruszona, zakłopotana czy obojętna? Przygotowuję się na możliwe rozczarowanie, cierpienie, które nastąpi. Przekonuję samego siebie, że

skoro ojciec, nieznaczący biedak, poczuł się urażony, to naturalnie Isabel, tak poważana, choćby była bardzo wyrozumiała, powinna zareagować z takim samym albo jeszcze większym oburzeniem.

Co pomyślą o tym moi przyszli teściowie? Szczerze mówiąc, nie spędza mi to snu z powiek. Niech sobie myślą, co chcą. Niech widzą w nas skąpców albo uważają, że się ośmieszamy. W moim dramacie senhor Avelino i dona Maria Celeste grają role drugoplanowe. Od tej pory to ja będę decydować o tym, kto mówi i gdzie która postać stoi na scenie. Będą stać tam, gdzie ja ich ustawię. Tak robi to Stwórca. Czy wyznaczone miejsca na scenie bołą, czy są niesprawiedliwe? Nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko, żeby opowieść toczyła się dalej. Już nie opowiadana przez ciotkę Palmę, tylko przeżywana przeze mnie. To ja jestem właścicielem ryżu. Ktokolwiek chce, Mohamet czy góra, może do mnie przyjść. Jestem wszechmogący, to ja określam, co jest i co będzie, to ja decyduję o terażniejszości ryżu i jego przyszłości.

Nie mogę się doczekać Isabel. Jej opinia mnie interesuje. Dowód na harmonię albo dowód na dokonanie złego wyboru. Czy podniesiemy głosy? Odwołamy ślub z tak banalnego powodu? Muszę porozmawiać z Isabel. Nie mogę tutaj, gdy matka i ciotka Palma są tak blisko. Tym bardziej nie w rezydencji, z tymi wszystkimi ciekawymi każdej nowiny służącymi. I z doną Marią Celeste, z jej herbatkami i ciasteczkami. Nie, nie w czterech ścianach, z uchylonymi drzwiami i podsłuchiwanymi rozmowami. Małe jezioro. Małe jezioro to dobre miejsce. Odległe, odosobnione. Ale byliśmy tam już tyle razy, co to za frajda? Antonio, ważne jest to, że wy dwoje powinniście być sami. Jest późna jesień, słońce świeci tak słabo, że nie warto wspominać, a temperatura sprawia, że nie myśli się wcale o sprawach cielesnych. Sceneria jest idealna. Tak, niech to będzie małe jezioro. Postanowione. Opowieść o ryżu będzie kontynuowana w wielkim stylu, z Isabel i ze mną na scenie, i nikim więcej. Bez prób oczywiście. Nie ma czegoś takiego jak próba, wiemy to z doświadczenia. Chcę zobaczyć Isabel w chwili improwizacji, sprawdzić, czy jest dobra w wymyślaniu rzeczy na miejscu, jakich wersów czy rymów użyje, by mi odpowiedzieć. Ale najpierw będę musiał wciągnąć ją w tę opowieść, docenić jej zaangażowanie w nią, zaryzykować, że ją stracę.

– Najpierw mnie wysłuchaj i nie przerywaj. A potem będziesz mogła powiedzieć, co chcesz. Dobrze?

– Tylko nie przesadzaj, Antonio. Proszę, bądź obiektywny.

Bardzo się staram. Jestem zwięzły i bezpośredni, jak sobie życzy. Saga o ryżu opowiedziana bez użycia przymiotników czy dygresji. Same fakty, żadnych emocji.

– Czyli dostaniemy w prezencie ślubnym osiem kilo ryżu?

Nic nie odpowiadam. Opierając się o pień figowca, dotykam pobliskiej gałązki, jakby to, co właśnie powiedziałem, wcale nie było takie ważne. Czeka z obojętnym wyrazem twarzy. Drzewo też czeka. Niebo, małe jezioro, zarośla, owady, trochę ptaków. Wszystko czeka. Jej kolej.

– I to cię tak martwiło?

– Tak. Proszę, żebyś była ze mną szczerą. Jeśli ten prezent wprawia cię w zakłopotanie albo...

– Jeśli ten prezent wprawia mnie w zakłopotanie? Antonio!

– A nie?

– Oczywiście, że nie! Wręcz przeciwnie, myślę, że to cudowne!

Napreża się całe moje ciało. Spinam się. Ślina zbiera się szybko, toną w niej moje słowa.

– Cudowne?

– Pomyśl. Niemal czterdzieści lat... Są w nim ludzie, którzy byli na weselu twoich rodziców. Poza ciotką Palmą nikt z nich nie będzie obecny na naszym. Wielu z nich już zmarło.

– Jesteś jakaś inna, Isabel.

– Inna?

– Te słowa do ciebie nie pasują.

– Ja też umiem śnić na jawie, wiesz?

– Teraz już wiem.

– Nie podoba mi się tylko jeden szczegół: w przeciwieństwie do innych młodych par, nie zostaniemy obsypani ryżem. Będzie zapakowany w formie prezentu. Myślę, że to nie jest dobry pomysł.

– Czekał.

– O co chodzi?

– Racja... Proszę.

– Co tam masz?

Pokazuje jej białą chusteczkę z zawiązanymi rogami.

– Garść dla mnie. I garść dla ciebie.

– Oszalałeś!

– Zabrałem w tajemnicy. Nikt się nie dowie, nikt mnie nie widział.

– Boję się.

– Boisz się? Czego?

– Tego, co zakazane.

– Zakazane?! Ten ryż jest mój!

– To dlaczego wziąłeś go w sekrecie?

– Serce mi tak kazało.

– A ty tak zawsze go słuchasz?

– Lepiej się zabezpieczyć...

– Ze wszystkich stron, tak? Zapalasz jedną świecę dla jasności, a drugą dla ciemności, zawsze tak robisz.

– Ciemność bardziej jej potrzebuje.

– Antonio, oddaj ten ryż.

– Nie!

– Ten ryż to prezent, jeszcze ci go nie dali.

– A co to szkodzi? Tylko dwie garści, którymi obsypimy swoje głowy. Będziemy jak każda inna para. Czy nie tego pragniesz?

– Pobłogosławić nasz związek, tego chcę, to jasne!

– I ciemne też.

Rozsupłuję chusteczkę. Ryż kusi, hipnotyzuje nas. Dlaczego tak jasno świeci? Bezcenne paciorki? Perły z naszyjnika? My – podatni na sugestię? Zaczarowani?

– Widzisz? Przyjrzyj się uważnie!

– Mogę trochę wziąć?

Nie trzeba być takim ostrożnym. Boska rzecz. Nasze ręce zderzają się i cały ryż wysypuje się Isabel na kolana. Co za wstrząs!

– To przez ciebie!

– Przeze mnie?!

– Tak, przez ciebie. Zrobiłaś to celowo.

– To był wypadek, przysięgam. Popatrz, cały leży mi na kolanach. Nic się nie stało.

Coś się stało, oczywiście. Cięcie, przerwa, kto wie – ale stało się. Isabel się śmieje. Nie ironicznie, ale z frywolnością nastolatki, co budzi we mnie wstręt. Uciszam ją pocałunkiem. Czy nie lubi tego, co niespodziewane, tego, co nieograniczone, wręcz perwersyjne? Oczywiście, że tak. I dlatego otwiera usta szerzej, dotyka moich włosów i zatracą się wraz ze mną w czasie. A potem odsuwa mnie, patrzy mi prosto w oczy i mówi, że mnie kocha. Ze wszystkimi moimi bredniami. Tą też. Tą o ryżu. Podejrzewa, że to największa z nich. Czy mnie naprawdę nie nużą te opowieści? Isabel kładzie się zmysłowo do tyłu. Chce, żebym widział ją, taką rozciągniętą. Ryż porozrzucany na jej ciele. Co się dzieje, że spojrzenie, jakim mnie obdarza, jest mi nieznane, wzbudza we mnie niepokój? A teraz inne spojrzenie, którym mnie atakuje i zaprasza? Instynktownie zaczynam całować ryż między jej nogami, ocieram się o niego i zatracam się tam – mały chłopiec, który chce więcej i więcej, i więcej. Zamykam oczy. I z zamkniętymi oczami czuję, że wszystko wiruje: ściany, granice, wszechświat. Z zamkniętymi oczami wszystko jest możliwe. Ciemność to czysta biała strona, możesz na niej stworzyć, co tylko chcesz. Ciemność jest kolorowa, kosmiczna, to otchłań. Podróż. Ślepa walka. Bóg Niebieski porusza się w tajemniczy sposób. Czuję na sobie ręce Isabel i dokąd one zmiierają, czy to ja? Dotyk miesza nas i myli. Dotyk nie wie, gdzie są granice ciał. Dotyk pyta mnie, gdzie jedno się kończy, a drugie zaczyna. Czasem pieszczota jest tak delikatna, że przestaję czuć własne włosy. Czy moje życie zawisło na włosku? Co oddziela to, co rzeczywiste, od tego, co wyobrażone? Pierwsze pytania z dnia moich narodzin. Czy niczego nie nauczyłem się przez te lata młodości? Chcę, żeby Isabel coś do mnie powiedziała. Może później. Jakikolwiek

dźwięk teraz byłby ryzykowny. W ciemności lepsze jest milczenie. Jej ręce na moich włosach. Moja twarz na jej brzuchu. Jak tam jest w środku? Chcę dzieci. Dużo? Ile się uda. Jestem właścicielem ryżu, jestem tym, który zapładnia. Słuchasz mnie, Isabel? Oczywiście. Gorąco naszych ciał, ich zapach, to odpowiedź dla niej. Instynkt podpowiada mi, że jestem zwierzęciem, że ona jest zwierzęciem, że namiętność pozostawia ślad. Moje dłonie na jej nogach. Mogę kontynuować z zamkniętymi oczami. Ona tego chce, ona o to prosi. Ja tego chcę, ja o to proszę. Klękam przed nią, wielbiciel. Unoszę jej sukienkę z pogańską czcią i rozgorączkowaniem. Instynkt mówi „tak”, ryż rozsypuje się na boki, mój pocałunek sprawia, że drzwi się zamykają, ale kolejny zdobywa klucz, który pozwala na dostęp. Cóż to za siły zostają uwolnione? Jej ręce na mojej głowie koronują mnie władczo i gniewnie, jej paznokcie zagłębiają się we mnie – konsekracja szaleństwa. Tak – teraz. Isabel zamyka oczy i spotyka mnie w ciemności. Wciąga mnie gwałtownie na siebie, tego właśnie chcę. W całkowitej ciemności, gdzie wszystko jest możliwe, aprobujące, pobłażliwe, jedno wewnątrz drugiego, gotowi, zatracamy się. Z powrotem w raju – ogrodzie szeroko otwartych bram, pełnym węży ocierających się z sykiem, zmysłowo, o nimfetki i efebów. Bóg Niebieski, beztroski, pogwizduje i odchodzi daleko stąd, nie mając kieszeni, by wsunąć w nie ręce. Zobaczcie! Drzewa wiadomości uginające się pod ciężarem naukowych błędów z kolejnych tysiącleci – wolę jabłka. Jabłka przesuwają się w moim przełyku, jestem zaspokojony bez niespodzianek. Liry, winogrona, najpiękniejsze nieprzyzwoitości, kilka przezroczywych zasłon, łatwych do odsunięcia. Ryżowe pola! I my, zanurzeni w odcieniach zieleni, docieramy do chwili, w której stajemy się jednością – przyjemność trwająca zaledwie ułamek sekundy. Orgazm wyrzuca czas w przestrzeń kosmiczną i szydzi z wszechświata – jest niczym w porównaniu z najkrótszą ekstazą zmysłów. Otwieramy oczy. Odzyskujemy po części poczucie rzeczywistości. Wiercimy się. Zmęczenie i pokój. Nie da się ich rozdzielić. Nasze twarze odmienione, oddechy i zapachy też. Gorąco odeszło. Isabel śmieje się porozumiewawczo, śmiechem frywolnej nastolatki, który teraz mnie wzrusza. Religia nas dotąd nie martwiła. Kiedy pojawi się ze swoimi winami i żałami? W ogóle się pojawi?

– Jestem właścicielem ryżu, który teraz jest także twój, dona Isabel...

– Dona? Czyżbyśmy przypadkiem zostali małżeństwem?

Tak, jesteśmy małżeństwem. Bóg Niebieski wie, że jesteśmy. Małe jezioro wie, że jesteśmy. Krew i ryż wiedzą, że jesteśmy.

POTRZEBUJEMY DIALOGU

Zawsze wierzyłem w dialog. Pokładam w nim ufność, nawet jeśli to dialog najtrudniejszego, najbrutalniejszego rodzaju. Szczerze dążąc do zrozumienia lub przekonania innych, słucham uważnie, co każdy mówi. Właściwe słowo w odpowiednim momencie, szach i mat. Albo przemowa, która jest chybiona, za to pełna prawdziwej pasji. Dobrze odmierzone słowa albo niepoohamowany głos. Dodatek łez, uciekanie się do krzyku. Nagła cisza, która cię zaskakuje, a potem kontynuowanie tak cicho, że cię to rozbraja. Uważam, że nawet przesada pomaga czasem posunąć rozmowę do przodu. Wszystko się nada, jeśli naprawdę chcesz dotrzeć do tej drugiej osoby. Gdy ktoś opisuje mi jakąś rozmowę lub dyskusję, której sam nie byłem świadkiem, długo nad tym rozmyślam. Bez względu na wiarygodność źródła, ktoś, kto przekazuje, co usłyszał, automatycznie tworzy nowy dialog. Bezczelne kłamstwo, najczystsza prawda, „to nie do końca tak było”. Każda kolejna osoba rozszerza opowieść? Być może. Lecz opowiadający też ją skraca, omija pewne elementy albo przekształca ze względu na pryzmat, przez który patrzy. Światło i soczewka doskonale się nawzajem rozumieją. Ile kolorów jest w dialogu? Ile odcieni?

Czerwiec 1946, ktoś przyszedł mi coś powiedzieć. A ja słucham – i co z tego? To w końcu wigilia mojego ślubu. Mam prawo wiedzieć, nie? Matka i ojciec chcą zebrać wszystkie swoje dzieci razem.

- Maria Romana, Nicolau i Joaquim przyjeżdżają jutro?
- Tak, umówili się, że przyjadą jednym pociągiem.
- Szkoda, że mogą zostać tylko kilka dni.

– Trochę ulży nam to w tęsknocie i przekonamy się, jak sobie radzą i jakie mają plany.

– Gdzie Leonor? Nie widziałam jej dziś cały dzień.

– Poszła do wsi z Antonio i Isabel. Zawsze ich obgadywała, a teraz są jej ulubieńcami.

– Dobrze znam naszą córkę. Skoro z nimi jej się dobrze układa, to znaczy, że z kimś innym układa jej się źle.

– Z nami!

– Czemu, do diabła, z nami?

– Bo daliśmy ryż Antonio.

– To może wyjaśniać tylko zazdrość.

– Nie, wręcz przeciwnie. Ona broni swojego brata. Zgadza się z nami, że daliśmy mu ten ryż. Ale uważa, że to za mało. Stwierdziła, że jesteśmy skąpi i że się nas wstydzi.

– Typowe dla Leonor. Co za bzdura.

– Zgadzam się, że to dla niej typowe. Ale nie możemy powiedzieć, że to bzdura. Ona reaguje dokładnie w taki sam sposób, w jaki ty zareagowałeś czterdzieści lat temu w Viana do Castelo.

Ojciec prycha, odchrząkuje. Zmienia temat.

– Co myślisz o tym Sebastião?

– To dobry dzieciak.

– Czasami mnie martwi. Z trudem rozumie pewne rzeczy. Jest bardzo tępy.

– Leonor musiała dostrzec w nim coś czarującego.

Ojciec i matka nigdy nie zwrócili uwagi na stopy Sebastião. Rozmowa ponownie zmienia swój bieg.

– Dobrze, że cała rodzina znów będzie razem.

– Pełen dom. Pełen stół.

Problem w tym, że rodzina to trudne danie do przygotowania. Nawet w rękach najbardziej doświadczonego kucharza deser może się nagle zepsuć. Plotka może błyskawicznie je zniszczyć. Ploteczka bierze nas z zaskoczenia i budzi furję w tych,

których uważamy za najłagodniejszych. Nic nie da się z tym zrobić – w niektóre dni świat po prostu wstaje lewą nogą. Wszystko się sypie. I wtedy, nawet w domach pełnych obfitości, wszyscy wrzeszczą bez powodu. I dlatego, jeśli w jakiejś rodzinie warzą się kłopoty, nigdy nie dodają dodatkowych drożdży. Odczekuję. I coś, co wydaje się dzisiaj poważną sprawą, wkrótce staje się częścią naszych wspomnień, elementem konwersacji przy posiłku. Ale w tamtym momencie z pewnością bolało.

Dopiero teraz, jako stary człowiek ze słabnącym wzrokiem, wyraźnie postrzegam świat. I wciąż słyszę głosy. Nicolau zaczął robić dramat, gdy tylko przyjechał.

– Wszyscy powariowaliście! To jest po prostu śmieszne! Co ja tutaj robię?

– Uważaj, jak się do mnie zwracasz, Nicolau. Jestem twoją matką. Nie mów głupstw.

– Głupstw, matko? Głupstwem to jest prezent, który postanowiliście dać temu biedakowi, mojemu bratu.

– Naprawdę, jesteś taki nietaktowny!

– Osiem kilo ryżu! Biedny Antonio! Ciekawy jestem, czy w dniu swojego ślubu też doświadczę równie niezręcznej sytuacji! To takie żenujące!

– Żenujące jest to, że urodziłam takiego tępego syna!

– Świetnie, w takim razie wracam do Rio de Janeiro!

Nicolau wychodzi. Matka nie może w to uwierzyć.

– Jak to możliwe?! Chłopak ze wsi, cuchnący jeszcze oborą, zadziera nosa, jak jakiś kosmopolita! Boże, daj mi cierpliwość!

Joaquim okazuje podobne oburzenie, a może i większe.

– Matko, czy to prawda, ta durna historia, którą opowiedziała mi Leonor?

– To nie jest durna historia, Joaquimie! To piękna historia! Historia naszego małżeństwa, naszej rodziny, narodzin was czworga, wszystkiego!

– Matko, bądź rozsądna. Alves Machados dają w posagu Isabel duży piękny dom w jednej z najelegantszych dzielnic stolicy. A my damy im parę kilo ryżu?! To absurd!

– Senhor Avelino i dona Maria Celeste są bogaci. My jesteśmy biedni. Nie ma

się czego wstydzić. Nasz dar to miłość. Czysta miłość. A wiedz, Joaquimie, że jak już będziesz bogaty – jeśli tak się kiedyś stanie – to będziesz mógł sobie kupić tyle rezydencji, ile będziesz chciał. Ale z miłością jest inaczej. Miłości nie da się kupić. Nieruchomości tak. I samochody. Ale na targu, mój synu, nie znajdziesz nawet paru gram miłości.

Wchodzi ojciec, z rozognionym wzrokiem.

– Gdzie Leonor?

Jego wściekłość przeraża Joaquima.

– Nie wiem, ojcze.

– To idź jej poszukać, chcę ją tu natychmiast widzieć.

– Tak, ojcze.

– Cała rodzina razem! Wszyscy uśmiechnięci i szczęśliwi!

– Custódio, mój drogi, nie bądź taki. To minie. Młodzi ludzie tacy są, lekkomyślni, radykalni. Robią burzę w szklance wody.

Przybywa Leonor, nieufna.

– Kazałeś mnie zawołać?

Ojciec, imponujący, ze zmarszczonymi brwiami, ze spojrzeniem starotestamentowego Boga.

– Nie bez powodu natura nie dała węzom skrzydeł! Stań przed lustrem i wystaw język. Sprawdź, czy nie jest długi, cienki i rozdzielony na końcu jak u grzechotnika!

Przerażona Leonor przykłada ręce do ust. Matka stara się załagodzić sytuację.

– Czemu rozpowiadasz takie rzeczy, dziecko? Umniejszasz gest, który jest pełen uczucia... Zwracasz swoich braci przeciwko nam...

– Nie pomyślałam...

– Strach się bać, co będzie, gdy pewnego dnia jednak zdołasz pomyśleć. A teraz posłuchaj, co ci powiem: ciotka Palma nic o tym nie wie. Antonio i Isabel też nie. Porozmawiasz ze swoimi dwoma braćmi idiotami i zakończysz to raz na zawsze. Jutro wszyscy razem wręczymy prezent.

Leonor znika. Ojciec wdycha tyle powietrza, ile zdoła, a potem wypuszcza je z pełną gniewu rezygnacją.

– Najgorsze jest to, że patrzę na tych idiotów i muszę przyznać, że byłem dokładnie taki sam!

Matkę to bawi.

– Część tej głupoty może być po mnie. Ale ambicja i upór to już nie. To mają po twojej rodzinie.

– Doskonale wiesz, że Leonor odziedziczyła długi język po twojej matce. Jakbym widział przed sobą teściową we własnej osobie. Niech spoczywa w pokoju!

Ojciec i matka obejmują się, starając się ochronić przed tym, co minione.

– Zapomnij o tym wszystkim, Custódio. Musimy tylko pamiętać, że teraz wszyscy są w domu, i że jutro nasz syn bierze ślub.

– Życie zawsze płata nam figle. Ze strony Isabel, senhor Avelino i jego żona są wzruszeni historią o ryżu, a tutaj, ze strony Antonia, drwią z niej jego własna siostra i bracia. A może to boska sprawiedliwość nadal mnie karze?

– Nie rób z siebie męczennika. Jakie to ma znaczenie, skoro Isabel i Antonio prezent się podoba?

– Antonio powiedział mi, że najbardziej zaskoczyła go reakcja senhora Avelino. Człowiek wielkiej fortuny, tak logiczny i racjonalny, wysłuchał uważnie, co ma mu do powiedzenia, dopytywał o szczegóły i szczerze uwierzył w niewytłumaczalną moc ryżu Palmy.

– Ale trzeba wziąć poprawkę. Wiesz, że nasz syn zawsze ozdabia opowieści, dodaje barw tam, gdzie ich nie ma.

– Nie, nie zgadzam się. Tym razem nie było żadnych ozdobników Antonia, żadnych kolorów. Isabel sama mi powiedziała. Była zdumiona. Jej ojciec w kilku miejscach bardzo się wzruszył i powiedział jej, że nigdy nie słyszał tak cudownej opowieści.

– Nie dziwię się. Dona Maria Celeste już potwierdziła, że ona i jej mąż przybędą tutaj na ceremonię ryżu.

Zostali tak, przytuleni, na ganku. Ojciec oddalił się w głąb siebie. A potem powrócił.

– Przypomniało mi się nasze kochane Viana do Castelo. Dawno nie dostaliśmy

żadnego listu z Portugalii.

SEN TO SEN, A RZECZYWISTOŚĆ TO RZECZYWISTOŚĆ

Następnego dnia w domu, bardzo wcześnie rozpoczęła się niezwykła krzątanina. Matka i ciotka Palma zamknęły się w sypialni. Stary konopiany worek, w którym był ryż, został włożony do innego, uszytego z jeszcze ściślejzego materiału. Ten nowy, utkany na cztery ręce, imponuje bielą tkaniny i doskonałością wykończenia. Nawet teraz, przy ostatnich szczegółach, toczy się wspólna praca. Gdy moja matka trzyma wstążkę, ciotka przynosi nożyczki. Gdy jedna przykłada palec, druga zaciska kokardę.

– Gotowe. Wyszło przepięknie!

– Nie mogło być lepiej.

Zgadzą się, że opakowanie jest ważne, dodaje prezentowi wartości. Ojciec szykuje się przed małym lusterkiem w łazience – nieźle wygląda jak na swoje sześćdziesiąt lat. Moja siostra i bracia czekają, niechętnie, w małym salonie, gotowi, by wziąć udział w ceremonii. I ja tam jestem, starając się przekonać ich, że nie ma powodu do niezadowolenia czy zakłopotania. Dziękuję im trojgu za oburzenie i upieranie się, że powinienem dostać coś bardziej wartościowego. Tymczasem moja narzeczona i ja jesteśmy uszczęśliwieni tym darem i nawet Alves Machados są wzruszeni historią, więc dlaczego oni, którzy kochają mnie tak mocno, muszą się tak zachowywać? Wyznania i słowa krytyki ciągnęłyby się dłużej, ale przybywa Isabel. Porzucamy temat. I bardzo dobrze. Wita ciepło wszystkich, a potem zaciąga mnie do kąta, twierdząc, że musi ze mną porozmawiać. Jej łagodny głos pobudza moją wyobraźnię i pożądanie.

– Dona Isabel, wyglądasz dziś niesamowicie pięknie.

– Przestań, Antonio. Ktoś może zauważyć.

– A nawet jeśli? Czy nie jesteśmy już małżeństwem?

Isabel powstrzymuje swoją dłoń przed kontynuowaniem wędrówki.

– Nie, nie jesteśmy. I przestań mówić do mnie dona Isabel.

– Tylko żartuję, kochanie.

– Nie podoba mi się to i już. Doskonale wiem, do czego odnosi się „dona”.

I uważam, że to ordynarne.

– Nie ma powodu, żebyś się tak dąsała.

Isabel słucha mnie, a wyraz jej twarzy i ton głosu się zmieniają. Ona rzeczywiście chce ze mną porozmawiać.

– Miałam o świcie sen. Przeraził mnie. Nie mogłam już zasnąć.

– Jaki to był sen?

– Jakby ostrzeżenie. Mnie nie tak łatwo wystraszyć, wiesz przecież. Ale musimy wrócić nad jezioro i odzyskać cały ryż.

– Byliśmy tam ponad tydzień temu. Dużo padało. Nie znajdziemy nawet jednego ziarenka.

– Nic nie szkodzi spróbować.

– Ale to, co się stało, było takie piękne. Czy nie? Chyba nie przesadzam, nie wyobrażam sobie tylko?

Isabel się uśmiecha.

– Nie. Tak, to było piękne.

– A więc? Nawet jeśli znajdziemy tam jakiś ryż, to będzie już inny. Ryż bez magii, bez poezji.

– Śniła mi się twoja ciotka.

– Śniła ci się ciotka Palma?

Czuję się zdradzony. Dlaczego Isabel, a nie mnie? Wiadomość dostarczona przez sen powinna dotrzeć do mnie, bratanka i konfidenta, dziedzica historii. Coś jest nie tak. Jestem zazdrosny o Isabel? Ja? To śmieszne! Ona i ciotka Palma ledwo się znają! Co je może w ogóle łączyć? Co więcej, to ja zakradłem się do pokoju matki,

to ja wziąłem na siebie odpowiedzialność i ryzyko zabrania dwóch garści ryżu. To, co wydarzyło się nad małym jeziorem, to był rezultat mojej woli, mojej odwagi. Zazdrosny o Isabel! Nonsens. Czy to aż tak oczywiste?

– To nie moja wina, że to ja miałam ten sen, a nie ty, jej ulubiony bratanek.

– Nie jestem ulubieńcem. Ciotka Palma wszystkich nas lubi tak samo.

Oboje z Isabel wiemy, że to nieprawda. Ale ona udaje, że w to wierzy, i ja też udaję. Ten detal nie jest w tym momencie istotny.

– Ona wie, co zrobiłeś. Wie o naszym spotkaniu nad jeziorem. O wszystkim, co się stało.

– Nie, nie wie. To niemożliwe. Sen to sen, a rzeczywistość to rzeczywistość. I nawet gdyby wiedziała, to nie miałyby znaczenia. Rozmawiałem z nią dzisiaj już kilka razy. Jest bardzo podekscytowana. Zdziwiłbym się, gdyby pomyślała, że było coś złego w tym, co zrobiłem. Tylko odrobinę przyśpieszyłem bieg rzeczy. Niechcący przyśpieszyłem ceremonię.

Mój błąd. Choć jest bardzo teatralna, ciotka Palma szanuje wyczucie dramatycznej czy komicznej chwili. Przegapienie ich to luka, która niweczy łyż i śmiech naszych bliskich. Uczy nas, że czy to w życiu, czy na scenie, zawsze trzeba być uważnym wobec słów i milczenia innych. Jest czas, gdy jesteśmy w centrum uwagi wszystkich i czas, gdy znajdujemy się w tle. A kradzież sceny? To dozwolone. Nie z premedytacją, ale z nagłej inspiracji, która pochodzi z góry i potwierdza talent w tym właśnie momencie. Kradzież sceny? W gorączce przedstawienia to dozwolone.

Wchodzi ciotka Palma, tryskająca entuzjazmem. Proponuje nam owoce.

– Szukałam was, moi kochani. Chcecie pitangi? Bardzo świeże. I słodkie. Spójrzcie na ten kolor!

Zupełnie zaskoczony werbalizuję natychmiast podświadome pragnienie.

– Będziesz długo żyła, dona Palmo.

– Tak? Co za dobre wieści!

– Isabel opowiadała mi o śnie, który miała tej nocy.

Ciotka Palma natychmiast podchwytuje.

– Wszystkie sny są prawdziwe. Wszystkie sny to wiadomości. Nawet jeśli wydają się głupie.

Isabel wymienia ze mną spojrzenia, spodziewa się kłopotów. Odzywa się nie bez trudu.

– To był raczej dziwny sen. Przestraszył mnie.

Ciotka Palma nie wykazuje najmniejszego zainteresowania. Isabel jest zakłopotana i próbuje zająć czymś ręce, wybiera trzy z czterech pitang, komentuje ich wielkość, smakuje największą, odgryzając kawałeczek. Czerwony sok na jej palcu wygląda jak skaleczenie, a ja udaję troskę.

– Trzeba to opatrzyć.

Isabel wkłada resztę owocu do moich ust, podstawia palce do zlizania, jakby chciała powstrzymać mnie od mówienia. Moja uwaga była głupia, to prawda, ale ciotka Palma uważa, że zabawna i korzysta z okazji.

– Czasem najlepiej pozwolić po prostu, żeby krew płynęła.

Sen to sen, a rzeczywistość to rzeczywistość? Ależ jestem głupi. Jaki miały sens te wszystkie lata przebywania na co dzień z ciotką Palmą? Czy to możliwe, że teraz, dorosły i zamieszkały w stolicy, utraciłem wrażliwość? Czyżbym zapomniał, że ona doskonale porusza się na dwóch różnych poziomach? Ona wie, oczywiście. „Najlepiej pozwolić, żeby krew płynęła”. Co miała na myśli? Może miesiączkę każdej kobiety. Może utratę dziewictwa przez Isabel. Ale jak się upewnić? Czy powinienem coś zasugerować? Zapytać? Isabel, obiektywna jak zawsze, traci cierpliwość i nie czeka dłużej.

– Jeśli krew popłynęła ze mnie, to za moją zgodą. Z miłości i pożądania.

Niemal połknąłem pestkę. Co te dwie kobiety sobie myślą? Takie intymne sprawy ujawniane tylko z powodu jakiegoś owocu! Stoję tam, a jakby mnie nie było! Jestem właścicielem ryżu, a one mnie ignorują! Muszę coś powiedzieć. To kwestia godności. Ale co? Nie znam się na snach, nie znam się na ostrzeżeniach, nie znam się w ogóle na niczym. Uświadamiam sobie, że teraz jestem w tle. Najlepiej usiąść i posłuchać słów innych. Wyplucie pestki tak, żeby inni nie wiedzieli, jest jedyną rzeczą, jaką jestem w stanie w tym momencie zrobić, ale nawet to nie jest bez

znaczenia.

– Wiem, Isabel. Akt poddania się bez ciężaru winy i żalu. I dlatego wy dwoje macie moje błogosławieństwo.

Teraz ciotka Palma zwraca się do mnie.

– Szkoda, że rytuał odbył się przedwcześnie. Sacrum nie znało jeszcze swojego tekstu, a profanum weszło na scenę samowolnie. Ci dwaj aktorzy podziwiają się nawzajem i szanują. Nie jest mądrze nastawiać ich przeciwko sobie.

Dla kogoś, kto potrafi rozumieć, wystarczy pół słowa. Tak właśnie odpowiadam, jedynie wyrazem twarzy. I nic więcej. Stojąca wciąż z boku, ale nadal na scenie, Isabel, odzyskuje pewność siebie.

– W tym śnie byłam małą dziewczynką, szłam przez wesołe miasteczko, trzymając duży kolorowy balon na hel. Spojrzałam do góry i pomyślałam, że to śmieszne, bo balonem był Antonio! A ty szłaś obok mnie, dona Palmo, taka, jak jesteś teraz i...

– I mówiłam ci, żebyś mocno trzymała sznurek i nie puściła balonu.

Isabela pamiętała szczegół, który jej umknął.

– To ty, dona Palmo, dałaś mi ten balon. Dokładnie pamiętam. Obwiązałaś sznurkiem mój palec, jakby to była obrączka.

– Ślubna obrączka.

Isabel kiwa głową z zadowoleniem.

– Tak, ślubna obrączka.

Ciotka Palma się nie śpieszy. Mogłoby się wydawać, że czas się zatrzymał. Jakby wcale nie mieli przybyć teściowie Alves Machado, jakby matka się nie martwiła, ojciec nie denerwował, a moja siostra i bracia nie niecierpliwili się i irytowali. Wszyscy cisi, tam gdzie są. Aktywność świata skupiona w tym małym pokoju.

– Gdy miałam piętnaście lat, zakochałam się szaleńczo w chłopcu w moim wieku. Miał na imię Carlos. Przybył do Viana do Castelo z objazdową trupą teatralną. Zostali około trzech miesięcy. Przyjechali i wyjechali trzema wozami, które służyły im za scenę i mieszkanie. Często chodziłam ich oglądać, bez zgody

rodziców. Zawsze w sekrecie. Uwielbiałam historie, doświadczenia, przygody z zewnętrznego świata. Przez tę bliskość przywiązałam się do nich. Wydawali mi się wolni, zmysłowi, dzicy. Pewnego dnia zebrałam się na odwagę i pokazałam im wiersze, które napisałam. Nikt ich nigdy wcześniej nie czytał. Nikt nie wzbudził we mnie takiego zaufania. Carlos zaczął recytować je na głos. I robił to z taką łatwością i wdziękiem, jakby od dawna je znał. Pozostali z entuzjazmem bili brawo po każdym wierszu. Wręcz nie mogłam uwierzyć, gdy poprosili, żebym zostawiła im te kartki na kilka dni. Chcieli nauczyć się wersów i przedstawić publiczności!

Ciotka Palma mówi tak, jakby planowała jakiś psikus.

– Wydałam się sobie niesamowicie ważna. Poprosiłam tylko, żeby nie podawali autora. Doskonale zdawałam sobie sprawę, jak obraźliwie mogą zabrzmieć moje wersy w uszach pruderyjnej publiczności.

Isabel była zaintrygowana.

– Dotrzymali obietnicy?

– Owszem, a poza gwizdami obrzucono ich pomidorami i najgorszymi wyzwiskami!

– A ty?

– Ja się po prostu rozplakałam. Nie ze smutku. Ale z podziwu dla nich. I ze wstydu za własne tchórzostwo. Wiedziałam, że te gwizdy, pomidory i wyzwiska były dla mnie. Ich przedstawienie było wspaniałe. Carlos z samej góry zaimprovizowanej sceny patrzył na mnie i uśmiechał się. Plamy z soku z pomidorów na jego włosach i ubraniu wyglądały jak krew. Ale obnosił się z nimi dumnie, niczym z ranami i odznaczeniami zdobytymi w bitwie. On i pozostali. Wszyscy wzniośli, szczęśliwi i spełnieni, powiedziawszy to, co chcieli powiedzieć. I byłam tam ja. Płacząca. Anonimowa.

Ciotka Palma umilkła na chwilę. A potem przyciszonym głosem ujawniła swoje sekrety, niczym nastolatka.

– Po przedstawieniu, późno w nocy, wyszłam z domu po kryjomu i poszłam zobaczyć się z nimi, do ich taboru. Nogi mi się trzęsły. Okropnie się bałam, ale pasja była silniejsza. Dodawała mi odwagi. Wszyscy zgromadzili się wokół ogniska.

Śpiewali i pili. Carlos podbiegł do mnie. Chyba nie wierzył własnym oczom. Podobnie jak ja. Objęliśmy się i pocałowaliśmy – żarliwie, pożądliwie, bez słowa. To był pierwszy raz, gdy zetknęły się nasze ciała, a wydawały się tak dobrze znać nawzajem. Odeszliśmy stamtąd, bez celu, niczym lunatycy. Rzuciliśmy się na kawałek trawy, który najbardziej nam się spodobał i oddaliśmy się sobie, z czystego instynktu. Z nadmiaru emocji. Bez powodu. Zwierzęta bez duszy.

Isabel obejmuje mnie i przytula się do mnie, z szelmowskim uśmiechem.

– Nasz rytuał był bardzo podobny.

– Ach, moja droga Isabel... – odpowiedziała ciotka Palma. – Pchane czym innym, ale obie wyprzedziłyśmy same siebie.

Ciotka Palma poddaje się ze szczerym uśmiechem.

– Ach, te błędy! Piękne błędy! Ludzkie błędy!

Isabel prowokuje.

– Nieludzkie błędy. Zwierząt z duszą.

– Masz rację. Masz całkowitą rację. Szczerze mówiąc, nie wiem, czemu kojarzymy to, co nieludzkie z tym, co okrutne, bo okrucieństwo to coś, co znamy tylko my, ludzie.

– Po tym nieludzkim błędzie, jak udało ci się przestać być zwierzęciem, wrócić do bycia osobą?

Ciotkę Palmę bawi to pytanie.

– Nie wróciłam. To sobie przysięgam. Nie wierność, lecz wolność. Pragnęłam jedynie podążać za swoimi uczuciami i instynktem. Bez powodu, powtórzę. Przez całe życie. Nigdy nie wrócę do bycia osobą, Isabel. Do dzisiejszego dnia jestem zwierzęciem z duszą.

– To dlaczego nie odeszłaś z Carlosem?

– Odejść z nim?! Byliśmy parą dzieciaków... Parą małych zwierzątek!

Ciotka Palma śmieje się z samej siebie.

– Carlos był moim balonem. A ja go wypuściłam. Nikt nie obwiązał wokół mojego palca sznurka, jak obrączki. Kto zrozumiałby naszą miłość? Kto? A gdy puściłam, balon odleciał. A ja zostałam, patrząc w górę, widząc, jak unosi się

wysoko w niebo. Aż zniknął. Zachowałam o nim wspomnienie. Wyraźne, pachnące, pełne dźwięków i smaków. Czasem tamten dotyk wraca do mnie we śnie. To wcale niemało. Jestem wdzięczna życiu.

– Nie chciałaś mieć dzieci?

Isabel natychmiast żałuje, że zadała to pytanie.

– Przepraszam, jestem wścibska.

– Na Boga, wcale nie! Szczerze ze sobą rozmawiamy.

Ciotka Palma całkiem spokojnie odpowiada.

– Carlos sprawił, że krwawiłam, to prawda. Ale już wkrótce coś mi powiedziało, że nie urodzę dziecka. To nie było moim przeznaczeniem. Wszystkie moje dzieci wyjdą z innych brzuchów. Najpierw było moje rodzeństwo, którym zostałam obdarzona po przedwczesnej śmierci naszej matki. Potem ci wszyscy bratankowie i siostrzenica, których tak bardzo kocham. A teraz ty, niemal córka.

Isabel podoba się to, co słyszy.

– I nigdy się już nie zakochałaś?

– Miałam przelotne romanse...

Rozmowa umiera – śmiercią naturalną. Isabel wydaje się poważna. Ciotka Palma ma podobny wyraz twarzy. Ich myśli też zmieniają temat. Rada ciotki Palmy dochodzi do głosu.

– Isabel, nie musisz nam mówić, jak skończył się twój sen.

Isabel gwałtownie protestuje.

– Owszem, muszę. Ty bardziej niż ktokolwiek inny wiesz, że muszę.

– Nie teraz. Nie dziś. Będiesz wiedziała kiedy.

Isabel przytula ciotkę Palmę. Jest naprawdę przestraszona.

– Bądź spokojna. Nie obwiniaj się. Ryż rozsypany na twoim brzuchu był błogosławieństwem.

– Myślę, żeby wrócić nad jezioro. Zebrać, co się da...

– Nie ma potrzeby. Antonio ma rację. Ryż, który został, jest już czymś innym.

I spełni swoje zadanie.

– Ale we śnie...

– Zapomnij o nim. Przekonasz się, że jego koniec, który dziś cię przeraża, pewnego dnia nabierze sensu i przyniesie ci wielki spokój. Tymczasem chcę, żebyś pięknie zaprezentowała się w salonie. Twoi rodzice zaraz przyjadą.

Ostatnie słowa zadziałały, jak pstryknięcie palcami. Nagły powrót do rzeczywistości. Senhor Avelino i dona Maria Celeste zaraz się zjawia, moi bracia i siostra czekają niecierpliwie, matka i ojciec też są już gotowi. Ciotka Palma całuje Isabel. Do mnie się uśmiecha. Co?! Uśmiecha się?! Właśnie. Czuję, jak jej szczęście muska moją twarz. Nie mam zielonego pojęcia, jak ona to robi. Lecz ten gest uczy mnie, że w delikatnych kwestiach niezbędny jest takt.

KREW

Każdy dom, jak już wspomniałem, pichci rodzinę na swój własny sposób. Alves Machados na przykład, nigdy nie mogli mieć dzieci. Isabel jest adoptowana i nie ma pojęcia, kim są jej prawdziwi rodzice. To znaczy biologiczni rodzice. Dla mnie jej prawdziwymi rodzicami są senhor Avelino i dona Maria Celeste, którzy przygarnęli ją, gdy była noworodkiem. Nie zważając na krew płynącą w jej żyłach, wychowali ją i wykształcili. Dali jej miłość. Isabel potrafiła okazać wdzięczność. Głównie za to, że nie ukrywali przed nią prawdy. Wszyscy wiedzieli o adopcji. Gdy zaczęliśmy się spotykać na poważnie, odniosła się do tego tematu bez najmniejszego zakłopotania. Chciała, żebym był całkowicie świadomy, na wypadek gdybyśmy mieli wziąć ślub, że nasze dzieci nie będą wiedziały, skąd z jej strony pochodzi ich krew.

– Czy to dobra krew, czy zła... Nie mam najmniejszego pojęcia, Antonio.

– I co z tego, ukochana? Jakie to ma znaczenie?

Dziś, staruszek, tu w kuchni, śmieję się z tamtej rozmowy z dalekiej przeszłości. Wszyscy jesteśmy dopływami jednej rzeki – odpowiedziałem jej wtedy. Odgałęzieniami jednej arterii, która wiedzie ku sercu: żyłki artystycznej. Stworzyciele samych siebie, tworzymy i przetwarzamy nieustannie, codziennie. Z każdego doświadczenia, dobrego czy złego, rodzi się kolejne „ja” naszego autorstwa. Talentem obdarzony jest każdy, bez wyjątku. Instynktownie lub z powołania kreujemy siebie, wymazujemy, piszemy siebie na nowo i prezentujemy się publiczności w takiej wersji, która wydaje nam się najbliższa doskonałości albo najbardziej przekonująca. A potem dzielnie wracamy do samych siebie i walczymy dalej. Próbuje się ulepszyć, poprawić. Usuwamy tę część nas, która nas trapi albo

nie brzmi dobrze i dodajemy coś, co nadaje nam wreszcie sens. Co jest nie tak z naszą formą i treścią? Jaką dietę powinniśmy wybrać, jakie ćwiczenia, jaką fryzurę? Jakich książek nam brakuje? Jakiej śmiałości, jakiego języka, jakiej umiejętności? Jakiego uczucia potrzebujemy? Jakiej pieśczoćy, jakiego bodźca? Jakiej kobiety, jakiego mężczyzny w naszym łóżku? Jakiego ubrania na przyjęcie? Jakiego ubrania na pogrzeb? Nikt nie wspomina już o pełnej lub częściowej żałobie. Śmierć nie wymaga już tyle, co kiedyś. Nasz ból stał się nieco lżejszy, nieco wygodniejszy. Możemy nosić dżinsy bez strachu. W końcu, co za różnica jaka krew? Tyle pytań wymaga odpowiedzi. Czy bycie rodziną oznacza posiadanie tej samej krwi? To dlaczego nasi rodzice mają różną krew? Jaki czynnik Rh da nam największe szczęście? Jaka grupa krwi naprawdę nas połączy, byśmy pili i śpiewali, wszyscy przy jednym stole? Wkrótce rozlegnie się dzwonek i profesor Bóg zabierze mój sprawdzian. Tyle pytań wymaga odpowiedzi. Wszyscy jesteśmy dopływami jednej rzeki, wierzę w to. Odgałęzieniami jednej arterii, która wiedzie do serca. Otrzymujemy delikatną misję do wykonania: stwarzać i odtwarzać siebie na nowo, cierpliwie, każdego dnia. Tylko proszę, byle nam to w głowach nie poprzewracało. Wszyscy jesteśmy rodziną.

UŚWIĘCONE RYTUAŁY

Zachowuję dystans wobec religii, ale szanuję rytuały. Domyślam się, że to wpływ ciotki Palmy. Śniadanie to dla mnie świętość. Zawsze taki sam rytuał: ta sama godzina, ta sama filiżanka, najpierw nalewam mleko, potem odpowiednią ilość esencji, kroję bułkę, wyjmuję miąższ. Kąpiel również stanowi dla mnie rytuał, co jest całkiem wygodne, gdy kąpię się pod znanym mi prysznicem. I owszem, w każdym hotelu czy nowym domu, w którym przebywam, zmieniam ceremoniał. Po prostu nieznane mi prysznice onieśmielają mnie. Najpierw muszę poznać moc strumienia i temperaturę wody. Krany to tajemnicze urządzenia. Najpierw ciepła na maksimum, a potem dodawać zimnej? Czy odwrotnie? Trzeba poczekać, aż zrobi się cieplejsza? Przekręcić mocno oba kurki? Nic się nie poradzi: przy pierwszym razie, pod nieznanym prysznicem, zawsze muszę zaadaptować mój kąpielowy rytuał.

Czy to indywidualny, czy zbiorowy, każdy rytuał oznacza łączność i współsprawstwo. Z innymi ludźmi i z życiem: mężczyzna otwiera drzwi przed kobietą, sierżant wydaje rozkaz, a żołnierz maszeruje, dzwonek dzwoni i aktor wychodzi na scenę, sędzia stuka młotkiem i rozprawa się kończy. Te gesty, czym one są? Dochodzę do wniosku, że w rytuałach zawsze jest coś despotycznego. Ale czy nie są jednocześnie wzruszające? I czy nie ma w nich piękna i poezji?

A co dopiero śluby. Nigdy nie myślałem o sobie stojącym przed kapłanem czy sędzią i odpowiadającym: „Tak”. Co oni sobie wyobrażają? Przez setki lat te same togi i sutanny, te same groźby. Jednak wymiana obrączek mnie wzrusza. Kolejna sprzeczność – te obrączki to kajdanki. Domyślam się, że to kajdanki bez kluczyków, które złagodziłyby zobowiązanie. Za to łatwe do zdjęcia. Błagam, Antonio! Mniej fantazji, proszę. Jest tylko jedna rzeczywistość: Isabel chce wziąć ślub. A ty – jaki

masz wybór? – tak, zaakceptujesz rytuały. Miłość czyni cuda.

A ryż? Oczywiście, ryż! Ciotka Palma chce, żeby tym razem jego wręczenie było częścią rytuału. Matka i ojciec się zgadzają. Tu nie chodzi tylko o te osiem kilogramów. Ten ślubny podarunek ma wagę historii. Więc nie zostanie wręczony w taki nieformalny sposób, jak to miało miejsce w Viana do Castelo. Oczywiście, ich przekonania religijne mają wpływ na to, jak widzą planowane przekazanie prezentu. Matka i ojciec, niewiarygodnie katolicy. Podobnie Alves Machados. Ta sama najlepsza wiara. Ech, ci katolicy. Ciotka Palma? Cóż, ona, jak wiemy, wierzy, że stary człowiek w chwili śmierci jest jednocześnie słoniem i modliszką. W drobnych, codziennych sprawach ufa swoim serdecznym relacjom ze świętymi. Zawsze zwraca się do nich po imieniu. „Joachim i Sebastian mnie wysłuchają. Franciszek mnie nie zawiedzie, jestem pewna. Klara da mi jutro piękną pogodę”. Nawet Matka Boska jest jej znajomą. „Maria nie jest głupia, wie, że chcemy, by wręczenie prezentu było pięknym aktem. Zainspiruje nas”. Ojciec nie pochwała takiej poufałości, gani ją za brak szacunku.

– Brak szacunku?! Daj spokój, człowieku, nie bądź takim ignorantem! Jak się zwracasz do Bożego Syna?! Nie mówisz mu po imieniu?! Nie nazywasz go Jezusem?! I czy jemu to sprawia różnicę?! Czemu innym miałyby sprawiać?! Wracaj do roboty i zostaw mnie w spokoju!

Ojciec oczywiście nie wie, co odpowiedzieć. Kłótnia wygasa i cała trójka dochodzi do porozumienia: tak, przekazanie ryżu będzie pewnego rodzaju rytuałem, ale niczym, co przypominałoby ceremonię religijną. I już.

13 czerwca 1946. Jak wyraźnie to widzę! Matka i ciotka Palma mają zaraz wejść z prezentem. Isabel i ja, senhor Avelino i dona Maria Celeste, ojciec, moja siostra i bracia zebraliśmy się już w salonie. Sebastião i jego stopy też już są na miejscu. I czują się wybornie. Powoli, przepraszając wszystkich po kolei, Leonor organizuje się tak, żeby móc siedzieć obok nich. To mały pokój, zapewnia ciepło i bliskość ciał. Podoba mi się to, miłe jest takie bycie razem.

Nagle moje myśli ulatują do Europy, gdzie bogate kraje, wydawałoby się poważne i godne szacunku, toczyły bitwy o rozmiar swoich domów. Wygodnymi sojuszami i żarliwymi przemowami wspierały absurdalny rytuał wojny. To

niewybaczalne. My – tutaj, między sobą, tak różni pod względem uzdolnień i temperamentów – stanowimy dowód, że gdy znajdzie się sposób, żeby się dopasować, wystarczy miejsca dla wszystkich. Jeśli my możemy to zrobić, to każdy kraj też. Ludzie to kraje, kraje to ludzie. Pokój to kwestia czasu. Dramatycznego czasu. Jakiś rodzaj zjednoczenia zawsze jest możliwy, jestem tego pewien.

Isabel mówi coś do mnie, ale nie słyszę. Ojciec, który jest obok niej, zgadza się z tym, co powiedziała. Oboje zauważają, że śnię na jawie. Przyznaję, te ucieczki myślami powodują, że wiele tracę. Ale to nie moja wina, taki już się urodziłem. Łąduję, gdy Isabel woła mnie i ciągnie za rękaw marynarki. Jest zirytowana moją nieobecnością. Ojciec aż tak bardzo się nie przejmuje. Dobrze, już jestem. Jestem tu, prawda? No i? Taka irytacja przez taki drobiazg. Proszę o pocałunek na zgodę. Opiera się. Proszę ponownie. Nadstawiam policzek, bo pocałunek w policzek jest zabawniejszy. Działa. Zawieramy pokój jak dzieci.

Imponujące, przyznaję. Wraz z pełnym powagi nadejściem matki i ciotki Palmy, wszystko zyskuje na znaczeniu i wytworności. Magia? Wierzę. Mały salonik zamienia się w wielką salę balową. Ojciec, prosty zarządca, odchrząkuje z elegancją i naturalnością gospodarza, który, prosząc o ciszę, stuka widelcem o kieliszek. Rozmowy milkną. Leonor ze szlachetnym wyrazem twarzy trzyma się Sebastião. Nicolau i Joaquim, jakby ich obu też dotknęła czarodziejska różdżka, wymieniają spojrzenia, niczym znudzeni arystokraci. Dona Maria Celeste dyskretnie poprawia suknię – nie przychodzi jej do głowy żaden inny ruch. To senhor Avelino nas zaskakuje. Szczęście ma wypisane na twarzy. Jemu się to wszystko naprawdę podoba. I jest wręcz wzruszony, gdy widzi słynny ryż z bliska. Isabel i ja zaczynamy rozumieć znaczenie tej chwili. To, co dzieje się z nią, dzieje się też ze mną: uśmiech, który nie daje rady ukryć zdenerwowania, spocone dłonie. I zjednoczone serca, wytrącone z rytmu, słuchające głosu ciotki Palmy.

– Isabel i Antonio, moi ukochani, ten ryż, który niemal czterdzieści lat temu podarowany został w prezencie ślubnym mojej bratowej, Marii Romanie i mojemu bratu, Josému Custòdio, teraz, zgodnie z naszym życzeniem, należy do was. Chcielibyśmy wyrazić nadzieję, że tradycja będzie kontynuowana i że cała zawarta w nim miłość zostanie przekazana przyszłym pokoleniom.

Matka zakłada okulary, żeby odczytać uaktualnioną dedykację:

Ten ryż – który wyrósł z ziemi, spadł z nieba, niczym manna na pustyni i został zebrany z kamienia – to symbol płodności i wiecznej miłości. Oto nasze błogosławieństwo.

Palma, Maria Romana i José Custódio

Santo Antonio da União, 13 czerwca 1946

Oślonięty białą tkaniną ryż, przechodzi w nasze ręce.

– Och, jest jak chmura!

Isabel i ja, jednocześnie. Zdumienie, że wypowiedzieliśmy te dziwne słowa jednym głosem. Harmonia, przypadek. Ryż już rozgrywa swoje małe sztuczki? Lepiej o tym nie myśleć.

Wszyscy klaszczą – niektórzy z ogromnym entuzjazmem, inni z mniejszym. Senhor Avelino płacze. Naprawdę. Nie wierzymy własnym oczom. Używa batystowej chusteczki z wyhaftowanymi inicjałami, żeby otrzeć łzy, które wyglądają jak nie z tego świata, niczym kryształ. Dona Maria Celeste przyznaje, że nigdy nie widziała go w takim stanie. Nikt nigdy go takim nie widział. On uważa, że to zupełnie normalne.

– Wydaję za mąż moją jedyną córkę. To naturalne, że jestem wzruszony. A nie?

– Ale to jeszcze nie jest ślub! To tylko wręczenie prezentu.

– Do twojej wiadomości, to „wręczenie prezentu”, jak to ujęłaś, znaczy dla mnie bardzo wiele!

Matka wkracza w tę cichą kłótnię.

– Proszę mi wybaczyć, senhor Avelino, ale dona Maria Celeste ma całkowitą rację. To, co dzieje się teraz w tym domu, to jest tylko wręczenie prezentu.

– Nie, to nie jest tylko wręczenie prezentu i moja żona doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Doceniam twój takt i skromność, ale jestem świadom, że biorę udział w bardzo wyjątkowej chwili w historii naszych rodzin.

Dona Maria Celeste jest wyraźnie zakłopotana. A reszta zaskoczona. We mnie

zachowanie senhora Avelino wywołuje raczej podziw niż zaskoczenie. Mój szacunek dla niego gwałtownie rośnie. Nie mrugam. Całą uwagę skupiam na nim. Całkowicie się myliłem, ten człowiek nie gra roli drugoplanowej, nigdy jej nie grał. Na miłość boską, Antonio! To główna rola i tyle! I to jak zagrana! Chcę, żeby jeszcze coś powiedział. Patrzy na ojca i matkę i zwraca się do mnie.

– Mam prośbę. Tylko nie jestem pewien, kogo powinienem zapytać. Czy ciebie, Antonio, czy Isabel.

Nikt z nas nie reaguje, czekamy na kolejne słowa. Wszyscy lądujemy na drugim planie. Senhor Avelino kradnie nam tę scenę. W gorączce występu to dopuszczalne. Nie z premedytacją, ale z inspiracji, która pochodzi z góry i potwierdza talent w tym właśnie momencie. Ciotka Palma wie to i zgadza się. A senhor Avelino rozbraja nas swoją szczerością.

– Nie wiem, czy wolno mi o to prosić, bo może kogoś urażę, ale bardzo bym chciał móc włożyć dłonie w ten ryż, który dostaje moja córka. A przynajmniej chciałbym go zobaczyć.

Cisza. Kto podejmie inicjatywę, by zgodzić się lub odmówić tej niezwyklej prośbie? Nie ja. Ani Isabel, jest zbyt nieśmiała. Ojciec i matka patrzą na siebie z bierną obawą. Ciotka Palma, oczywiście, zwierzę z duszą, jest tą, która rozumie instynkty i emocje. Ze swojego miejsca udziela pełnej słodczy zgody.

– Isabel, proszę, pokaż prezent swojemu ojcu.

Isabel niezbyt zręcznie rozwiązuje kokardę i otwiera worek, żeby można było zobaczyć ryż. Doni Marii Celeste zupełnie nie podoba się ta scena. Lecz senhor Avelino zna rolę, którą ma odegrać, wie, że ma podejść bliżej. I robi to. Zbliża się. I zagląda do środka. I wsuwa dłonie w ryż. A potem je wyjmuję. Po czym wsuwa je po raz drugi, nabierając tyle ryżu, ile zdoła. Pozwala mu się przesypać i powtarza ten gest. Gest, który oznacza obfitość. Jest człowiekiem ziemi, wie, jak postępować z tym, co z niej wyrosło. Zaspokojony, strząsa kilka ziarenek, które pozostały w zaimprovizowanym czerpaku. Jak mały chłopiec zaprasza żonę, by doświadczyła tego samego. Ciotka Palma i matka zachęcają ją, lecz odmawia w tak uprzejmy i formalny sposób, że niemożliwym jest, by nalegać. Senhor Avelino nie przejmuje się jej odmową. Zwraca się do Isabel, przykłada swą wciąż pachnącą ryżem dłoń do

jej brzucha i błogosławi go.

– Jestem pewien, że ten ryż zapewni ci dzieci! Piękne dzieci!

Dona Maria Celeste mówi, że źle się czuje, przeprasza i schodzi ze sceny. Nie czujemy się urażeni. Rozumiemy jej powody. Rodzina to trudne danie do przygotowania. Senhor Avelino obejmuje mnie mocno i długo trzyma w uścisku. Poddaję się temu. Przejmuję inicjatywę, całując go w policzek. Odpowiada tym samym, dając zaczątek naszej przyjaźni. Mówi, że będzie na nas czekał. I wychodzi. I co dalej? Nie mogę znaleźć tego dalej w swojej pamięci. Jest tam gdzieś, w jakimś kącie.

Ach, tak! Z podpisami w niewiarygodnie grubych księgach, w obliczu księdza, sędziego i świadków, zostajemy z Isabel oficjalnie mężem i żoną o jedenastej rano w kaplicy majątku Alves Machadów. Składamy wszelkie możliwe przysięgi i wymieniamy się obrączkami. Lecz dla mnie uświęcony rytuał małżeński odbył się wcześniej nad małym jeziorem. Z dwoma garściami ryżu i strużką krwi. „Dona” Isabel się nie zgadza. Kto to słyszał!

PIERWSZA NOC

Zycie jest jak kalejdoskop. Nie ma sensu go powoli obracać. Po co się starać? Gdy najmniej się tego spodziewamy, kawałki szkła wpadają jedno na drugie, by uformować nieprzewidywalny wzór. Dobrze jest to, że nowy obrazek sprawia, że zapominamy o starym. Zawsze. Przesadzam?

Isabel nie chce teraz tego słuchać, tych tanich filozofii. Jest zmęczona podróżą. Potrzebuje gorącej kąpieli, jedzenia i snu. Jeśli o mnie chodzi, niech życie obraca się, jak chce. Jutro będzie ciężki dzień. Moja żona nie wie nawet, od czego zacząć. Powinienem wcześniej położyć się spać, żeby rano być gotowym jej grzecznie i sprawnie pomóc.

– Isabel?

– O co chodzi, Antonio?

– Dlaczego mówisz do mnie tak, jakbyśmy byli małżeństwem od pięćdziesięciu lat?

Udaje mi się czuły ton. Isabel żałuje swojego zachowania, niecierpliwości, tonu głosu. Staje się inną osobą. To szczerza zmiana. Podchodzi do mnie, zmęczona, słodka. Całuje mnie w usta. Długi pocałunek niezmierzonej miłości. Tego właśnie chcę. Korzystam z okazji. Czy to nie jest nasza pierwsza noc, nasze „nareszcie sami”? Ma zamknięte oczy, kiwa głową. Kolejny pocałunek. Zatopieni. Zatraceni. A potem wypływamy na powierzchnię i łapiemy powietrze.

– Odłóż kąpiel na później. Połóżmy się na chwilkę. Tak bardzo cię kocham.

Czy ona chce? Jeśli to kwestia woli, to tak, wiem, że chce. Ale nie w ten sposób. Lepiej przerwać pocałunki, uspokoić dłonie. Łóżko niepościelone. Pościel w którejś

ze skrzyń. Ale której? Będziemy też musieli znaleźć poduszki. Czy to nie był mój pomysł, żeby zostawić rozpakowywanie po przeprowadzce na czas po ślubie? Mój – i co? A to, że ona, Isabel, potrzebuje chociaż odrobiny porządku. Ja nie. Jeśli o mnie chodzi, to wszystko mogłoby pozostać tak, jak jest. Nie chcę, żeby nasz miesiąc miodowy zaczął się w taki sposób – bez impulsywności, bez romantyczności, bez poezji. Kłopotliwe – ja jestem kłopotliwy. Isabel tego nie kupuje. Kończy się na tym, że się z nią zgadzam. Nie można być romantycznym dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli pragnę poezji, powinienem zacząć szukać talerzy i sztućców, znaleźć filiżanki, nakryć stół dla dwojga. Pamięta, gdzie są świeczniki. Paczka świeczek leży na górnej półce kuchennej szafki. Isabel obiecuje, że po kąpielu zrobi mały, pyszny posiłek z tego, co przyjechało z fazendy. A potem poświęca się i odszukuje pościel, ścieli łóżko. To uważa za romantyczne. Nie goły materac i nas dwoje, w ubraniach, wyciągniętych na nim byle jak, pośpiesznie rozpinających guziki, bez żadnej tajemnicy, bez odrobiny troski. Gdzie w tym poezja? Domaga się odpowiedzi. Instynkt, pożądanie, nieujarzmiona namiętność, być może. Ale gdzie poezja?!

– Masz rację, masz rację. Przekonałaś mnie. To idź, weź kąpiel, a ja zrobię, co moja pani mi kazała.

Isabel uśmiecha się triumfalnie. Wszystko, albo niemal wszystko, kończy się tak, jak ona chce. I to w zamierzonym porządku: kąpiel, nakrycie stołu, obrus i tak dalej, świece, przezornie przygotowane czerwone wino, dobry domowy posiłek i nawet deser. Porządnie pościelone łóżko, na nim my dwoje, komfort. Czy teraz dobrze? Teraz dostrzegasz poezję? Romantyczność? To wróćmy do sceny z pocałunkami. Nie, nie całus na dobranoc. Och, ja się do niczego nie nadaję? Wiem. Znam moją panią doskonale. Przestań. Nie przestanę. „Dona” Isabel. Dalej, powiedz to jeszcze raz. Ja się do niczego nie nadaję? Śmiech. Głupie prowokacje, które pobudzają ciało. Ktoś pamięta o wielogodzinnej podróży, o zmęczeniu, o senności, która nie ustępuje? Czy ktoś zwraca uwagę na zegar i na to, co mają do powiedzenia dłonie? Lepiej kontynuować pocałunki, niech ręce robią, co chcą i niech myślą, że to one same tego chcą. Tak bardzo cię kocham. Też cię kocham. Zatracamy się.

OŁÓWEK ZA UCHEM

Nie chcę wstawać. Dobrze jest tak, w nieładzie, wiercić się w łóżku, zaplątani w pościel, z nosem w poduszce. Antonio, jest dziesięć po dziesiątej! Wpół do jedenastej! Jeszcze chwileczkę. Dalej, wstawaj. Isabel otwiera okno. Jasność przeraża mnie i boli. Płaczę, ale ona mnie nie słyszy. Nowożeńcy są jak noworodki. Doświadczony noworodek wie, jak płakać cicho. Mam mocno zaciśnięte oczy – tylko jedno odważa się uchylić odrobinę, by sprawdzić, jak bardzo jasność boli. Bardzo boli. Naprawdę lepiej wrócić do ciemności. Isabel słyszy skargę – wie, że to nie jest tylko marudzenie. Nie zamyka okna, bo dzień to obowiązek. Ale podchodzi, siada na łóżku obok mnie. Gładzi mnie po głowie, ogrzewa. Wyczuwa, że żona i matka to niemal to samo. Mówi, że jestem bardzo przystojny, taki wyciągnięty, z narzuconym prześcieradłem, w piżamie pachnącej małym chłopcem, bosy, z rozczochranymi włosami, dziecięcym lenistwem. Mów dalej, Isabel. Mów dalej. Ona mówi, a mnie to podnieca. Więc wyciągam się jeszcze bardziej, na całą długość. Isabel podoba się to, co widzi. Jestem zwierzęciem, szczeniakiem, który potrzebuje opieki. Woła mnie, a ja idę. Prosi, ja słucham i kładę głowę na jej kolanach. W szczególny sposób. Odważniejszy. Jako dziecko mogę to, czego dorosły nawet by sobie nie wyobraził. Dobra zabawa. Zgadza się i wymyśla dalej. Nagle zmiana sceny. Isabel mnie zaskakuje. Lubię improwizację. Teraz – kazirodcza matka – zakrywa całe moje ciało, chroni mnie. Żadne światło mnie teraz nie zrani. Żadne – obiecuje. Ja: odważny chłopczyk. Ona: dodaje mi odwagi, pociesza mnie. Kołysanka bez słów. Zasypiamy, małżeńska kołyska.

Gdy wstaję z łóżka, uświadamiam to sobie. Och, racja, o to chodzi, Isabel tu nie ma. Isabel to dźwięk naczyń w kuchni, konkretna nieobecność. Poddaję się, jestem

nawet szczęśliwy. Wieczność potrafi być czasem męcząca. Powrót do tego, co skończone jest zawsze zdrowy. Ale powrót bez strachu przed codziennym młynem. Powrót z gotowością na to, co może nastąpić: miła niespodzianka, złe wieści, triumf, porażka, niemrawość albo wstrząs, brak perspektyw albo nagły zwrot, irytacja, przyjemność, rozmowa i kontemplacja, troski, zmartwienia. Wszystko skończone, trwające tylko tyle, ile trwa. Spuszczam wodę w toalecie, myję ręce i twarz, szczotkuję zęby. Isabel, gdziekolwiek jest, wie, że ja też jestem dźwiękami.

Gdy spotykamy się znowu w pełni, jest niemal pierwsza po południu. Minęło ponad pół dnia. A tyle trzeba zaplanować i zrobić. Najlepiej najpierw zjeść. Jutro już środa. Zobaczymy, co się uda. Przynajmniej górne piętro musi być gotowe do niedzieli. Stoły i krzesła do restauracji na dole przywiozą w poniedziałek. Wątpię, byśmy zdołali przyjąć jakichś gości przed dwudziestym.

Rozumiem troski Isabel, ale wiem też, jakie mam moce przerobowe. Przyjechałem do Rio de Janeiro pięć lat temu. Jakby to było wczoraj, jakby minęło całe życie – zależy od perspektywy. Mieszkałem w małym pensjonacie w Lapa, zacząłem w Colombo jako pomocnik kucharza i awansowałem na szefa kuchni w mniej niż rok. Oszczędziłem trochę pieniędzy. Grosz do grosza. Zaraz potem udało mi się zorganizować przyjazd Nicolau i Joaquina do stolicy do pracy, która już na nich czekała w tym samym lokalu. Są odpowiedzialni, pracowici – dobrze sobie poradzili. Ale usatkwowali się. I są zadowoleni. Nie osądzam ich. Każdy z nas zajmuje się sobą. Choć proponowałem, żeby przyjechali i pracowali ze mną, że otworzymy ten biznes razem. Nie musieli nic inwestować, tylko pracować. Obaj odmówili. Obaj! Pracować dla brata?! Oburzyli się nawet. Poczuliby się dotknięci. Wyjaśniłem, że nie byłiby pracownikami. Byliby wspólnikami. Nie mogli zrozumieć albo nie chcieli, kto wie. Cóż zrobić? Życie toczy się dalej. Zostali w Colombo, jeden z nich za ladą z deserami, a drugi obsługując stoliki. Trudno w to uwierzyć. Byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy wszyscy wsiedli na ten sam statek. Jakby się rodzice ucieszyli. I ciotka Palma, wyobrażacie sobie, jaka byłaby szczęśliwa?

Isabel wysłuchuje moich żalów, ale w głębi duszy uważa, że tak właśnie jest dobrze. Każdy na swoim. Ona wie, że jesteśmy różni. Wielka przyjaźń, ale brak bliskości. Oni tacy cygańscy. Ja z książkami. Gdy mieszkałem jeszcze

w pensjonacie, czy kiedykolwiek wytrzymałem z którymś z nich? Nie. Cóż. Ile razy mówiłem, że oni zawsze wracają do domu nad ranem i budzą mnie swoimi hałasami? No ile razy?

Wiele, przyznaję. Szczerze mówiąc, to było piekło. Ale są moimi braćmi i lubię ich. Są zabawni, uczuciowi. A ja też mam swoje wady. Muszą uważać mnie za straszego nudziarza, aroganta i oportunistę, który za wszelką cenę chce się w życiu wybić. Zastanawiam się, czemu tak musi być? Pamiętam historię o małych gałązkach na podpałkę, które oddzielnie bardzo łatwo złamać, ale razem tworzą niezwykle mocną wiązkę. Ciotka Palma opowiedziała mi całą tę historię ze szczegółami. Byłem taki podekscytowany i chciałem być gałązką, chciałem, żeby moi bracia też nimi byli, chciałem, żebyśmy zmienili się w taką niezniszczalną wiązkę. A potem, nagle, zdecydowałem, że przestaliśmy być gałązkami. Zostaliśmy muszkietierami francuskiego króla. Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich. Trzech muszkietierów, których było czterech. Idealnie. Leonor, mała i okrągła, była Portosem. Nicolau i Joaquim Atosem i Aramisem. A ja – oczywiście – D'Artagnanem. Najbardziej bezczelnym, nieustraszonym, najprzystojniejszym – wszystkim, czym nie byłem.

Rodzina to moja słabość, nic się na to nie poradzi. Isabel próbuje z innej strony. Odwołuje się do mojego profesjonalizmu, wie, że w tej sferze czuję się bezpiecznie. Przyznaje, że obaj są uczciwi, że jest między nami absolutne zaufanie. Ale żeby przechodzić od tego do bycia współnikami? Byłem wobec nich hojny, zrobiłem co mogłem, zapewnia mnie. Nie ma powodu się tym zadręczać. W zeszłym roku byłem już głównym szefem, nieustannie doskonalić się po pracy. I nie otrzymując za to ani grosza. Głównym szefem w Colombo! W zaledwie cztery lata! Czy zwolniłem? Czy się cały nadałem? Nie, wręcz przeciwnie. Zamieniłem pewność na niepewność. Postanowiłem podjąć ryzyko, odejść i otworzyć swoją własną restaurację. A z drugiej strony oni, wcale nie starający się doskonalić, żadnego postępu, żadnych ambicji. Są szczęśliwi i to się liczy. Nic nie zmieni tego, że są moimi przyjaciółmi, absolutnie nic. Może nawet staną się nam przez to bliżsi, jak będą nas odwiedzać. A zresztą, kto ma współnika, ten ma pana. Wydamy więcej, zatrudniając dwóch pomocników, to jasne. Ale w zamian zyski będą tylko nasze. I straty też – śmieje się

Isabel.

Isabel promienieje – takie światło mnie nie boli. Wręcz przeciwnie, zaprasza mnie. Obejmujemy się. Wszystko się ułoży. Wybraliśmy dom w centrum miasta, zamiast podróży do Portugalii. Nie żałujemy. Ona tego chciała i ja tego chciałem. Jej rodzice pobłogosławili nasz wybór. Uznali, że jest słuszny i dojrzały. Najpierw niezależność. Podróże mogą poczekać. I wcale nie chodzi o to, żeby wyjąć ołówek zza ucha i poślinić jego czubek językiem. Nie, zdecydowanie nie. Dobrobyt to nie jest kwestia prowadzenia ścisłego rejestru. To raczej budzenie się wcześniej, nawet jeśli masz swoją miłość obok siebie, jestem o tym przekonany. To wyjmowanie mleka, mąki, jajek i wkładanie rąk do ciasta. Dosyć. Zajmijmy się życiem. Temat zamknięty. Zaczniemy nowy rozdział.

Z POWROTEM W WIEKU OSIEMDZIESIĘCIU OŚMIU LAT

Gdyby ktoś mnie zapytał, nie umiałbym odpowiedzieć, co jadłem wczoraj na obiad. Ale potrafię odtworzyć całe rozmowy z mojej młodości, gdy fazenda należała wciąż do senhora Avelino, a ja nadal mieszkalem w domku na dole z ciotką Palmą, rodzicami, braćmi i siostrą. To zabawne – weź tu zrozum. Stare wspomnienia? Ostre, idealne, pełne najdrobniejszych szczegółów, zapachów, a nawet dźwięków. W tym wspomnienia przodków, których ja sam nie doświadczyłem, historie z Portugalii, które mi opowiadano: wszystkie tu są, wszystkie wyuczone na pamięć. Ostatnie wydarzenia? Biedactwa. Trzymają się mnie jak mogą. Są jak postaci z filmów, wyraz przerażenia na twarzy, palce zaciskające się na krawędzi budynku. Spadają prawie wszystkie. Co gorsza: spadają na oczach kogoś, kto patrzy na nich z góry bez krzty litości. Zostaje tylko coś przypadkowego, to prawda. Nieco rozmazane, niedokładne, wdzięczne za dłoń wyciągniętą przez ratującego je mózg. Żadnych kryteriów selekcji. Umysł zachowuje bzdury. A rzeczy ważne odrzuca. Przekaz jest wyraźny i głośny: przestań zbierać drobne wspomnienia ze swojej ziemskiej podróży. Co masz zamiar zrobić z tym całym śmieciem? Co więcej, wraz z upływem lat, mknących lub wlokących się, nie ma na świecie tak wielkiej kwoty, by można opłacić cały ten nadbagaż. Ja, Antonio, doskonale rozumiem argumenty. Przyjmuję je bez zastrzeżeń. Zabiorę ze sobą tylko to, co przepuści urząd celny umysłu.

W wieku osiemdziesięciu ośmiu lat potrafię szaleć, ku radości mego serca. Szaleństwo, to jest coś, na co mózg pozwala, wręcz zachęca. Bóg Niebieski uważa,

że to zabawne. Żyzna wyobraźnia, fantastyczny realizm: cenne dary od starców i dzieci. Dobrze jest być wiekowym dzieckiem, uczyć się od nowa, jak tworzyć historie i szybko je zapominać, jak karmić marzenia, nie trzymać się uraz czy pochwał, nie zatrzymywać się nad niczym, co trwa dłużej niż jeden dzień.

Wiek osiemdziesięciu ośmiu lat daje mi prawo żyć dzisiaj tak, jakby to była pierwsza strona nowego, starannie obłożonego zeszytu. Atrament do wiecznego pióra gotowy. Królewski granat, spieralny. Na górze temat, nazwa szkoły idealną kursywą. Pragnienie, by to zachować, krągłość, kaligraficzność, pięknie przekreślone „t”, aż do ostatniej linijki na ostatniej stronie. Nigdy niespełnione pragnienie. Życie to nauczyciel, który szybko dyktuje. Nie czeka. Możesz potrząsać ramieniem, które zasnęło, możesz prosić, by zwolnił. Nie słyszy cię, nic go to nie obchodzi. Wyznacza tempo. Goń, kto tylko potrafi. A więc nasze ludzkie, dziecięce bazgroły pojawiają się wcześniej. Wzruszam ramionami. Mam osiemdziesiąt osiem lat. Jutro zacznę nowy zeszyt. Zastanawiam się, czy w dzisiejszych szkołach wciąż każą zapisywać temat każdej lekcji i każdą pracę domową? Muszę spytać Bernardo.

Nie chcę cię w kuchni. Isabel – proszę. To nic takiego. To dlatego, że chodzisz w tę i z powrotem. Wkładasz ręce, próbujesz, wydajesz opinie. Wchodzisz mi w drogę. To mnie doprowadza do szału, nie chcę tego. Ani ciebie, ani nikogo innego. Pozwól mi się wszystkim zająć. Tyle lat w restauracji, szef kuchni, który dostał mnóstwo nagród, czy to nie wystarczy? W podeszłym wieku? Nonsens. Porzuć ten żalony eufemizm. Jestem stary i tyle. Wiem, nie musisz przypominać, wzrok i tak już mam słaby, nogi też, i refleks. Ale poczekaj, nie jestem jeszcze całkiem zramolały. Wciąż mam siłę w rękach. Chyba potrafię zamieszać w garnku. Albo w czterech garnkach naraz, tak. Możesz spokojnie założyć, że się nie podpalę. Ani nie spalę jedzenia. Dalej, wychodź – raz dwa. Tylko najpierw daj buziaka. I kolejnego. Z takim grymasem to się nie liczy. Teraz dobrze. Niezłe z ciebie ziółko, wiesz? A ze mnie uciążliwy, zepsuty starzec, masz rację. Rozpuścili mnie, jak byłem dzieckiem? Nieprawda. To twoja wina, to ty ze mną wytrzymujesz. Isabel, jak mnie tak przytulasz, to na pewno coś tu zepsuję. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Isabel całuje mnie w kark i odprzytula.

– Odprzytula? Skąd ty to wytrzasnąłeś?!

Głupi śmiech.

– Jeśli będę czegoś potrzebować, zawołam cię. Obiecuję. Ach, kochanie! Sprawdź ustawienie stołów i krzeseł na zewnątrz, zacznij szykować to przyjęcie. Jesteś w tym znakomita. I wybierz też, proszę, obrusy.

Isabel patrzy na mnie od progu. Jakbym był małym chłopcem albo jakbym był starym mężczyzną? Zna moje szelmstwa, moje humory, moje słabostki. Towarzyszka mojej podróży. Co się ze mną stanie? Lepiej o tym nie myśleć. Trudno mi to sobie nawet wyobrazić. Chcę pierwszy opuścić ten świat. Złości się, nawet nie chce tego rozważać. Jeśli Bóg Niebieski bierze pod uwagę zasługi, jestem ugotowany: ona pójdzie, a ja zostanę. Moja jedyna nadzieja w tym, że kryteria do bycia powołanym są inne. Zgodnie z alfabetem, byłoby według mnie sprawiedliwie.

Isabel podejrzewa, że właśnie odlatuję myślami. Sprowadza mnie na ziemię. Pyta o talerze. Sugeruje zestaw Vista Alegre, który należał kiedyś do Marii Celeste. Doskonały pomysł. Odpowiedni na tę okazję. To kompletny zestaw, z mnóstwem elementów. Wiem, biorąc pod uwagę jego rozmiar, że na pewno niczego nie zabraknie.

Sypialnie są już wszystkie przygotowane. Przypuszczam, że większość osób zostanie na noc. Będziemy musieli rozłożyć materace we wszystkich pokojach. Mnóstwo ludzi. Nie ma problemu. Matka zawsze powtarzała, że jeśli tylko da się zamknąć drzwi, wszędzie można urządzić sypialnię.

Skupiam się z powrotem na przygotowaniu obiadu. Skupiam się? Potrafię? Muszę tylko odkręcić kran w zlewie i już. Już idę z ciotką Palmą do mojego zeszytu pełnego przepisów. To ten pierwszy, w twardej oprawie, ten, w którym je zapisywała, a nawet ilustrowała wycinkami z gazet. Jakby pisała do mnie listy, jakby ze mną rozmawiała.

RYŻ Z SOCZEWICĄ (PRZYGOTOWYWAĆ Z POŚWIĘCENIEM)

2 filiżanki ryżu

2 filiżanki białego wina (wyłącznie wytrawnego)

2 filiżanki wody

1 cebula (niezbyt duża)

½ filiżanki soczewicy

sól do smaku

Antonio, mój drogi, wypłucz soczewicę pod bieżącą wodą, recytując: „Słodkie pnącze – liście jak skrzydła i kwiecie fioletowe/ Słodkie pnącze/ Już nie w dole, lecz na górze/ Tuliszą się do słońca./ Przynosisz szczęście, zdrowie i przyjaźń./ Jesteś miłością, prawdziwą pasją”. Potem weź trzy głębokie oddechy, za każdym razem wypuszczając całe powietrze ustami. Pozwól ciału poczuć dobroczynny efekt. Wsyp soczewicę do dużego garnka z dużą ilością osolonej wody. Postaw na ogniu, aż zaczną wrzeć. Gdy zaczną się gotować, zmniejsz ogień i zostaw tak długo, aż ziarno zmięknie.

Odcedź wodę. A gdy będzie odpływać, powiedz pewnym głosem: „Słony, gorący strumieniu/ życiem rojny/ dąż tą drogą wraz z płodną połowicą”.

Wsyp soczewicę do miski i odstaw.

Posiekaj cebulę (to nie jest niezbędne, ale jeśli od tego zapłaczesz, to dobrze, bo oczyścisz się naturalnymi łzami, które nie pochodzą ani z radości, ani ze smutku). Wrzuć na patelnię z olejem i podsmaż. Dodaj soli.

Przepłucz ryż pod bieżącą wodą, recytując: „Maleńkie kwietne grona/ Sześć jedwabistych pręcików/ Przędza szczęśliwego żywota./ Z wdzięcznością przyjmuję wasze błogosławieństwa i obfitość/ Wdzięczny za owoce cierpliwej nauki”.

Potem weź trzy głębokie wdechy, za każdym razem wypuszczając całe powietrze ustami. I znów pozwól ciału poczuć dobroczynny efekt. Dodaj ryż do podsmażonej cebuli i dokładnie wymieszaj. Potrzymaj przez chwilę na ogniu. A potem dodaj wina i wody (z namaszczeniem kapłana celebrującego mszę) i gotuj, aż zrobi się gładki i sypki. Zdejmij ryż z ognia i wymieszaj z soczewicą. Gdy będziesz je mieszać, recytuj i powtarzaj: „Tak się czyni zdrowie i pokój”.

Uważaj, Antonio, bo mało jest osób, które potrafią zrobić ten ryż tak, jak trzeba. Nie dlatego, że to trudne, bo wcale nie jest. Tylko z powodu poświęcenia, jakiego wymaga jego przygotowanie.

– Antonio, czy możesz mi szybko pomóc?

Głos Isabel z salonu wpada do kuchni, dociera do moich uszu i sprowadza mnie znowu do wieku osiemdziesięciu ośmiu lat.

– Już chwileczkę! Idę!

NUNO I ROSÁRIO

W dawnych czasach było dziewięć miesięcy oczekiwania, a potem dwie nowiny jednocześnie: narodziny oraz płeć dziecka. Nie było tej całej ultrasonografii, tylko dwie drużyny zapalonych kibiców, odpowiednio niebieskich i różowych. Były bardziej zaokrąglone i bardziej szpiczaste kształty brzuchów, które rzekomo o czymś świadczyły. Poznałem nowo narodzonego chłopca, który był cały ubrany na różowo, bo jego matka była święcie przekonana, że urodzi dziewczynkę. Gdy dowiadujemy się o narodzinach dziecka, natychmiast chcemy wiedzieć, czy to dziewczynka czy chłopiec. Czy jest wszystko, jak trzeba, tego dowiadujemy się później.

Właśnie mam przyjść na świat. Kibice podzielili się na dwa obozy. Matka opowiada się za różowym. Ojciec i ciotka Palma, po raz pierwszy w życiu po tej samej stronie, pragną niebieskiego. Matka, wciąż mocno spocona, ale już uspokojona po bólu i emocjach porodu, zamiera, zaciska mocno oczy, spodziewając się najgorszego i skacze na głęboką wodę:

– Czy to dziewczynka?

Ciotka Palma, która nie śmie odpowiedzieć wprost, przysuwa czubek palca wskazującego do kciuka.

– Prawie. O mało co.

Żart działa. Choć rozczarowana, matka uważa, że to zabawne. Naprawdę chce, żebym do niej przylgnął, chce mnie poczuć i wylizać. Obiecuje, że następnym razem skompletuje parkę. Może sobie robić, co chce. Ja jestem zachwycony tymi paroma centymetrami, które dostałem w bonusie. Obracam się w kołysce, umiem już usiąść,

raczkować, chodzić i biegać! A potem – też dobrze – wracam do chodzenia bez przymusu biegania. Mam dziewczynę, zaręczamy się i poślubiam Isabel. Teraz moja kolej, by odpowiedzieć na nieuniknione pytanie, gdy Isabel mówi:

– Wolałbyś chłopca czy dziewczynkę?

– Naprawdę muszę odpowiadać? W takim razie zacznę od imienia. Chłopcu damy Nuno.

– Nuno?! Czemu Nuno?! Skąd taki pomysł?!

– Z opowieści ciotki Palmy. Poskarż się jej, to ona mnie mu przedstawiła. Dom Nuno Álvares Pereira, wielki konstabl portugalskiej armii. Geniusz. Strateg wojskowy. Lepszy od Napoleona, lepszy od Wellingtona. O wiele. 14 sierpnia 1385 roku pod Aljubarrotą na czele sześćtysięcznej armii pokonał trzydziestotysięczne oddziały kastylijskie. Król João zaliczał go do swoich najwierniejszych przyjaciół. To właśnie dom Nuno osadził go na tronie i zapewnił Portugalii niepodległość.

Isabel, która nosi imię po kastylijskiej królowej, mówi, że nie chce słyszeć żadnych szczegółów. Zgadza się na mój wybór. Nawet jej się podoba. Nuno. Imię z charakterem. Ale nie marnuje czasu i przystępuje do ataku. Ona chce dziewczynkę. Nie ma imienia. Woli poczekać i zobaczyć, w dzień jakiej świętej patronki się urodzi. Składa obietnice wszystkim świętym, odmawia nowenny i różaniec. Córka. O ileż posłuszniejsza, zabawniejsza, bardziej towarzyska, o ileż...

– Doskonale, w takim razie się zgadzamy. Ja zostanę przy Nuno. Jeśli to dziewczynka, ty wybierzesz imię. Czy też raczej wybierze je „Almanach Świętego Serca Jezusowego”.

7 listopada 1948 roku. Mieszam w garnku. Pogwizduję. Życie jest dobre. Gulasz z piżmianu prawie gotowy. Isabel, z olbrzymim brzuchem, jest tuż obok, szydełkuje kolejne buciki. Nie znudziło jej się jeszcze? Nagle odkłada robótkę i przywołuje mnie do siebie.

– Antonio!

– Jeszcze momencik, kochanie. Już tylko nakryję do stołu.

Isabel czuje kolejny skurcz. I następny, jeszcze silniejszy. Głęboko wciąga powietrze. A ja stoję tam, pochylony nad kuchenką. Skąd mogłem wiedzieć?

– Antonio, myślę, że już czas.

– Jeszcze nie, skarbie. Już prawie. Jak tylko będzie gotowe, dam ci znać.

Skurcz za skurczem. Niemal bez przerwy. Isabel, przytrzymująca się dziecka, żeby nie upaść, przychodzi do kuchni. Berbeciowi się śpieszy.

– Antonio...

– Gotowe, gotowe! Już gotowe!

Obiad na stole. Będzie przepyszny, założę się. Z triumfem odwracam się do Isabel, która, stojąc przede mną, czuje gwałtowne ukłucie. Zdąza opaść na najbliższe krzesło. Dziecko może wypaść na podłogę w każdej chwili. Jej twarz jest pełna bólu. Bólu przez wielkie B. Ale to dobry ból, ona to wie. Nie spodziewałem się tego. Akurat teraz, z pyszną potrawą dymiącą na stole! Tracę głowę. Nie. Nie jest tak źle. Zdejmuję fartuch. Muszę coś wymyślić i to szybko. Wiem!

– Zadzwońię do doktora Humberto. Nie, lepiej nie. Pojedziemy od razu do szpitala.

– Tak, jedźmy od razu do szpitala.

Podchodzę do Isabel. Gładzę ją po brzuchu.

– Wszystko w porządku?

– Tak. To skurcze.

– Nie denerwuj się. Ja się nie denerwuję.

Wracam do garnka. Nakładam na talerz. Isabel, nic nie rozumiejąc, czuje kolejne skurcze. Jako mąż zapewniam jej wszelkie wsparcie. To mój obowiązek, będę wspinałym ojcem, bez wątpienia.

– Nie ma powodu się denerwować. Dziecko wkrótce się urodzi. I będzie po wszystkim. A ty musisz dobrze się odżywiać, żeby odzyskać siły.

– Ale ja nie jestem chora.

– Wiem, że nie.

– Antonio, dla kogo ten talerz?

– Ten? Skąd mam, do diabła, wiedzieć?

– W takim razie odłóż go i przynieś mi moje rzeczy z sypialni.

Kocham Isabel. Co za spokój. Co za opanowanie. Jak ona to robi? Odstawiam

talerz tuż obok garnka. Próbuje rozszyfrować polecenie, które mi wydała.

– Twoje rzeczy...

– Tak, są w sypialni. Walizka jest już spakowana, pamiętasz? Po prostu wyjmij ją z szafy.

Isabel opuszcza głowę. Zastanawiam się, czemu to robi. Może tak jest lepiej, jak się opuści głowę? To dlatego? Może żeby nawodnić mózg. Jakaś medyczna porada. A może to jakiś poważny objaw? Lepiej, żebym nie szedł po walizkę do szafy. Lepiej, jak zostanę blisko, potrzymam ją za rękę. Klękam przed nią. Delikatnie klepię ją po twarzy.

– Przepraszam, kochanie. Nie denerwuj się. I nie ruszaj się, na litość boską!

– Antonio, ja się mogę ruszać. Nic sobie nie złamałam. Ja tylko rodzę dziecko. I tyle.

– Oczywiście. Tylko dziecko. Masz rację.

– Czy mógłbyś przynieść tę walizkę, proszę? Bardzo mnie boli. Jeśli będziemy się guzdrać, dziecko urodzi się tutaj.

– Dziecko urodzi się tutaj?! Na miłość boską – nie! Tylko nie to!

Wybiegam. Teraz i ja czuję skurcze. Są niewiarygodnie mocne. Ale muszę wytrzymać. Skoro ona może je znieść, to i ja potrafię. Jestem mężczyzną czy nie? Mogę iść do toalety? Nie. Nie ma czasu. Dziecko miałoby się urodzić tutaj? Och, pomóż mi, Święta Boża Rodzicielko. W takich chwilach zwracam się do niej. Muszę przejść cały korytarz, dojść do pokoju, otworzyć szafę i wyjąć walizkę. To wszystko. Proste. Każdy mógłby uczynić tę drobną przysługę bez najmniejszych trudności. Każdy?

– Skarbie, chodź tu szybko, pomóż mi, nie mogę znaleźć walizki.

Isabel w końcu udaje się dowieźć mnie bezpiecznie do szpitala. Taksówkarz też jest wobec mnie troskliwy. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Daję mu dobry napiwek. Mówi, że nie trzeba, żebym się nie wygłupiał. Nonsens, upieram się. Zwijam pieniądze i wsuwam mu do kieszeni koszuli, takiej z krótkim rękawem. Przyjmuje je, oczywiście. Przeczuwa, że będę hojny. Sprawdzi potem, gdy zostanie sam w aucie, i przekona się, że intuicja go nie zawiodła.

I oto jestem, z walizką i kilkoma torbami, pozostawiony w poczekalni, podczas gdy Isabel natychmiast położono na noszach i zabrano pędem korytarzem. Isabel znikła. Przez jakiś czas patrzę w tamtym kierunku. Nagle mrugam. Wracam na ziemię. Coś ląduje razem ze mną. Co to może być? Wypełniam kartę, dostaję klucz, zanoszę walizkę i torby do pokoju, który jest przestronny i wygodny. Stwierdzam, że podoba mi się szpital São José. Dobrze, że tu przyjechaliśmy. Zdenerwowanie mi przeszło i już nie wróci. Ożywiam się trochę. Docieram do drzwi sali porodowej i nie mogę pójść dalej. Ani nawet zajrzeć. Nic. Czy oni wszyscy posnęli – Isabel, lekarz, położne? Na plakacie pielęgniarka gestem nakazująca ciszę. Jest taka potrzeba? Nie ma tu żywej duszy. Godziny się wloką, choć nie czekam nawet dwudziestu minut. Lepiej wrócę do pokoju. Posłucham swojej własnej rady. Idę. Czekam na małym balkoniku z widokiem na ogród na dziedzińcu. Czuję spokój niemal w zasięgu ręki – zaczynam się uspokajać, już jest mi bardzo dobrze. Dwie synogarlice siadają obok siebie niedaleko mnie. Przeskakują wzdłuż parapetu, chcąc mi się przyjrzeć, bezczelne istoty. Są śliczne. Nie ruszam się, żeby ich nie spłoszyć. Jak długo ze mną zostaną? Kogo symbolizują? Isabel i mnie? To byłoby zbyt oczywiste. Ich obecność ma inne znaczenie. Nie są przodkami, jestem tego pewien. Jakąś parą, którą znam? Na pewno nie. Rozpoznaję to po spojrzeniu, jakim patrzą – patrzą na siebie przyjaźnie. Dziecięca, czysta przyjaźń, bez złośliwości. To nie są dorośli. To dzieci. A przynajmniej tak się zachowują. Są tu z jakiegoś powodu, założę się.

– No to czego wy dwoje chcecie, co?

Chyba bawi je ciekawość, jaką we mnie wzbudziły. Odwracają głowy i patrzą na mnie bokiem. Ale ty jesteś głupi – mówi jeden ptak. Bardzo głupi – zgadza się drugi. Liczy się tylko rozmiar. Mężczyźni tacy są, stoi sobie taki z brodą i myśli, że jest świętym Franciszkiem. A jego żona jest tam, w sali porodowej i zaciska zęby na chusteczce, żeby nie krzyczeć z bólu.

– Ja tu byłem pierwszy, nie wzywałem was. Idźcie się zająć własnym życiem. Nie macie nic lepszego do roboty?

Mają. Jeden z nich sra. Najnaturalniejsza rzecz na świecie. Drugi patrzy w dół, sprawdza, czy dokonano jakiejś szkody i robi to samo, też pozbywa się balastu. To

zdecydowanie są dzieci. I jest coś, co chcą mi powiedzieć. Ale co? Ktoś wchodzi do pokoju, zaskakując nas. Odlatują, a ja zostaję.

– Pan jest pewnie ojcem.

– Pewnie tak.

Starsza pani to ucieleśnienie dobroci i uśmiechu. Austriaczka? Czujne niebieskie oczka. Szafiry? Musi być kimś więcej niż pielęgniarką, kimś więcej niż przełożoną. Jej nieskazitelny wzrok i elegancja wykrochmalonych bieli budzą szacunek i wdzięczność za opiekę. Mam ochotę ucałować jej dłonie. Lecz jej by się to nie spodobało, może nawet rozżłościło. Próbuję chociaż przekazać wyrazem twarzy, że to właśnie chciałbym zrobić. Nie marnuje czasu.

– Czeka pana miła niespodzianka! Proszę pójść ze mną.

Idzie pewnym, radosnym krokiem. Przyśpieszam, żeby za nią nadążyć. Nie rozmawiamy, nawet na siebie nie patrzymy. Jej białe buty na gumowych podszewkach wydają cichy, przyjemny dźwięk na wypastowanej podłodze korytarza. Śmieję się jak głupi do sera i jestem pewien, że ona też. Idę jak dziecko, które podaje rękę matce, by przejść przez ulicę. Całkowite zaufanie do wydających przyjemny dźwięk butów.

Gdy docieramy do sali noworodków, zaprasza mnie do środka. Jest tam pielęgniarka i dwa noworodki. Jedno na różowo. Drugie, właśnie ubierane, na niebiesko. Głęboko wciągam powietrze. Zapach nowych zwierzątek. Jak dobrze byłoby, gdyby któreś z nich było od Isabel. Różowe albo niebieskie, wszystko mi jedno.

– Czy któreś z nich jest moje?

– Dziewczynka jest pana.

– Dziewczynka?!

Nie wystarcza czasu, żeby podziękować za to błogosławieństwo.

– I chłopiec też.

– Co?!

– Ta śliczna para bliźniąt to pana dzieci, proszę pana!

Nigdy nie zapomnę matczynego tonu, z jakim wypowiedziano te słowa, ani tego,

że skierowano je wyłącznie do mnie: „To pana dzieci!”. Tak naprawdę ten pojedynczy zwrot na końcu, idealnie podsumował to, co czułem. Miałem dwoje dzieci, jedno różowe i drugie niebieskie. Lecz miłość, którą poczułem, była jedna, absolutnie pojedyncza. Więc widziałem ich dwoje, jakby byli jednym, niezastępowalnym. Piękne tajemnice życia, których nie dane mi rozszyfrować. Nie podzieliłem się. Ani na sekundę. Podałem się całkowicie obojgu. I zawsze już tak będzie. Tak? Cóż, tak będzie w innych wspomnieniach, które muszą gdzieś tam być, w jednej z tych teczek, na jednej z półek. Innym razem, myślę.

Niebieskie dziecko to Nuno – imię, które mnie przypadło wybrać. A różowe? Zaglądam do „Almanachu Świętego Serca”. 7 października. Dzień Matki Boskiej Różańcowej. Nie mam wątpliwości, że Isabel będzie chciała to uszanować.

KAŻDY Z NAS PODAŻA SWOJĄ DROGĄ

Jako kawalerowie moi bracia byli do siebie podobni. Po ożenku każdy zrobił się inny. Ja też jestem inny, odkąd dzielę życie z Isabel. Jeśli zmieniamy się sami z siebie, to tym bardziej w połączeniu z innymi. Na lepsze lub na gorsze – nigdy nie wiadomo. To jakaś chemia? A samo spotkanie? Powiedzcie, jak to się dzieje? Czy to przeznaczenie? Wyrafinowana boska dramaturgia? Łaska, którą obdarza nas święty patron małżonków czy też dobór, który ma więcej wspólnego z Darwinem? A może nie ma w tym ani nauki, ani tajemnicy? Jakkolwiek by nie było, małżeństwa i dziedziczenie zmieniają stopniowo rodzinę. To naturalna przemiana. Oryginałe jądro się dzieli. I tworzą się nowe. I nie ma sposobu, by zachować te same miejsca przy stole. Każdy dostosowuje się na swój sposób. Wiem, o czym mówię. Małżeństwa to gestia matek. A dziedziczenie ojców. Każdy z nas idzie swoją drogą: „Po ślubie fora ze dwora”. Ludzie wciąż powtarzają to powiedzonko. Ale przecież zawsze są święta, srebrne gody czy okrągłe urodziny, które wymagają naszej obecności. A poza tym dzieci, partnerzy i ich progenitura. Osoba u szczytu stołu lubi, gdy dom jest pełen, prosi o przysunięcie krzesła bliżej. Na nic zdadzą się: „Nie trzeba” czy „Tu mi dobrze”. Musisz dosunąć to krzesło i już. Rozmowy przetaczają się niczym fale. Przytyłaś. Łysiejesz. Ciągłe masz pryszczki – nie dbasz o siebie, nie dbasz. Boże, popatrzcie, jak ta dziewczyna wyrosła! A ty, ale z ciebie mężczyzna! Gdybym wpadł na ciebie na ulicy, nigdy bym cię nie rozpoznał. Głos ma identyczny jak ojciec, to niesamowite. A te jego stopy, matko – widziałaś? Chyba nigdy nie przestaną rosnać. Nowe buty wystarczają na miesiąc. Rozmowy przetaczają się niczym fale. Porównania są nieuniknione. Kto okazał się najlepszym partnerem. Kto ma najwięcej dzieci albo jest najładniejszy, najinteligentniejszy, najczulszy. Kto

zapewnia im najlepsze wykształcenie. Kto ich nie ma i dlaczego. Komu się powodzi, a kto drepcze w miejscu.

Głupia rywalizacja. Cokolwiek się wydarzy, dobrego czy złego, życie to impreza. Naprawdę? „Tylko serce zna własną gorycz”. To też wszyscy powtarzają.

Gdy się ożeniłem, a moje rodzeństwo też pozawierało małżeństwa i czas rozdzielił nas już na zawsze, od razu to zauważyłem. Och, i to jak! Myślałem o tym dzień i noc. Chciałem wiedzieć, dlaczego przepis na naszą rodzinę się nie udał. I tyle. Czy taki był wyrok losu? Bzdura. Nie wierzę w to. Wiedziałem, że jestem pośród rodzeństwa antonimem, a oni synonimami. Każde ze swoim znaczeniem. Ale nigdy nie musieliśmy sprawdzać się wzajemnie w słowniku, żeby wiedzieć, co znaczymy. Rozumieliśmy się nawzajem idealnie. Byliśmy blisko, zawsze razem, na swój sposób. Dziś zawołanie brzmi: „Każdy za siebie, a Bóg za wszystkich!”. Czy królewscy muszkietierowie wymachiwali szpadami pod takim hasłem? Nie. Umarliby ze wstydu. Co za samolubne motto.

Jak mogliśmy tak się od siebie oddalić? Ja i Isabel w Rio, zajęci restauracją i bliźniętami. Leonor i Sebastião niedługo po ślubie przenieśli się w głąb stanu Minas Gerais. On się uparł, on tupnął nogą. Wyobraźcie go sobie, tupiącego tą jego stopą. Leonor nie była w stanie się oprzeć, w żadnym razie. Za pieniądze, które dał im ojciec, kupili kawałek ziemi – maleńki – niezbędną podstawę do rozpoczęcia godnego życia. Wydają się szczęśliwi. Kolekcjonują dzieci i nigdy się stamtąd nie ruszają. Z rzadka docierają od nich jakieś skąpe wieści.

Nicolau nadal pracuje w Colombo. Związał się z jedną z dziewcząt z kuchni, z Amálią, i zrobił jej dziecko. Żaden problem. Naprawdę się polubili. Zamieszkali razem – w dzielnicy Tijuca, przy małej uliczce prowadzącej do Conde de Bofim. Pracują i żyją. Odzywają się od czasu do czasu.

Joaquim spróbował szczęścia, tak jak ja. Pojechał do São Paulo, żeby założyć swój biznes. Zainwestował w bar, który odziedziczył Santoro, jego przyjaciel o artystycznej duszy – bar ze stolikami i krzesłami. Byłem tam raz, bez Isabel. Naprawdę miłe miejsce. Nazywa się ‘Joaquim i Santoro’. Ale dlaczego, czy to nie Santoro jest właścicielem? Jego imię powinno być pierwsze. Tak, ale nie brzmiało dobrze, wyjaśnił mi Joaquim. W każdym razie świetnie się dogadują. Małżeństwo

doskonale. Więcej niż wspólnicy, przyjaciele ze starych dobrych czasów. Dzielią się zyskami i kobietami. Korzystają z życia. Ale tak do końca to nie wiem, bo skąpe wieści docierają rzadko.

A kto wraca od czasu do czasu do majątku? Tylko ja. Nicolau rzadko się pokazuje. Leonor i Joaquim od wielkiego dzwonu. Mówią, że to dla nich skomplikowane. Mówią też, że moje częste wizyty w San Antonio da União nic nie znaczą. Możesz jeździć co tydzień, to i tak za mało. Uważają, że jeżdżę tam tylko grzecznościowo. Moi teściowie są właścicielami majątku, więc i tak muszę towarzyszyć żonie. Tak właściwie to piekę dwie pieczenie przy jednym ogniu. Odwiedzam naszych rodziców i jej. Samolubna wizyta, tak, zdecydowanie tak. Czysty egoizm, mój i Isabel. Krytykują nas też za to, że mieszkamy wtedy w wielkim domu. Nigdy nie raczymy spać u matki, ojca i ciotki Palmy. Skąd oni to wiedzą?!

Isabel się dowiaduje. To Amália, żona Nicolau, powiedziała tak Leonor i Joaquimowi.

– Amália?

– W rzeczy samej.

– No jasne. Żeby się czymś takim zajmować! Nocujemy w dużym domu, bo tak jest najlepiej dla wszystkich! Ciotka Palma ma teraz swój pokój. A w drugim urządziły sobie z matką szwalnię. Po co ma się przenosić, skoro u twoich rodziców jest miejsce?

– To ze złościwości, Antonio. Jest zazdrosna, to jedyne możliwe wyjaśnienie.

– Wiesz co? Nie mam zamiaru przejmować się głupstwami. Mam lepsze rzeczy do roboty. Niech wszyscy sobie myślą i mówią, co chcą.

Ciotkę Palmę nie martwią nasze kłótnie. Dla niej drobne niesnaski dodają rodzinie smaku. Ale jest jej smutno, że rośnie dystans między rodzeństwem, obojętność, że nie chcemy już mieć ze sobą nic wspólnego. Wolałyby, żebyśmy byli bardziej zjednoczeni, nawet jeśli oznaczałoby to trochę więcej sporów. Podaje samą siebie za przykład. Ona i ojciec drą ze sobą koty nawet teraz, gdy są starzy. Czy to znaczy, że się nie lubią? Wręcz przeciwnie. Jedno nie mogłoby żyć bez drugiego.

Oboje przybyli do Brazylii, zostawili rodzeństwo, ciotki, wujów i kuzynów w Portugalii, ale zawsze do siebie piszą, zawsze wymieniają się wieściami. Czy może być większe szczęście niż list, który przybywa z Portugalii? Zapach, który unosi się z kopert, zmaganie z trudnym do rozczytania pismem, największy zachwyty z powodu najbliższej, ale mimo wszystko zaskakującej, wiadomości. A więc? Czy jak się jest w Minas albo w São Paulo, to już nie można od czasu do czasu napisać? Naprawdę nie ma o czym, nawet o drobiazgach?

Matka i ojciec, przynajmniej w mojej obecności, nie narzekają na nieobecnych, nie domagają się uwagi czy informacji. Cieszą się z każdych wieści. Chcą, żebyśmy byli zdrowi i szczęśliwi, bez względu na to, gdzie postanowimy być i jakie towarzystwo sobie wybierzemy. I tylko bardzo rzadko, w środku rozmowy, wspomną coś o tęsknocie za domem, pragnieniu zobaczenia tego czy tamtego ponownie. Ach, tak, jest jedno wielkie marzenie. Zobaczyć całą rodzinę razem – dzieci, synowe, zięciowie, wnuki – w Santo Antonio da União. Wszystko jedno kiedy. Nieważna okazja, najważniejsze, żeby wszyscy mogli przyjechać. Pewnego dnia, wierzą. Tylko potrzebują pretekstu. Dobrego pretekstu. Ale jakiego? Nie ma niczego, co poruszyłoby wszystkie serca jednocześnie, niczego, co zadowoliłoby nas wszystkich na tyle, żeby skłonić nas do spotkania. Musi coś takiego być, musi być sposób. Zastanawiam się nad tym długo i – być może z poczucia winy, a kto wie, może z frustracji, że nigdy nie widuję rodzeństwa, nawet nigdy nie poznałem niektórych z ich dzieci – wściubiam nos tam, gdzie mnie nie proszono. Nos i całą resztę też – wychodzi to bardzo niezręcznie.

– Ciociu Palmo, muszę z tobą porozmawiać. Teraz.

– Chcesz to zrobić tutaj?

– Nie, nie w kuchni. Lepiej znajdziemy inne miejsce. Nie chcę, żeby matka usłyszała.

– Przejdźmy do salonu. Jeśli zostawimy otwarte drzwi, zauważymy, czy ktoś się zbliża. Gdy będzie trzeba, zdążymy zmienić temat.

Ciotka Palma wybiera to krzesło, co zawsze, czwarte krzesło, to, które ojciec odnowił i podarował jej z okazji moich narodzin. Krzesło pokoju, który zawarł, to, na którym siadywała, by opowiedzieć mi historię o ryżu i tyle innych historii.

Krzesło jest to samo, ale ciotka Palma się zmieniła. I ja również. Mam ochotę usiąść przed nią na podłodze, ale nie mam odwagi być znowu małym chłopcem. Zadowolam się zajęciem krzesła naprzeciwko niej, dorosły i wyprostowany. Moja kolej, by mówić. Dziwne, pozbawione emocji słowa. Dlaczego?

– Odłożyliśmy ryż, ciociu Palmo. Jest z powrotem w naszym domu, w spiżarni, schowany z tyłu szafki.

– Należy do ciebie. Ty musisz wiedzieć, co z nim zrobić.

– Odkąd wzięliśmy ślub i przenieśliśmy się do Rio, Isabel i ja nie mamy pojęcia, jakiemu celowi miałyby posłużyć.

– To naturalne. Ty i Isabel jesteście tacy zajęci restauracją. A poza tym są Nuno i Rosário, są teraz w takim trudnym wieku i wymagają mnóstwa uwagi. Zostaw ten ryż tam, gdzie jest, z tyłu szafki. Nadejdzie czas, gdy będziesz go potrzebować.

– Zastanawiamy się, czy go nie zwrócić.

– Zwrócić?

– Przepraszam, ciociu Palmo. Nie zrozum mnie źle. Oczywiście nie mamy zamiaru zwrócić prezentu, który dano nam z takim uczuciem. Nie to miałem na myśli. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że się martwię.

– Czym się tak martwisz, mój drogi? Życie jest dla ciebie łaskawe. Dało ci wspaniałą żonę, teściów, którzy cię lubią i podziwiają. Dało ci starą ciotkę, która tak bardzo cię kocha, a także kochających rodziców. Dało ci siostrę i braci, którzy, nawet jeśli nie szukają kontaktu, to szanują cię i lubią, wiesz o tym. Dało ci zdrowie, dobry wygląd, powodzenie w pracy. Co też może cię martwić, moje dziecko?

– Nasza rodzina, wszyscy tacy podzieleni, każdy gdzie indziej. Nicolau, Leonor i Joaquim tak daleko. Nawet nie wiemy, co u nas nawzajem słycać. A nie było przecież żadnej wielkiej kłótni. Ale ze sobą nie rozmawiamy. Każdy pragnie dystansu. Im więcej, tym lepiej.

– To ścieżka, którą wszyscy wybraliście. Z własnej, nieprzymuszonej woli. Czemu nie mówisz o swoim dystansie? Nie od nas, ale od nich. Ty też nie szukasz kontaktu.

– Och, na miłość boską, ciociu Palmo! Leonor nie odpowiedziała na ani jeden

z moich listów. Ani jeden. Isabel i ja odwiedziliśmy ją na tym jej krańcu świata dwa razy. Czy ona kiedykolwiek przyjechała do mnie? No jak? Ona i ten półgłówek Sebastião?

– Zastanawiałeś się kiedykolwiek nad tym, jak ciężko jest Leonor? Jak trudno byłoby jej zostawić ten jej „kraniec świata”, opuścić męża i dzieci, żeby odwiedzić ciebie? A gdyby zabrała ich wszystkich ze sobą, zmieściliby się u was w domu?

– A Nicolau? A Joaquim? Robiłem wszystko, co mogłem, żeby zaczęli pracować ze mną w restauracji. Zaproponowałem im spółkę, wystarczyło, żeby tak, jak stali, przyjechali i pracowali. Ale czy chcieli? Nicolau związał się z Amálią, zrobili sobie dziecko i do dziś jest w Colombo. Tę pracę – nawiasem mówiąc – też ja mu załatwiłem, niewdzięcznik. A Joaquim? Wolał pojechać do São Paulo i zostać współnikiem tego pijaka Santoro. Otworzyli bar, oczywiście!

– Z tego, co wiem, Nicolau jest bardzo zadowolony z tego, co ma. Joaquim i Santoro to bardzo dobrzy przyjaciele. Łączy ich zaufanie i braterstwo. A interes kwitnie. Każdy jakoś układa sobie życie, podobnie jak ty.

– Przepraszam, nie powinienem tak mówić.

– Dobrze jest zrzucić ciężar z piersi. Nie wyczuwam w tobie gniewu. Ale powiedz mi, co to wszystko ma wspólnego z ryżem?

– Myślę o oddaniu ryżu, żeby przygotować z niego wielki rodzinny obiad. Taki, który byłby pretekstem, żeby zebrać wszystkich razem. Czy ryż nie przyniósł nam już wiele szczęścia? To jak? Zbratanie się poprzez risotto. Jak myślisz?

Ciotka Palma jest sceptyczna wobec mojego entuzjazmu. I mojej samowoli.

– To twoje zbratanie się nie jest takie proste, Antonio. Trzeba mieć do tego skłonność. A skłonność przychodzi wraz z bliskością, z pragnieniem utrzymania więzi pomimo dystansu. To nieustanna praca przez całe życie. Praca, która wymaga cierpliwości. Doskonale znasz historię ryżu. Począwszy od tego chudego rosółu z kury, który ugotowałam dla twojego ojca, aż po risotto na wasze zaręczyny, to wcale nie magiczne sztuczki wywoływały w ludziach dobre uczucia. To były ogromne pokłady miłości i wytrwałości. To przepis, który się sprawdza. Nawet po najgorszych kłótniach, nawet gdy twój ojciec praktycznie przestawał się do mnie

odzywać, nadal go kochałam i nadal chciałam trwać u jego boku. Nie zamierzam umniejszać wpływu Marii Romany na nasze relacje. Ale nie masz pojęcia, ile wysiłku wkładałam w to, żeby brat pozostał mi bliski. Od dnia, gdy umarła nasza matka, wiedziałam, że z całego naszego rodzeństwa, to on – choć pozował na silnego i niezależnego chłopca – jest tym, który najbardziej potrzebuje opieki, tym, którego trzeba przytulać, tym, którego trzeba rozpieszczać. I dlatego nigdy go nie opuściłam. Wiem też, że on również bardzo starał się jakoś ze mną dogadywać. Nie łatwo mu było znieść moje szaleństwa, zrozumieć moje fantazje, moje marzenia na jawie. Mój ukochany, mój ulubiony brat, to właśnie José Custódio. Faktycznie najbardziej zbuntowany, najbardziej uparty, najbardziej skory do gniewu. Życie płała nam takie figle. Wiem, że tych, którzy zostali w Portugalii, nigdy już nie zobaczę. Ale dopóki Bóg Niebieski pozwoli, będę pisać do nich listy i czekać niecierpliwie na odpowiedzi.

– Nie płacz, ciociu Palmo.

– Łzy nas oczyszczają.

Natychmiast przypomina mi się ta stara lekcja. Ciotka Palma oczyszcza się dalej, wysmarkując nos. Jej ton jest teraz bardzo poważny. Brzmi niemal jak reprimenda.

– Po co miałbyś oddawać ryż na „wielki rodzinny obiad”, skoro nie jesteś gotów poświęcić się temu, co naprawdę istotne: wybraniu się na spotkanie z siostrą i braćmi, spędzeniu czasu na poznaniu ich lepiej takimi, jakimi są dziś, zamiast trzymać się swoich pretensji? Każdy, kto chce z powrotem zjednoczyć rodzinę, musi przejąć inicjatywę, wziąć na siebie odpowiedzialność za jej złączenie. Musi być cierpliwy. Musi słuchać, rozumieć, wybaczać. I – przede wszystkim – musi być przygotowany na stres, jakiego takie zadanie wymaga. W przeciwnym razie lepiej siedzieć cicho i cieszyć się najbliższą rodziną. I przyzwyczać się do tego, że jest, jak jest. Rodzina to trudne danie do przygotowania.

Tracę cierpliwość. Podnoszę głos. Bunt i frustracja źle ukierunkowane.

– To był wasz błąd, że daliście mi ten ryż. Od razu wiedziałem. Ale stłumiłem pokusę i w końcu nawet polubiłem ten pomysł. Wszystek ryż dla mnie, to połechtano moją dumę, nie rozumiesz? Nadałem się, uznałem, że jestem lepszy od innych,

ważniejszy, bardziej kochany. Po co? Żeby teraz trzymać go zupełnie bezużytecznie w szafce?! Ten ryż powinien trafić do mnie i do innych!

– Opowiadasz głupstwa!

– To właśnie zrobię, ciociu Palmo. Jeśli nie mogę oddać go na risotto pojednania, to w takim razie Leonor, Nicolau i Joaquim dostaną należną im część.

– Niebiosa! Kto to słyszał?!

– Przeliczę dokładnie, co do ziarenka. Będziemy mieli idealnie równe udziały.

– Lepiej najpierw sprawdź, czy ich liczba dzieli się akurat na cztery. Bo będziesz miał jeszcze większy problem.

– Ten ryż się zepsuje, ciociu Palmo! A nasza rodzina zepsuje się razem z nim!

– Teraz to już się za daleko posunąłeś, Antonio!

– Ciociu Palmo, proszę, usiądź. Poczekaj!

– Na dzisiaj mam już dosyć twoich wygłupów!

– Jeszcze nie skończyłem!

– To będziesz musiał skończyć kiedy indziej.

– Nie, nie kiedy indziej. Zostań, ciociu Palmo, proszę cię.

Ciotka Palma każe mi czekać chwilę, zanim odpowie.

– Dobrze, Antonio. Zostanę. Ale zanim będziesz kontynuować ten swój korowód nieporozumień, musisz wysłuchać paru słów ode mnie, dobrych słów, jak sądzę. Nie chciałam ci mówić, ale nie pozostawiasz mi wyboru.

Sekundy wloką się niczym wieczność, dając mi czas do namysłu. Ciotka Palma nigdy taka wobec mnie nie była, jakby zaraz miała wszystko popsuć. I boję się, przyznaję. Boję się, że ryż zepsuje się w moich dłoniach, boję się, że nie jestem godzien prezentu, jaki dostałem, boję się, że nie potrafię zjednoczyć z powrotem rodziny, boję się, że... Ciotka Palma siada na krześle. Nie mówi ani słowa, nie musi. Król Salomon się nie umywa. Takie milczenie to niezbędny efekt dramatyczny – wiem o tym. Założę się, że te jej parę dobrych słów okaże się naprawdę ostrą amunicją. Rozpinam koszulę, odsłaniam pierś. Nie chroni mnie żadna zbroja. Biorę głęboki oddech. Podnoszę wzrok. Czym jest ta nowa odwaga? Jestem pewien, że wraz ze strzałem pojawi się też światło i miłość, i nauka. Dziecięca siła inspiruje

mnie, uwalnia i sprawia, że siadam na podłodze u jej stóp. Nawet teraz, jako mąż i ojciec, jestem gotów na reprimendę, na pociągnięcie za ucho. I czuję się wspaniale. Tak, w tej chwili tak. Bycie sześciolatkiem, jak się skończyło trzydziestkę, to przywilej. Ciotka Plama, teraz już całkiem siwa, uznaje ten fakt. Moja odwaga niepokoi ją. I wzrusza.

– Antonio, Antonio...

Jej pokryta zgrubiałymi żyłami dłoń muska moją twarz. Ogrzewa mnie. Jej słowa będą teraz inne, czuję to. Nie, to ton jej głosu będzie inny. Rytm jej słów, intonacja fraz, wszystko będzie zmienione. Wcześniej to były srogie słowa wypowiedane do głupiego dorosłego. Teraz będą to szczere słowa do uważnego chłopca.

– Pamiętasz, jak siadywałam tutaj i opowiadałam ci historie?

Co za pytanie.

– Uważnie wtedy słuchałeś i rozumiałeś.

Pierwszy przekaz dotarł. Zapamiętuję.

– Doskonale rozumiem twoją troskę o rodzinę, twoje pragnienie, by sprowadzić całe rodzeństwo razem do tego domu. Nie sądzisz, że ja również tego chcę, że chcą też tego wasi rodzice?

– Wiem, ciociu Palmo. I dlatego byłem taki zdeterminowany, żeby jakoś doprowadzić do tego spotkania.

– Ważniejsze od spotkania jest zjednoczenie was czworga. A to zjednoczenie musi być spontaniczne. Bez żadnych żądań. Jedno z was odczuwające potrzebę skontaktowania się z drugim, bycia z drugim, pewności, że może liczyć na to drugie, jeśli tylko będzie tego potrzebować. Nie ma sensu urządzać pamiątkowego dnia, wykorzystując ryż jako pretekst, skoro nie ma tej potrzeby, żeby być razem. Zaproszenia to nie rozkazy, mój drogi. Ważne jest, by być otwartym na możliwość odrzucenia. I musisz się zgodzić, że nawet gdyby wszyscy poczuli się zobligowani do przybycia, z szacunku, z obowiązku czy czegokolwiek innego, to gdzie cała przyjemność? Gdzie szczęście? Dobre samopoczucie?

– Nie byłoby ich.

– Sam ryż nie sprawi cudu. Zaczynj zasiewać odrobinę dobrej woli tu, odrobinę tam. Wyświadczyć uprzejmość, poświęć uwagę. Zaplanuj niezapowiedzianą wizytę, daj miły prezent, nie popisując się tym, co masz. Bądź hojny, nie oczekując niczego w zamian. To byłby doskonały początek.

– Naprawdę? Nie wierzę.

– To twój największy problem. A także ich. Brak wiary. Zapewniam cię, bez cienia wątpliwości, że oni też czują tęsknotę i często myślą o podjęciu takiej czy innej inicjatywy, żeby się zbliżyć. Ale nie mogą ruszyć do przodu, bo – tak jak ty – nie wierzą, że to coś da.

– Boję się, ciociu Palmo. Taka jest prawda. Bardzo się boję.

– Gorzej byłoby, gdybyś bał się strachu, zaprzeczał uczuciu niepokoju.

– Tyle razy chciałem podejść do szafki w kuchni, otworzyć prezent, wyjąć ryż. Ale nie mam odwagi!

– Dlaczego nie, na litość boską! Przecież jest twój.

– Myślę, że będzie do niczego, pełen robaków.

– Obraz ryżu, jaki w sobie nosisz, to obraz relacji, jaką masz z siostrą i braćmi.

– Często budzę się w środku nocy przerażony tą wizją. Ryż pełen robaków! Isabel martwi się tym, jest naprawdę zaniepokojona. To ona poddała mi pomysł, żeby przywieźć ryż z powrotem tutaj do majątku, przygotować obiad i zakończyć całą tę historię.

– Broni tego, co jest jej – spokoju w domu. Nie możesz jej za to winić.

– Nie winię. Wręcz przeciwnie. Zgodziłem się z nią od razu. I nie dla samej zgody. Byłem szczęśliwy, myślałem, że to wszystko rozwiąże. I powinnaś wiedzieć, ciociu Palmo, że wciąż uważam, że to dobry pomysł.

– Strach naprawdę namieszał ci w głowie. Wciąż uważasz, że ten ryż to nagroda, a nie odpowiedzialność. To dla mnie jasne. I dlatego tak się pyszniłeś. Nie byłeś przygotowany na taki ciężar. Martwi cię nie „bezużyteczny” ciężar ryżu, tylko ciężar zobowiązania, jakie przyjąłeś na siebie, otrzymując ryż.

– Zobowiązania?! O nic nie prosiłem, nigdy niczego nie chciałem! Wy sobie tak po prostu zdecydowaliście, że ryż trafi do mnie i koniec!

– Widzisz? Ty nawet nie rozumiesz. Tak, obowiązek. Misja, rola, przeznaczenie, powołanie, nazwij to jak chcesz. Twoja siostra i bracia nie są ani lepsi, ani gorsi od ciebie. Mają inne zobowiązania. I dlatego ryż przypadł tobie, Antonio. To była decyzja podjęta przeze mnie i przez twoich rodziców, to prawda. Ale za twoją zgodą. Zgodą, która pochodziła z czasów twojego dzieciństwa, gdy wolałeś siedzieć tutaj w domu i słuchać mnie niż wyjść na zewnątrz i bawić się z Leonor, Nicolau i Joaquimem. Gdyby moje historie szybko ci się nudziły, gdybyś wykazywał obojętność wobec rzeczy, których cię uczyłam, gdybyś w końcu kategorycznie odmówił przyjęcia ryżu, historia potoczyłaby się całkiem inaczej. Ostatnie słowo należało do ciebie. Ostateczne „tak” padło z twoich ust.

Nic nie mówię. To nie jest pełne dramatyizmu milczenie, ja po prostu naprawdę nie mam nic do powiedzenia. Ciotka Palma nie odezwie się, dopóki nie zareaguję przynajmniej na jej ostatnie dwa zdania. Znam ją. Będzie czekać tyle, ile trzeba. Całe życie w razie konieczności. Teraz moja kolej. To ja muszę wykoncypować coś, wymyślić, wyrazić swoją twarzą szok, irytację albo zgodę. Ona nie powie ani słowa. Wybieram oczywistą odpowiedź. Rozumiem, że to szach mat. Ale nie kładę swojego króla na planszy. Bycie sześciolatkiem po skończeniu trzydziestki to przywilej. Mam dość czasu, żeby zbliżyć się z powrotem do siostry i braci, by być bardziej uprzejmym dla Isabel i bardziej troskliwym wobec Nuno i Rosário.

– Możesz być spokojna, ciociu Palmo. Nasz ryż się nie zepsuje.

GOŚCIE BEZ NOCLEGU

1950 to dobry rok. Duży dom przy ulicy Ouvidor jest już gotowy. Śliczny. Kończymy prace z początkiem marca. Mieszkamy sobie wygodnie na dwóch górnych piętrach. Restauracja działa na parterze. Miła, przyjazna atmosfera. Zawsze pełno. Nowi goście, przyjaciele, którzy akurat wpadli albo stała klientela. To nasz drugi dom. Isabel i mnie układa się doskonale. Czerpiemy radość ze wspólnej pracy. Radzimy sobie z dzielącymi nas różnicami. Więcej pomysłów wiatry. Nuno i Rosário dodają nam energii, pędu. Jesteśmy zadowoleni z tego, co mamy, nasze pocałunki nie kłamią. Jednak wciąż tworzymy plany. Przed nami daleka droga. Chcemy w pełni wykorzystać nasz czas. Jesteśmy ambitni oboje. Dobrze się dogadujemy. Senhor Avelino i dona Maria Celeste zrozumieli już, że byli wobec nas niesprawiedliwi. A zwłaszcza wobec swojej córki. Nigdy nie sprzeciwiali się naszemu małżeństwu, lecz nie podobało im się to, że Isabel, z jej wykształceniem i eleganckimi manierami, chce pomagać mi w restauracji. Doszło nawet do tego, że zaproponowali nam pomoc Nanny, która gotowała dla nich przez trzydzieści lat. Co za pomysł! Śmieszne. Nawet jeśli Nanny byłaby zachwycona i gotowa przyjechać natychmiast, ze względu na Isabel, oczywiście. Udało nam się przekonać ich, że to jest nasze wyzwanie, że to nasze własne marzenie. Ale zgodziliśmy się, żeby przyjechała do pomocy młoda para z fazendy, Conceição i Roque. Ona do kuchni, on do obsługi stolików. Idealne rozwiązanie. Oboje są świetni. Doskonale sobie radzą.

Gdy senhor Avelino i dona Maria Celeste przyjechali nas odwiedzić, byli zachwyceni.

– Należą wam się gratulacje! Jaki piękny dom! Jaka wspaniała restauracja!

- Dziękuję, dono Mario Celeste. Taka szkoda, że nie chcecie nocować u nas.
- Tak jest dobrze, Antonio. Mnie i Avelino wygodniej jest w hotelu.
- Jesteście młodzi, potrzebujecie prywatności!
- Ojczy, co za głupstwa!

Głupstwa czy nie, pomyślałem sobie, że to wspaniale, że jadą do hotelu. Gość w dom, Bóg w dom, ale z noclegiem to niekoniecznie. Tak więc pobyt Alves Machadów w Rio de Janeiro był cudowny. Widywaliśmy się codziennie. Jedli z nami lunch i kolację, zajmowali się dziećmi, zabierali je na wycieczki. Ponieważ przyjeżdżali do Rio regularnie, znali dobrze miasto i mieli w nim swoje zajęcia. Było wspaniale. Robiliśmy zdjęcia. Tęskniliśmy, gdy wyjechali. Przyznaję, że dzień po ich odjeździe było mi przykro, że rano nie zjawili się w restauracji. Zauważyłem, że Nuno i Rosário też tęsknią. Było mi ich żal. Znalazłem jakieś zabawki i poświęcałem im dużo uwagi, żebym im to jakoś wynagrodzić.

Jest już środek roku. W przyszłym miesiącu wypadają urodziny ciotki Palmy. Siedemdziesiątka, okrągła rocznica. Wiem, że nie chce wydawać przyjęcia. Postanawiam zabrać ją do Rio de Janeiro. A ojca i matkę razem z nią. Isabel z entuzjazmem przyjęła ten pomysł.

– Wspaniale! Ale czy zechcą przyjechać? Oni nigdy się stamtąd nie ruszają, Antonio. Nigdy.

– Cóż, nie zaszkodzi spróbować. W najgorszym razie powiedzą „nie”.

– Jak chcesz, to mogą nocować u nas.

– Czytasz mi w myślach.

– Na pewno nie zgodzą się na hotel. Nawet gdybyś go opłacił.

– Nie zgodziliby się.

– Wiem.

– Nie martw się. Zaproszę ich tylko na tydzień. Ten tydzień, gdy są urodziny ciotki Palmy.

– Tydzień, dwa, miesiąc. Jak długo chcesz. Będę szczęśliwa, mając ich tu w domu. Oddamy twoim rodzicom naszą sypialnię. A ciotka Palma może spać w pokoju gościnnym. My będziemy nocować w pokoju dzieci. Będą zachwycone.

Uprzejmość Isabel zawstydzą mnie. Kontrast. Sam jestem egoistą. I oszustem. Tak, oszustem. Przypochlebiałem się teściom, twierdząc, że jest mi przykro, bo jadą do hotelu, ale w głębi duszy dziękowałem za to Bogu. Co za wstyd, Antonio, co za wstyd. Dobrze, że Isabel nie czyta mi w myślach. Nie? Kto twierdzi, że nie? Oczywiście, że tak. A mimo to uwalnia mnie od winy.

– Oni są zupełnie inni od mojego ojca i matki. Są prości, wyrozumiali, nie tacy formalni. Jeśli przyjadą, będzie wspaniale, zobaczysz.

Dziękuję ci, Isabel, dziękuję. To właśnie oznacza mój długi pocałunek. Więcej we mnie uczucia niż rozsądku. Zawsze tak było. Wszyscy o tym wiedzą. Następnego dnia, skoro świt wyruszam do fazendy. Zabieram ze sobą Nuno i Rosário. Przejmuję kontrolę. Wy dwoje, z łóżek, raz dwa! Chichoty. Ekscytacja. Odrobina wytchnienia dla Isabel. Zasłużyła. Dam radę, bez trudu. Wspaniała podróż, ledwo ją zauważam. Dzieci śpią całą drogę. Podoba im się kołysanie samochodu. Zawsze natychmiast usypiają. Czwarta po południu. Nawet nie zatrzymuję się przy rezydencji. Jadę prostu do domu rodziców. Chcę ich zaskoczyć, przekazać zaproszenie, chcę, żeby byli poruszeni. Udaje się. Trafiam we właściwy moment. Są wszyscy troje: ojciec, matka i ciotka Palma. Z uśmiechu na mojej twarzy odczytują, że wszystko doskonale się układa. Że to dobra niespodzianka. Matka mocno mnie przytula. Mówi, że przyprawię ją o zawał serca, jeśli dalej będę tak robił. Ojciec bierze Nuno na rękę, podrzuca go w powietrzu. Hop! I znowu do góry. I hop! Tak jak to robił ze mną, Leonor, Nicolau i Joaquimem. Wysoko do góry. I znowu hop! Rosário, z policzkiem odgniecionym od poduszki, lekko oszołomiona wysiada z auta. Przecudna! Taka mała dama ze smoczkiem w buzi! Ciotka Palma obsypuje ją pocałunkami. Próbujemy wszyscy naraz wejść do środka, przejście jest za wąskie dla tylu osób jednocześnie. Pachnie kawą, a ciasto na stole jeszcze niepokrojone.

– Dopiero co wyjęłam z pieca – twierdzi matka.

– Jakbym przeczuwała. To *cassava*, twoje ulubione. Jeszcze gorące.

Ciotka Palma podśpiewuje radośnie. Kręci się wokół z Rosário w ramionach, wiruje i wiruje.

– Gdyby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała!

Rosário zaśmiewa się do łez. Wszyscy tak robimy. To dobry rodzaj łez.

– Synu, co za niespodzianka! Jaki wspaniały dar! Czy dona Maria Celeste i senhor Avelino wiedzą już, że jesteście?

– Nie, matko. Przyjechałem prosto do was. Celem mojej podróży jest wasza trójka.

Patrzą po sobie. Niedowierzające dzieci. Matka zaczyna kroić ciasto, a ojciec podaje kawę. Ciotka Palma, która wciąż trzyma Rosário na rękach, podnosi Nuno, który też chce u niej być.

– My?

– Tak, ciociu Palmo. Wasza trójka, a zwłaszcza ty.

Boże, jak ona daje radę z nimi obojgiem naraz? I cały czas kręci się i śpiewa.

– Nuno, Rosário, nie róbcie tak! Zrobicie krzywdę cioci Palmie.

– Wy się tylko ze mną bawicie, prawda, skarby?

Co zachowałem z tego spotkania: smak cudownego, jeszcze ciepłego ciasta *cassava*. Ojciec w koszuli w paski, którą matka skończyła szyć poprzedniego wieczoru. Piękna, bez kołnierzyka, tak jak lubi. Proszę o taką samą dla siebie. Zgadza się, ale przytyłem, więc musi znowu wziąć miarę. Zwłaszcza w szyi. Zapamiętałem też ciotkę Palmę, pociągającą mnie za ramię tak, żeby nikt nie zauważył. Chce porozmawiać ze mną na osobności.

– Posłuchaj, Antonio, chcę ci coś powiedzieć. Wiesz już, że nie chcę obchodzić urodzin...

– Ale ciociu Palmo...

– Posłuchaj, zanim coś powiesz, posłuchaj. Myślę, że spodoba ci się moja propozycja. Siedemdziesiąt to liczba jak każda inna. Siedemdziesiąt jeden, siedemdziesiąt dwa, co za różnica? Wolałabym zostać tutaj, w ciszy i spokoju, w domu z twoimi rodzicami.

– Wiedziałem. Wiedziałem! Isabel mnie ostrzegęła.

– Obiecuję, że wkrótce was odwiedzę i przywiozę ze sobą rodziców.

– Naprawdę?!

– Masz moje słowo.

– To dlaczego nie przyjedziesz na swoje urodziny?

– Bo moje urodziny to jedno, a podróż to coś innego. Skoro nie możemy mieć was wszystkich tutaj, wybierzemy się do was. Jestem pewna, że Josému Custódio i Marii Romanie spodoba się ten pomysł. Pobędziemy krótki czas u każdego z was: u Nicolau, który jest tuż obok, niedaleko od was, u Joaquina i u Leonor. A potem wrócimy do naszego cichego zakątka. Co ty na to?

Może nie marszczę zniesmaczony nosa, ale czy mi się to podoba? Nie, nie podoba mi się. To był mój pomysł, żeby zabrać ich w podróż, moja inicjatywa, żeby uczcić siedemdziesiąte urodziny ciotki Palmy, to ja wyruszyłem w drogę z dwójką małych dzieci, żeby tu przyjechać, to ja myślałem o nich cały czas, to ja robiłem plany, to ja się ekscytowałem. A tamci? Czy poświęcili choć minutę życia na to, żeby chociaż pomyśleć o czymś, co sprawiłoby przyjemność starszym członkom rodziny? Więc dlaczego teraz mam się z nimi dzielić? Ha? Dlaczego? Mówię to wszystko ciotce Palmie. Chcę po prostu zobaczyć, co odpowie.

– Dwa tygodnie temu był tutaj Joaquim.

– Joaquim?

– Przyjechał z podobnym pomysłem. Chciał zabrać nas do São Paulo na tydzień, w którym wypadają moje urodziny. Ponieważ mieszka sam i nie do końca jest urządzony, zaproponował, że umieści nas w hoteliku po sąsiedzku. Wziąłby kilka dni wolnego w pracy i byłby naszym przewodnikiem. Santoro bez problemu może sam zająć się barem. A stamtąd, gdybyśmy chcieli, zabrałby nas w głąb stanu, do waszej siostry Leonor.

– I ty się zgodziłaś?

– Nie. Bo moje urodziny to jedno, a podróż to coś innego. Ale zaczęłam zastanawiać się z waszymi rodzicami, jaki byłby najlepszy termin na taką wyprawę.

– I co powiedział Joaquim?

– Uściskał mnie, w ten swój mało delikatny sposób, i powiedział, że powinniśmy robić to, na co mamy ochotę.

Czuję się jak głupek. Nie potrafię pozbyć się tego odczucia. Po tym nokaucie, ciotka Palma dokańcza.

– Jesteście tacy dobrzy, wszyscy. Wszyscy bez wyjątku. Martwi mnie, że nie jesteście już tak blisko. Ale to nic na tyle poważnego, żebym nie mogła przez to spać.

– I myślisz, że pewnego dnia jednak zbierzemy się wszyscy tutaj w majątku?

– Kto wie? Moja matka zwykła mawiać, że to, co spotykamy na swojej ścieżce, czy dobre, czy złe, przyczynia się do naszego rozwoju. Zgadzasz się?

– Pod każdym względem.

Cztery dni później wracam z dziećmi do Rio de Janeiro. Wola ciotki Palmy zwyciężyła. Urodziny ciche i spokojne, w majątku, z ojcem i matką. Żadnych tortów, żadnego zdmuchiwania świeczek. Zaraz potem podróż, zaplanowana na cztery tygodnie. Po tygodniu u każdego z nas. Zaczynają od naszego domu, potem Nicolau. Z Rio jadą do São Paulo. Wszystko ustalone. Joaquim odbiera ich z dworca autobusowego i zawozi do hoteliku. Ostatni tydzień spędzają na farmie u Leonor. Joaquim zobowiązał się, że sam ich tam zawiezie.

Błogosławiona wizyta, niezbędna wizyta. Wszyscy się co do tego zgadzamy: Nicolau, Joaquim, Leonor i ja. Robiliśmy wszystko, żeby cieszyć się obecnością ojca, matki i ciotki Palmy. Bezpośrednio, gdy gościli u nas. Potem też, patrząc wstecz i wspominając. Trudno wybrać odpowiednią formę czasownika, bo nawet gdy coś się kończy, nadal trwa, rzeczywiste, wyraziste. Każda minuta z ich trójką była wyjątkowa, niezapomniana. Jesteśmy niemal komicznie dumni z tego, co my, w naszych małych światach, mogliśmy im zaoferować. Najlepszy pokój, najlepsze łóżko. Najsmaczniejszy posiłek, najbardziej miękki ręcznik, chodzenie na palcach, jeśli jeszcze spali, smakołyki, poświęcana im uwaga. Wszystko. Radość, jaką czerpaliśmy z tego, że jesteśmy gościnni, że zapewniamy im komfort i przyjemność. Wszystko w porządku? Poczekajcie, już poprawiam. Troszkę sosu do mięsa. Na mięso czy obok? Chcesz dodatkową poduszkę, a może tak jest ci za wysoko? W łazience jest nowa kostka mydła. Zaraz przyniosę z kuchni szklankę wody. Włącznik światła jest tutaj. Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebowała.

– Dzisiaj zabiorę was w wyjątkowo piękne miejsce!

Nieważne kto to powiedział, czy byłem to ja, Leonor, czy też Nicolau albo

Joaquim. Bo oni troje są bezcenni. Są naszymi korzeniami. Ta trójka uczyniła nam ten honor po raz pierwszy. I – kto wie? – być może jedyny.

SAUDADE

Wyprawa do São Paulo zaskoczyła nas. Dlaczego? Do diabła, odkąd ojciec, matka i ciotka Palma przybyli do Santo Antonio da União, nigdy nie opuścili okolic fazendy. Jednomyślną decyzją dosłownie przywiązali się do ziemi, która ich ugościła. W listach z Portugalii często proszono ich, żeby wrócili – przynajmniej z wizytą. Ich rodzeństwo, jakiś długowieczny wujek czy ciotka, przyjaciel rodziny, ktoś z kuzynostwa. Ale oni nic. Mówią, że kto wie, może w przyszłym roku, jak się sytuacja poprawi. I nic. Są tam, gdzie są. Zadowoleni z życia, wdzięczni za to, co mają. Nie, żeby im schlebiało, że ktoś prosi. Absolutnie nie. Podjęli decyzję i to wszystko. Dawna decyzja, pochodząca z głębi ich dusz. I jedynie z rzadka, i tylko przelotnie, słyszę, że nawiązują do tematu. Tematu, który boli, który ich porusza, który ujawnia to, co powinno pozostać ukryte. Pewnego dnia, gdy byłem dzieckiem, chciałem dowiedzieć się więcej od ciotki Palmy, bo ona pozwalała mi zadawać pytania. A jednocześnie...

– Ciociu Palmo?

– Pytaj.

Ciotka Palma wie, że wolę pytać, niż komentować. Pytam, czy tęskni za Portugalią. Pytam:

– Czujesz *saudades*?

– *Saudades*? Nie.

– Nie?!

– Co to za pytanie? *Saudades*! Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

I z uciskiem w piersi, niemal bólem, zaczyna ciut szybciej mieszać na patelni.

A ja, oniemiały i zdumiony, spuszcza głowę. Ciotka Palma podnosi i zdejmuję wielką patelnię z ognia. Dwa razy uderza o jej krawędź drewnianą łyżką, pozbywając się tego, czego trzeba się pozbyć. Bierze wdech i odwraca się do mnie. W jej oczach zaraz pojawiają się łzy. Ale nie pojawiają się. Lśni w nich irytacja.

– *Saudade*, Antonio, to liczba pojedyncza! Nie ma innego słowa, które mogłoby je zastąpić. Choćby zbliżonego. Zapamiętaj.

Kończy rozkazującym – i czułym – „Zapamiętaj”, które jest jednocześnie prztyczkiem i pieszczotą. Staram się nie mrugać. Muszę wysłuchać jej z otwartymi oczami.

– A zwłaszcza ta szczególna *saudade*, o którą ci chodzi, i która jest potężna, niezmierna.

– Przepraszam, ciociu Palmo. Nie powinienem był pytać.

– Owszem, powinienes. Oczywiście, że powinienes. Tak będzie dla ciebie lepiej. Wciąż jesteś bardzo młody, nie musiałeś wszystkiego porzucić, twoje krótkie życie wciąż jest nienaruszone. Pewnego dnia, wcześniej czy później, nauczysz się, że *saudades* w liczbie mnogiej, to jakby wspomnienia, pozdrowienia, które komuś przesyłasz. A to za mało, Antonio, by wyrazić uczucie, które twoi rodzice i ja żywimy w głębi duszy wobec Portugalii i tego, co tam zostawiliśmy. Tak, *saudade*! *Saudade* w liczbie pojedynczej, to odpowiednie słowo. Można by pomyśleć, że to niewielka różnica. Ale to ten cenny rodzaj różnicy, luksus, z którego może korzystać tylko nasz język. Dobrze by było, gdybyś zapamiętał. Gdy nadejdzie czas, będziesz miał dokładną miarę, by ocenić swoją stratę, choćby największą. I nie tylko miarę. Będziesz miał trop, jak ją zmniejszyć. Gdy pierwszy raz, samotny i zdesperowany, powiesz: „Jaka *saudade*!”, zaczniesz rozumieć, co czujemy my, twoi rodzice i ja.

Zdumiewa mnie, jak zaskakujące potrafią być myśli. Ta rozmowa sprzed piętnastu lat przypomina mi się nagle, zupełnie niespodziewanie, gdy spaceruję wraz z nimi i dziećmi po plaży Copacabana. Zaplanowałem wyjazd samochodem, więc Isabel postanowiła zostać, żebyśmy się w nim wygodnie pomieścili. Mieliśmy wyjechali z centrum miasta dość wcześnie. Musiałem ich pośpieszać.

– Dalej, chodźcie! W przeciwnym razie się spóźnimy!

Mama mówi, że napije się jeszcze wody, a ciotka Palma wraca po szal. Po drodze bierze mnie pod rękę, chcąc szepnąć mi coś na ucho.

– Akurat teraz, ciociu Palmo?!

– Tak, teraz. To krótka sprawa.

Ciotka Palma sprawia wrażenie, jakby zaraz miała zdradzić mi jakiś sekret.

– Wiem, że miałeś jak najlepsze intencje. Ale nie podoba mi się ryż wystawiony w szklanym słoju w oknie restauracji.

– Nie? Myślałem, że ci się spodoba. Ojciec i matka byli zachwyceni!

– Owszem, wygląda pięknie. To śliczny słoje. I tak, pełen ryżu i podświetlony na wystawie dodaje restauracji uroku.

– Ale?!

Ciotka Palma jeszcze bardziej ścisza głos i mówi mi do ucha.

– Wiesz co? Ten ryż to twoje szczęście, twoje i Isabel. Nie powinieneś się nim przechwalać. Szczęście, moje dziecko, budzi nawet większą zazdrość niż bogactwo.

– Prawie nikt nie zna tej historii, ciociu Palmo. Tylko my, z domu.

– Dobrze, jak chcesz. Ale moim zdaniem popadasz ze skrajności w skrajność. Kiedyś chciałeś go oddać, bo uważałaś, że zalęgna się w nim robaki. Teraz popisujesz się nim, jak trofeum. Zastanów się.

Ciotka Palma klepie mnie czule w policzek i wypuszcza. Matka już wychodzi, twierdząc, że od dawna jest gotowa. Ojciec łaskocze Rosário, Nuno puszcza jego rękę. Gdzie ja posiałem kluczyki do auta? Mam wrażenie, że nigdy stamtąd nie wyruszamy, ale zaraz potem siedzę już za kierownicą. Wszyscy machają do Isabel. Dołączam do wrzawy, dwa razy trąbię klaksonem i odjeżdżam. Jakbyśmy się wybierali gdzieś na wiele miesięcy. Jedziemy drogą, która wiedzie tuż nad wodą, wzdłuż plaży Flamengo w kierunku Botafogo. Wsiadamy tam na chwilę. Są bardzo wzruszeni widokiem statui Jezusa Zbawiciela, co za wspaniałe dzieło inżynierii! I kolejką linową na górę zwaną Głową Cukru, co za rozmach! Gdy przyjechali do Brazylii, nie było ani tego, ani tego. A teraz – patrzcie tylko! Jakby to było dobrze, gdyby ludzie mogli zająć się wyłącznie pracą w interesie dobra. Tyle czasu zmarnowanego na budowanie czołgów, samolotów, statków wojennych, można by

przeznaczyć na coś takiego. Pomyśleć, że zaledwie pięć lat minęło od zakończenia drugiej wojny światowej. Portugalia słusznie zrobiła, zachowując neutralność. W 1914 byliśmy mięsem armatnim. To była prawdziwa rzeź. I żadnego uznania. Ileż żyć zniszczonych, ilu pięknych młodych chłopców! A tym razem? W Europie zginęło tylu Brazylijczyków! Myślicie, że ci na górze to docenią? Nie liczcie na to. Przechwalają się tylko swoim własnym zabijaniem. Matki i żony – biedactwa – mogą iść do diabła! Matka już wyciąga chusteczkę. Zmieniam temat. Mówię, że jeśli chcą, mogą zabrać ich na górę, żeby zobaczyli zapierający dech w piersiach widok miasta. Są podekscytowani pomysłem, radość jest większa od strachu. Ciotka Palma uważa, że nazwa „Głowa Cukru” jest komiczna. Dajcie spokój! Skąd oni to wystrasnęli?! Jest zdumiona, gdy dowiaduje się, że to Tupinambá, pierwsi ludzie, jacy tu mieszkali, nazywali tę górę „Pau-nh-açuquã”, co w języku Tupi-Guaraní oznacza „wysokie, odizolowane i strome wzniesienie”, co z kolei Portugalczycy przetłumaczyli błędnie jako „Pão de Açúcar”, „Głowa Cukru”. Ciotka Palma się nie zgadza:

– Nie, nie błędnie, poetycznie. – Ma rację.

Zaczynam nawet myśleć, że ta góra wygląda jak bochenek chleba. Jeszcze odrobina śniegu na szczycie i nazwa będzie idealna!

Wracamy do samochodu, jedziemy dalej, przez Nowy Tunel, kolejne zachwyty! I wreszcie – Copacabana! Co za rozkosz! Nie jesteśmy już w zatoce, wyjaśniam. Zapach morskiego powietrza. Biały piasek, olbrzymie fale. Ocean. Portugalia jest za grzywami, za krzywą horyzontu – dowód na to, że ziemia jest okrągła, przypomina nam ojciec niczym mały chłopiec. Wolą iść pieszo. Podziwiają portugalski kamień na chodnikach bliżej plaży, mozaikę czarnych i białych fal. Jak cudownie! Pałac Copacabana wygląda majestatycznie. Wyobrażacie sobie widok z tych pokoi? Taka sceneria za oknem tuż po pobudce? Co za luksus! A tam, na końcu fort Copacabana. Ciotka Palma chce przejść się po piasku, zdejmuje buty. Dołączamy do niej wszyscy. Dzieci uwielbiają takie wygłupy. Założę się, że na plaży będzie jeszcze bardziej atrakcyjnie. I jest. Ojciec natychmiast podwija sobie spodnie. Bawi się z Nuno nad samym brzegiem wody i podciąga go za rączki do góry przy każdej fali. *Hop!* Ja, także z podwiniętymi nogawkami, niosę Rosário, która nie chce do wody.

Ma rację. Jest lodowata. Matka i ciotka Palma unoszą rąbki spódnic. Świetnie się bawią, śmieją się bez powodu. Uciekają przed falami, pozwalają by woda sięgnęła ich łydek. Już dawno nie widziałem ich takich szczęśliwych, jak małe dziewczynki. Chciałbym zachować ten obraz raj. Dokładnie z tymi kolorami, zapachem, dźwiękami. Kolejny obraz do galerii przyszłość. Kto je sygnuje? Bóg Niebieski? Ja? Ludzie, którzy na nim są? Ci, którzy go współtworzą? Zakładam, że to zbiorowe dzieło sztuki. Dziękuję za nie na swój sposób. Wszyscy milkną. Taki spokój. Ciotka Palma patrzy najdalej jak może. Widać, że wyteęza wzrok.

– To jest to samo morze, które rozbija się tam, o Viana do Castelo. To mnie pociesza.

Ojciec i matka przytulają się, patrzą w tym samym kierunku, najdalej jak mogą. Zgadza się z nią w milczeniu. Ta scena przenosi mnie daleko w przeszłość. Byłem chłopcem, miałem czternaście czy piętnaście lat. Podszedłem do ciotki Palmy i zapytałem, czy tęskni za Portugalią, czy czuje *saudades*.

TAK I NIE

Nasz język potrafi być zabawny. Przykład? Tu w Brazylii nigdy nie mówimy „tak” w odpowiedzi. Używamy czasownika. Pamiętasz, co się wydarzyło? Pamiętam. Chciałbyś pamiętać więcej? Chciałbym. Wiesz, co to oznacza? Wiem. I tak dalej, i dalej, i ani razu nie pada „tak”. Inaczej jest z przeczeniem. Mówimy „nie” i koniec. Pamiętasz, co się wydarzyło? Nie. „Nie” jest natychmiastowe, konkretne, ostateczne. „Tak” jest omijane. „Nie” się narzuca. Zastanawiam się, czy w gestach „tak” nie wysuwa się przed „nie”. Noworodek przede wszystkim powie „tak” piersi. Dopiero potem, nasycony, powie „nie”. Pogłębiam analizę i uświadamiam sobie, że „tak” to ruch w górę i w dół. A „nie” to ruch z boku do boku. I dlatego, żeby utulić dziecko do snu, trzeba kołysać je na zmianę: na „tak” i na „nie”. Gdy zaznajomi się z oboma biegunami, spokojnie pośpi. Nauczyłem się tego podczas wczesnych godzin porannych spędzanych z Nuno i Rosário. Kontynuuję, odkrywam nowe związki. Namiętność mówi „tak”. Skromność mówi „nie”. Pokusa mówi „tak”. Cnota mówi „nie”. Zdrowie mówi „tak”. Choroba mówi „nie”. Policzek mówi „nie”, serwetka na ustach mówi „nie”, wahadło mówi „nie”. Hamulec auta mówi „tak”, wycieraczki mówią „nie”. Linie proste dróg mówią „tak”. Zakręty mówią „nie”. Widzowie na meczu tenisowym mówią „nie”. Strzelający gola w piłkę nożną musi powiedzieć „tak”, a bramkarz „nie”. *Sim* znaczy „tak”, ale *pois sim* znaczy „nie”; *não* znaczy „nie”, ale *pois não* znaczy „tak”! Dosyć, Antonio! Szalejesz!

– Mówisz sam do siebie?

– Kto, ja?!

Isabel zna mnie od ponad sześćdziesięciu lat. Wie, że mam taki zwyczaj od młodości, ale pyta za każdym razem, gdy mnie na tym przyłapuje. A ja udaję, że nie rozumiem. Uważa, że to zabawne. Mnie to nie przeszkadza. Na tym poprzestajemy. Zwłaszcza teraz. Nie mam na to czasu. Ja, tu w kuchni. Ja, tutaj, osiemdziesięcioośmioletni starzec. I wszyscy ci ludzie, którzy przyjdą na obiad. Czy zwariowałem? Owszem, zwariowałem! I jestem szczęśliwy, dzięki Bogu. Rękawy podwinięte, ręce wyrabiają ciasto. Czy narzekam? Co za pomysł! Uwielbiam to! Mierzę się z odpowiedzialnością. Wyzwanie mnie odmładza. Nie widzę nawet swoich zmarszczek. Głęboko wciągam powietrze, napełniam płuca. Moja kuchnia to centrum wszechświata. A ja jestem stwórcą głównego dania i tych, które wokół niego krążą, słodkich i pikantnych. Stół obfitości, zastawiony aż po horyzont. Możesz nałożyć sobie na talerz, a potem wrócić po więcej, ile razy chcesz. Jak mówi powiedzenie, korzystaj, to się może już nie powtórzyć. A jeszcze większe szczęście? Cała rodzina znowu razem! Jestem pewien. Nikogo nie zabraknie. Nikogo. Ani starych, ani dzieci. Idealny układ gwiazd. Wolna wola, przeznaczenie i boska opatrzność, decydujące siły też są w pełnej zgodzie. Moje rodzeństwo skorzysta ze zdrowia, jakie jest nam dane. My, gałązki z jednej wiązki! My, królewscy muszkietierowie! Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!

Możecie myśleć, że to szaleństwo, jedno z moich wariactw, ale nikt nie usunie z mojej głowy tego, jak to wtedy było, podczas tamtej pierwszej i jedynej – powtarzam: pierwszej i jedynej – wizyty, jaką złożyli nam ojciec, matka i ciotka Palma w odległej przeszłości lat pięćdziesiątych XX wieku, która umożliwiła nasze spotkanie teraz, w 2008 roku. Nigdy nie opuszczali Santo Antonio da União, nigdy. Byli głęboko zakorzenieni w tej ziemi, niczym trzy stuletnie drzewa. Kwitli i wydawali owoce. Spełnieni w życiu, chcieli zebrać nas wszystkich razem, w jednym dniu. To było ich nieustannie powracające marzenie. Nie udało im się. Nie było sposobu, żebyśmy my, rodzeństwo, uzgodnili swoje plany. Zawsze coś nie pasowało, coś się nie zgadzało, czegoś nie zrozumiano. Teraz wiem: nie było dobrej woli. Gdybyśmy byli mniej skoncentrowani na sobie, znaleźlibyśmy sposób, żeby dać staruszkom tę radość. Zastosowali przysłowie: Mahomet nie chce do góry? W takim razie góra musi do Mahometa. Lekcja życia. Chyba ostatnia, jakiej nam

udzielili.

Gdy byli u mnie – uświadomiłem to sobie dopiero dużo później – cała trójka traktowała mnie tak, jakbym był jedynakiem. Cała ich uwaga, ciekawość, komentarze skupiały się na mojej małej rodzinie, na moich osiągnięciach, na moim codziennym życiu. W moim domu nie wspomniano o Leonor, o Joaquimie czy o Nicolau, chyba że to ja albo Isabel zadaliśmy jakieś pytanie. Wtedy tak, chętnie odpowiadali i zawsze w taki sposób, żeby nas ze sobą związać.

Ostatniego dnia ciotka Palma zapytała mnie – najnaturalniej w świecie – czy mógłbym zamówić dla nich taksówkę. Uzgodniliśmy wszyscy wcześniej, że spędzą tydzień w Tijuca, na zachód od miasta, z Nicolau i Amálią. Chcieli zobaczyć Marię da Glórię, która na pewno bardzo wyrosła.

– Taksówka? Co za nonsens! Ja was zawiozę! Czy Joaquim nie zabierze was z São Paulo do interioru do Leonor? To co to dla mnie za problem skoczyć do Tijuca? Na miłość boską, ciociu Palmo, tak właściwie to mnie obraziłaś!

Ciotkę Palmę rozbawiła moja gwałtowność, powiedziała, że nie zamierzała mnie urazić, nie chciała tylko sprawiać kłopotu. Wiedziała, że Isabel i ja nie rozmawialiśmy od jakiegoś czasu z Amálią i że dlatego straciliśmy kontakt z Nicolau. Ale widząc ogrom mojego oburzenia, szybko i z ulgą przyjęła ofertę. Ja byłem jeszcze bardziej zadowolony niż ona, bo miałem świetną wymówkę, żeby zobaczyć się znowu z bratem.

Ciotka Palma miała dar zmieniania żółci w miód, goryczy w słodycz. Była stanowcza – jej sprawiedliwość była sprawiedliwością Salomona – ale była też słodka, nawet gdy była zła. Była taka, że zawsze zdołała osiągnąć to, co chciała. Albo prawie zawsze. Gdy podszedłem do Nicolau i uściskaliśmy się długo i mocno, nieba zesłały na mnie wizję, której nigdy nie zapomnę: wyraz twarzy ciotki Palmy. To ona – jestem tego pewien – pomogła mi wydłużyć i wzmocnić ten uścisk.

Amália powitała mnie uprzejmie, ale oficjalnie. Zaprosiła do środka. Niestety, nie mogę, odpowiedziałem. Muszę wracać do Isabel do restauracji. Z ulgą stwierdziła:

– Jaka szkoda.

Nicolau i ja popatrzyliśmy sobie znowu w oczy i jeszcze raz się uścisnęliśmy. To było dobre, te parę sekund bliskości. Wróciłem do samochodu. Nie zobaczyłem nawet Marii da Glórii – pomyślałem z żalem. Machali mi z progu. Trzyletnia dziewczynka wyszła ze środka, przecisnęła się jakoś przez gąszcz nóg. Moja bratanica. Nicolau wziął ją na rękę, żeby też się pożegnała. Delikatnie zatrąbiłem klaksonem, dwa razy. Dźwięk był smutny, stonowany. Poczułem to i oni też.

Maria da Glória będzie dziś na obiedzie. Przywiezie swoje dzieci. Jej najstarszy syn ma dwadzieścia pięć lat i podobno został już ojcem.

NIEWIDOCZNE I NIEISTNIEJĄCE

Wspomnienia potrafią być zaskakujące. Jakiś istotny fakt nam umyka, a drobne, codziennie czynności pozostają. Gdy otrzymałem wiadomość o wypadku doni Marii Celeste i senhora Avelino, pierwszy nasunął mi się obraz ich dwojga przy śniadaniu. On miał zwyczaj zanurzać chleb z masłem w kawie i taki ociekający kawałek wsuwać do ust. Ona uważała, że to okropnie niegrzeczne, ale musiała to znosić, był jej mężem. Cóż, to właśnie przyszło mi do głowy w chwili, gdy dowiedziałem się, że oboje zginęli. Senhor Avelino, kromka pokrojona na cztery kawałki, jeden z nich już zanurzony w kawie, głowa pochylona, by ugryźć przesiąknięte pieczywo. I dona Maria Celeste, mocno poirytowana, odwracająca wzrok. Czy to ma jakikolwiek sens? Podczas identyfikacji ciał, podczas czuwania, w chwili opuszczania trumien do grobu, raz za razem widziałem ten właśnie obraz. Ani koszmar, ani ból nie odebrały mi tego intymnego wspomnienia. Życie zapisało we mnie więcej niż śmierć. Nic spektakularnego, tylko codzienna bliskość. Lubiłem ich. Szczególnie staruszka. Gdy już poślubiłem Isabel, zawsze nazywał mnie swoim synem. Ale dona Maria Celeste nie. Zawsze była niezwykle przyjazna – wręcz serdeczna – ale wolała zachować pewien dystans, pewną formalność. Kto by przypuszczał, że oboje odejdą razem i to w tak tragicznych okolicznościach? Ciała trzeba było sprowadzić ze stanu Minas Gerais. Wypadek zdarzył się na drodze São João Del Rey. Ja się wszystkim zająłem. Wszystkim. Starłem się chronić Isabel, na ile się tylko da. Nie da się, nie ma takiego sposobu. Mogę tylko zaoferować jej ramię – które ona przyjmuje, odruch bezwarunkowy. Nie mówi ani słowa, nie roni ani jednej łzy. Wita ludzi w automatyczny sposób. Podejrzewam, że nie do końca pojmuje, co się wydarzyło. Jakie wspomnienia przychodzą jej do głowy? W kaplicy

São João Batista zebrało się już sporo ludzi. Ksiądz, który wygłosi mowę pogrzebową. Za dużo gada. O wiele za dużo. Wygląda na to, że lubi być w centrum uwagi. Nareszcie ulga, pokrapianie wodą święconą, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen. Wszystko, co złe się kończy, to, co dobre też. Trumny niesione cichym krokiem, nagrobek z polerowanego białego marmuru, smutny anioł czekający na nowych mieszkańców. Nie sędzę, by podawał im śniadania.

AVELINO DE ALVES MACHADO

13 marca 1877 – 22 września 1952

MARIA CELESTE DE ALVES MACHADO

17 grudnia 1880 – 22 września 1952

Grabarze przejmują swoją rolę w nowej scenerii. Unoszą pokrywę. Jak mówi przysłowie: pozory mylą. Sam cement. Ja tu nie będę leżeć, myślę. Isabel może, jeśli zechce. Ja nie. Co za zimne, nieprzystępne miejsce. Kto wymyślił, żeby zbudować ten grobowiec? Oni nawet nie mieszkali tutaj w stolicy! Wiem, że leży już tutaj brat doni Marii Celeste, korzysta z beczynszowego lokum. Przynajmniej będzie miał teraz z kim pogadać. Nie wiem, czy będą mieli jakiś temat do rozmowy. Cóż, to nie mój problem. Muszę pomyśleć o jakimś innym miejscu na spoczynek dla moich kości albo o pozbyciu się ich. Kremacja – to opcja, którą warto rozważyć. Rytuał rozsypania prochów, lżejsze rozwiązanie i to dosłownie. Bardziej poetyckie. Jezus Chrystus słusznie uczynił, zabierając ze sobą swoje ciało, już kiedyś przyszło mi to do głowy. Ktoś stuka mnie w ramię, mówi mi do ucha, podczas gdy ja zastanawiam się nad swoim miejscem wiecznego spoczynku. Nie zwracam uwagi na padające słowa ani na osobę, która je wypowiada. Isabel mnie zna, odpowiada za mnie. Człowiek wydaje się usatysfakcjonowany, odchodzi.

Dalej rozważam różne możliwości. Zdecydowanie wolałbym jakiś kącik tam, na wiejskim cmentarzu. Cement i wewnątrz i na zewnątrz, cztery ściany dokładnie otynkowane i pomalowane, gładko, na biało. Proste, stosowne. Doniczki, może mała grządka z boku. Tak, tego właśnie chcę! Ten pomysł tak mi się podoba, że w cudownym nastroju zaczynam śpiewać:

*To na pewno jest portugalski dom,
To na pewno, na pewno jest on!*

W pewnym momencie odnoszę wrażenie, że ludzie wokół mnie śpiewają wraz ze mną, aż w końcu wszyscy razem, wzruszeni, śpiewamy *Uma casa portuguesa*. Wracam na pogrzeb przy dźwiękach aplauzu. Odruch bezwarunkowy, sam też klaskam. Isabel, zapłakana, całuje mnie, wdzięczna za niespodziewany trybut. Rozglądam się, wszyscy ronią łzy. To niemożliwe. Czy naprawdę zamiast nucić w głowie, zacząłem śpiewać na głos? To jedyne możliwe wyjaśnienie!

Grobowiec jest już zamknięty. Wszyscy twierdzą, że nigdy nie widzieli piękniejszego pogrzebu. Nawet grabarze płaczą po ludziach, których nie znali. Jeden z nich podchodzi do mnie, żeby powiedzieć, że zmarli państwo, gdziekolwiek są, nigdy nie zapomną tak pięknej uroczystości. Ktoś wspomina, że to była jedna z ulubionych piosenek doni Marii Celeste. Ktoś inny mówi, że nigdy nie czuł takiego spokoju i radości podczas pożegnania. Zdumiewająca harmonia wśród wszystkich obecnych – dodaje. Nawet ci, którzy nie znają słów, nucili melodię.

Gdy wróciliśmy do domu, Nuno i Rosário już spali. Conceição zapewniła nas, że byli grzeczni i spokojni, i że w ogóle nie sprawiali kłopotu. Poprosiliśmy ją, żeby podgrzała nam coś do jedzenia. Odpowiedziała, że ugotowała zupę warzywną, i że zawoła nas, jak będzie gotowa. Isabel i ja czekamy, zaglądając do naszych maleństw.

– Przepraszam, Antonio.

– Przepraszasz? Za co?!

– Gdy zacząłeś śpiewać, uszczypnęłam cię w ramię, żebyś przestał. Umierałam ze wstydu. Ale ciocia Heloisa i ciocia Geralda, one są już takie stare, też zaczęły śpiewać. Dołączyły ich córki i wtedy się rozplakałam. Zanim uświadomiłam sobie, co się dzieje, śpiewali już wszyscy. Wiedziałam, że coś planowałeś. Ale nie miałam pojęcia, co zamierzałeś. Dziękuję ci za to uczucie, dziękuję ci za to, jaki jesteś.

– Nie trzeba przeproszać. Ani dziękować. Myślałem o sobie. O miejscu, gdzie spocznie moje ciało, gdy nadejdzie pora.

Isabel mnie całuje. Jest pewna, że ten dzień jeszcze bardzo długo nie nastąpi. Mówi, że teraz ma już tylko mnie i dzieci.

– Bzdura. Rodzice zawsze z tobą będą.

– Tak bardzo chciałabym w to wierzyć. Ale ja ze swoją religią mam mniej wiary niż ty z tymi swoimi fantazjami.

– To nie fantazje. Mylisz niewidoczne z nieistniejącym. Twoi rodzice nie przestali istnieć tylko dlatego, że już ich nie widzimy. Nawet w tym naszym materialnym świecie mamy dowody na to, że niewidoczne nie oznacza nieistniejące. W słoneczny dzień idziesz po plaży Ipanema i widzisz wyraźnie na horyzoncie wyspy Cagarra. Innego dnia mgła sprawia, że nie dostrzegasz ich wcale. Ale one tam cały czas są, tak samo rzeczywiste. Tylko że w tym szczególnym przypadku jesteś akurat w stanie wyjaśnić, dlaczego są niewidoczne.

– Ty i te twoje wyjaśnienia...

– Czy jest coś bardziej rzeczywistego niż ból, który teraz odczuwasz? I czy jesteś w stanie go zobaczyć albo dotknąć?

– Chroń mnie, Antonio. Chroń mnie, jestem taka zagubiona.

Isabel siada mi na kolanach, osierocona po raz drugi. Nie wiem, czy to ona przekazuje tę myśl mnie, czy ja jej.

– Gdy zobaczyłam ojca i matkę martwych, wyobraziłam sobie, że to są moi biologiczni rodzice, a nie oni. Nie chciałam zostać sierotą po raz drugi.

– To naturalna, zdrowa myśl.

– Wiesz, gdy żyli, od czasu do czasu zastanawiałam się, kim byli moi prawdziwi rodzice.

Isabel pokazuje palcami cudzysłów przy słowie „prawdziwi”. A potem mówi dalej.

– Teraz wszystko się zmieniło. Nie ma dwóch ojców, dwóch matek, Antonio. Nigdy nie było. Zrodziłam się z nich. Część mnie, wyjątkowa część, odeszła.

Niewidoczne i nieistniejące wraca teraz do mnie. Wiem, że prawdziwymi rodzicami Isabel zawsze byli senhor Avelino i dona Maria Celeste. A tamci inni? Czy nie istnieją tylko dlatego, że są niewidoczni? Zachowuję tę wątpliwość dla siebie. To pora na słuchanie i dawanie pociechy.

SANTO ANTONIO DA UNIÃO

Isabel chce wrócić do majątku. Ale czuje się rozdarta. Pyta, co powiedziałbym na zorganizowanie tam tradycyjnej mszy po siedmiu dniach od śmierci, w małej kaplicy w Santo Antonio da União, w której wzięliśmy ślub. Zgadzam się, oczywiście. Nie ma żadnego problemu. Weźmiemy samochód i pojedziemy z dziećmi. Będzie dobrze.

– Nawet z tymi wszystkimi wspomnieniami, szafkami kuchennymi, ubraniami, butami?

– Nawet z nimi.

– Może powinnam trochę odczekać.

– Nie sądzę. Myślę, że im szybciej tam pojedziesz, tym lepiej.

– A restauracja?

– Co z restauracją? W tej chwili prowadzi się sama. Otaczają nas zawodowcy.

– Nie możemy tak po prostu wyjechać...

– W porządku, Isabel, ty wiesz najlepiej. Jak będziesz chciała pojechać, po prostu powiedz. Możemy wyjechać w ciągu minuty, jeśli tak zdecydujesz. Będę na dole w spiżarni. Trzeba sprawdzić nową dostawę.

Wiem, że byłem dla niej surowy. Ale odpowiedziałem w taki sposób i takim tonem, jak musiałem. Isabel nie potrzebuje teraz męża. Potrzebuje ojca. Będąc stanowczym, odwracając się i odchodząc, na pewno wywołam jakiś efekt. I rzeczywiście. Nie minęło pół godziny, a zeszła na dół. Postanowiła, że mimo wszystko chce jechać. Teraz, jeśli to możliwe. Wyciągam ramiona i zapraszam ją. Podchodzi i załamuje się.

– W porządku, kochanie. Wypłacz się. Łzy to najlepszy sposób na oczyszczenie.

To spokojna podróż, błękitne wiosenne niebo, łagodna temperatura, żadnego ruchu na drodze. Jadę wolno, okna otwarte, jakbyśmy jechali gdzieś daleko. Krajobraz przyciąga naszą uwagę. Od czasu do czasu zerkam na Isabel. Wydaje się w porządku. Milczymy oboje. Nuno i Rosário śpią na tylnej kanapie, w ramce lusterka.

Gdy zjeżdżamy z utwardzonej drogi i skręcamy w gruntową, Isabel wyciąga z torebki chusteczkę i ociera oczy. Zwraca się do mnie z uśmiechem, który jest strasznie smutny, ale jednocześnie oznacza, że mam się nie martwić, że z nią wszystko w porządku. Nuno budzi się, gdy auto podskakuje na nierówności, pyta, czy może usiąść z przodu. Uważam, że to świetny pomysł. *Hop!*

– Popatrz na te śliczne krówki, Nuno! Zobacz, ile ich jest!

– Mamusiu, mogę wystawić głowę?

– Tutaj możesz, tak.

Nuno jest wyjątkowy. Uczuciowy, wrażliwy, inteligentny. Miło jest patrzeć na niego, małego mężczyznę na kolanach Isabel. Jest ciekawy wszystkiego. Pokazuje, pyta, komentuje. Rosário tkwi w ramce lusterka, głęboko śpi. Żadna nierówność drogi jej nie obudzi. Smoczek w rogu ust. Już i tak niedługo przestanie go używać.

Gdy tylko docieramy do San Antonio da União, spotyka nas cudowna niespodzianka. Ojciec zasadził dwie duże palmy przy wjeździe do majątku. To prezent od niego, matki i ciotki Palmy dla Isabel.

– Antonio, zatrzymaj, proszę, samochód.

Isabel wysiada, stawia Nuno na ziemi, podaje mu rękę i prowadzi. Rosário budzi się, prosi, żebym wziął ją na ręce, a ja to robię. Wykorzystuję okazję, żeby zabrać jej smoczek, a ona nie protestuje. Opiera swoją małą główkę na moim ramieniu i mości się wygodnie. We czwórkę podchodzimy do palm.

– To musiał zrobić twój tato.

– Na pewno.

Nuno pokazuje, że dwa bentewi wielkie usiadły właśnie na czubkach palm, żeby odpocząć. Jeden ptak na każdym centralnym, wskazujących niebo liściu. Nie mam

pojęcia, jak dają radę utrzymać równowagę. Isabel przysuwa palec wskazujący do ust, prosząc o ciszę, zupełnie jak pielęgniarka z plakatu w szpitalu São José. Nuno naśladuje jej gest i patrzy na mnie surowo. Jestem posłuszny, ostrożnie stawiam kroki. Podchodzimy naprawdę blisko, ptaki obserwują nas, każdy ze swojego liścia. Pamiętam tamte synogarlice ze szpitala. Tylko że tutaj – i nie ma co do tego wątpliwości – doskonale wiem, kim są. Isabel czyta mi w myślach. Wiadomość otrzymana. Bentewi mogą już odlecieć. I tak robią. Najpierw jeden, potem drugi. Nuno karci mnie, twierdzi, że to ja je spłoszyłem.

– Nuno, uważaj, jak się zwracasz do ojca. Chodź z mamusią, chodź.

Nuno idzie, nie traci ani minuty, z szerokim uśmiechem i wyciągniętą rączką, gotowy, by go przytulić. Ptaki i to, jak się do mnie odezwał, to już przeszłość. Rosário, już całkiem obudzona, prosi, żebym postawił ją na ziemi. I biegnie, goni brata. Mija go, jakby brali udział w jakimś wyścigu i rzuca się na pień palmy. Pierwsza! Nuno, wieczny naśladowca, puszcza rękę Isabel i robi to samo. Pierwszy! I stoją tak oboje, każde przytulone do swojego drzewa. On do dziadka, ona do babci. A może odwrotnie?

– Wystarczy. Idziemy – babcia Maria Romana i babcia Palma na pewno już na nas czekają.

– Dużo mamy babć, prawda, mamusiu?

– Owszem, Nuno, owszem.

Nuno wskakuje do auta, szczęśliwy, że ma całą kolekcję babć. Jedna z nich jest już w niebie, wie o tym. Rosário obejmuje rączkami pień palmy trochę dłużej. Isabel musi ponownie ją zawołać. Dopiero wtedy przychodzi. Ale ogląda się, raz czy dwa. Co ona tam zobaczyła?

Pierwsza brama. Isabel wysiada, idzie ją otworzyć, ja przejeżdżam, zatrzymuję się, a ona zamyka bramę i wsiada do auta. Jedziemy dalej. Druga brama, ten sam rytuał. Nuno i Rosário chcą wsiąść z matką. Nie mogą. Dlaczego. Bo nie. Jedziemy dalej. Duży dom już widać. Nigdy dotąd nie widziałem go tak wyraźnie, tak czysto. Natura idealnie nastawiła ostrość. Kolory aż boją.

– Zatrzymamy się przy rezydencji czy najpierw pojedziemy się zobaczyć

z rodziną?

– Najpierw rodzina.

Isabel odpowiada od razu. Nie pozostawia miejsca na wątpliwości – przede wszystkim chce znów zobaczyć ojca, matkę i ciotkę Palmę. Mała dróżka, która prowadzi do naszego domu jest stroma i wąska. Gdy zjeżdżamy, przeszłość przesuwa się niczym film. Sceny nie po kolei, wstawione lub wycięte bez żadnej logiki, ale mimo wszystko to film. Arbitralny montaż przez serce, które odmawia uznania wskazań umysłu i zawsze robi z negatywem co chce. To nieważne. Dostrzegam talent, błyskotliwość. Krótkometrażowe filmy, które nas niepokoją, uczą, rozśmieszają.

– Co takiego?

– Przypomniało mi się, gdy przypadkiem wpadliśmy na twoją siostrę i Sebastião w bambusowym zagajniku. Biedactwa. Taka niezręczna sytuacja.

– Nigdy nie zapomnę Sebastião ze ściągniętymi spodniami.

– A jego tyłek? Unoszący się w górę, a potem opadający w dół, w górę i...

Isabel nie kończy zdania. Dobrze jest widzieć ją zaśmiewającą się do łez. Uświadamiam sobie, że Nuno pilnie śledzi naszą rozmowę z tylnego siedzenia. Daję sygnał Isabel, zmieniam temat i ton głosu.

– Zawsze ciężko pracował.

Isabel próbuje opanować rozbawienie.

– Mówię poważnie! Naprawdę ciężko, wszyscy tak o nim mówią.

To jeszcze pogarsza sprawę. Nic nie poradzimy. Oboje z Isabel wybuchamy śmiechem w tym samym momencie. Nuno jest zachwycony. Śmiejemy się do rozpuku. Rosário do nas dołącza. Lepiej o tym nie myśleć. To dzieci, nic nie rozumieją. Tak, nie myśleć, zapomnieć.

Nie muszę nawet trąbić klaksonem. Matka i ojciec usłyszeli samochód i już na nas czekają. Ciotka Palma wychodzi na ganek, odkłada robótkę na krzesło i stara się wypatrzyć nas w świetle późnego popołudnia, mruży oczy z uśmiechem na twarzy, widzi, że dotarliśmy cali i zdrowi. Film krótkometrażowy z Leonor i Sebastião w rolach głównych okazał się prawdziwym sukcesem, oczyścił atmosferę. Mnóstwo

uścisków i pocałunków. Ojciec podrzuca Rosário wysoko w górę, *hop!*, a potem wyrzuca wysoko w górę Nuno, *hop!*

– Dziadku, dziadku!

– O co chodzi? Dalej, powiedz dziadkowi.

– Tyłek wujka Sebastião chodzi tak, zobacz, w górę i w dół, w górę i w dół!

– Co takiego?!!!

Nuno nie mógł być precyzyjniejszy. Nawet gest, którego my nie zrobiliśmy, wykonuje idealnie. Czterolatek! Gdzie on się tego nauczył? Gdzie? Rugam go. Nie mam wyboru, muszę być niesprawiedliwy.

– Nuno! Przestań! Dostyc tego!

Nuno nie rozumie nagany. Przecież to my zaczęliśmy tę zabawę, to my śmialiśmy się z tyłka wujka Sebastião, który poruszał się w górę i w dół! Patrzy na Isabel, próbując zrozumieć, co zrobił źle. Nic. Absolutnie nic. Ale jak mu to wyjaśnić? Podchodzę do niego, sadzam go sobie na kolanach i cichutko kłamię.

– Nuno, dziadek Custódio i babcia Maria Romana nie lubią takich żartów. One są tylko dla nas, dobrze?

Nuno nadal nie rozumie, ale kiwa głową na tak. Temat na razie zamknięty. To męska sprawa. Nic istotnego. Wszyscy już weszli do środka, przepełnieni emocjami. Zostaliśmy tylko my dwaj. Nuno ma minę zbitego psiaka. To wzruszający widok, gdy stoi tak przede mną, ze spuszczoną głową, rączkami z tyłu, z powagą traktując moje idiotyczne wyjaśnienie. Nie hamuję się. Przyciągam go do siebie i mocno przytulam. Nuno nie oponuje. Miłość to coś, co rozumie.

Wewnątrz domu suto zastawiony stół. Dzieci rzucają się na słodycze. Ja decyduję się na kawę i ciasto. Kamery wewnątrz mnie pokazują teraz inny film. Nie wiem, jak zmontuje go w przyszłości serce. Isabel dziękuje za palmy, mówi ojcu, że nie wyobraża sobie, jak pocieszył ją ich widok, że ten gest ma dla niej ogromne znaczenie, że wyraźnie poczuła obecność rodziców. Mówi o dwóch bentewi, które usiadły na liściach akurat w tym momencie.

– Posadziłem je z ogromną wdzięcznością, moje dziecko. To hołd od nas dla twoich rodziców, którzy zawsze traktowali nas jak rodzinę.

– Wszyscy jesteśmy rodziną, Antonio zawsze tak mówi.

– Ma rację.

– Wciąż nie rozumiem, co się stało. Ale chcę, żebyście wiedzieli, że przynajmniej na razie wszystko w Santo Antonio da União pozostanie tak, jak było.

Ojciec jest wzruszony jej troską, jej serdecznością. Zalewają go wspomnienia i opowiada nam ze szczegółami historię majątku. Duży dom wybudował w 1860 roku ojciec senhora Avelino, który kupił dziewiczą ziemię.

– Mnóstwo wody, żyzna gleba – czegoż więcej potrzebował?

Inwestycja się opłacała. Alves Machado senior, człowiek znany jako śmiały przedsiębiorca, zarobił na kawie. Santo Antonio da União stało się częścią zielonego pasa plantacji kawy, które zdominowały krajobraz Rio de Janeiro, rozpościerając się od doliny rzeki Paraíba aż po São Paulo. To były dobre czasy. Na dziesięć lat przed wprowadzeniem Lei Áurea, Złotego Prawa, które w 1889 zniosło niewolnictwo, stary wizjoner już wyzwolił swoich niewolników, którzy pracowali dla niego nadal, już jako pracownicy. Abolicja i powstanie Republiki nic mu nie zaszkodziły, wręcz przeciwnie – ojciec jest w znakomitym humorze.

– Stary był mądry, bardzo mądry!

Dopiero na początku dwudziestego wieku zmieniły się wiatry. Cena kawy na rynkach zaczęła spadać. Właściciele plantacji byli zaskoczeni, jakby niedowierzali. To był koniec euforii, jaką wywołało „zielone złoto”, koniec nieograniczonych zysków. W 1906 roku, w najgorszym momencie kryzysu, ceny wydawały się spadać bez końca. Rząd wyznaczył cenę minimalną, dając plantatorom odrobinę wytchnienia.

– W 1910 roku przybyłem tutaj, nie mając nic poza ubraniem na sobie, w poszukiwaniu pracy. Miałem dwadzieścia dwa lata, byłem zdrowy i pełen chęci. Czegoż więcej potrzebowałem?

Ojciec zjawia się niczym dar. Senhor Avelino ma trzydzieści trzy lata, po śmierci Alvesa Machado seniora to on zarządza majątkiem. Natychmiast przypadają sobie do gustu. Wystarczyło kilka godzin rozmowy i jakby znali się od zawsze. Jedno spojrzenie i uścisk dłoni połączyły ich na całe życie. Pełen marzeń

i entuzjazmu ojciec wkrótce pokazał swoje talenty. Absolutne poświęcenie. Ta ziemia jest jak jego. Nie wybiera sobie pracy. Pragnie zakasać rękawy, ciężko pracować i proponować nowe rozwiązania. To głównie jego pomysły sprawiają, że szef ufa mu bezgranicznie, a on w ciągu pięciu lat zostaje głównym zarządcą Santo Antonio da União. To dzięki jego sugestii działalność majątku zostaje urozmaicona.

– Polegać na samej kawie, senhor Avelino? To już dłużej niemożliwe. Nadeszły nowe czasy, one domagają się zmian.

– Masz rację, Custódio. Masz całkowitą rację. Bierzmy się do roboty!

Zwiększają wielkość pastwisk, zwiększają stada mleczne i mięsne, sadzą trzcinę cukrową. Dobre efekty nadchodzą szybko. Czy na tym poprzestają? Oczywiście, że nie.

– Kozy mogą przynieść zyski.

– Kozy?!

– Tak, kozy – czemu nie? Zawsze chciałem hodować kozy w Portugalii. Umiem robić ser. Nie zaszkodzi spróbować.

I tak pojawiają się kozy. Pracownicy zostają przeszkoleni i szybko uczą się wyrabiać ser. Pyszny kozi ser staje się znany w całej okolicy. Kolejny przebój.

– Nie mówiłem?

Ojciec umie pobudzić zdrową ambicję szefa i wzmocnić jego przywiązanie do tego miejsca. Plany doni Marii Celeste, by przeprowadzić się do stolicy, upadają ostatecznie w roku 1917, gdy senhor Avelino, zachwycony efektami, oferuje ojcu udziały w zyskach z fazendy. Łącząca ich przyjaźń z każdym dniem staje się silniejsza.

– Nasze życie osobiste było niemal identyczne, uwzględniając nawet brak potomstwa.

Ojciec wcale nie przesadza. Podobieństwa w historii rodzinnej obu mężczyzn są uderzające. Obaj stracili matki, gdy byli małymi chłopcami, obaj wcześnie się ożenili, obaj nie zdołali sprawić, by żony obdarzyły ich dziećmi. Może dlatego rzucili się w szaleńczy wir pracy, podejmując nowe wyzwania, nie bojąc się ryzyka. Może dzięki temu czuli się płodni i pełni energii.

– Lecz przymykaliśmy tylko oko na rzeczywistą sytuację. Senhor Avelino i ja doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że wcześniej czy później w naszych domach wybuchnie kryzys.

Wykrakał. Dona Maria Celeste, zmęczona humorami i żądaniem męża, pakuje walizki i wraca do domu rodziców w głębi stanu Minas.

Mówi, że nie wróci. Ojciec tymczasem, jak już wiecie, mówi okropne rzeczy, wyrzuca krzesło przez okno i niszczy je w ogrodzie. On też chce się spakować i ruszyć w świat. Do diabła z wszystkimi innymi! Jaki sens ma rozwój Santo Antonio da União, skoro nie ma tam żadnych dzieci?! Jaki sens ma ta żyzna ziemia, skoro mężczyźni, którzy ją uprawiają, są bezpłodni, a łona ich żon puste?! Czy to klątwa?! Kara dla nich obu za uczciwość i ciężką pracę?! Za miłość i przywiązanie okazywane małżonkom?! Ojciec nie potrafi zaakceptować Boga karzącego tych, którzy są mu posłuszni, tych, którzy zarabiają na swoje utrzymanie w pocie czoła, tych, którzy zaciskają pasa, rezygnując z wszelkich luksusów na rzecz przyszłości rodziny, która wcale się nie pojawia!

– Na szczęście niebiosa nie zwracają uwagi na moje żale i okazują mi szczodrość. Ryż Palmy mnie uleczył. Ryż, który tak długo przeklinałem.

Kolejna zbieżność w życiu ojca i senhora Avelino. Rok po tym, jak wyjechała zamieszkać z rodzicami, nie wiedząc nawet o moich narodzinach, dona Maria Celeste wraca do majątku z maleńką dziewczynką w ramionach. Mówi, że gdy składała wizytę w Domu Sierot, instytucji przyjmującej dzieci do adopcji, oczarowała ją malutka dziewczynka, którą dopiero co przyniósł ktoś proszący o anonimowość. W chwili gdy spojrzała na tę bezbronną istotkę, ogarnęło ją coś dobrego i jasnego, uczucie, którego nie potrafiła zdefiniować. Pragnienie, by ją pocałować, utulić, zaopiekować się, chronić. Instynkt macierzyński, fantazja, marzenie, wszystko to naraz. Nie potrafiła opisać, co czuła, gdy jedna z zakonnicy w sierocińcu podała jej dziecko do potrzymania. Żadne słowa nie mogły oddać tego, co dla niej było momentem narodzin. Pamięta łzy, pot i zmęczenie, którego nie dało się wyjaśnić. Dziewczynka też płakała! Ale to był głośny okrzyk życia, okrzyk powietrza wypełniającego jej płuca po raz pierwszy, okrzyk narodzin! To była jej córka! Absolutna pewność niezmiernie miłości.

I oto jest, stoi przed mężem. Jeśli się zgodzi, adoptują Isabel – imię, które przyszło jej do głowy, gdy tylko ją ujrzała – i dadzą jej nazwisko Alves Machado. Jeśli nie, dona Maria Celeste wróci do Minas Gerais na dobre, zabierając ze sobą dziewczynkę. Da jej swoje panieńskie nazwisko i wychowa ją sama. Senhor Avelino nie waha się. Oczywiście, że nie! Podziwia postawę i stanowczość żony. Uważa, że pojawienie się Isabel kilka dni po moich narodzinach, choć zaskakujące, to znak od Boga. Bóg nie potrzebuje linijek w zeszycie, by pisać prosto. Oczywiście, że senhor Avelino ją adoptuje, oczywiście, że da jej swoje nazwisko, oczywiście, że Isabel otrzyma całą miłość świata. Bóg jest mądry i hojny w swych błogosławieństwach. Chłopiec i dziewczynka właśnie pojawili się w Santo Antonio da União, trzeba to uczcić!

– Twoi rodzicie byli dobrymi ludźmi, Isabel. Dobrymi i hojnymi.

Ojciec ze wzruszeniem opowiada nam o przyjęciu. Największym i najwspanialszym, jakie kiedykolwiek widział. Tego dnia, po tańcach i śpiewach, jedzeniu i picciu, senhor Avelino przyszedł do swojego zarządcy, brata i przyjaciela i o coś go poprosił. Od tego momentu miał mówić do niego i jego żony po imieniu: Avelino i Maria Celeste. Żadnych senhorów i senhor. Koniec z tym. Ojciec jest jeszcze bardziej wzruszony, gdy przypomina sobie, że była to jedyna w jego życiu prośba pracodawcy, jakiej nie spełnił. Nie ma mowy. Będący wyrazem szacunku zwrot „senhor” nie stoi przecież w sprzeczności z ich przyjaźnią, braterską miłością i więzami rodzinnymi. Nie, absolutnie nie. To śmieszne. Nie da się go przekonać. Aby zapobiec poważniejszemu sporowi, zwłaszcza w tym pamiętnym dniu, senhor Avelino ustępuje, nie będzie się upierał, ojciec może nadal mówić do nich senhor i senhora. Ale w takim razie, on, Avelino, przyznaje sobie prawo zwracania się do niego z takim samym szacunkiem.

I tak było – od tamtej pory w Santo Antonio da União do ojca zwracano się nie José, tylko senhor José Custódio.

– Tyle wspomnień, moje dziecko. Mnóstwo. Aż trudno uwierzyć.

Ojciec płacze, jest poruszony. Isabel podchodzi do niego, całuje go w czoło, głaszcze po włosach. Nie jestem w stanie dokończyć ciasta. Piję łyk kawy. Matka ociera oczy, wymyśla jakąś wymówkę, żeby wstać i pójść do kuchni. Nie widzę

ciotki Palmy ani dzieci. Moje serce ucina w tym momencie tę scenę. Na pewno wie, co robi. Nie kwestionuję tego.

NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

Nagle czuję się tak, jakbym znalazł się na linie nad przepaścią, próbując dotrzeć do odległej krawędzi. Jestem zafascynowany tym obrazem, przerażony. Pomiedzy jednym krańcem a drugim, nieunikniona podróż przez otchłań. Zawrót głowy, strach, upadek... – tego nie poznam. Muszę iść naprzód, odważnie stawiać kolejne kroki. Kto nie czuł się tak chociaż raz w życiu? Nie prosimy o to, nie chcemy tego. Taka sytuacja po prostu się pojawia, tuż przed nami. Nie ma odwrotu. Jaki błędny krok sprawi, że spadnę na samo dno? Jaka błędna decyzja? Nie wiemy tego, aż do właściwego momentu.

Do dzisiejszego dnia zastanawiam się, jakie siły doprowadziły do nieoczekiwanego spotkania w środę o trzeciej po południu przy ulicy Uruguaiana.

– Świetnie wyglądasz!

– Dziękuję. Ty też znakomicie wyglądasz.

– A Isabel?

– Wciąż wstrząśnięta po śmierci rodziców. Została w majątku z dziećmi na kilka dni. Jadę po nich w piątek.

Dokładnie w tym momencie, mówiąc absolutną prawdę, zrobiłem pierwszy krok na linie. Wyraz twarzy Amalii natychmiast się zmienia. Mój najwyraźniej też, bo jej słowa trafiają prosto do celu.

– Powinniśmy byli trzymać się bliżej.

Czy to podwójne znaczenie było zamierzone? Nie uginam się. Podwyższam stawkę.

– Tak, wiem.

Szybko ocenia, czy warto kontynuować to, co zasugerowała, ale nie ma odwagi podnieść dalej stawki. Wraca do bycia moją bratową, taką niby siostrą.

– Twój brat Nicolau do dziś nie pogodził się z tym dystansem.

– Co zrobić? Życie stwarza takie sytuacje. To niczyja wina.

– Isabel była wobec mnie niesprawiedliwa. Żeby w taki sposób wyrzucić mnie z domu.

– Nie wracajmy do tego, Amálio. Jeśli o mnie chodzi, ten epizod jest zamknięty.

– Ale nie dla mnie.

Amália doprawia swoje słowa dwiema szczyptami gniewu i jedną szczyptą urazy. Po czterech latach wyraźnie daje do zrozumienia, że nie zapomniała tamtego upokorzenia. Przyjechała odwiedzić Nuno i Rosário, którzy właśnie się urodzili. Przyjechała bez zapowiedzi – na razie nic szczególnego. Bratowa była w okolicy, chciała zrobić nam niespodziankę, to rozumiałe. Ale to nie był najlepszy moment. Ja kłóczę się właśnie z jakimś dostawcą w restauracji. Isabel jest na górze, z dzieckiem przy piersi, nieuczesała, niewyspana, wykończona. Nie chce, żeby ktoś ją widział w takim stanie, kobieca próżność, rozumiem. Zirytowała ją troskliwość bratowej o tak wczesnej porze. Odpowiada mi trochę zbyt głośno, a ja reaguję w tym samym tonie. W końcu ja tylko przekazuję wiadomość, na dole czeka na mnie zniecierpliwiony dostawca. Nuno zaczyna płakać, muszę jeszcze bardziej podnieść głos, prosząc, żeby zdecydowała, jaką wiadomość mam przekazać Amálii, która siedzi biedna na dole w restauracji i czeka. Isabel odkłada Rosário do kołyski i podnosi Nuno, żeby podać mu pierś i go uspokoić. Powiedz Amálii, żeby poczekała, zaraz zejdem z nią porozmawiać i przyprowadzę ją tutaj do nich, mimo bałaganu w pokoju, niepościelonego łóżka i porzrzuconych ubrań. Dodaje, że potrzebuje chwili, żeby uspokoić Nuno i uczesać włosy. Całuję ją przelotnie w usta, mówię, że w porządku, przekażę wiadomość, poproszę, żeby ktoś zrobił jej kawę. Amália poczeka, przecież to nie problem. Tak myślałem. Najwyżej piętnaście minut później, Isabel schodzi na dół. Wciąż rozmawiam z dostawcą w biurze i słyszę, że w restauracji wybucha kłótnia. Conceição wchodzi bez pukania.

– Przepraszam, senhor Antonio, ale dona Isabel pana prosi. Niech pan zaraz

idzie, jest bardzo zdenerwowana.

Nie wiedząc, gdzie podziąć oczy, po raz kolejny przeproszam dostawcę. Nie mogę zrozumieć, co się dzieje, patrzę na następującą scenę: Amália ściska w rękach torebkę, jakby miała wyjść, a Isabel zastępuje jej drogę i żąda, żeby najpierw pokazała, co ma w środku.

– Co to, do diabła, jest?!

– Twoja żona oszalała, Antonio, ona oszalała!

– Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie otworzysz torebki, Amálio!

– Nie ma mowy. Sugerujesz, że jestem złodziejką?!

– Spójrz, Antonio, okno wystawowe wciąż jest otwarte. Gdy weszłam, właśnie zamykała słoik z ryżem i przestraszyła się, że ją na tym przyłapałam.

– Podziwiałam ten piękny słoik i tyle!

– To dlaczego zamknęłaś torebkę, gdy mnie zobaczyłaś? Dlaczego?!

– Nic takiego nie zrobiłam!

– Zrobiłaś, widziałam, nie jestem ślepa!

– Chcę stąd wyjść, Antonio. Dość już mnie upokorzono.

– Isabel, kochanie, Amália mówi, że tylko podziwiała słoik. Nie widzę, z jakiego powodu miałyby pokazywać, co ma w torebce.

– Zabrała trochę ryżu, Antonio. Z całą pewnością.

– Zabrałam ryż? A po co miałabym to robić? No powiedz! Nicolau podzielił się ze mną tą śmieszną historyjką. Przeproszam za szczerłość, Antonio, ale to raczej żalosna opowiadka.

– W ogóle nie interesuje mnie twoje zdanie na temat tej historii. Skończmy ten temat.

– Masz rację. Nie chciałam nikogo urazić, przeproszam. I jeśli to pomoże zakończyć tę pożałowania godną sytuację, to mogę ci pokazać, co mam w torebce, Antonio. Ale tylko tobie.

– Nie ma takiej potrzeby, Amálio. To i tak już niezręczna sytuacja. Proszę, Isabel, wypuść ją.

– Dobrze, proszę bardzo. Ale ty, Amálio, więcej się tutaj nie pokazuj. Mówię

poważnie.

Isabel się odsuwa. Amália zadziera głowę i wychodzi obrażona. Zostajemy we dwoje. Cisza. Zakłopotanie. A nawet smutek. Trudno mi zostawić żonę tutaj samą i nieszczęśliwą z poczuciem, że skradziono nam część naszej radości. Ale dostawca wciąż siedzi w biurze, a ja już i tak zbyt długo kazałem mu na siebie czekać.

Wszystko to widzę teraz tak, jakbym oglądał film. Amália domyśla się, że jej odpowiedź sprawiła mi przykrość. Ale nie powstrzymuje jej to – wręcz przeciwnie, jeszcze dorzuca drew do ognia.

– Myślisz, że to przyjemnie być oskarżonym o kradzież?

– Proszę cię, Amálio, zapomnijmy o tym.

– Żałuję po prostu, że nie otworzyłam wtedy tej torebki. Chciałabym widzieć wyraz jej twarzy, gdyby niczego nie znalazła. Ale to byłoby zbyt wielkie poniżenie, gdybym dała się przeszukać. Zbyt wielkie!

– Cóż, myślę, że najlepiej będzie, jak się pożegnamy. Najwyraźniej utknęłaś w jakimś punkcie w przeszłości, a mnie ta rozmowa nie służy.

– Nie, poczekaj. Nie chcę, żebyś odszedł w taki sposób.

– Przekaż, proszę, Nicolau uściski ode mnie. Jeszcze raz chciałbym mu podziękować za to, że był na pogrzebie senhora Avelino i doni Marii Celeste.

Amália bierze mnie za rękę. Ma po temu pretekst.

– Posłuchaj mnie, Antonio. Nie przez przypadek się tutaj spotkaliśmy. Nie chcę tracić wszystkiego z powodu jakiejś głupiej urazy. To nie w porządku, że ty i Nicolau, i ja nie spędzamy razem czasu z powodu mojej sprzeczki z Isabel.

To, co Amália mówi, nie pasuje do tego, co mówi jej ręka. Moje ciało to wie, docenia i czeka na więcej. Mój umysł jest niechętny.

– Porozmawiam kiedyś z Isabel. Spróbuję ją przekonać, żeby zakończyła ten idiotyczny spór.

Amália wciąż trzyma mnie za rękę, a nawet matczynym gestem przykrywa ją drugą dłonią.

– Och, koniecznie. Tak będzie dla nas wszystkich najlepiej. Twoi rodzice i ciotka Palma będą szczęśliwi, że znowu ze sobą rozmawiamy.

– Bez wątpienia.

Gdy próbuję zabrać dłoń, puszcza ją, delikatnie gładząc.

– Dobrze było cię znowu zobaczyć.

– Ciebie również.

– W którą stronę idziesz?

– Wracam do domu. Załatwiłem już to, co miałem do załatwienia.

Prawda jest taka, że gdy Amália mnie dostrzegła i zawołała, szedłem na francuski kiermasz, żeby kupić Nuno i Rosário po zabawce. Ale nie ma mowy o wybieraniu podarunków dla dzieci w jej obecności. Tylko nie to. A jeszcze gdyby Isabel się dowiedziała, zabiłaby mnie.

– Ja idę aż do alei Passos, żeby wsiąść w tramwaj do Tijuca. Odprowadzisz mnie?

– Oczywiście. Mam po drodze.

Moja droga, moja przepaść, moja lina. Amália odprowadza mnie na krawędź, a ja spadam. Idziemy ulicą Carioca aż do placu Tiradentes, mijamy Teatr João Caetano i wychodzimy na aleję Passos. Amália się zmieniła. Ja się zmieniłem. Świetnie nam się rozmawia, koncentrujemy się na okresie, gdy pracowaliśmy jeszcze w Colombo. Rozmawiamy o przyjaźniach, romansach, o tym jak potoczyły się losy znajomych. W tym momencie Nicolau, Isabel, Maria da Glória, Nuno, Rosário nie istnieją. Przechodząc ulicę Alfândega, spontanicznie wzięliśmy się pod ramię. Ukryty motyw, jakiś podstęp. I co z tego? Rządzą nasze ciała, na tyle stare, że potrafią o siebie zadbać. Żadnego zakłopotania, żadnego poczucia winy. Postanawiamy iść dalej i zatrzymujemy się na kawę w ślicznej kawiarence przy Marechal Floriano. Gdy docieramy do alei Presidente Vargas – wybudowanej kilka lat wcześniej – czeka nas niezwykły widok, który jednak zupełnie nie przypada Amálii do gustu.

– Toż to ruina!

– Ruina? Nie, to postęp! Spójrz, to zachwycające!

– Wyburzyli setki budynków. To szaleństwo!

– Stare budynki, konstrukcje w koszmarnym stanie, domy przeznaczone do

rozbiórki. Oni to tylko uporządkowali.

– Zniszczyli kościoły, Antonio. Aż cztery!

– Nie martw się, księża zbierają już datki w innych parafiach.

Jesteśmy już niemal na drugim końcu alei. W tle czai się kościół Candelário, imponujący dowód obecności Boga. Będę tego pewnie żałować, ale nie potrafię powstrzymać się od lekceważącego komentarza.

– Zobacz, ten się ostał. I to w samym środku!

Amalię rozbawia moja głupia uwaga, szczypie mnie w ramię, ale łapie głównie rękaw marynarki. Bez wątpienia się zmieniła i ja się zmieniłem. Jestem ciekawy, jak to się skończy. Kawiarnia przy Marechal Floriano to dzieło szatana. Niemal pusta o tej porze, ludzie zaczną się pojawiać dopiero przed piątą. Amália rozgląda się, uśmiecha z zadowoleniem. Stolik przy oknie czy ten w rogu? Ten w rogu, oczywiście. Kawa? Herbata? Mają tutaj pyszne rogaliki.

– Kawa i rogalik brzmi wspaniale.

– Poproszę to samo.

Ciotka Palma twierdzi, że w przyjęciach najlepsze jest oczekiwanie na nie. Ma całkowitą rację. Jesteśmy z Amalią niczym dwoje nastolatków bez żadnych zobowiązań, podekscytowanych perspektywą imprezy. Gdy zostawiam na stoliku napiwek i odsuwam krzesło, by pomóc jej wstać, jesteśmy już dwojgiem dorosłych, którzy doskonale wiedzą, co zaraz zrobią.

Hotel znajduje się dwie przecznice dalej, również przy Marechal Floriano. Docieramy tam. I wtedy nagle czas i życie gwałtownie, szaleńczo przyśpieszają. Na pstryknięcie palców: recepcja, klucz, drzwi, pokój, pocałunki, ubrania na podłodze, łóżko, pościel, seks, nurkowanie, dochodzenie, odlot! Przesadna reakcja, przez kilka sekund czuję się tak, jakbym zgubił własne ciało. A potem, kawałek po kawałku, znowu samotne, powraca na ziemię. Uświadamiam sobie, że Amália jest obok i przesuwam dłonią po jej twarzy, by upewnić się, że to naprawdę ona. Czuję się tak, jakbym właśnie wrócił z podróży, jakbym właśnie spadł z wielkiej wysokości. Lina jest gdzieś tam w górze. To łóżko to dno otchłani. Gdy leżę na nim wyciągnięty, czuję pewność niewzruszalnej stabilności. O wiele wygodniejszą niż ryzykowna

równowaga wymagająca nieustannego ruchu. Przytulam się do Amálie. Spokój, jaki odczuwam, to moje rozgrzeszenie. Isabel, Nicolau, Nuno, Rosário i Maria da Glória zaczynają pojawiać się w polu mojego widzenia. Widzę, że wszyscy są zdrowi i szczęśliwi. Całuję Amálię z wielką miłością. Czy to możliwe?

– To spotkanie zostanie ze mną na zawsze.

Amália całym ciałem leży na mnie. Zostaje tak, przylega do mnie bez słowa, z głową na mojej piersi. Później patrzy mi w oczy.

– Isabel miała rację. Skłamałam. Tamtego popołudnia zabrałam garść ryżu i wrzuciłam do torebki.

– Wiem.

– Wiesz?

– I dlatego nie chciałem, żebyś mi ją pokazywała. Bo wtedy... tak, to byłoby zbyt wielkie poniżenie.

Amália przeczesuje mi włosy i całuje moją twarz. Siostrzany pocałunek. Czy to możliwe?

– Zawsze cię pragnęłam, Antonio. Zawsze. Na długo zanim poznałam twojego brata. Nawet on wie. Nigdy tego nie ukrywałam.

– Po co wzięłaś ten ryż?

– Nicolau opowiedział mi tę historię. Pomyślałam, że jest piękna, romantyczna. Niczym baśń. Byłam ciekawa, chciałam poznać więcej szczegółów. Ale jemu się plątało, zaczął się irytować, najpierw mówił to, a potem coś innego. Powiedział, że to jakieś wariactwo ciotki Palmy i waszych rodziców, i że on tak naprawdę wstydzi się prezentu, jaki dali wam z okazji ślubu. Ja nie. Przeciwnie. Czułam jedynie zawiść wobec Isabel. Zazdrość, gniew, wszystko. A na dodatek musiałam skrywać swoje uczucia. Gdy zrobiłeś tę podświetlaną wystawę restauracji, żeby pokazać ryż, pomyślałam, że zdobędę chociaż garstkę tego szczęścia dla siebie.

– Nadal go masz?

– Nie.

– Nie?!

– Zrobiłam to po swojemu. Ugotowałam go w wodzie z solą i zjadłam.

A wcześniej poprosiłam Boga, żeby dał mi też kawałek ciebie. Nawet gdyby to miało być na jeden dzień.

Amália opiera z powrotem głowę na mojej piersi. Nie padają już żadne słowa. A jeśli nawet, to nie pozostawiają śladu. Myślę, że się zdrzemnęliśmy. Wstaliśmy z łóżka z dystansem rutynowego spotkania. Nie zwracaliśmy uwagi na swoją nagość i założyliśmy bieliznę bez skrępowania. Opuściliśmy pokój. Zamknąłem drzwi. Zostawiłem klucz na recepcji. Wyszliśmy na aleję Rio Branco. Wsiadła do tramwaju do Tijuca. Ja wróciłem do domu na piechotę. Gdy byłem blisko ulicy Ouvidor, zatrzymałem się, żeby podziwiać wzory z portugalskiego kamienia na chodniku.

SKRAJNOŚCI

Wierzmy, że wszystko ponad to, co dozwolone jest niezdrowe. Ale tak nie jest. Choć może się to wydawać zaskakujące, nadmiar i abstynencja to skrajności, które we właściwych dawkach zapewniają równowagę ciała i umysłowi. Oscylowanie to jedno, brak równowagi to coś innego. Lepiej ich nie mieszać. Jeśli mocno popiłem jednego wieczoru, jeśli zażerałem się fasolką i chrupiącą wieprzową skórką, to potem przerzucam się na drugi koniec i mam kilka dni lekkiej diety, zdrowych sałatek i świeżych soków owocowych. W ten sposób utrzymuję równowagę i jestem przygotowany na następny zdrowotny wyskok.

– Życie uwielbia skrajności, ciociu Palmo. Gdy tylko może, dzieli i odbiera. Życie jest zupełnie inne niż miłość i przyjaźń. Gdy tylko ma ochotę, robi, co mu się podoba i już. Robi to, co umie najlepiej. Koledzy ze szkoły znikają, sąsiad, który mieszkał obok przez lata wyprowadza się, syn wyrusza w podróż, rodzeństwo zakłada rodziny i przenosi się gdzieś daleko, rodzice umierają...

Ciotka Palma nie przerywa szydełkowania. Może odrobinę zwolniła, ale natychmiast odzyskuje tempo.

– Życie bywa radykalne, to prawda.

– Bóg to też same skrajności.

Ciotka Palma nie jest przekonana.

– Bóg?

– Tak, Bóg we własnej osobie. Bóg Niebieski czy każdy inny.

Ciotka Palma odpowiada, podejmując na nowo robótkę.

– Jesteś pewien?

– Owszem. Choćby dziś. Widziałem cudowny wschód słońca. Van Gogh odciąłby sobie ucho, żeby zobaczyć te kolory.

– To rzeczywiście musiał być cud.

– Uświadomiłem sobie wtedy, że Bóg doprowadza piękno słońca na niebie do skrajności. Wtedy, gdy wstaje i zachodzi. W połowie drogi, w południe nie ma w słońcu niczego cudownego. Nawet nie możemy na nie patrzeć. Co ty na to?

– A to, że twój dzień ma dwanaście godzin, a Pana Boga dwadzieścia cztery.

– Co?!

Dopiero w tym momencie ciotka Palma odkłada robótkę i patrzy na mnie.

– W ciągu dwudziestoczworgodzinnego dnia słoneczne ekstrema to południe – najwyższy punkt – i północ – gdy go nie ma. Wschodzące i zachodzące słońce to słońce naszych modlitw. Słońce połowy drogi, jak to określiłeś.

Prostota i mądrość ciotki Palmy zawsze wytrącają mnie z równowagi. Nie potrafię się do nich przyzwyczaić, mam trzydzieści dwa lata, ale nie potrafię. Przemądrzały, napchany tanimi filozofiami, pozujący na intelektualistę. Biedak ze mnie. Już lepiej wsadzić nos w książki. Więcej czytać, mniej mówić. Ale – gdy teraz o tym myślę – wcale tak nie jest. W głębi duszy to, czego oczekuję od tej rozmowy, to przekonanie samego siebie, że to, co wydarzyło się między mną i Amalią, było dla mnie dobre. I dla niej, oczywiście też. Drobnym, małym wybrykiem, który, odkąd wróciłem do majątku, rekompensuję wyjątkowo czułym oddaniem Isabel. Nuno i Rosário też. I rodzicom, i ciotce Palmie. Lepiej już do tego nie wracać. Zmieniam temat.

– Wiesz co, ciociu Palmo? Nie rozumiem, czemu ty, ojciec i matka nie chcecie przeprowadzić się do dużego domu.

– Och, na litość boską! Bo nie ma takiej potrzeby! Przez wszystkie te lata było nam tutaj doskonale!

– Isabel tak serdecznie was zaprosiła.

– A my już podziękowaliśmy jej z równą serdecznością i podaliśmy jej nasze powody.

– Nie mówię w imieniu jej i siebie. Dla dzieci też byłoby lepiej, gdybyście się

przenieśli.

– Proszę cię, Antonio, rozmawialiśmy już o tym z twoją żoną. Twój ojciec i matka też wolą zostać tutaj. To jest nasz dom. I jest w sam raz. Domy są blisko. Mogę chodzić tam codziennie, jeśli chcecie. Właściwie dobrze by było, gdybym rozruszała trochę nogi.

Nawet po śmierci senhora Avelino i doni Marii Celeste w Santo Antonio da União niewiele się zmieniło. Ojciec zarządza wszystkim z takim samym entuzjazmem, choć sześćdziesiąt cztery lata na karku trochę mu ciąży. Matka i ciotka Palma też potrafią znaleźć sobie pożyteczne zajęcia. Zawsze wiedzą, co jeszcze trzeba zrobić w domu czy poza nim. Nuno i Rosário większość czasu spędzają z nimi. Wracają do rezydencji tylko na niektóre posiłki, żeby wykąpać się i pójść spać.

Podoba nam się uregulowany tryb życia w majątku. Isabel i ja zaczynamy przyjeżdżać coraz częściej. Dzieci to uwielbiają. To, że mogę regularnie odwiedzać rodziców, jest prawdziwym błogosławieństwem. Przykro mi tylko, że nie ma mojego rodzeństwa. Po latach milczenia, Nicolau był ze mną przez krótki czas w związku z pogrzebem Alves Machadów. Joaquim przysłał list z kondolencjami i tyle. A Leonor nie zrobiła niczego. Najgorsze jest to, że ja czuję się winny. To rodzaj kary, założę się. Ciągłe myślę, że ten dystans z ich strony, to moja wina. Cóż, w przypadku Nicolauu rzeczywiście tak jest. Nie da się ukryć. Za moją sprawą. Wsiadając do tramwaju do Tijuca, Amália nie oglądała się za siebie. Wyraźnie dała do zrozumienia, że jest bardzo mało prawdopodobne, żebyśmy znowu się spotkali. Tak jest lepiej. Nasze domy są bezgranicznie wdzięczne. Ale z powodu tego, co się stało, raczej nie oczekujemy jej pogodzenia się z Isabel. Sam nic nie poradzę. Niby jak? A ona? Czy zna jakiś sposób, by zasugerować zaciśnięcie więzi rodzinnych, zaproponować wizytę? Nie tak prędko. Trudno mi sobie wyobrazić taką okazję. To moja wina i jej także. Czy żałuję? W najmniejszym stopniu. Co za pomysł! Spałem jak anioł. Zrobiłbym to jeszcze raz. Zostałem uwiedziony i sam uwiodłem, to było dobre dla nas obojga. Więc? W tym miejscu rozchodzą się drogi – moja i Mojżesza. Tam, gdzie on niesie te niewiarygodnie ciężkie Tablice Prawa, ja niosę jedną, malutką, z miejscem na jedno przykazanie: „Nie krzywdź siebie ani innych”. I tyle –

kropka. Wszystko zawarte w jednym krótkim zdaniu. Więc pytam: czy ona mnie skrzywdziła? Nie, wręcz przeciwnie. Czy ja skrzywdziłem ją? Nie. Czy ktokolwiek musi o tym wiedzieć? Nie. Świetnie. Kolejne udane życiowe doświadczenie, kolejne dobre wspomnienie na czas starości. Ale poczucie winy – z tą jego straszną gębą, wielką, sfrustrowaną, tłumioną, tak! – poczucie winy nie jest głupie. Przybywa i z koszmarnym uśmieszkiem wystawia rachunek. Tak jest, to cena, którą płacisz, przyjacielu. Pytasz, ile cię to będzie kosztować, ta mała przygoda, ile lat wasze rodziny nie będą mogły być razem. Ty – który nigdy nie poznałeś swojej bratanicy, Marii da Glórii, tylko widziałeś ją z daleka, w przelocie, dawno temu – będziesz się musiał tym zadowolić. Wkrótce stanie się młodą kobietą, a ty, ty będziesz jakimś tam krewnym, którego nie rozpoznałaby na ulicy. Ty, ten czuły stryj, któremu tak zależy na rodzinnej wspólnotce. Mizerna kopio ciotki Palmy, myślisz, że to takie proste? Nagle pojawia się Isabel.

– O czym myślisz?

– Ja?! O niczym.

– Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz.

– Myślałem o moich braciach i siostrze.

– Wiedziałam. Jak się robisz taki, stoisz smutny i milczący w kącie, to przez nich. Zmienia się wtedy nawet twój wygląd.

– Tęsknię za nimi.

– To weź tydzień wolnego i odwiedź ich. Zrób niespodziankę. Zaproś na kilka dni do nas, tutaj do majątku.

– Mogę zaprosić Joaquina i Leonor bez problemu. Ale Nicolau... Z nim będzie trudno z powodu twojej kłótni z Amálią.

– Jeśli cię to uszczęśliwi, to porozmawiam z nią i raz dwa zakończę ten spór. Musisz tylko przygotować mi grunt. Po śmierci rodziców wiele rzeczy przestało mieć dla mnie znaczenie.

– Masz rację. Zajmę się tym. Myślę, że to dobry pomysł, żebym przejął inicjatywę, odwiedził ich i zaprosił tutaj.

– Jeśli zrobisz pierwszy krok, przyjadą, jestem pewna.

Lata mijają. Kto twierdzi, że zamierzam zrobić pierwszy krok? Jestem pochłonięty obowiązkami, rutyną, częstą gadaniną, szczyptą dumy, pobłażaniem sobie. A poza tym proszę nie narzekać. Co z nimi? Kto twierdzi, że przyjadą? Uraza czy nie? Też będą mieli liche wymówki? A może nie? Życie w końcu traci cierpliwość i jednoczy nas wydarzeniem o skrajnym charakterze. Czasem ból jest bardziej pożyteczny niż przyjemność.

KWIATY

Budzę się nagle w środku nocy, serce łomocze mi w piersi, jakby chciało się z niej wyrwać. Przyciskam je mocno i nie wypuszczam. Wali dalej, ale zaczyna się powoli męczyć, aż w końcu poddaje się i wraca na swoje miejsce. A ja, tu, w ciemności, zaczynam coś sobie uświadamiać, zaczynam mieć pojęcie, gdzie jestem. Jednak nie odważam się zapalić światła. Czy to był sen? Wizja? Znak? Boże, czyżby coś się stało ciotce Palmie? Odpowiadam sobie od razu: przestań opowiadać głupstwa, Antonio. Nie powinieneś być jeść i pić tyle podczas kolacji. Poszedłeś potem od razu spać i takie są skutki. Leżysz na plecach, brzuchem do góry. To źle, na brzuchu też niedobrze. Najzdrowiej jest spać na boku, tak jak Isabel, popatrz. Spróbuj nabrać takiego nawyku. Wszystko jest w porządku, Antonio. Pozbądź się tego głupiego przeczucia. Dalej, odpręż się. Przekręć się na bok i śpij dalej. Nie możesz? Musisz z kimś porozmawiać? W takim razie ją obudź. Tak po prostu. Szturchnij ją delikatnie w ramię, powiedz coś łagodnie. Nie martw się, nie wystraszy się.

– Kochanie...

Zawołaj raz jeszcze, Antonio. Możesz, nie ma problemu. Po prostu głęboko śpi.

– Kochanie, obudź się.

– Hę?

– Przepraszam, że cię obudziłem...

– Co takiego? Co się stało?

– Miałem jakieś złe przeczucie.

– Czemu nie zapaliłeś światła?

Sięgam do lampki i naciskam włącznik. Światło się pojawia, ale żarówka natychmiast się przepala. Dreszcz przechodzi moje ciało jak przy wstrząsie elektrycznym. Ciotka Palma umarła, jestem tego pewien. Tylko nie mogę tego powiedzieć. Isabel zapala lampkę po swojej stronie. Kolejny dreszcz sprawia, że moje ciało się napina. Jasność boli. Zaciskam mocno oczy, a potem powoli je otwieram. Siadam na łóżku i opieram się o wezglowie. Isabel mnie zna, przysuwa się i przytula, jakbym był dzieckiem.

– O co chodzi? Powiedz.

– To sen. Nie, nie sen. To coś więcej. Słyszałem, czułem. Wszystko bardzo wyraźnie.

– Ale co?

– Matka i ciotka Palma. One obie, tam w majątku, w kuchni w małym domu. Nie powinniśmy byli wracać dzisiaj do Rio. Wiedziałem. Nuno chciał zostać. Tak się upierał. Powinienem być go posłuchać.

– Uspokój się, Antonio, uspokój się.

– Nuno jest jak wiatrowskaz, wyczuwa wszystko. Pamiętasz, jak nie chciał zejść z kolan ciotki Palmy? Wył jak opętany. On się tak zwykle nie zachowuje. To było ostrzeżenie.

– Jesteś mokry od potu. Miałeś koszmar i tyle. Najlepiej wstań, wykup się i zmień piżamę.

– To nie był koszmar, kochanie. Przeciwnie. To był bardzo piękny sen. Taki wyraźny, że to przerażające. Wystarczy, że zamknę oczy i wraca...

Matka płucze ryż. Cały. Obficie przepłukuje wodą. Ciotka Palma wchodzi z wazonem dzikich kwiatów. Promienieje.

– Podobają ci się?

Matkę zaskakują nowe kwiaty. Poprzednie są jeszcze takie ładne! Ciotka Palma układa je, przesuwa żółtą lilię bardziej na przód, przechyla głowę, żeby się przyjrzeć i uznaje, że jest dobrze.

– Niektóre kwiaty narodziły się na brzegu jeziora. Było ich wiele. Poszłam się im przyjrzeć. Zdradziły mi kilka niespodziewanych rzeczy!

Matka przerywa płukanie ryżu. Jest ciekawa. Ciotka Palma zaczyna opowiadać, co usłyszała.

– My, kobiety, potrafimy pomniejszać nasze zmarszczki i nasz wiek. Siwe włosy są olśniewające, trzeba tylko zadbać o fryzurę. Odpowiedni strój, delikatne gesty, postawa, szczery uśmiech, miłe słowo: jest mnóstwo szczegółów, które czynią nas łagodniejszymi i piękniejszymi. Ale z kwiatami tak nie jest. Te biedactwa nie mają do zaoferowania nic poza pięknem swoich ciał, które zawsze są na widoku. To ciężkie brzemię, naprawdę.

– Kto ci to powiedział, Palmo?

– Jaskrawa dalia, tłuściutka i naprawdę bardzo miła. Ale stokrotki były tuż obok – bardzo bezpośrednie, nawiasem mówiąc – i od razu potwierdziły.

Matka nie wątpi w to, co słyszy, chce wiedzieć wszystko. Kto tam był? Kogo nie było? Opowiadaj.

– Cóż, śliczna kępka fiołków – wszystkie takie młodziutkie, wzdychające do marzeń, urocze! Spotkałam też białe goździki nakrapiane czerwienią, bardzo wrażliwe. Niewiele mówiły. Wydawało mi się, że interesują się tulipanami, których pojawiło się całe mnóstwo. Nieco dalej, herbaciana róża – jaka elegancka! – i delikatny, kwitnący nocą jaśmin, prowadzili cichą rozmowę o subtelnych zapachach. Trzeba przyznać, że mają klasę. I styl.

Matka wciąż nie wie, o jakim ciężkim brzemieniu mówi ciotka Palma. Nie ma przecież czegoś takiego jak brzydkie kwiaty. Chyba że dopiero, jak zwiędną.

– Dopiero jak zwiędną? Nie, Mario Romano. Gdy tylko zaczynają tracić swą żywotność, od razu czują się w naszej obecności zawstydzone.

– Och, daj spokój! Co ty mówisz, Palmo?

– To ich upokorzenie zaczyna się w chwili, gdy trafiają do wazonu. Na polu czy na ogrodowej grządce – wyznały mi to hortensje – łatwiej znieść ból brzydoty. Zawsze można schować się pośród innych kwiatów, które są w pełni rozkwitu.

– Czyli nie możemy już ozdabiać domu kwiatami?

– Oczywiście, że możemy! Są zachwycone, że tracą życie w kwiecie wieku w takim celu. Ale byłyby wdzięczne, gdybyśmy wyrzucali je, gdy są najpiękniejsze.

Chryzantemy zapewniły mnie, że to za każdym razem będzie akt odwagi, który ucieszy nie tylko je, ale także Stwórcę.

– To niemożliwe! Kto miałby odwagę wyrzucić kwiaty do śmieci akurat wtedy, gdy są najpiękniejsze?

– Masz rację. Tylko ktoś z ogromną ilością miłości.

– Nie ma nikogo takiego jak ty, Palmo!

– Moja droga bratowo, od dzisiaj kwiaty, które zerwę, będą wyjmowane z wazonu dokładnie w tym dniu, w którym są najładniejsze i najbardziej kolorowe.

– Uważasz, że dasz radę?

– Obiecuję. Moje skarby nie będą się już musiały wstydzić. Pozostawią wspomnienie wiecznej urody.

Nie mogę opowiadać dalej. Mówię Isabel, że muszę iść do samochodu i natychmiast pojechać do majątku. Uważa, że to szaleństwo.

– Teraz?! Przynajmniej poczekaj na świt. Która godzina?

Patrzę na budzik. Druga dwadzieścia nad ranem. Mniejsza wskazówka się nie porusza. Przechodzi mnie kolejny dreszcz.

– Wiem, zapomniałem go nakręcić, Isabel. Wiem.

– Nawet jeśli coś się stało, to po co masz się tak zrywać?

– Wolę być w drodze, niż tak się niepokoić.

Isabel sprawdza godzinę na swoim zegarku. Jest już kwadrans po czwartej. Upiera się, żebym poczekał do siódmej, wtedy będziemy mogli zadzwonić do wioski i spróbować porozmawiać z Pedro. On może posłać kogoś ze sklepu do majątku, żeby sprawdził, czy coś się nie stało. Wysłuchawszy jej planu, zdejmuję pizamę i idę pod prysznic. Już sam pomysł, żeby czekać trzy godziny – to cała wieczność – jest absurdalny. Nie ma mowy. Isabel zakłada podomkę i mówi, że jeśli ja jadę, to ona też. I lepiej żebyśmy zabrali ze sobą Nuno i Rosário. Och, doskonale – myślę. To oznacza, że trzeba ich obudzić o tej porze, wiem, ale nie ma innego wyjścia. Jak już będą w aucie, zasną z powrotem. Gdy biorę prysznic, Isabel idzie na dół przygotować śniadanie. Będzie potrzebować mojej pomocy przy dzieciach. Nie ma problemu. W niecałą godzinę jesteśmy gotowi do drogi. Informujemy Roque

i Conceição, że będą musieli zająć się restauracją – co ostatnio stało się już zwyczajem. To jak? Jedziemy? Dzieci nawet się nie budzą, nieprzytomne układają się na tylnej kanapie. Krótkie do zobaczenia, Conceição. Zajmijcie się wszystkim dobrze, Roque. Jak Bóg da, szybko wrócimy. Może to nic. Bezpiecznej podróży, dona Isabel. Bezpiecznej podróży, senhor Antonio, niech pan jedzie ostrożnie. Machają oni, machamy my. I odjeżdżamy. Skręcam za róg. Jadę Primeiro de Março w kierunku placu Mauá. Wciąż jest środek nocy, miasto jest puste. Co z ciotką Palmą? Nie potrafię już jej sobie wyobrazić. Ani w łóżku, ani wstającą, żeby się napić wody, ani parzącą kawę. Żadnej codziennej sytuacji, która byłaby znakiem życia. Mogę ją sobie wyobrazić tylko we śnie, w tej jasnoniebieskiej sukni, której nawet nie ma. Do diabła! Cais do Porto chyba nigdy się nie skończy. Nad każdym magazynem wielkie białe numery wymalowane na czarnych panelach. Liczę je znudzony, gdy je mijamy: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... Nie docieramy do siedemnastki. Aleja Brasil jest jeszcze gorsza. Bez końca. A musimy jeszcze przejechać przez nieznośny smród z fabryki mydła. Przewiduję, że ta podróż zajmie całe tysiąclecie.

– Jedź wolniej, Antonio, proszę.

Jestem lekkomyślny. Zwalniam oczywiście. Proszę Isabel, żeby nachyliła się ku mnie, żebym mógł ją pocałować. Podoba jej się ta prośba i od razu się zgadza. Odrobina szczęścia znajduje sobie miejsce, udaje jej się dostać do auta. Są tu ze mną najważniejsze osoby w moim życiu.

MARIA ROMANA I PALMA

Jadę ostrożnie, ze względu na dzieci i Isabel, ale najszybciej, jak się da. Ale to daleka droga. Na dodatek ta mżawka. Głównie drogi gruntowe, mnóstwo bram do otwierania i zamykania. Włączone nieustannie wycieraczki, zwalnianie i przyśpieszanie, sprzęgło, zmiany biegów. Jadę ostrożnie w dół wąską dróżką, która prowadzi do małego domu, spodziewając się, że ktoś do nas wyjrzy. Ani dźwięk silnika, ani trąbienie klaksonu, nic nie wzbudza ciekawości mieszkańców. To przez deszcz, na pewno przez deszcz – zapewnia mnie zaniepokojona Isabel. Nie odpowiadam. Nie wierzę jej. Ciotka Palma często powtarzała, że nadzieja jest zawsze silniejsza od wątpliwości. Ale nie mogę sobie wyobrazić, jak to mówi, ani przypomnieć sobie, kiedy to mówiła. Choćbym nie wiem, jak się starał, nie mogę z nią być poza tamtym snem. I w tamtej jasnej sukience, której ani nie nosi, ani nawet nie posiada. Ciotka Palma umarła, czuję teraz zimną pewność. Bez jednego szcęknięcia zjawia się Poeta, macha ogonem i otrzepuje się z deszczu. To on wyszedł, żeby mi powiedzieć. Nagle znika. Zaczynam płakać w samochodzie. Co za wstyd, Antonio. Och, co za wstyd. Mężczyzna w twoim wieku płacze w obecności żony. Nawet jeszcze nic nie wiesz. Poczekaj chociaż, aż zatrzymasz auto, wysiądziesz, usłyszysz coś, co nie będzie tylko wytworem twojej wyobraźni. Isabel mówi, że nie szkodzi, że płaczę, ona mnie zna. Deszcz przybiera na sile, bicie mojego serca również, znowu zaczyna we mnie walić. Wsiadam z samochodu, zostawiam otwarte drzwiczki. Nie uciekam przed deszczem, biegnę w stronę bólu. Wchodzę na ganek, ubłocone buty zostawiają ślady. Zostaną rozmyte. Wchodzę do domu, zastaję ojca samego w salonie, siedzi na czwartym krześle. To pierwszy i jedyny raz, kiedy go na nim widzę.

– Tato?!

Wstaje. Obejmujemy się, tak się sobie poddajemy, że wszystko wokół nas się miesza: nasze łzy, zapachy, dźwięki, skóra, materiał ubrania, ból, wszystko. Trwamy tak całą wieczność, on we mnie i ja w nim. Nie ma czasu, nie ma przestrzeni. Zatracamy się. Gdy uścisk dobiegnie końca, powrócimy do rzeczywistości. Kto tego chce? Nie ja. Inicjatywa, żebyśmy rozdzielili nasze ciała, nie wyjdzie ode mnie. Nie ma mowy. To on jest ojcem, autorytetem. To on zdecyduje kiedy, a ja zrobię tak, jak sobie życzy. Ale ten uścisk jest silniejszy, niż jakikolwiek stopień pokrewieństwa, chce trwać wiecznie. Isabel podchodzi do nas, ale dokładnie wie, dokąd może się posunąć. Dotyka nas tylko delikatnie, w geście solidarności. Jej ręce na naszych ramionach to kolejny znak życia, znak, że gdzieś tam są inni ludzie, którzy nas potrzebują. Ojciec i ja rozumiemy ten nowy dotyk, który się pojawia. Nasze ciała w naturalny sposób się rozdzielają i kawałek po kawałku zaczynają się na nowo rozpoznawać i określać nasze granice.

– Gdzie matka?

– W pokoju z Palmą. Na pewno stamtąd nie wyjdzie.

Isabel zostaje z ojcem. Ja idę do kobiet. Co innego mogę zrobić? Po drodze zauważam wazon z kwiatami pośrodku stołu. Dzikie kwiaty. Żółta lilia, przesunięta na przód, wygląda idealnie. Idę dalej korytarzem i w tym momencie powraca do mnie reszta snu. Czy to na rozkaz umysłu czy serca, jakie to ma znaczenie?

– Z czego się śmiejesz, Palmo?

– Zdajesz sobie sprawę, jak komiczne są rzeczy, które ludzie mówią, składając kondolencje? Biedaczka, teraz sobie odpoczywa. Bóg nad nią czuwa. Albo że była już stara i miała dobre życie. Najwyższy wzywa do siebie tych najlepszych. Żli ludzie nie umierają. Odeszła jak mały ptaszek... Co to niby znaczy, jak mały ptaszek? Nigdy nie widziałam umierającego ptaka.

Ciotkę Palmę bawi to, co mówi. Matka dołącza.

– Odeszła we śnie. Nic nie czuła.

– Och, podoba mi się. Nic nie czuła. Co za pomysł! Ja chcę czuć, chcę wiedzieć!

– Jednak tylko wielcy święci albo wielcy grzesznicy...

– Święci albo grzesznicy? Bzdura! Najważniejsza chwila w życiu, a ty śpisz? Błagam! Chcę być w tym momencie świadoma i w pełni władz umysłowych. Przynajmniej w tym momencie.

Ciotka Palma podchodzi do swojego łóżka. Kładzie się wygodnie i głęboko oddycha. Kilka razy.

– Jakie dobre jest powietrze!

Matka, cały czas blisko niej, przytakuje i też smakuje każdy wdech.

– Masz rację, Palmo. Jak to możliwe, że uważamy to błogosławieństwo za oczywistość?

Trwają tak przez chwilę, we dwie. Potrzeba im tylko powietrza. W środku żadnych myśli, żadnych pragnień. Na zewnątrz żadnych zapachów, żadnych aromatów, nawet ściętej trawy, nawet mokrej ziemi, nawet czegoś gotowanego w kuchni, nic. Nagle wskazówki zegara nachodzą na siebie. Matka uświadamia sobie, że wybiła godzina ciotki Palmy – to spojrzenie, które staje się coraz bardziej odległe, coraz bardziej wyraźna przezroczyistość, pragnienie poddania się, które jest już niemal namacalne. Czeka. W końcu są siostrami. Więcej niż siostrami, są partnerami na całe życie. Będzie trwać u jej boku, dotrzyma jej towarzystwa. Tego rodzaju więź niełatwo poluzować. Stare przyjaciółki decydują: być razem aż do końca, tego właśnie chcą. Wykorzystać wszystkie błogosławieństwa i odetchnąć całym powietrzem, jakie zostało im dane.

Gotowe. Nadszedł ostateczny moment. Patrząc sobie w oczy, łączą dłonie, obie głęboko wciągają powietrze i przytrzymują je. Matka próbuje trzymać się przyjaźni, jak długo się da, ale brakuje jej tchu. Ciotka Palma uśmiecha się triumfująco. Przytrzymuje swoje życie kilka sekund dłużej. A potem już czas. Przytomna i pogodna, zamyka oczy i po raz ostatni wypuszcza powietrze.

Gdy otwieram drzwi sypialni, ciotka Palma i matka wciąż trzymają się za ręce. Nie da się odróżnić, która z nich żyje. Jeszcze żyje. Zbliżam się, wchodzę w kadr. Muszę zobaczyć, żeby uwierzyć. Zobaczyć z bliska, ostro, wyraźnie, konkretnie. Czy to pomaga? Bardziej sceptyczny niż Tomasz, nie wierzę własnym oczom. Wyteżam wzrok, ale to zbyt mało. Proszę o pomoc inne zmysły: dotyk, zapach, smak. Moje

dłonie na jej wyperfumowanych włosach, moje usta na jej zimnym czole. Nigdy więcej jej głosu, jej śmiechu, jej śpiewu, gwizdania, kaszlu, pochrząkiwania. Co za różnica, że to nie była identyczna śmierć jak we śnie. Strata jest identyczna. Nieobecność jest taka sama.

W myślach biegnę do matki, która jest tuż obok, proszę ją o jakiś ruch, jakiś znak życia. Powoli unosi głowę i odpowiada spojrzeniem.

Ból. Czy to użyteczne, ta praktyka w bólu? Czasami ciotka Palma narzekała, że przez plecy nie może spać. Nie może zmrużyć oka przez całą noc. Choćby na dziesięć minut. Choćby tyle. Siedząc tam, obserwując mijający czas, doszła do wniosku, że ból, który czuje – który jest większy od niej – jest mniejszy niż ból świata. W porównaniu z całym cierpieniem i bólem, jakie można znaleźć we wszystkich zakątkach świata, jej ból staje się nieistotny, a więc znośny. Kpiła.

– Jaki lek nas wyleczy? Jaki aptekarz przyjdzie do nas z kłębkim waty zanurzonym w spirytusie, by poklepać Ziemię w pośladek i podać zastrzyk, który złagodzi wszystkim ból?

Coś mi mówi, że matka chce zostać z ciotką Palmą sama. Na dłużej. Nie po to, by odmówić modlitwę, na pewno nie. Chodzi o niedokończoną rozmowę. Wychodzę z pokoju, a one nawet tego nie zauważają.

WŁADZA I KWIATY

Dość wcześnie odkryłem, że tym, czego najbardziej w życiu pragnę jest władza. Władza bycia zawsze z ludźmi, których kocham, władza beztroskiego chodzenia po ulicach, władza doceniania scenerii, krajobrazu, zwierząt, mijanych ludzi. Władza wybierania innej drogi tylko dlatego, że na jej końcu jest zieleń, która wzbudziła moją ciekawość. Władza pracowania nad tym, co mnie uszczęśliwia, władza bycia panem swojego własnego czasu, władza robienia tego, co chcę teraz, a nie dopiero na emeryturze. Władza bycia zawsze dostępnym dla tych, którzy są mi bliscy i mnie potrzebują. Władza pewności, że uścisk, który otrzymuję, to wyraz uczuć, a nie interesów. Władza bycia sobą i starzenia się w zdrowiu. Na Boga, jakże ja pragnę takiej władzy!

Śmierć ciotki Palmy, która zdarzyła się tak po prostu, z dnia na dzień, pokazuje mi, jak wiele powietrza marnowałem na rzeczy, które są zupełnie bezużyteczne. Potwierdza moje dawne pragnienie: by zredukować własne życie do jak najmniejszego mianownika, żeby jak najlepiej je wykorzystać.

Minęło trochę czasu, odkąd wyszedłem z sypialni i usiadłem tu, na zewnątrz. Isabel dołączyła do mnie. Wymyśliła jakiś pretekst, wiedząc, że najlepiej nie spuszczać mnie z oczu. Mówi, że Nuno i Rosário już dawno się obudzili i wyszli z auta. Zjedli też już, są w środku z moim ojcem. Proponuje, żebym ja też coś zjadł. Wolę zostać tutaj, na świeżym powietrzu. Wypełnia mnie pustka, nieobecność nie zostawia miejsca na nic innego, przepęlnia mnie strata. Sprzeczności i kolejne sprzeczności, które trzeba przetrwać. Isabel rozumie, nie nalega. Gdy tylko odchodzi, znów się oddalam, wracam do dzieciństwa i mlecznych zębów.

– Ciociu Palmo! Ciociu Palmo, wypadł mi ten ząb, co się ruszał! Wypadł! Mam dziurę!

Ciotka Palma i ja ekscytujemy się wielkim jak łopata mleczakiem, który znajduje się w mojej dłoni. Żaden kieł słoniowy z Afryki nie byłby tak cenny. To trofeum, amulet! Muszę włożyć go pod poduszkę, zanim pójde spać, pomyśleć życzenie i już. Za tydzień, a może szybciej, spełni się. Jak się wierzy, to tak się dzieje.

– Już wiem, co chcę! Już wiem!

Ciotka Palma mówi, że nie wolno mi tego zdradzić. Życzenie to sekret. Tylko ząb może go poznać, nikt inny. Ale ja chcę powiedzieć, ufam jej, co to szkodzi? Ale nie wolno. Dlaczego nie? Bo tak. Nic się wtedy nie uda, ząb będzie zły, nie wysłucha mnie. Okej, okej. Ale mogę ci powiedzieć potem? Tak, potem możesz. Ale musisz być cierpliwy, poczekać, aż się spełni. Dla własnego dobra powstrzymuję się i jej nie mówię.

Trzeciego dnia zdarza się cud – ząb mnie nie zawiódł. Cieszę się, skaczę, nie mogę w to uwierzyć. Skoro się wydarzyło, to mogę już powiedzieć, tak? Ale nie mówię. Po co? Spełnione życzenie to zabawka, którą już się pobawiliśmy, zapominamy o niej, rzucaamy w kąt. Teraz bawi coś innego, coś innego jest tajemnicą. Tak to już jest z dziećmi. Tak naprawdę nie myślę już o nierealnym życzeniu, które ząb jednak spełnił. Jestem zbyt zajęty pragnieniem, by zrozumieć dlaczego, mimo że mam w ustach tak dużo miejsca, język zawsze chce się wepchnąć w powstałą dziurę. Ciotka Palma pomaga mi rozstrzygnąć tę ważką kwestię.

– Daj spokój, Antonio! Język tęskni za zębem. Był przyzwyczajony, że on tam jest – a nagle go nie ma. Ale się nie martw. Jesteś dzieckiem. Wyrośnie ci następny ząb i zajmie miejsce tego, którego zabrakło.

Teraz, gdy zabrakło ciotki Palmy, rozumiem już język. Mając tyle miejsca w życiu, chcę być tylko w powstałej pustce. Najgorsze jest to, że nie jestem już dzieckiem i nie urodzi się już żadna ciotka, która mogłaby zająć miejsce tej, której zabrakło.

– Antonio.

To znowu Isabel. Siada obok mnie wzruszona.

– Widziałeś kwiaty w wazonie na stole?

– Tak. Są takie piękne.

– Twoja matka powiedziała, że ciotka Palma przyniosła je wczoraj rano.

– Czyli tak jak w moim śnie.

– Tak. Jak we śnie. Ale nie ma już tych kwiatów w wazonie. Twoja matka wyszła z sypialni, podeszła do stołu, wyjęła bukiet i przytuliła go. Potem zapakowała kwiaty, bardzo starannie, jakby były prezentem, i wyrzuciła do śmieci. Powiedziała, że takie było życzenie ciotki Palmy.

GAŁĄZKI

27 stycznia 1957 roku. Nareszcie. Czwooro rodzeństwa ponownie razem, tutaj w majątku wraz z rodzinami. Czemu nie wcześniej? Gdy zdarzał się cud i przyjeżdżał Joaquim, nie było ani Leonor, ani Nicolau. Gdy bardzo rzadko odwiedzinami zaskakiwała nas Leonor, nie było wtedy Nicolau i Joaquina. I tak było zawsze, jak gra w krzesła, tylko na opak, zbyt mało uczestników i za dużo miejsc. Co więcej, kilka razy, gdy któreś tutaj przyjeżdżało, ja akurat przebywałem z Isabel i dziećmi w Rio. Zupełnie jakby ktoś specjalnie zaplanował fiasko naszego zamiaru spotkania się. Teraz, dzięki nieobecności najbardziej ukochanej osoby, rodzinny album stał się kompletny. Śmierć zdołała osiągnąć to, na co nie odważyło się życie. Jak mówiłem, ból jest bardziej pożyteczny niż przyjemność. Isabel zgadza się ze mną.

– Naprawdę nie myślałam, że zobaczę was wszystkich razem. I to tak po prostu, w mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Przyznam, że byłam zaskoczona.

– Szczerze mówiąc, ja również.

– Myślę, że to wspaniale, że twój brat Joaquim przyjechał z obiema żonami i z wszystkimi dziećmi, które z nimi ma. Czy one dwie nie są swoimi śmiertelnymi wrogami?

– Nie znoszą się. Ale założę się, że dzisiaj duch ciotki Palmy zdołałby zbratać nawet rodziny Kapuletich i Montekich na przyjęciu urodzinowym Kaina i Abła!

Są też wszyscy bratankowie i siostrzenice. Nikogo nie zabrakło. Wzruszam się, widząc, jak mili i pewni siebie są Carlos i João, chłopcy Joaquina. I nie mogę nacieszyć się Marią da Glórią, córką Nicolau. Taka śliczna i serdeczna. Ma już

dziewięć lat, tyle co Rosário i Nuno. Doznaję szoku na widok dzieci Leonor. Są olbrzymie. Walter ma dziesięć lat, Waldir osiem, Waldemar sześć, a Waldomiro trzy. Isabel nie może się powstrzymać.

– Skąd im przyszedł do głowy taki zwariowany pomysł z tymi imionami? Nie jestem w stanie ich odróżnić. Ciekawa jestem, jak nazwą to, które jest w drodze.

– Jeśli to będzie chłopiec, Waldecir. Ale mają oczywiście nadzieję, że dziewczynka. Imię wybrali już dawno temu: Walmira.

– Biedactwo.

– Czemu biedactwo? Takie samo imię jak każde inne. Ja na przykład nie lubię imienia, które wybrałaś dla naszej córki, Rosário.

– To na cześć Matki Bożej.

– Sama myśl o różańcu jest męcząca. Wręcz pokutnicza.

– Antonio!

Przepraszam Isabel. Wiem, że posunąłem się za daleko z tą podłą uwagą. Ale ona nie powinna krytykować imion nadanych przez innych. O gustach się nie dyskutuje, myślisz trudno i odpuszczasz – przynajmniej tak powiadają. W każdym razie następuje uścisk, pocałunek i wniosek, że to nie jest odpowiednia chwila. Dopiero co pochowaliśmy ciotkę Palmę. Cała rodzina razem, a my dwoje zamknięci w sypialni, żeby prowadzić jakąś głupią kłótnię.

– Masz całkowitą rację. Idź tam i bądź z nimi. Ja tylko zmienię sukienkę i zaraz zejść.

W drodze na dół do salonu przypadkiem słyszę rozmowę, która mnie rani. Ale pozwoli rodzinie wyciągnąć trupa z szafy.

– Widziałeś, jakie mają sztuce?

– Tyle srebra. Są piękne. To wszystko staruszka, tak?

– Tak, Sebastião, ale Alves Machados nie wystawiali go tak ostentacyjnie.

– Ostentacyjnie?

– Nie obnosili się z nim tak, nie popisywali się.

– Och, ja nie powiedziałbym, że Antonio się popisuje. Ani Isabel.

– Ty jesteś biedny jak mysz kościelna, Sebastião. Nic nie wiesz.

- Wiem, że ciężko pracują. I że udało im się z restauracją.
- Tak, ale ty i ja też ciężko pracujemy! I co mamy? Ledwo starcza nam na życie.
- To prawda.
- Tylko Antonio powiodło się w życiu.
- Joaquim dorobił się majątku w São Paulo.
- Wcale nie – w tym barze rządzi jego wspólnik, Santoro. A Joaquim to co zarobi, wydaje na kobiety. I jeszcze płaci alimenty na dwie żony i dzieci.
- To jego wina, że w życiu kieruje się inną częścią ciała niż głową...
- Cóż, Nicolau to wspaniały mąż, tak jak ty, a naprawdę jest mu ciężko. Amália wspomniała mi, że dają radę tylko dzięki temu, że ona też pracuje. Maria da Glória musi zostawać dłużej w szkole, spędza tam cały dzień. A ja uważam, że to dla dziecka okropne. Nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego swojemu. Nigdy.
- Jest jakaś szansa, że powiesz o kimś coś miłego, czy zaczniesz nadawać na kolejną osobę?
- Nie bądź taki głupi, Sebastião. Postaraj się zrozumieć. Chodzi mi o to, że wszyscy pracują, i to ciężko, a tylko Antonio ma pieniądze. Dlaczego?
- Cóż, ożenił się z bogatą kobietą. Najwyraźniej miał szczęście.
- Nic podobnego. Jest inna przyczyna.
- Inna przyczyna? Jaka?
- Wczoraj przed pogrzebem porozmawiałam sobie z Nicolau i Joaquimem.
- Leonor, na miłość boską, nie zaczynaj znowu.
- Zgodzili się ze mną... Naprawdę! Słuchasz mnie?
- Coś ty im, kobieto, naopowiadała?
- Że ciotka Palma nie powinna była dawać ryżu Antonio. To niesprawiedliwe! Była też naszą ciotką. Tak samo jak jego!
- Oszalałaś?! Zawsze nienawidziłaś tego ryżu, pamiętam. Wstydziałaś się waszej rodziny, mówiłaś, że ta historyjka to kłamstwo, byłaś zła na taki prezent, nastawiłaś Nicolau i Joaquimima przeciwko wszystkim!
- Zmieniłam zdanie! Nie wolno mi?!
- Wolno, owszem! Ale ma to sens?

- Byłam jej jedyną siostrzenicą, Sebastião. Ten ryż powinien być mój!
- Minęło jedenaście lat, kobieto. Jedenaście lat! A ty wciąż hodujesz tamten gniew?!
- Owszem. Nie mogę im wybaczyć. Nie potrafię.
- A co ten ryż ma wspólnego z naszą biedą, co?
- Wszystko, Sebastião, wszystko! I mam zamiar powiedzieć to Antonio prosto w twarz!
- Możesz to zrobić od razu, Leonor. Słucham.
- Antonio?!
- Właśnie wtedy przechodziłem, siostrzyczko. Przepraszam, ale nie mogłem nie usłyszeć, co mówisz.
- Nieważne, lepiej żebyś się dowiedział. Nareszcie będzie z głowy. Już i tak za długo trzymałam język za zębami!
- Proszę cię, Antonio, zapomnij o tym, co usłyszałeś.
- Nie, Sebastião, tę sprawę trzeba wyjaśnić i to się stanie teraz. Nie zniosę dłużej tego, że obwinia się mnie o coś, co nie jest moją winą, do cholery!
- Zgadzam się. Zawołam Joaquina i Nicolau. Sprawdzimy, czy będą mieli odwagę wyprzeć się tego wszystkiego, co o tobie mówili!
- Zdumiewające. Minęło tyle lat, a ty nic się nie zmieniłaś, Leonor. Jest w tobie ta sama trucizna.
- Poczekaj, zaraz ci pokażę truciznę, tylko poczekaj!
- Na litość boską, kobieto! Pomyśl o dziecku, które nosisz!
- Nazwał mnie żmiją, Sebastião. Nie słyszałeś? Jeśli nie masz zamiaru zająć stanowiska, to przynajmniej się nie wtrącaj.
- Co się tutaj dzieje?

Isabel ledwo udaje się dokończyć pytanie. Rozwścieczona Leonor mija ją w pędzie. Wraca z Nicolau i Joaquimem. W ciągu kilku sekund zaczyna panować chaos. Wszyscy na siebie wrzeszczą. Nikt nikogo nie słucha. Padają obraźliwe słowa, wykrzykiwane są fałszywe oskarżenia, ujawniają się najniższe instynkty, wysuwane są wręcz niewiarygodne żądania, wyrażane zapiekłe pretensje, całe nasze

okrucieństwo widać jak na dłoni. Jak to możliwe? Wiedziałem, że mnóstwo rzeczy zamietliśmy pod dywan. Ale żeby aż tyle?! Isabel i Amália, zaskakująco zgodne, starają się zapanować nad tym szaleństwem – daremny trud, wszystko wymyka się spod kontroli. Każda zniewaga wywołuje jeszcze silniejszą odpowiedź. Rozum poddaje się, ucieka. Emocje robią z nami to, co potrafią najlepiej. Krew się gotuje, żyły pulsują na skroniach i szyjach, oczy ciskają gromy, a usta miotają zniewagi i przytyki, wszystko, co może zboleć. Przepętnienie, katharsis, zbiorowa pokuta. To, co ciało z siebie wydała, to oznaka oczyszczenia. Lepiej, żebyśmy wyrzucili z siebie wszystko do samego końca. Jak już nie zostało nic do wyrzucania, zostaje tylko lęk przed usunięciem resztek goryczy. Nie ma już śliny, gardła są suche. Brakuje mi tchu. Im także. Wiem, jestem ich bratem, jestem w nich, a oni są we mnie. Wszystko się poplątało, nie widać wyjścia. Raniąc ich, ranię siebie. A oni też boleśnie odczuwają każde rzucone na mnie przekleństwo. Bezsensowna walka, wojna bez zwycięzcy. Poddajemy się, jedno za drugim. Leonor opada na krzesło i zaczyna płakać. Wyczerpała jej się litania oskarżeń. Joaquim, zdeglustowany i milczący, uderza pięścią w najbliższą ścianę. A potem opiera głowę dokładnie w tym samym miejscu i stoi tam tak, jak chłopiec odesłany do kąta za karę. Gdy wszyscy po kolei milkniemy – bo nie ma słów, które by tutaj pomogły – Nicolau, wyczerpanym, cichym głosem, celuje prosto we mnie.

– Nie zasługujesz na to, co masz.

Wciąż stoję, ale to był śmiertelny cios. Nie jestem nawet w stanie ocenić stopnia zniszczenia. Leonor przestaje płakać, Joaquim wraca na pole boju. Ich twarze rozjaśniają się, jakby oboje mówili jednym głosem: „No właśnie!” Ich zdaniem Nicolau dotarł do sedna sprawy i ukuł jednoczące ich motto: „Antonio nie zasługuje na to, co ma. Ani na ryż, ani na wszystko inne”. Wzmocnieni, rany zabliznione, ból złagodzony. Jakie to głupie, że się nawzajem przeklinali, że kłócili się o błahostki, skoro mają jednego wspólnego wroga. Są przecież rodzeństwem synonimów, prawda? A ja to antonim. Jak mogli o tym zapomnieć? Nagle wyświetla mi się film. Fikcja? Dokument? Nie mam pojęcia. W ciągu kilku sekund chwytam krzesło i – jak szaleniec – ruszam na brata, który z całej trójki rodzeństwa jest mi najbliższy i najdroższy. Powstrzymuje mnie kobiecy okrzyk.

– Antonio, nie!

Amália wysuwa się przede mnie, powstrzymując mnie. Zamieram z uniesionymi rękoma. W ciągu kilku sekund w pokoju jestem tylko ja i ona. W ciągu kilku sekund to nasze kolejne niespodziewane spotkanie. W ciągu kilku sekund spojrzenie Amalii i jej łzy przekazują mi przesłanie: – W imię wszystkiego, co się wydarzyło, Antonio, proszę, odstaw to krzesło. – I robię to. Zwierzę we mnie jest zaskoczone tym apelem i ucieka. Zostaje tylko człowiek, pokonany, zawstydzony.

A potem, jeszcze większa niespodzianka, na oczach wszystkich, z żenującą wręcz czułością, Amália przeczesuje mi dłonią włosy i powoli całuje mnie w czoło.

– Nie słuchaj go, Antonio. To głupia kłótnia w rodzinie. Zaslługujesz na swoje szczęście. Wiem, że tak jest.

Teraz dopiero rodzina jest zaskoczona, zarówno aktorzy, jak i widzowie. W pierwszym rzędzie żony Joaquina, które od początku bawił ten żalony rodzinny spektakl. Wyraz ich twarzy zmienia się, próbują rozszyfrować, co to jest, ta słodycz, która z towarzyszącymi jej słowami wymusiła szacunek i milczenie. Amália natychmiast wraca do męża, na swoje miejsce. Wszyscy śledzą ją pytającym wzrokiem. Jak wyjaśnić tę czułość? Lepiej nic nie mówić. O wiele lepiej. To mądrzejsze, rozsądniejsze. Kto miałby czelność rzucać w tym momencie jakieś podejrzenia? Kto śmiałyby interpretować ową ostentacyjną pieśczętę, ów publiczny pocałunek – owszem, w czoło, ale mimo wszystko pocałunek i do tego długi. Czy miłość ostatecznie triumfuje? Owszem. Nawet jeśli to skrywana miłość, o której nikt nie miał pojęcia, zdradziecka miłość.

Absolutna cisza. Cisza pokoju, cisza śmierci, cisza końca – jakie to ma znaczenie? Kłótnia skończona. Ocaleliśmy pośród trupów i rannych. Rozmiar strat poznamy później. Leonor, w szóstym miesiącu ciąży, wstaje z trudem, jest zmęczona, chce już iść. Mówi, że zawoła chłopców. Sebastião zgadza się, ale najpierw ma pewną prośbę.

– Senhor José Custódio i dona Maria Romana żyją sobie cicho i spokojnie w swoim domku. Nie muszą o tym wszystkim wiedzieć. Już i tak cierpią z powodu utraty ciotki Palmy, prawda?

Isabel natychmiast przychodzi mu w sukurs.

– Oczywiście, Sebastião. Masz całkowitą słuszość. To byłoby naprawdę podłe, gdyby ktoś im powiedział.

Leonor rozumie sugestię. Wszyscy rozumiemy. Jesteśmy luźnymi gałązkami, które łatwo złamać. Nikt nie jest lepszy od innych. Odrobina uczciwości wystarczy, by zrozumieć przynajmniej tyle. Amália mówi coś do Nicolau. Co to mogło być? Przytulają się i całują czule. Pozostają tak przez dłuższą chwilę. Jestem wzruszony. Czuję się uwzględniony w tym uścisku na odległość, bez poczucia winy. Joaquim, pod naciskiem żon, też mówi, że wychodzi. Koniec przedstawienia. Od czasu do czasu rozwiera i zaciska dłoń. Wygląda na to, że uderzenie w ścianę nie było markowane.

Dobrze, że wszystkie dzieci były na zewnątrz. Nikt nie widział naszej hańby. Mam nadzieję, że przez pewien czas zachowają jeszcze dziecięcą przenikliwość, zanim dołączą do tego szalonego, żalostnego wszechświata dorosłych. Czy życie na to pozwoli?

Walter biegnie przez salon. Za nim zjawiają się Waldir i Nuno. Potem Rosário i Maria da Glória. Na końcu wpadają Waldemar, Carlos i João. Wszyscy podekscytowani, zabiegani, porozpinani i ociekający potem. Czerwone buzie, dyszenie. Śmieją się i mówią jednocześnie. Atmosfera zmienia się z jednej skrajności w drugą. Jak na górskiej kolejce. Próbuję zapanować nad tą euforią.

– Uspokójcie się! Nie wszyscy naraz! Niech Walter mówi!

– Wuju Antonio, dziadek Custódio i babcia Maria Romana wołają wszystkich do siebie!

Reszta wielkim chórem.

– Tak, to muszą być wszyscy!

– Właśnie!

– Powiedzieli, że wszyscy, co do jednego!

– I to natychmiast!

– Już teraz!

Chłopcy ciągną Sebastião.

– Chodź, tato!

– Macie nie zwlekać.

W tej lawinie radości dostrzegam rękę ciotki Palmy. Zupełnie jakby mówiła nam, że naszym dzieciom będzie lepiej niż nam. A naszym wnukom lepiej niż im. Posłusznie pozwalamy dzieciom, by prowadziły nas za rękę na dół do rodziców. Po tym, co przed chwilą wyprawialiśmy, powinny nas tam ciągnąć za uszy.

SPUŚCIZNA

Wspomnienia zapisywane w pamiętniku są uporządkowane, liniowe: dzień, miesiąc i rok. Czasem rejestrowana jest godzina, a nawet minuta. Ale gdy jesteśmy starzy i do niego zaglądamy, jesteśmy zdumieni ilością zapisów, które nie mają teraz żadnego sensu i zostałyby zapomniane, gdyby nie atrament. A nie pamięć, która wyniosła się z naszych głów, próbując wybrać tylko to, co ważne, tylko to, co nam drogie. Nie jest jak przemówienie, które można wyćwiczyć i odczytać, to improwizacja, pełna błędów i zająknięć sprowokowanych odwagą. Wszystko ma swoje dobre strony, zgadzam się. Jednak moim ulubionym wspomnieniem zawsze będzie to, które wzbudza moją pasję, to, które noszę w sercu i które nadal mogę gdzieś w sobie zapodziać – niczym okulary albo parasol. Późne popołudnie. Razem z rodzeństwem schodzimy na dół do domku rodziców, wiedząc, że ciotki Palmy nie będzie. Wspomnienie nie zostało przeniesione do mojej książki z przepisami, nie było takiej potrzeby. Wszystko jest świeżutkie. Jeszcze nie wyschła farba. Ostrożnie. Niczym pielgrzymi zmierzający do sanktuarium, idziemy z rodzinami w dół wąską dróżką. Idziemy w milczeniu, każdy z nas rozmawia sam ze sobą. Nawet dzieci, zajęte nie wiadomo jakimi myślami, ogarnęła nagle zadziwiająca powaga. Co mówi to całe milczenie?

Gdy docieramy na miejsce, ojciec i matka są gotowi. Działają zręcznie i bez pośpiechu – tak jak chciałyby ciotka Palma. Ciepłe ciasto i świeżo zaparzona kawa na ładnie nakrytym stole. Soki owocowe dla dzieci. Świeże kwiaty w wazonie. Detale i gesty, które, tak jak zawsze, uczą nas i czynią lepszymi.

– Przepraszamy, tato. Przepraszamy, mamó.

Wchodzimy do środka, to nasz dom. Leonor, Nicolau, Joaquim i mnie wzrusza troska z jaką ojciec i matka nas przyjmują: zapach świeżo wziętej kąpieli, włosy jeszcze wilgotne i porządnie uczesane, najlepsze ubranie na co dzień oraz prostota i czułość, które oznaczają opiekę, bezpieczeństwo, komfort. Nie ma wątpliwości, że to ten dom jest sercem majątku. Ład domowy i spokój, pomimo bólu, dają nam pewność, że jutro wstanie słońce, że praca zostanie wykonana, że życie, silniejsze niż śmierć, będzie dalej szło swoją drogą. Ojciec i matka troszczą się o nas, jakbyśmy nadal byli dziećmi. Bo jesteśmy.

– Dobrze, że przyszliście na czas. Jakże jesteśmy szczęśliwi, drogie dzieci, że mamy was tu u siebie. Dalej, rozgośćcie się. Matka już podaje kawę.

– José Custódio, przynieś mi, proszę, nóż do ciasta z szafki w kuchni. Gdzie ja mam głowę? Przyniosłam sztucce, ale o nożu do ciasta zapomniałam.

Nicolau, który stoi obok szafki, zgłasza się na ochotnika.

– W porządku, tato. Ja przyniosę.

Imponująca jest zmiana, która w nas wszystkich zachodzi. Wygląda na to, że jeśli gniewne wymioty sprzed chwili nas nie oczyściły, to przynajmniej przyniosły nam ulgę. Ktoś podaje filiżankę, ktoś inny cukier, jeszcze ktoś odsuwa krzesło – nawet drobne uprzejmości są szczerze i przyjmowane z wdzięcznością. Nikt z nas nie chce być teraz w centrum uwagi – nikt. Skupiamy się wyłącznie na ojcu i matce. Krążymy wokół nich. Na innych orbitach krążą także ich zięciowie i synowie. Tylko wnuki czują się swobodnie i wirują dokoła spontanicznie i radośnie.

Gdy kończymy poczęstunek, Leonor, Nicolau, Joaquim i ja zostajemy poproszeni do pokoju ciotki Palmy. Spuścizna, którą nam pozostawiła, jest wzruszająca. Czwarte krzesło, na którym siedziała, przypada w udziale mnie. Małą szkatułkę na biżuterię dostaje Leonor. Obraz ze świętym Joaquinem, który jest w rodzinie od pokoleń, trafia oczywiście do Joaquima. A Nicolau otrzymuje dwa angielskie złote suwereny, pierwsze pieniądze, jakie ciotka Palma zarobiła w Brazylii, za pranie, prasowanie i krochmalenie koszul oficerów z brytyjskiego statku, który przez miesiąc stał na kotwicy w porcie Rio de Janeiro.

– Jeśli chcecie jeszcze jakieś inne pamiątki, weźcie sobie. Wszystko, co ciotka

Palma miała, jest w tym pokoju.

Leonor, wyraźnie wzruszona, pyta, czy matka nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli zabierze mały stolik, który służył także za przybornik do szycia. Ten niewielki mebel i jego wyposażenie zauroczyły ją, gdy była małą dziewczynką.

– Co za pytanie, dziecko! Przecież już wam powiedziałam, weźcie z rzeczy ciotki cokolwiek zechcecie.

Ja też mam prośbę. Jeśli pozostali się zgodzą, chciałbym wziąć na pamiątkę pióro i suszkę. Nie ma sprawy, wszyscy uważają, że to w porządku. Tylko ja lubię pisać. Matka jest zadowolona z szybkiej, jednomyślnej decyzji.

– Trafia w dobre ręce.

Nicolau i Joaquim nie mają pojęcia, co jeszcze mogliby chcieć. Zastanawiają się, rozglądają i mówią, że to, co dostali, wystarczy.

Ten łatwy i zgodny podział rzeczy po ciotce sprawia, że zaczynam się zastanawiać. Dlaczego tak samo nie było z ryżem? Znow ogarniają mnie wątpliwości. Ciotka Palma naprawdę popełniła straszny błąd, była tylko człowiekiem, omylnym, jak każdy z nas. Przekonując ojca i matkę, że cały ryż powinien trafić do mnie, mogła zachować się niesprawiedliwie wobec pozostałych. Czy jej argumenty były aż tak przekonujące? A co ze zdaniem ojca i matki? Przecież ten ryż należał do nich. To oni mieli ostatnie słowo, jeśli chodzi o los błogosławionego ziarna. I jeszcze ja w tym wszystkim, z przypadającą na mnie porcją poczucia winy. Czy mam do spłacenia jakiś przyszły weksel? Muszę to jeszcze raz przemyśleć. Skąd ta serdeczność między nami tutaj, skąd ta neutralność, skoro tam, w domu na górze panowała taka wrogość? Okropna kłótnia, kilka godzin po pogrzebie ciotki Palmy, to znak, że coś jest w rodzinie nie tak i że trzeba to jak najszybciej naprawić. Ale jak?

I nagle słyszę słowa ciotki Palmy, gdy odwiedziła mnie w Rio:

– Nie podoba mi się ryż wystawiony w szklanym słoju w oknie restauracji. Wygląda pięknie, to prawda. Ale, Antonio, ten ryż to twoje szczęście, twoje i Isabel. Nie powinieneś się nim przechwalać. Szczęście budzi większą zazdrość niż bogactwo.

Moja siostra, bracia i ja wychodzimy z sypialni, obejmując matkę. To dziwne, ale ta przyjazna atmosfera ani nas nie zaskakuje, ani nie wprawia w zakłopotanie. Czujemy się naturalnie, swobodnie. Rodzina to naprawdę niesamowicie delikatne danie do przyrządzenia.

CI, KTÓRZY NARZEKAJĄ I CI, KTÓRZY MÓWIĄ DZIĘKUJĘ

Wszyscy wyjechali już jakiś czas temu. A ci, którzy zostali, śpią. Ojciec i matka w swoim kąciku na dole – pierwsza noc bez ciotki Palmy. Isabel i dzieci, tutaj w dużym domu, każde w swoim łóżku. Mnie w ogóle nie chce się spać. Jest niemal północ, a ja czuję się rześki jak skowronek, chętny do wyjścia, jakby to było południe. Po tym wszystkim, co się stało? Jak to możliwe, że ciało nie boli, że nie wykazuje żadnych oznak zmęczenia? Czy to dusza sprawia, że tak się trzyma? Dusza też się męczy, wiem. Płatność zostanie wyegzekwowana później, z wyższymi odsetkami, bez wątpienia. Niech tak będzie. Zapłacę co do grosza, ale nie ustąpię. Postanawiam jeszcze raz obejrzeć sobie w głowie film z kłótni. Tak, film ze sprzeczki, film o braterskiej wrogości, która wybuchła tego samego dnia, gdy chowaliśmy najwspanialszą osobę, tę, która zawsze uosabiała hojność, miłość i szczęście. Chcę ujrzeć każdą scenę ponownie – surowy materiał, ze wszystkimi ranami i bez żadnych cięć. Usłyszę słowa i poczuję ból jeszcze raz. Moje słowa i mojego rodzeństwa. Mam wielką ochotę. Postanawiam, że nie umknie mi żadna scena.

Jestem dokładnie w tym momencie, w którym wszystko się zaczęło: słyszę rozmowę przez drzwi, Leonor próbuje nastawić Sebastião przeciwko mnie. I oto jestem, gotowy ich zaskoczyć, czekający na najlepszy moment, by się ujawnić.

Nagle czarna dziura. Co się stało? Wizja była taka wyraźna, dźwięk idealny. Czekam spokojnie w fotelu. Film zaczyna się od nowa. Ale skąd ta przerwa? Dlaczego nie wchodzę i nie przyłapuję ich tak jak wtedy? Dlaczego słucham tylko

słów, które wypowiada Sebastião? Dlaczego wyciszyłem Leonor? Ktoś kombinował przy montażu, to jedyne wyjaśnienie! Czekam, żeby zobaczyć, dokąd zajdzie mój umysł. Nie jestem już taki żarłoczny. Teraz moje serce chłonie to, co się dzieje. Więc gdy wracam do sceny, moja uwaga jest życzliwa i cała skupiona na Sebastião. Prostym, łatwowiernym, dobrym, uczynnym, hojnym, łagodnym Sebastião. Potężny mężczyzna, o sile mogącej powalić wołu, a mimo to umiejącym tak usunąć się z drogi, by nie spłoszyć motyla – znam to nie z opowieści, sam widziałem. On z motyką na ramieniu, wracający z odchwaszczania, patrzy na pień drzewa naprzeciwko, zauważa coś, zatrzymuje się. Stoi tam przez kilka chwil, nieruchomy obserwator. Nie tylko obserwator, coś więcej – świadek. Śmieje się głupio. A potem z największą ostrożnością cofa się kilka kroków i okrąża drzewo wokół. Wpada na mnie, zaskoczony.

– Cześć, Tonio! Ty tutaj?

– Mam się spotkać z tatą na plantacji.

Sebastião, który zawsze ma dobry humor, śmieje się, usatysfakcjonowany tą nic nieznaczącą informacją. Ociera pot z twarzy, używa dłoni, jakby była chusteczką.

– Musisz przyznać, że ładny dzisiaj dzień. I gorący.

– Co ty tam zobaczyłeś na tym drzewie, że gapiłeś się jak dziecko?

Śmieje się zakłopotany.

– Ja?

– Tak, ty. Przed chwilą, tam, obok tego drzewa.

– Przed chwilą?

– Tak, nawet je ominąłeś. Co tam było?

– Och, nic, Tonio. Leśna scena i tyle.

– Leśna scena...

– Właśnie. Śliczna. Usiadł tam sobie rzadki motyl. Duży, kolorowy, z dumnie rozpostartymi skrzydełkami. Miło zobaczyć takiego dużego z tak bliska, przyznasz! Obszedłem drzewo wokół, żeby nie spłoszyć tej pięknej paniutki w chwili, kiedy sobie odpoczywała.

– Masz rację, Sebastião. Słusznie zrobiłeś.

Jest zadowolony i wdzięczny. A potem przeprosza, mówi, że musi już iść, żeby się nie spóźnić z robotą.

– Zjedz najpierw lunch. A potem skończ, co masz zrobić. Ojciec uczył mnie, że pusty worek nie ustoi.

– Cóż, mój mówił mi, że worek wypełniony po brzegi się nie złoży. Skończę najpierw odchwaszczanie, Tonio. A potem coś zjem.

– Masz rację. Jak zawsze.

A potem mówimy sobie do widzenia – leśna scena – i spotykamy się ponownie teraz, w tym wspomnieniu, które zjawia się, nie pytając o pozwolenie. Weź zrozum. Mój umysł mógł mi pokazać tyle kłótni, a on wolał wybrać inną rolkę, wyciągniętą nie wiadomo skąd. Nie, nie chcę słuchać tej opowieści o delikatności. Chcę przypomnieć sobie sprzeczkę, przestudiować awanturę, wiedzieć dokładnie, w którym momencie każde z nas zbłądziło. Ale Sebastião upiera się, by wypełnić całą moją pamięć, nie ma już miejsca na nic innego. Wydaję z siebie pełne ironii westchnienie.

– Sebastião, akurat ty?

Moje myśli znów cofają się w przeszłość. Jestem chłopcem, dowiaduję się, że Sebastião, jak każda nieskomplikowana istota, nie rozumie okrucieństwa ironii. Niezwykle poirytowany tym, że tłumaczę mu coś po raz tysięczny, a on dalej nie rozumie, mówię:

– Sebastião, naprawdę jesteś najmądrzejszym, najbystrzejszym człowiekiem jakiego znam.

Odpowiada szczerze:

– Dziękuję, Tonio. Dobry z ciebie chłopak. Doceniam twoją uprzejmość.

Zaśmiewam się do łez. Ciotka Palma, która jest przy tym obecna, ofukuje mnie i obrzuca piorunującym spojrzeniem. Milknę natychmiast. Spuszczam głowę, wycofuję się. Ona – pełna godności – podchodzi do Sebastião i prosi go o pomoc przy pracy, która – jak na poczekaniu wymyśla – wymaga szczególnych umiejętności. Zadowolony z usłyszanego przed chwilą komplementu i w obliczu nowego, jakże istotnego wyzwania odpowiada, że zaraz się za to weźmie! Dziękuję

mi jeszcze raz za okazaną uprzejmość i odchodzi rozgadany z ciotką u boku. Zostawiając za sobą mnie, samego, z moją bezużyteczną inteligencją i głupim wyrazem twarzy.

Sebastião jest dumny, że nosi imię świętego męczennika i króla-wojownika, który nie powrócił. On, prostolinijny rolnik, który wyrywa teraz ze mnie okropne chwasty – Abaporu, kanibal, który przychodzi pożreć nikczemność z mojej duszy i leczy mnie, wymazując wszelkie ślady rodzinnego rozłamu.

Gdy myślę, że to już koniec, Sebastião jeszcze raz pobudza moją pamięć i wyznaje, że nie wierzy w całą tę sprawę z biednymi i bogatymi, brzydkimi i pięknymi, dobrymi i złymi... Dla niego istnieją na świecie tylko dwa rodzaje ludzi: ci, którzy narzekają i ci, którzy mówią dziękuję.

– Naprawdę?

I jego stanowcza odpowiedź: Tak. Naprawdę. Wielu nieszczęśliwych bogatych ludzi i wielu biednych, którzy są zadowoleni ze swojego losu, wiele pięknych kobiet, które są strasznie drażliwe i mnóstwo zwykłych kobiet, które budzą namiętność, wielu zdrowych ludzi, którzy nie korzystają ze swojej siły i mnóstwo chorych, którzy troszczą się o innych. I tak kontynuuje niekończący się spis różnych stanów i sprzeczności. Kłóczę się z nieobecnym Sebastião.

– Ciotka Palma umarła, właśnie ją pochowano, rodzina się kłóci... Trudno nie być na liście tych, którzy narzekają. Mówić dziękuję? Za co?

Czuję, że zamykają mi się powieki i otrzymuję odpowiedź, nawet sobie tego nie uświadamiając: sen ogarnia mnie gwałtownie, ale moje ciało nie narzeka, wręcz przeciwnie. – Dziękuję – mówi – za to porządne lanie. – Zasypiam.

WAŻNOŚĆ DZISIEJSZEGO DNIA

To zupełnie naturalne, że się denerwuję. Ostatni raz cała rodzina była razem na pogrzebie ciotki Palmy. Potem już żadne urodziny czy pogrzeb – nawet matki czy ojca – nie zdołały zgromadzić wszystkich krewnych. Zawsze zauważano i komentowano czyjąś nieobecność, gdziekolwiek byśmy nie byli. I dlatego dzisiejszy dzień jest taki ważny – 11 lipca 2008 – setna rocznica ślubu ojca i matki tam, w Viana do Castelo, sto lat ryżu i całej tej historii. Pomysł na uczczenie tej rocznicy był dla rodziny niespodzianką, ale został dobrze przyjęty. Niektórzy byli podekscytowani, wręcz wzruszeni. Dużo o tym rozmawialiśmy. A teraz jesteśmy ciekawi, kto przyjedzie, a kto nie, wielkie oczekiwanie. Jestem stary, ale pełen życia. Doświadczony, ale krew nadal krąży w moich żyłach, nerwach, jelitach. Zaledwie wczoraj przyłapałem się na obgryzaniu paznokci i drobnej skórki na kciuku, nawyk, którego nie znoszę, ale robiłem to, gdy byłem nastolatkiem. Coraz śmielej używam przymiotników: czyż niecierpliwa ciekawość nie jest zdrowym objawem drugiego dzieciństwa? Znakiem, że niedługo wyskoczą mi pryszczki na twarzy i że załamie mi się głos akurat, gdy trzeba będzie powitać krewnych? Niemal widzę siebie jako chłopca, z czapką z daszkiem do tyłu, w za luźnym ubraniu, spodniach wiszących tak, że widać bieliznę, roztańczone ciało, jak guma elastyczne, pozbawione kości, głowa wirująca na ziemi, nieprzewidywalne ruchy, nogi i ręce zupełnie osobno, ale w harmonii – przydatne triki, które pomagają mi zmienić widzenie świata. Jestem radykalny. Mam osiem lat i osiemdziesiąt. Mam osiemdziesiąt osiem lat, to dobry wiek. Ta rocznica to będzie cudowne wydarzenie.

Mieszając w garnku, wyobrażam sobie, że jakieś nieprzewidziane okoliczności uniemożliwią przybycie tego czy tamtego, który – biedny – zachoruje i straci

impresę, mając za to doskonałą wymówkę albo raczej zupełnie obojętny, mało przekonująco przeprosi potem wyświechtanym: „Nie dałem rady”. Będzie mnóstwo ludzi, Antonio, mnóstwo! Dzieci, zięciowie, wnuki, rodzeństwo, bratankowie, siostrzenice, ich dzieci, a nawet wnuki! To będzie absolutny cud, jeśli wszyscy się zjadą. Szczególnie najmłodszy. Gdy ty byłeś młody, bardzo trudno było wymusić twoją obecność, więc pomyśl, jak to jest teraz z młodymi, którzy są tacy niezależni. Nie ma dzieciaka, który nie wolałby wyjść z kolegami albo z dziewczyną, zamiast jechać na kraniec świata, żeby celebrować rocznicę, która nic dla niego nie znaczy i którą organizuje jakiś zniedołężniały starzec, którego nawet nie kojarzy. Uspokój się, człowieku! Zaproszenia dotarły do rodziny z dużym wyprzedzeniem, a potem jeszcze były potwierdzane przez telefon. Postaraj się uspokoić. Rób swoje i tyle. A jeśli chodzi o wszystko inne, odpuść. Czy będzie padać, czy będzie słońce, nie ma sensu się tym martwić, wcale a wcale. Zajmij się tym, co rzeczywiście od ciebie zależy. I nawet w tych kwestiach wrzuć na luz. Nie wściekniesz się, jak ryż będzie się kleić do dna garnka, co?

– Nie, oczywiście, że nie. Wiem, że to normalne i każdemu się zdarza. Ale jako kucharz czułbym się spełniony, gdybym zobaczył – choć raz – całą rodzinę sklejoną w majątku, a sypki ryż na talerzach.

Isabel znowu woła mnie z salonu i (też znowu) przerywa spór, który toczę sam ze sobą.

– Proszę cię, Antonio! Potrzebujemy cię tutaj!

Przerywam to, co robię, żeby sprawdzić o co chodzi. Isabel położyła na stole stos bielusińskich serwetek z wykrochmalonego płótna i rozkłada pierwszą z nich. Ma rozmiar raczej obrusa niż serwetki. I wyhaftowane inicjały: *MC*.

– Pamiętasz kiedy matka używała tych serwetek?

– Oczywiście, obiad w Trzech Króli.

Isabel przyciska do siebie serwetkę, zadowolona, że od razu dobrze odpowiedziałem. Zaczynamy sobie oboje przypominać wszystko, co działo się tutaj każdego szóstego stycznia, w dniu, który dla Marii Celeste był nawet ważniejszy niż Boże Narodzenie. *Fazendeiros* z okolicy i mieszkańcy wioski, służący, wszyscy byli

zaproszeni na wielkie przyjęcie. Główną atrakcją była żywa szopka z pasterzami, trzema królami, Matką Boską, świętym Józefem i dzieciątkiem Jezus. Były owieczki, wół, osioł, wszystko. Nie było tylko wielbłądów. Wszystkie dzieci wierzyły, że trzy wielkie wielbłądy pasą się gdzieś na terenie fazendy. Królowie podchodzili na piechotę, żeby wyrazić szacunek dla największego króla, który właśnie się narodził. Bardzo wzruszająca w swojej prostocie scena. Gwiazdą Betlejemską zawsze była jedna z dziewczynek z wioski. Isabel nią kiedyś była. I Leonor. Dzieciątkiem Jezus było najmłodsze dziecko. Nicolau, Joaquim i ja, wszyscy leżeliśmy w żłóbku. Gdy byłem starszy, kilka razy przypadła mi rola pasterza. Ale też Kacpra i Baltazara. Byłem Józefem w tym samym roku, co Isabel była Maryją. Zrządzenie losu? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że wtedy mój Józef, zakochany po uszy, nie odrywał wzroku od Matki Boskiej i miał dużo grzesznych myśli. Wszyscy to oczywiście zauważyli, więc dostałem burę od matki, gdy tylko królowie wyszli, a ja znowu stałem się Antonio. Isabel uważa, że to miłe, tak mówi, tak, właśnie, wzdycha, przyjemne *saudade*. Jesteśmy oboje tak samo zaskoczeni, że nasze wersje są tak spójne. Tym razem – cud! – zgadza się nawet najdrobniejszy szczegół. Zwykle przeszłość wraca do mnie w jaskrawych, bardzo żywych kolorach. Takich na pół z Almodóvara, a na pół z Fridy Kahlo. Jej, bardziej powściągliwa, zawsze jest w kolorze delikatnej sepii. Jednak w tym momencie, ku naszej radości, wracamy w tych samych barwach do świata, który już nie istnieje, ale jest świetnie zarchiwizowany, i do którego mamy łatwy dostęp, w mgnieniu umysłu.

– Jak to możliwe, że coś tak zwyczajnego, jak stos serwetek może przywołać takie wspomnienia?

Bo odgrywały swoją rolę w tej opowieści, są autentycznym i namacalnym dowodem na to, że grupa ludzi zbierała się regularnie, by świętować – nie ważne co. Celebrowali życie i tyle. Święto, czy religijne czy pogańskie, było zaledwie pretekstem. To mogła być Wielkanoc albo karnawał. Te serwetki mają duszę. Tak naprawdę wszystkie nieożywione przedmioty zaczynają mieć duszę w chwili, gdy obdarzamy je uczuciem. Rzeczy też aspirują do czującej egzystencji.

– W takim razie postanowione. Użyję ich razem z okrągłymi obrusami.

Isabel mówi stanowczym, niemal rozkazującym tonem, głosem dawno

zapomnianych przodków. Dziewięćdziesiąt sześć serwetek, na dwanaście stołów po osiem osób, wystarczy, jak mnie zapewnia – mniej więcej tylu ludzi się spodziewamy, jeśli wszyscy przyjadą i do tego ewentualni niespodziewani goście. Wzrusza mnie ten jej pomysł. Te serwetki zostaną użyte po raz pierwszy od śmierci doni Marii Romany i to nie z okazji święta Trzech Króli.

– Dziękuję, kochanie.

– To mój hołd dla twoich rodziców i dla ciotki Palmy. Nasz jedenasty lipca będzie wyjątkowy, zobaczysz.

– W takim razie bierzmy się do roboty, ta czereda wkrótce zacznie się zjeżdżać!

Wracam do kuchni z podwójną dawką energii i przekonaniem, że bez najmniejszego wysiłku mógłbym objąć cały świat. To nieprawda, że starzy ludzie żyją wspomnieniami, a młodzi nadziejami. Żyjemy i tym, i tym. Wspomnienia i nadzieje dodają smaku temu, co robię, doprawiają moją teraźniejszość. Na przykład w tej chwili, niczym ambitny młodzieniec marzę o swojej świetlanej przyszłości. Nie marnuję czasu na zastanawianie się, czy to odległa przyszłość czy też bliska. Przyszłość i kropka. Z całą radością i zatroskaniem niewiedzy, z całym wyczekiwaniem i niepokojem kogoś, kto wciąż ma nadzieję na lepsze. Tak, tak właśnie jest. Ufam i wierzę. Obstawiam przy tym, że życie wciąż ma dla mnie w zanadrzu niespodzianki. Dziś rodzinny album będzie kompletny. Moi bracia i siostra, wszyscy po osiemdziesiątce jak ja, przyjadą i przywiozą swoje klany. Rosário i Nuno, moje cudowne dzieci też będą ze mną i na pewno zabiorą swoich partnerów. I oczywiście przyjadą też moje wnuki. Bernardo, łobuz jeden, dzwoni do mnie, znów jest zakochany. Mówi, że spadnę z krzesła, gdy się dowiem w kim. Mówi też, że tym razem to na poważnie.

– Ale Bê, kiedyś już przedstawiałaś mi... Jak ona miała na imię?

– Och, dziadku, kiedyś to kiedyś. Może wczoraj, może jutro. Ważne jest dziś.

– Masz rację, Bê. Masz całkowitą słuszość.

JAKIEŚ MIŁE MIEJSCE

Mój ojciec i moja matka umierają w 1958 roku, tuż przed pięćdziesiątą rocznicą ślubu. On w maju, ona w czerwcu. Kilka miesięcy wcześniej odwiedzili mnie i powiedzieli coś, co wzbudziło moją ciekawość. Postanowili uczcić swoje złote gody „w jakimś miłym miejscu”.

– Naprawdę? Gdzie? Można wiedzieć?

Zerkają na siebie z szelmowskimi uśmieszkami. Mówią, że nawet oni jeszcze nie wiedzą. To ma być jedna wielka niespodzianka.

– Wiem! Viana do Castelo! Chcecie uczcić rocznicę w Viana do Castelo!

Nic podobnego. Mówią, że bez ciotki Palmy za nic nie wrócą do Portugalii. Za każdym razem chybiam. Staram się, ale oni tylko się ze mną drażnią: zimno, jeszcze zimniej, oj, teraz to wręcz zamarzasz, nie dasz rady.

– Dobra, poddam się. Wymieniłem już wszystko. Najwyraźniej moja znajomość geografii nie obejmuje tego miejsca, do którego się wybieracie.

– Teraz ciepłej.

Matka jest rozbawiona, też przyznaje, że jestem bliżej, ale nie zachęca, bym zgadywał dalej. Mówi, że to głupie z mojej strony, że chcę wiedzieć, że to strata czasu. Nieważne gdzie, chcą, żeby się udało, i żeby mogli uczcić swoją rocznicę w jakimś miłym miejscu.

Jakieś miłe miejsce. Całe tygodnie się z tym męczę, bo jak wbiję sobie coś do głowy, to nie potrafię odpuścić. A co jeśli wezmą walizki i wyjadą gdzieś nagle, nie mówiąc nam, dokąd się wybierają? Wiem, że są zdrowi i w pełni władz umysłowych. Ale nie są dziećmi. Nie mogą tak po prostu wyruszyć po przygodę.

Jestem za nich odpowiedzialny. Co powiedzieliby moi bracia i siostra, gdyby coś im się stało? Rozmawiam o tym z Isabel, pytam, co myśli, jestem naprawdę zaniepokojony.

– To tylko bajania starsuszków, Antonio. Takie gadanie dla gadania. Nigdzie się nie wybiorą, zobaczysz. Jakieś miłe miejsce to pewnie ganek ich małego domku. Czy nie tam właśnie spędzają większość czasu?

– Zaraz będzie marzec. Złote gody mają w lipcu. Muszę porozmawiać z Leonor, Nicolau i Joaquimem. Musimy coś zorganizować. Ciotka Palma opuściła nas niedawno, wiem, ale nie możemy tej rocznicy pominąć.

Zupełnie niepotrzebnie się martwiłem. 11 lipca 1958 roku. Dzień jak każdy inny, wszyscy zajęci swoimi codziennymi sprawami. Ojciec i matka, tak jak zapowiedzieli, wybrali się uczcić pięćdziesiątą rocznicę ślubu w jakimś miłym miejscu, które wykraczało poza moją znajomość geografii. Zamówiłem tylko mszę tutaj, w kaplicy majątku. Uczestniczę w niej ja, Isabel, dzieci, służba i kilkoro przyjaciół z okolicy.

Podczas nabożeństwa, bez zapowiedzi, zjawiają się w mojej głowie bracia. Nadrabiają swoją nieobecność w kaplicy, zajmując mój umysł. Byli tu miesiąc wcześniej, żeby odebrać parę rzeczy, które przypadły nam w spadku. Przyjechali bez rodzin.

To była krótka wizyta, a „podział spadku” przebiegł spokojnie – myślę, że oczyściliśmy się już podczas zbiorowych wymiotów w dniu pogrzebu ciotki Palmy. Czuję ulgę, że Leonor wzięła prawie wszystko. Joaquim i Nicolau jakieś drobiazgi. Ja poprosiłem o komodę z ołtarzykiem. Od razu się zgodzili. Gdy rozdzielaliśmy to czy owo, zapadały długie chwile ciszy. Dużo wyrzuciliśmy. To Leonor bez mrugnięcia okiem opróżniała szafki z ubraniami i innymi rzeczami. Darliśmy papiery, decydowaliśmy, co można oddać, zatrzymywaliśmy to, co cokolwiek dla nas znaczyło. Z niewiarygodną łatwością dzieliliśmy rzeczy. W pewnym momencie ktoś, nie wiem kto, wpadł na pomysł, żebyśmy zrobili sobie coś do jedzenia i usiedli po raz ostatni przy stole naszego dzieciństwa. Śmialiśmy się, opowiadaliśmy zabawne historie o ciotce Palmie, o wybuchach gniewu ojca, o drobnych obsesjach matki. Czuję *saudade* w liczbie pojedynczej. Żegnając się, byliśmy naprawdę

wzruszeni, może już wtedy zaczynaliśmy odczuwać rosnący dystans. Joaquim dużo płakał. Leonor była zdenerwowana. Spadły jej okulary, gdy mnie całowała. Na szczęście się nie połamały. Ale to Nicolau uściskał mnie najmocniej i najdłużej. Nasze ciała przylgnęły do siebie, nie pozostawiając najmniejszej szczeliny. Całkowicie się mu oddałem, a on musiał to poczuć.

Wszystko to przychodzi mi do głowy, gdy automatycznie przyklękam, gdy wstaję albo siadam zgodnie z poleceniami księdza oraz ruchami i hałasem wokół mnie. Z pozoru idealna synchronizacja. W głębi duszy całkowite oderwanie – wracam na ziemię tylko na podniesienie. Gdy kościelny dzwoni dzwonkiem w chwili poświęcenia chleba i wina, biorę udział we mszy i odmawiam pełną skruchy modlitwę za dusze moich rodziców. Ale to też nie trwa długo. Natychmiast zaczynam sobie wyobrażać, jak wygląda to miłe miejsce, do którego się udali.

Ite missa est. Deo Gratias. W drzwiach kaplicy serdecznie witam się ze wszystkimi, którzy mówią dobre słowa o ojcu i matce. Patrzą na twarze, potrząsam dłońmi. Smutne uśmiechy. Od czasu do czasu mój wzrok natrafia na przestrzeń nad ramieniem kogoś, kto podszedł mnie uściskać. Zauważam, że ludzie stopniowo się rozchodzą, ruszają swoją drogą. Isabel wraca z dziećmi do domu, służba powraca do obowiązków, ktoś oferuje księdzu podwiezienie. Kościelny zostaje, pracuje w majątku. Gregório, sąsiad od niepamiętnych czasów i ostatni, który się żegna, jest tak miły, że chwali mój pomysł. Klepie mnie trzęsącą się dłonią po policzku, zakłada kapelusz i rusza w drogę. On też, zmniejsza się, aż robi się malutki, a potem pochłania go krajobraz. Koniec aktu.

Weź zrozumi, człowieku. Teraz, gdy zostałem sam i mogę szybować, ile chcę, wcale nie latam. Zostaję na dole, przed wejściem do kaplicy, z nogami mocno na ziemi, szturchając patyczki. Przyjemny, choć zimny lipcowy dzień, powietrze chłodzi płuca. Przesuwam wzrokiem po niebie, nie ma ani jednej chmurki, ani jednej. Jakiś przypadkowy ptak, odwracam głowę w jedną stronę, potem w drugą, kolejne skubnięcia gałązki i zadaję pytanie. Lecieć teraz? Po co? Wiem na pewno, że nie muszę odchodzić daleko. Tutaj jest tak dobrze. Miłe miejsce jest dokładnie tu, gdzie jestem. Moja ciekawość jest zaspokojona, odkrywając tajemnice otoczenia.

TO, CO MOŻLIWE

Gdy jesteśmy młodzi, pragniemy niemożliwego, to jest dobre, bo głupota zapewnia nam fizyczną sprawność i energię, by spełniać marzenia. Gdy dorastamy, uczymy się pomału zadowalać tym, co możliwe – osiągalnym sukcesem, osiągalnym zdrowiem, osiągalną urodą, osiągalną odwagą – i to dobrze, bo umiar uczy nas niezbędnego dystansu, który pozwoli nam – gdy nadejdzie czas – zostawić za sobą życie, które jest zbyt energiczne i zbyt piękne.

Dopiero po śmierci matki, ojca i ciotki Palmy poznałem ową miarę możliwości, w oczywisty sposób związaną z koncepcją mojej własnej skończoności. I tak w wieku trzydziestu ośmiu lat stałem się swoim własnym ostatecznym autorytetem. W rodzinie nie ma już nikogo wyżej, kto mówiłby mi, co jest dobre, a co złe. Z powodu nieobecności tych trojga, których uznawałem za najwyższe autorytety, nie mam już nikogo, kto uczyłby mnie, jak być wartościowym człowiekiem. Nikt inny nie zważy moich czynów, dróg, które wybrałem. Nie wskaże moich błędów, nie pochwali lub nie potępi moich szaleństw czy donkiszotowskich ambicji. Nie ma nikogo z większym doświadczeniem, z większym „przebiegiem”, kto pomógłby mi wszystko przemyśleć. Nie ma też już nikogo, kogo mógłbym poprosić o błogosławieństwo, a więc nie mam już możliwości usłyszeć: „Niech Bóg cię błogosławi” – czyli absolutnej gwarancji, że nic na świecie nie ma takiej mocy, by zdołać mnie skrzywdzić. W hierarchii – nie z powodu zasług, tylko wieku – uzyskałem pozycję, o którą nie prosiłem, zostałem zmuszony przyjąć rolę ostatecznego autorytetu w rodzinie. Najgorsze w tym jest to, że muszę się zgodzić z realistycznym podejściem mojego brata Joaquima:

– Następny w kolejce jestem ja!

Po zniknięciu tych trzech wspaniałych osób, które poprzez naukę i przykład zachęcały mnie i dodawały mi odwagi, bym dążył do realizacji swoich marzeń, uświadamiam sobie, że my wszyscy, bez wyjątku, nie będąc w stanie nadać znaczenia śmierci, musimy kontynuować życie w ramach tego, co osiągalne. Pocieszamy się ewentualnie religią albo naukowymi wyjaśnieniami, ale tak naprawdę nic o niczym nie wiemy.

Isabel zauważa mój nastrój, więc gdy kilka tygodni po śmierci matki przyłapuje mnie na płaczu w samotności w łazience, podchodzi, unosi mi głowę, ociera palcami łzy i podaje hasło, które całkowicie wypełnia pustkę po dawnym: „Niech Bóg cię błogosławi”.

– Jestem przy tobie i potrzebuję, żebyś ty był przy mnie.

Nasze błogosławieństwo nie przyzywa żadnej innej siły, jak tylko naszą, gwarantuje nam tylko i wyłącznie wymianę. Ale wzmacnia nas, czyni nas odpowiedzialnymi za siebie nawzajem. Od tamtej pory, w najważniejszych chwilach życia, powtarzam: Isabel jest przy mnie i potrzebuje, żebym ja był przy niej.

Nie żebyśmy wcześniej nie byli przy sobie. Oczywiście już dawno staliśmy się za siebie nawzajem odpowiedzialni. Ale to coś innego. Nieobecność starszych zmienia wszystko. Teraz senhor Avelino, dona Maria Celeste, ojciec, matka i ciotka Palma są wspomnieniami, są modlitwami, są zdjęciami na komodzie. Być może ponowne zjednoczenie będzie możliwe w przyszłości. A może nie.

WSTRZAŚ

Niektóre dzieci da się przekonać, inne trzeba zmusić. Stare powiedzenie. Bez sensu? Nie wiem. Patrzę na Nuno i Rosário. Zupełnie różne istoty. Rosário, ta nadąsana, wymusza. Nuno, gdy się nie pilnuje, otwiera się. Słyszac „nie”, pyta dlaczego. Słucha uważnie wyjaśnień, odpowiada albo nie odpowiada i tyle, idziemy dalej. A czy Rosário zwraca jakąkolwiek uwagę? Nie słucha, sprzeciwia się, tupie nóżką, wpada w szał. Aż dostaje zasłużony szlaban i wtedy dąsa się, użala nad sobą, czuje się zraniona.

Oni oboje są niemożliwi. Jak pies z kotem. Ale wolę, gdy panuje między nimi stan wojny. Kiedy przyjaźnią się, są zdolni do wszystkiego i to jest kompletna katastrofa, gdy odwaga Rosário łączy się z kreatywnością Nuno. Kiedy się kłóca – to jest stan, w którym mam wprawę. Powód jest niemal zawsze ten sam: ona chce rządzić w swojej relacji z bratem. On tego nie akceptuje, choć jest gotów na pewne kompromisy.

Próbuję spokojnie czytać gazetę. Ale nic z tego. Nuno przychodzi się poskarżyć, bo gdy bawią się w szkołę, on zawsze jest uczniem, a Rosário nauczycielką. Próbuję ją przekonać, że najbardziej sprawiedliwie będzie co jakiś czas zamienić role. I będzie też więcej frajdy. Ale z jej strony nic. Wysuwam każdy możliwy argument, marnuję tylko własną elokwencję i oddech. Wszystko na próżno. Rosário absolutnie odmawia przyjęcia roli ucznia. Mam dosyć, zmieniam ton i oznajmiam, że albo pozwoli Nuno być nauczycielem, albo zabawa skończona. I nie tylko to: zabiorę gdzieś jej brata, a ona zostanie za karę w domu. Rosário się zastanawia. Myśli. Choć jest zła, poddaje się. Nie jest głupia. Jeśli miałyby zostać w domu bez możliwości zabawy, to już woli pozwolić bratu być nauczycielem. Idą więc do swojego pokoju

z tą kruchą zgodą. A ja wracam do gazety, napawając się zwycięstwem. Skoro Rosário nie dało się przekonać, trzeba ją było zmusić.

Szczyście nie trwa długo. Kolejna burza znów nadciąga korytarzem. Grzmoty słycać z daleka. Nuno wpada, a tuż za nim Rosário. Moja cierpliwość się wyczerpała.

– Przestańcie mówić naraz! O co teraz chodzi?!

– Tato, Nuno zepsuł zabawę. A ja pozwoliłam mu być nauczycielem.

– Nieprawda. Jak to ma tak wyglądać, to ja nie chcę. Nie chcę i już!

– Czemu nie chcesz, Nuno? Nie jesteś teraz nauczycielem?

– Jestem, tato.

– Więc? W czym problem?

– Jestem nauczycielem, ale teraz uczniami są lalki, a ona jest dyrektorką szkoły!

Rosário jest nieznośna z tym swoim upieraniem się, żeby zawsze wydawać rozkazy. Nuno, jak wspomniałem, broni swojego terenu. Myślę, że wszystko jest w porządku. Ale te codzienne utarczki są przykre: równe dzielenie słodkiego napoju albo deseru, ustalanie, kto się pierwszy kąpie albo kto będzie siedział z przodu w aucie. Wszystko może stać się przyczyną sprzeczki. Tylko gdy są na wakacjach i jedziemy do majątku, ja i Isabel możemy trochę odetchnąć. Mogą wtedy robić, co chcą, mają w okolicy przyjaciół i każde zajmuje się swoimi sprawami. Ale tutaj, w Rio de Janeiro, choć mają oddzielne sypialnie, jedno zawsze dokucza drugiemu. Ale mimo wszystko, jak wspomniałem, w tej „Niezbyt boskiej komedii” wolę piekło od nieba, rogi od aureolek. Gdy są przyjaciółmi – wtedy, o tak, wtedy zaczyna się horror. Można mieć pewność, że szykują się kłopoty.

Nigdy nie zapomnę. Największy wstrząs mojego życia: 20 grudnia 1959. Mają już po jedenaście lat. Od kilku dni są dla siebie bardzo mili. Ja, jak zwykle, w kuchni. Doradzam Conceição, wydaję polecenia innym pracownikom, Roque przyjeżdża z listą do sklepu. Dziesiąta trzydzieści rano, może jeszcze wcześniej. Mnóstwo roboty. Na dodatek to piątek, a wtedy zawsze jest ruch w restauracji. Isabel nie ma. Ostatnie przedświąteczne zakupy. Nagle huk i brzęk tłuczonego szkła. Boże! Co to było?! Wszyscy biegniemy zobaczyć. Gdy wpadam do sali restauracyjnej,

roztacza się przede mną taki widok: Rosário i Nuno spadli z drabiny na szybę wystawową, oboje są zakrwawieni i przerażeni, wszędzie wokół okruchy szkła i luster, szklany słój rozbity w drobny mak, ryż rozsypany po całej podłodze – chaos. Próbuję uspokoić dzieci, proszę, żeby się nie ruszały. Zanim je stamtąd wyciągniemy, musimy najpierw wyjąć wielki fragment szyby, który wciąż trzyma się ramy okna wystawowego.

Wreszcie, z ogromną ostrożnością, Roque'owi i mnie udaje się je wydostać i ocenić szkody. Rosário z pewnością ma złamaną rękę, krzyczy przy najmniejszym ruchu. Chyba uderzyła też brodą o szklaną półkę, bo ma tam brzydką ranę. Nuno ma głębokie cięcie na udzie i drugie na ramieniu. Musimy natychmiast udać się na pogotowie. Nogi się pode mną uginają, nie mogę myśleć, próbuję nad sobą zapanować: co jeszcze mogę zrobić? Mówię Conceição, żeby zostawiła wszystko, jak jest, zamknęła salę jadalną i nikogo nie wpuszczała. Niech któryś z młodych chłopaków stanie w drzwiach i informuje klientów, że dzisiaj restauracja nieczynna. Roque biegnie po samochód i dokładnie w tym momencie wraca Isabel. Głęboko oddycham, z ulgą przyjmując, że się pojawiła, że podzieli ze mną ten ciężar. Czuję się teraz pewniejszy. A nawet silniejszy. Dzieci natychmiast dostrzegają korzyści z obecności matki. W takich momentach wiem, że to rozum doprowadza dom do porządku, lepiej radzi sobie z sytuacją niż emocje. Jedziemy prosto do szpitala, ale bez pośpiechu. Isabel emanuje pewnością siebie. Przy niej wszyscy zaczynamy normalnie oddychać, a nasze serca już tak nie galopują.

Wracamy przed zapadnięciem nocy razem z naszymi łobuziakami. Rosário ma rękę w gipsie i dziewięć szwów pod brodą. Nuno ma elegancko pozszywaną nogę i ramię. Pora, żebyśmy porozmawiali i wyjaśnili, co się stało. Po pierwsze dlatego, że w sprawę zamieszany jest ryż ciotki Palmy, a pomiędzy niebem a ziemią dzieje się o wiele więcej rzeczy niż przeloty rejsowych samolotów. Po drugie, ponieważ sądząc po rozmiarze szkód, jakich doznała sala restauracji, incydent ten mógł mieć o wiele poważniejsze skutki. Moje dzieci wyszły z niego niemal nietknięte. Cud.

Rosário, która siedzi przy matce, niewiele mówi. Wciąż jest przejęta szwami i problemami, jakie ma przy poruszaniu żuchwą. Nuno, który siedzi bliżej mnie, zbiera się na odwagę i przyznaje, że chcieli wziąć trochę ryżu, żeby przeprowadzić

eksperyment. Mówi, że czyta książkę o komunikowaniu się ze zmarłymi i że można się z niej mnóstwo dowiedzieć. Isabel, na samą myśl przechodzi dreszcz po plecach, w ogóle nie ma ochoty rozmawiać na ten temat.

– Skąd masz tę książkę?

– Kolega ze szkoły mi pożyczył. Fernando. Wiesz, ten, do którego raz poszedłem się uczyć.

Isabel nic nie mówi, ale ręka przyłożona do czoła i sposób, w jaki unosi brwi, to typowy wyraz nagany. W głębi duszy uważam, że to zabawne. Staram się tego nie okazać, ale podoba mi się to, co właśnie usłyszałem, szczególnie podoba mi się szczerść, z jaką Nuno opowiada matce o tak potencjalnie kontrowersyjnej sprawie. Rośnie we mnie ciekawość. Chcę wiedzieć, co lektura ma wspólnego z ryżem i wypadkiem w sali restauracyjnej. Z typową dla niego szczerścią, Nuno nie owija w bawełnę, gdy odpowiada. Ma tę książkę od tygodnia. Zaczął sam ją czytać, ale przestał po kilku stronach. Przestraszył się. I dlatego zawołał siostrę i zaproponował, żeby przeczytali ją razem. Nadal skąpa w słowach Rosário potwierdza, chyba po to, żeby oczyścić się z winy. Nuno to nie przeszkadza. Tak właśnie było – i co? Bierze na siebie całą odpowiedzialność. Zupełnie niewzruszony kontynuuje opowieść. Wygląda wręcz na to, że czerpie przyjemność z możliwości opowiadania nam wszystkiego po kolei, bez zwyczajowych wtrąceń ze strony siostry. Przyznaje, że był bardzo podekscytowany, gdy przeczytał, że duch może się zmaterializować i przesuwać obiekty. Rosário śmieje się nerwowo, ale sama się uspokaja. Isabel robi znak krzyża. Nuno już się rozpędził. Jestem zaskoczony szczegółami, jakie nam podaje. Nie chcąc go przestraszyć, mówię, że czytałem już coś na ten temat i że tylko wykwalifikowane media mogą angażować się w tego rodzaju eksperymenty, które w żadnym razie nie powinny być traktowane jak zwykła zabawa. Nuno się irytuje. Dla niego proces uczenia się jest jak lekcja fizyki w szkole, to poważna sprawa. Isabel nie chce tego słuchać. Uważa, że rozmowa posunęła się za daleko. Szanuje spirytyzm, ale eksperymenty i lektury na ten temat są w tym domu surowo zakazane. Książkę należy, jak najszybciej zwrócić, a sprawa jest zamknięta.

Nuno nie lubi nieszczęśliwych zakończeń. A jeszcze bardziej zakończeń takich jak to, zupełnie nieprzekonujących i postanowionych *manu militari*. Zdradzają go

oczy – znam swojego syna. Są suche, ale jego serce jest pełne łez. Smutek i płacz zatrzymane w środku.

– Nie bądź taki, Nuno. My tylko rozmawiamy. Twoja matka po prostu nie chce, żeby wam dwojgu cokolwiek się stało. Może te eksperymenty rzeczywiście mogą być naukowe, ale dotyczą mocy, których nie rozumiemy. Wciąż jesteś mały, a to jest niebezpieczne, rozumiesz? W przyszłości – kto wie – gdy będziesz dorosły, może będziesz się mógł tym na poważnie zająć. Co? Co mówisz?

Nuno mocno mnie przytula. Odgrywa komedię? Isabel tak uważa – ma kogoś, kto się na nim skupia. Zirytowana, dyskretnie zwraca mi uwagę skinieniem głowy. Odwzajemniam gest i minę, nie zgadzając się niemal niezauważalnym zmarszczeniem brwi. Sugeruję, żeby zostawiła nas samych. Szanuje to. Wypełnia naszą umowę – bardzo praktyczną i zawsze mile widzianą – by nigdy nie kłócić się w obecności dzieci. Uprzejmie się ze mną zgadza.

– Dobrze, synu. Możesz dalej mówić, jeśli chcesz.

Daję mu tyle czasu, ile potrzebuje, uświadamiając sobie, że trudno jest rozmawiać o czymś, co wykracza poza nasze rozumienie.

– Śniło mi się, że cały ryż z wystawy sypie mi się na głowę niczym deszcz. A potem obudziłem się i tuż obok zobaczyłam ciotkę Palmę. Widziałem ją, tato. Przysięgam.

Nuno krzyżuje palce wskazujące i całuje je.

– Nie musisz przysięgać. Wierzę ci.

– Uśmiechnęła się do mnie, powiedziała, że ten deszcz ryżu był dobry, że zmyje złe rzeczy, ale trzeba go pozbierać z podłogi i odłożyć w bezpieczne miejsce.

Nuno pociera ramiona, bierze głęboki wdech. Sposób, w jaki szybko wypuszcza powietrze z ust, przypomina raczej krzyk niż westchnienie. Patrzy na mnie.

– Gdy odeszła, bałem się i włączyłem światło.

– To było wczoraj.

– Tak.

– A pomysł zabrania ryżu z wystawy był czyj?

– Mój. Rosário mi nie uwierzyła, powiedziała, że nie ma mowy, żebym widział

ciotkę Palmę. Że wszystko to zmyśliłem przez tę książkę. I wtedy ja powiedziałem, że to prawda, i że jeśli zdobędzie trochę ryżu to sprawię, że się poruszy, a ona będzie musiała mi uwierzyć.

– Nuno, Nuno. To taki głupi pomysł. Naprawdę myślałeś, że będziesz w stanie poruszyć ryż?

Nuno kręci głową. A potem się usprawiedliwia.

– Myślałem, że Rosário będzie się bała otworzyć wystawę, żeby zabrać ryż.

– I się myliłeś. A wiesz, jaka jest twoja siostra.

– Ja naprawdę widziałem ciotkę Palmę i uważałem, że pomoże mi z eksperymentem, żeby udowodnić, że mówię prawdę. Ale ona wcale nie pomogła.

– Cóż, myślę, że ciotka ci pomogła i to na kilka sposobów.

– Jak?!

– Przede wszystkim zadbała o to, żebyś się nie zbłąźnił przed siostrą – wyglądałbyś bardzo głupio, gapiąc się na ryż, który wcale by się nie ruszał. Po drugie, możesz zrobić to o co cię poprosiła – pójść i zebrać ryż, który rozsypał się po całej sali. To będzie trudne zadanie, bo jest tam mnóstwo szkła. Ale to będzie dla ciebie dobra lekcja. Nauczysz się, żeby nie dotykać cudzych rzeczy. Co ty na to? Uważasz, że jestem zbyt surowy?

– Nie, ojczu.

– Chcę wiedzieć jeszcze jedno. Czy uważasz, że Rosário powinna zostać ukarana?

– Nie, bo to ja powiedziałem jej, żeby wzięła ryż. I to ja twierdziłem, że się nie odważy.

– Jestem z ciebie bardzo dumny, synu. Chodź tu i mnie uściskaj.

Nuno i ja stajemy się jedną osobą. Przez jakiś czas tworzymy tę dziwną matematyczną sumę, w której $1+1=1$.

BŁOGOSŁAWIENSTWO CZY KLĄTWA?

Restauracja – zamknięta. Straty? Żadne. Jeśli moje dzieci są całe, to wszystko inne nie ma znaczenia. Podjąłem decyzję: drzwi zamknięte, nikt nie wchodzi do sali jadalnej bez pozwolenia. Rozkazy z głębi mojej duszy. Wykonuję je. Nie ślepo. Przeciwnie, to bardzo przemyślana decyzja. Te wszystkie odłamki potłuczonego szkła: od kawałków przerażających rozmiarów po takie, które wydają się mniej groźne. Od odprysków lustra, które kryją się za meblami, po warstwę szklanego pyłu pokrywającego podłogę. Drabina leżąca na boku, ryż rozsypany wszędzie dokoła, plamy krwi na deskach: wszystko dokładnie w takim stanie, jak w chwili wypadku. Upieram się przy tej sprzeczności: scena rozpadu pozostanie nietknięta.

Chcę przede wszystkim, żeby Nuno i Rosário powrócili do normalności. Tak, zajmuję się nimi, rozpieszczam ich. Muszę zbliżyć się do nich obojga. Nawet jeśli tę okazję wywołało coś niepożądanego, to wykorzystam ją. Isabel uważa, że posuwam się za daleko. Kłócimy się. Za daleko?! Do diabła, przecież oni mają teraz wakacje! Staram się im to jakoś wynagrodzić. Rosário, biedulka, najgorzej to znosi. Przeszkadza jej ciężar gipsu, kłopoty podczas kąpieli, swędzi ją tam, gdzie dosięgnąć można tylko drutem od robótek albo sypiąc talk. Dobrze chociaż, że to lewa ręka.

Przez te dwa dni, gdy w restauracji nic się nie dzieje, spędzam z moimi maluchami niemal cały czas. Bardziej dotrzymuję im towarzystwa, niż ich pielęgnuję. Zdecydowanie bardziej. Gry, opowiadanie historii, przejażdżki autem – hudsonem z 1956 roku, jasnoniebieskim, ze składanym dachem, ośmioma cylindrami i automatyczną skrzynią biegów. I co najważniejsze: dach też jest automatyczny! Nuno i Rosário są zachwyceni tym wynalazkiem. Siadają teraz we

dwoje zawsze z tyłu, nie ma kłótni ani łez. Odbieram im przywileje, a oni akceptują nowy porządek świata. Samochód z otwartym dachem zapewnia im to, czego najbardziej pragnęli. Nuno – poczucie wolności. Rosário – ekshibicjonizm. Gdy zerkam na nią od czasu do czasu we wstecznym lusterku, wyobrażam sobie, jak wstaje i macha do publiczności. Myślę, że w głębi duszy to właśnie chciałyby zrobić, gdyby była pewna aplauzu. Uważam to wszystko za bardzo zabawne. W takim razie jedziemy zwiedzać linię wybrzeża. Flamengo, Botafogo, Copacabana, Ipanema, Leblon, Avenida Niemeyer, São Conrado, klub golfowy, las Tijuca, tak byłoby najlepiej. Jeszcze więcej przygód, tajemnic, romansu. Wodospad Taunay, kaplica Mayrink, tama Solitude. Dwie restauracje, Floresta i Os Esquilos. Ozdobą tej drugiej jest mały ogrodowy teatr, doskonała rozrywka na świeżym powietrzu. Rosário w roli divy. Nuno i ja – oczywiście jej publiczność. Mała diablita jest znakomita. Prawdziwe brawa, gwizdy.

– Nuno, teraz twoja kolej. Rosário, chodź, usiądź obok taty. Schodź ostrożnie, uważaj na rękę.

Ich drogi się krzyżują. Robią do siebie koszarne miny – klasyczne pozdrowienie w okresach, gdy są przyjaciółmi. Nuno idzie bez marudzenia. Rosário schodzi wziąć mnie w posiadanie. Pakuje mi się na kolana. Nie ma problemu, dopóki będzie dobrze odgrywać rolę publiczności. Nuno jest już na scenie, odmieniony. Z charakterystycznym dla siebie wyrazem twarzy. Patrzy w górę, w wielu kierunkach, uważa, że to zabawne. Nic nie wskazuje na to, by miał zacząć. Przechodzi po trawie sceny, z uwagą wciąż skupioną w górze. Rosário zaczyna się niecierpliwić tą zwłoką. Jej zdaniem tylko się z nią droczy.

– Dalej, Nuno! Przestań kombinować! Zaczynaj! No już!

Nuno, jego śmiech jest bezcenny.

– Nie masz pojęcia, co właśnie odkryłem.

Nie, Rosário i ja nie mamy pojęcia. Najbledszego.

– Każde drzewo ma inną fryzurę.

– Co?! Skąd ci to przyszło do głowy?

Odpowiedź jest zbędna. Jeden rzut oka na korony różnych drzew wokół nas

potwierdza jego słowa. Natychmiast wyobrażam sobie rozmaite zielone fryzury. Nuno cieszy się swoim odkryciem. Palma lubi krótką, prostą fryzurę z grzywką – zauważa. Rosário przyłącza się do zabawy. Palma kokosowa też preferuje krótkie, nastroszone kosmyki. Ale są drzewa o długich, luźno rozpuszczonych włosach. Wskazuję na jedno, które się wyróżnia. Co to może być za drzewo? Włosy proste, kręcone albo pofalowane – Nuno ma rację: każde drzewo ma inną fryzurę. We troje idziemy przez las. Natura jako salon piękności. Wokół próżność, gdziekolwiek nie spojrzysz. Bóg jako Wielki Stylista? Bawimy się dziecięcymi fantazjami.

Punkt szósta. Pora związać obóz. Podróż do domu kabrioletem przebiega spokojnie. Powolna jazda, znowu wzdłuż Avenida Niemeyer. Włączam radio. Przekręcam pokrętkę. Jakiś szum, niezrozumiałe dźwięki, skrzypienie, piski. A potem miła niespodzianka, idealna harmonia i moja ulubiona piosenka. Też śpiewam, melodyjnie, nisko, dyskretna radość. Na drodze raz za razem przyjemny zakręt, zawsze w przeciwną stronę niż poprzedni. Ten ostrzejszy prowadzi nas w zieleń. Kolejny ku otwartemu morzu – podoba mi się to. Podziwiam zmieniający się gwałtownie krajobraz. Na siedzeniu z tyłu Nuno i Rosário walczą ze snem. Przysypiają, kołysani ruchem auta, ich głowy kiwają się w powietrzu. Mnie towarzysztwa dotrzymują myśli. Uświadamiam sobie, że jestem szczęśliwy, gdy wiedziony instynktem, odwracam się od swoich obowiązków.

W domu powracam do rzeczywistości. Isabel mnie dręczy, chce otworzyć restaurację. Mówi, że nasi klienci zasługują na odrobinę uwagi, że nie mają przecież nic wspólnego z tym, co się stało.

– Okej, okej. Może masz rację. Jutro się tym zajmiemy. W porządku?

Jeszcze nie. Isabel uważa, że to z mojej strony lekkomyślne, że kazałem jedenastoletniemu Nuno pozbierać ryż.

– Lekkomyślne? Nawet pod moim nadzorem i przy mojej pomocy?!

– To głupia kara, Antonio. Naprawdę.

– Nasz syn ma jedenaście lat, Isabel, ale nie jest głupi. Wręcz przeciwnie, jest dojrzały jak na swój wiek. Poproszę Roque'a, żeby usunął kawałki szkła, które wciąż tkwią w ramie wystawy, bo one stwarzają największe zagrożenie. Ale posprzątanie,

zebranie całego ryżu, to będzie zadanie Nuno i moje.

– Jeszcze jedno: Rosário czuje się ignorowana.

– Co takiego?!

– Przyszła mi powiedzieć, że ona też ma prawo pomóc. Uważam to wszystko za wariactwo, ale skoro już rozmawiamy o nieracjonalnym, to dlaczego tylko Nuno? W końcu to Rosário potłukła słów z ryżem. Ona też ma prawo.

– Prawo?! Po pierwsze, ja nie udzielam Nuno prawa, tylko nakładam na niego obowiązek. Karę, która, jak twierdzisz, może i jest głupia, ale jest nauczka. Po drugie, mówiłem ci już tysiąc razy i powtórzę jeszcze raz: Nuno i ja doskonale się podczas tej rozmowy zrozumieliśmy. On wykazał się odwagą, wziął na siebie winę za ten wypadek, oczyścił siostrę z zarzutów i uznał, że kara jest sprawiedliwa. Kropka. A Rosário chce się tylko bawić.

– Nie uświadamiasz sobie tego, ale to, że wolisz Nuno, widać czasem jak na dłoni.

– Nieprawda! Traktuję ich oboje dokładnie tak samo.

– Zawsze znajdziesz jakiś sposób, żeby go faworyzować, zawsze. Ten incydent, Antonio, to dobry przykład. Nie widzisz, jak to może zaszkodzić Rosário? I Nuno też?

– Staram się być sprawiedliwy. Nie jestem Salomonem. Czasem popełniam błędy.

– Weź Rosário na zbieranie ryżu razem z Nuno. Albo zrób to sam z Roque albo Conceição, czy kimkolwiek.

– Nie! Wykluczone! Rosário nigdy nie interesowała się historią o ryżu ani żadnymi innymi rodzinnymi sprawami! Gdy tylko poruszamy taki temat, wstaje, idzie do swojego pokoju i zamyka drzwi. Woli być nieobecna.

– I co w tym złego?

– A Nuno zawsze dopytuje o swoich dziadków, chce poznać szczegóły. Interesuje go to, rodzinne historie wręcz go wzruszają. Zawsze się angażował w sprawy rodziny.

– Każdy jest tym, kim jest. Nikogo nie da się zmusić, żeby był tym, kim nie jest.

– Całkowicie się zgadzam. I ja się tylko dostosowuję. Skoro nigdy nie zwracała najmniejszej uwagi na to, co mówię o ryżu, to nie ma teraz prawa czuć się ignorowana.

– Masz rację, Antonio. Rób, jak uważasz za stosowne... Niech twoja ciotka Palma mi wybaczy, ale czasem naprawdę się zastanawiam, czy ten ryż to błogosławieństwo czy klątwa.

A więc moje wątpliwości co do tego przez te wszystkie lata nie wystarczyły. Teraz jeszcze to? Co mam odpowiedzieć? Milczę. I naprawdę dlatego, że nie jestem w stanie udzielić właściwej odpowiedzi. Z trudem, ale rozumiem wybuch Isabel. Przeżuwam go z zamkniętymi ustami, przełykam z trudem i już. Twarde słowa przesuwiają się w dół przełyku, ale gorycz pozostaje. Isabel wychodzi. Pozostaje rozczarowanie: Czy „Jestem przy tobie i potrzebuję, żebyś ty był przy mnie” nie jest hasłem, które powinno zapełnić pustkę po „Niech Bóg cię błogosławi”? Czy nie jest mottem, które powinno czynić nas odpowiedzialnymi za siebie nawzajem? Dlaczego nie podchodzi i nie mówi mi tego? Dlaczego zostawia mnie tak, na łasce starych znaków zapytania? Ryż – błogosławiony? Czy przeklęty? Co ja tam wiem! Czy to ja mam to rozwikłać? Cóż, bez względu na to, czy to ziarno światła czy ciemności, mój syn i ja stawimy się jutro wcześniej rano w sali restauracyjnej, żeby go pozbierać. Zmiotka, szufelka, podwinięte rękawy, nas dwóch. Czy to z woli Boga, czy Szatana, wszystko jedno.

INNA DROGA

Zycie potrafi zaskoczyć. I to jak! Po głupiej kłótni o błogosławiony czy też przeklęty ryż zasnąłem w okamgnieniu. Spałem snem sprawiedliwego. Czuję się doskonale, jestem wypoczęty, w świetnym humorze. Wątpię, by Isabel, nawet jeśli spędziła w łóżku pełne osiem godzin, mogła wyspać się lepiej ode mnie. Przebudzony, z triumfalnym uśmiechem, z jednym okiem do połowy otwartym, drugim jeszcze zamkniętym, wydaję z siebie pomruk zadowolenia, przeciągam się, prostuję kości, staram się sięgnąć członkami najdalej, jak się da. Dziś jest ten dzień. Nuno i ja wykonamy pracę. Otworzymy znowu restaurację. Zbierzemy z podłogi ryż ciotki Palmy. Teraz będzie trudniej. Oddzielenie ziarenek od odłamków szkła wymaga cierpliwości, wiem o tym. Świeży, rześki i cały w skowronkach – oczywiście już po oczyszczającej wizycie w łazience – wchodzę do kuchni na śniadanie.

– Dzień dobry, Conceição! Dzień dobry, Roque!

Odpowiadają jednym głosem. Czy wszyscy mamy się tak świetnie, czy tylko mnie się tak wydaje? Chłodna poranna bryza, zupełnie jakby to nie był grudzień! Zapach świeżo zaparzonej kawy, nakryty stół, ciepła bagietka! Nagle do mnie dociera.

– Dlaczego mi się tak przyglądacie?!

– Ależ skąd, senhor Antonio, wcale nie.

Roque nie umie kłamać. Conceição nie potrafi udawać. Odkąd – jako młodzi nowożeńcy – przybyli do pracy w majątku, zawsze byli tacy sami: uczciwość mają wypisaną na twarzach. A więc coś się święci. Przypuszczam, że coś dobrego, bo

mają szelmowskie miny. Nie przejmuję się. Proszę Conceição, gdy już podała mi śniadanie, żeby poszła obudzić Nuno. Czeka go dzisiaj ciężkie zadanie.

– Już go wołałam, senhor Antonio. Myje się.

Conceição i Roque się śmieją. Odnotowuję kolejną wymianę spojrzeń, ale zachowuję się tak, jakbym niczego nie zauważył. W tym momencie ta bułka z masłem i filiżanka kawy z mlekiem stanowią cały mój wszechświat. Dodaję cukru, biorę łyżeczkę i mieszam. Kto to Roque? Kto to Conceição? Czy podałem wam ich nazwisko? Zdradziłem wiek? Opisałem cechy charakterystyczne? Dodałem informację o ich rodzinach? O ewentualnym pokrewieństwie ze mną? Skąd wzięli się w moim życiu, a ja w ich? Ilu istnieje Roque'ów i Conceição, a my prawie nigdy o nich nie wspominamy? Promienne istoty, bliscy przez całe życie albo jego większość, pomocni, uprzejmi, hojni. Najpotrzebniejsi bliscy. Bez Roque'ów i Conceição życie nie toczyłoby się swoimi torami, Ziemia przestałaby się obracać, cały Wszechświat by zamarł. Lecz Stwórca może być spokojny, że istnieją i że nigdy nie są daleko. Dowodem jest kawa. Smakuję ją. Ta odrobina Boga jest posłodzona idealnie.

Wchodzi Nuno, świeżo wykąpany. Nieskazitelny. Dobór ubrań, porządnie uczesane włosy, wszystko – może tylko przesadził trochę z wysokością zaczesanej do góry grzywki i ilością użytego żelu do włosów. Conceição jest rozbawiona.

– Nie mówiłam, senhor Antonio? Proszę na niego spojrzeć!

Nuno wie, że lubię rytuały. Może stąd ta postawa, ta dbałość o maniery. Jestem zaskoczony i jednocześnie dumny.

– Wyglądasz świetnie, synu. Ale myślę, że będziemy musieli założyć coś wygodniejszego. To nie jest ubranie do pracy.

– Praca już zrobiona, ojcze.

– Zrobiona? Co to znaczy zrobiona?!

Nuno wypina pierś. Conceição i Roque patrzą z podziwem. Zgaduję.

– Domyśliłem się po tym, jak się dzisiaj rano zachowujecie, że coś się święci. Wspólnicy Nuno! Jeszcze tego brakowało!

Zrywam się, jak wystrzelony z procy, chcę zobaczyć, co nawyprawiali. Założę

się, że Isabel maczała w tym palce. Cała trójka podąża za mną niczym cień, zaklinają się, że to nieprawda, Conceição próbuje się usprawiedliwić.

– Pomyślałam, że Nuno ma dobry pomysł, że chce, żeby Roque pomógł mi wykonać tę pracę dla ciebie. No i sama też zaczęłam pomagać.

Bezsensowna kłótnia, niepotrzebne swary. Co się stało, to się nie odstanie, ale ja, jak zwykle teatralny, nie mogę się z tym pogodzić.

– Przecież zakazałem wam tam wchodzić! Pod żadnym pozorem! Wszystkim! Bez wyjątku! Co za bezczelność! Co za tupet!

– Niech pan, na litość boską, tak na to nie patrzy, senhor Antonio. Nuno chciał jedynie pana zadowolić. Wyszło bardzo ładnie, przekona się pan.

Pewnie, że wyszło ładnie. Conceição nie musi mi nawet mówić. Ale w mojej głowie to nie jest takie proste. Jak im to wyjaśnić? Czy to ma sens? Zachowuję frustrację dla siebie. Tyle umysłowych ćwiczeń i na co? Powiedz mi, ciociu Palmo! Wszystko stracone: zaplanowany rytuał, zachwycający numer w stylu „Sezamie, otwórz się” dla mojego syna, akt uświadomienia mu odpowiedzialności, jaka na nim ciąży, powaga przy rozpoczęciu ceremonii zbierania ryżu... Co tylko mogłem wymyślić, żeby zmienić zwykłe sprzątanie w wydarzenie! Do diabła! Otwieram drzwi, najbardziej śmiertelny ze śmiertelników, aktor bez roli. Ja, który wierzyłem, że wyłącznie ja decyduję o tym, kto tam wchodzi, że tylko ja mianuję wtajemniczonych, którzy zostaną wezwani, by wkroczyć do sali jadalnej i wejść na scenę, że tylko ja podaję im hasło. Wchodzę – zestresowany widz. I życie znów mnie zaskakuje. I to jak! To, co widzę, zapiera mi dech w piersiach.

– Co wyście tu, na Boga, zrobili?!

Czuję za sobą ich oddechy. Słyszę, jak mocno biją im serca, w zupełnie innym rytmie niż moje.

– Jak to w ogóle możliwe?! I to bez mojej wiedzy! Skąd mieliście na to czas?!

– Pracowaliśmy od samego rana. I czasu było dość.

– Jestem tobą bardzo rozczarowany, Roque. To, że Nuno pozwolił sobie na wybryk, mogę zrozumieć. Ale ty nie powinienesz być dać się sprowokować do takiego nieposłuszeństwa, do zlekceważenia mojego polecenia.

– Niech pan nam tego nie psuje, senhor Antonio. Zrobiliśmy to z takim uczuciem, z takim entuzjazmem. I tak ostrożnie, żeby nikogo w domu nie obudzić. Nuno ciężko pracował, szefie. Pilnował, żeby wszystko było starannie zrobione, tak, jak kazała mu we śnie dona Palma. Sam mi pokazał. Powinien mu pan pogratulować, a nie być zły. Proszę spojrzeć na stół, senhor Antonio. Proszę podejść, popatrzeć i powiedzieć mi, czy nie widać dobrych intencji...

Ze zdenerwowania buzia mu się nie zamyka, a przy każdym zdaniu Conceição kiwa głową dla potwierdzenia. Nuno, obejmujący ją w talii, nie spuszcza ze mnie wzroku, próbuje czytać mi w myślach. Gdy jego obrońca kończy swą przemowę, czeka z lękiem na wezwanie z mojej strony, rozkaz, najprostszy sygnał, który pozwoliłby mu działać. Ale ja też potrafię zaskakiwać i to nie do niego się zwracam. Zamiast tego proszę Roque'a i Conceição, żeby wyszli i zamknęli drzwi. Chcę zostać sam ze swoim synem.

Podchodzę do stołu. Ryż w białej, płóciennej poszewce. Zbliżam się, przyglądam. Co to za poszewka? Zapasowa? Wykradziona z kompletu pościeli? Nuno by się nie odważył. Wyhaftowany inicjał P zdradza pochodzenie, ale nie budzi niczego w mojej pamięci. Skąd się to mogło wziąć? Wyprasowana, wykrochmalona, lśniąc biała, o świeżym zapachu. Żadnych oznak, że leżała przez lata nieużywana w zatęchłej szafie. Ciekawość zmusza mnie do mówienia.

– Skąd wzięliście tę poszewkę?

– To Conceição. Dała mi ją.

– Conceição? Z wyhaftowanym P? To nie od Palmy?

– Nie, ojciec.

– Nie?

– Poszewka należała do matki Conceição, która miała na imię Pilar.

Nuno nic więcej nie mówi. Znam go lepiej niż ktokolwiek inny. Wyczuwa, że zagrał na odpowiedniej strunie. Chce skłonić mnie do zadania następnych pytań, niczym strateg szachowy, który wymusza na oponente określoną zagrywkę. Ale on też mnie zna, wie, że umiem korzystać z wyjść awaryjnych. Zamiast kolejnego pytania, które można było przewidzieć albo milczenia, które mógłby uznać za punkt

dla siebie, sięgam po swoją pamięć, do której tylko ja mam dostęp. Muszę go zaniepokoić, ale szczerze i prawdziwie.

– Pilar była porządną kobietą o wspaniałym charakterze. Pracowała z nami w majątku za czasów senhora Avelino. Nie było cię jeszcze na świecie, gdy umarła.

Nuno śmieje się szelmowsko z mojego szacha i chyba przypadkiem odpowiada matem:

– Znasz historię o tym, jak przyłapała swoich dwóch synów na grzebaniu w jej torebce?

Nie, nie znam. Poddaję grę, kładę swojego króla na planszy, chętny wysłuchać, co ma do powiedzenia. Byłem zainteresowany swoim własnym czasem, ale to wspomnienie należy do Nuno i to on sprawia, że historia wraca żywa do teraźniejszości: chwyciła obu za uszy i zapytała rozgniewana, co robią. Chłopcy przyznali, że liczyli na znalezienie paru monet. Mówi, że matka, jednocześnie czuła i twarda, surowo ich ukarała.

Nuno – czyżby odziedziczył ten talent po ciotce Palmie? – naśladowuje głos czarnoskórej kobiety z głębokiej prowincji. Wykapana Pilar. Nie znał jej osobiście, ale Conceição mu ją przedstawiła. I teraz, poprzez przeszłość, którą przywołuje do życia, rozbija mnie i udziela mi lekcji. Jestem niezgrabny i pretensjonalny. Ze wzrokiem wbitym we własny pepek, zapomniałem, że nie tylko ten numer, ale całe przedstawienie tutaj, w sali jadalnej należy do Nuno. Miał prawo zrobić je po swojemu i zaprosić na scenę kogo chciał. Poprosił Roque'a i Conceição. Idealnie. Wyszło wspaniale. Powinienem mu pogratulować, a nie być zły. Gdy tylko to sobie uświadamiam, mój stosunek do niego się zmienia. I zaczynam się zastanawiać, czy książka, która trafiła w jego ręce, wizja ciotki Palmy, poważny wypadek i teraz ten epizod, to nie są wskazówki, że w niedalekiej przyszłości ryż będzie jego. Zatrzymuję się w tym miejscu. Isabel powiedziałyby, że faworyzuję go w ewidentny sposób, a ja gwałtownie zaprzeczyłbym: dokładnie tak samo kocham ich oboje. Przed nami wciąż daleka droga, Ziemia się obraca i całkiem prawdopodobne, że Rosário wyjdzie za mąż, zanim on się ożeni. Ale chciałbym, żeby to Nuno dostał ryż, och, tak, chciałbym tego! – to pragnienie, które nie ma nic wspólnego z miłością. Jest źrenicą mych oczu i tyle. Tego nie da się wyjaśnić. Poczucie winy?

Ani śladu.

– Ale wyjaśnij mi jedno, synu. Ten pomysł wsypania ryżu do poszewki na poduszkę to był twój czy Conceição?

Nuno zauważyła czulszą nutę w moim głosie. Ta odmiana dodaje mu skrzydeł.

– Mój! Powiedziałem, że fajnie byłoby włożyć ryż do poszewki. A wtedy Conceição przypomniała sobie, że zachowała jedną po matce na pamiątkę. Gdy przyniosła ją i pokazała mi to P, uznaliśmy, że to znak od ciotki Palmy, że słusznie robimy.

Nuno rozpina poszewkę, wyjmując garść ryżu, a potem wysypuje z powrotem. Jego oczy lśnią, powiedział, że wszystko tam jest, nie brakuje ani ziarenka. Mogę przeszukać całą salę, zajrzeć w każdą szczelinę, nie znajdę najdrobniejszego. Wszystko zebrane i włożone do poszewki. Ani śladu krwi. Ani śladu szkła. Nie wie tylko, co zrobić z poszewką i ryżem. Tego stryjeczna babka Palma mu nie powiedziała.

– Poczekajmy. Nigdy nie wiadomo, może już niedługo da nam wskazówkę, tobie albo mnie, gdzie jest jego miejsce, nie uważasz?

Nuno kiwa głową. Widzę, że czuje się spełniony, pokłusowawszy inną drogą niż ta, którą dla niego zaplanowałem. Odniósł triumf bez mojej pomocy. Kończymy rozmowę. Drzwi sali restauracyjnej są zamknięte. Daję synowi prawo, by je otworzył. Wychodzimy obaj, obejmując się za ramiona. Ja, bardziej jak chłopiec, on, bardziej jak mężczyzna.

Kilka dni później ciotka Palma przyszła do mnie we śnie. Miała dla mnie wiadomość.

– Próżność miała swoją cenę, Antonio. Ale została już zapłacona. Niech ryż, tak jak jest, wróci do komody z ołtarzykiem i zostanie tam jak długo trzeba. Błogosławieństwo od ciotki Palmy.

NUNO, 1968

Nuno zapuścił włosy i brodę. Właśnie wrócił z Paryża. A wydaje się, jakbym zobaczył go zaledwie wczoraj, jak wchodzi przez te same drzwi, zapowiedziany przez Conceição, z wysoko zaczesaną grzywką potraktowaną nadmierną ilością żelu. Jak mógł się tak gwałtownie zmienić, a ja nic nie zauważyłem? Głos, który raz jest cienki, raz gruby, ciało, które zmienia się, kiedy śpi, kiedy ja śpię. Skórę porosły włoski, a serce wypełniło się rewolucjami. Nagle stał się mężczyzną. Przeszłym, teraźniejszym i przyszłym: trzy osoby w jednej – nieobca jest mi tajemnica Ziemskiej Trójcy. Powstały przez nasze działania, istniejący w tym krótkim odcinku pomiędzy planami a wspomnieniami. Przez chwilę widzę siebie w majątku, na małym ganku domu, jak opowiadam rodzicom o moim pobycie w Rio de Janeiro. Stojący teraz przede mną Nuno jest tymi samymi wielkimi gestami i wieściami, które przekazuje z ogromnym entuzjazmem. Świat wspomnień z długiej podróży – wspomnień, których nie jestem częścią – i marzenia o ukończeniu studiów za granicą – marzenia, które także mnie nie dotyczą. Czy to zemsta ze strony życia? Tani teatr, wiem. Ale taka właśnie myśl przychodzi mi do głowy.

– Zawsze marzyłem o tym, by pokazać ci Europę, pojechać razem do Lizbony, Madrytu, Rzymu, Paryża, Londynu... Lecz los chciał inaczej.

– Och, na miłość boską, tato! To ty mi to wszystko umożliwiłeś! Mogłem cały rok jeździć po Europie, być w Paryżu akurat w maju i zobaczyć to wszystko na własne oczy! Byłeś tam ze mną, zapewniam cię!

– Nie, synu, nie, nie byłem. Mój Paryż to nie jest Paryż pełen barykad. Nie. Mój Paryż jest pełen kawiarni, Piaf, Chevaliera i Montanda, spacerów ręka w rękę.

Chacun avec sa chacune...

– To też mój Paryż, także Paryż Danny’ego le Rouge’a, bitew w Dzielnicy Łacińskiej i mnóstwa innych rzeczy. *Chacun avec sa chacune, chacune avec sa chacune, chacun avec son chacun! Voilà!*

– Nie wiem, co w tym widzisz zabawnego. I w ogóle nie rozumiem, o co ci chodzi.

Wyraz twarzy Nuno się zmienia. Zaskakuje mnie stanowczość w jego głosie.

– Może i nie widzisz w tym nic zabawnego, ale na pewno doskonale rozumiesz, o co mi chodzi. W każdym razie powtórzę: *Każdy chłopiec ze swoją dziewczyną, każda dziewczyna ze swoją dziewczyną, każdy chłopiec ze swoim chłopcem.*

– Nadal nie rozumiem. Wolałbym, żebyś mówił jaśniej.

Nuno otwiera się, jeśli się nie pilnuje. Tak samo było, jak był mały. Taki już jest i tyle. Jego interpretacja francuskiego zwrotu – który dla mnie zawsze odnosił się do różnych par spacerujących po ulicach miasta – pojawia się przypadkiem i rozpoczyna nasz trudny dialog, czy też dokładniej rzecz biorąc, nasze dwa trudne monologi. Najpierw jego. Przyznam, że to, co słyszę, cechują spójność, dojrzałość i uczciwość, które robią na mnie wrażenie. Ale jednocześnie Nuno, choć się nie pilnuje, trafia mnie bardzo celnie. Jest niczym doświadczony bokser, który doskonale zna słabe punkty przeciwnika i ciągle uderza, tu, tam, powoli i nieustępliwie. Nie okazując choćby krzty delikatności, cały czas patrząc mi prosto w oczy, Nuno wyjaśnia, jak zaczął się angażować w studenckie demonstracje i idee polityczne, opowiada o narkotykach i atmosferze seksualnej swobody wśród młodych, aż wreszcie, by pozostawić mnie kompletnie oszołomionego, zadaje ostateczny cios, wspomina o swojej przyjaźni i związku z Augusto, dwudziestolatkiem jak on.

– I tyle, tato.

– I tyle, tato?!

Jestem znokautowany, pobił mnie, posłał na deski. Liczę po cichu do dziesięciu i jedyne, na co mnie stać, to powtarzanie końcówki jego monologu niczym mało przytomne pytanie.

– I tyle, tato?! I tyle, tato?! Myślisz, że to takie proste?! Ufasz mi i dlatego zjawiasz się tutaj i wyrzygujesz *to* na mnie?!

– Rzyganie to oznaka oczyszczenia, nie? Sam mnie uczyłeś.

Dość! Teraz moja kolej. Z pozornym opanowaniem przystępuję do ataku. Wściekły, zdenerwowany, prymitywny – żaloszny widok. Czy to z powodu wstydu? Prawda jest taka, że nie wstydzę się swojego syna. Wstydzę się siebie. Tego, że nie potrafię zrozumieć najukochańszej osoby. Więc ranię go z powodu własnej niepewności. Niezręczny macho, uciekam się do słownej agresji. Kulminacją pełnych furii zniewag jest chwila, gdy chwytam go za kołnierz i przybliżam twarz tak bardzo, że moglibyśmy się pocałować. W tej przestrzeni – w którą ledwo udałoby się wsunąć kartkę papieru – dystans, który nas dzieli, jest niemierzalny. Ból, gdy to sobie uświadamiam, zmusza mnie, by go puścić z czułą niechęcią, ale i z wystarczającą determinacją, żeby dać jeszcze radę odsunąć się i odwrócić plecami.

Koniec monologów, tego informującego i tego obrażającego, obaj popadamy w najgłębsze milczenie. Nuno nie odpowiada. I zostałby tak, nic nie mówiąc, całą wieczność, jestem tego pewien. Cisza kropki. Czy istnieje większa? Nuno nie znosi nieszczęśliwych zakończeń. A jeszcze bardziej takich jak to, które są zupełnie nieprzekonujące i ustanowione *manu militari*. Jego oczy wszystko zdradzają – znam swojego syna. Suche oczy, a serce pełne łez. Żaloszny płacz w głębi. Tam, gdzie nie sięga nawet on.

– Wybacz mi, synu. Nie powinienem był mówić tego, co powiedziałem.

Nuno niedowierza, rozbawia go moja prośba. Dalsze milczenie. Muszę kontynuować.

– Nie da się tego cofnąć. Już padło. Gdyby tylko był sposób, żebym mógł usunąć to, co wryło się w twoim umyśle. Ale to niemożliwe. Życie nie daje mi takiej opcji. Wszystko, co mówię, zostanie dodane do tego, co już powiedziano. Bezużyteczny ciężar. Jeszcze większe niebezpieczeństwo. Jeszcze większe ryzyko nieporozumienia. Mogę upierać się, że jest odwrotnie, zaprzeczać, twierdzić, że wcale tak nie myślałem. Ale to bez różnicy. To, co zostało wypowiedziane, nie wróci po cichu do mnie.

Nuno, bez słowa, z wyczuciem, mówi mi, co myśli. Zgadzam się z nim. Słowa budzą strach, przerażają. Wszelkie słowa. Najbardziej neutralne mogą nagle wyrządzić szkodę. Złe zestawienie, niefortunny ton głosu, pośpiesznie użyty lub pominięty przecinek mogą oznaczać katastrofę. Słowa ranią, zostawiają ślad. Słowa zabijają. Słowa powinny być schowane z tyłu na najwyższej półce w kuchennej szafce. Z dala od rąk dzieci. I dorosłych. Słowa to broń. Trzeba mieć na nie pozwolenie. Nuno je ma. Pozwolenie i postawę kogoś, kto wie, czego chce. Więc jego milczenie nie trwa wiecznie. Nuno daje mi jeszcze jedną szansę. Jest hojny.

– A jeśli pewnego dnia zapomnę, co mi powiedziałaś? Naprawdę zapomnę? Jeśli w naturalny sposób wymaże się to z mojej pamięci? Tyle rzeczy zapominamy: daty, nazwiska, miejsca... Ludzie, którzy wydają nam się tacy ważni, znikają na zawsze. Czy nie tak zawsze mówiłaś?

– Zniewagi. Nie wymieniłaś zniewag na liście zapominanych rzeczy.

– Zniewagi też. Niektóre.

– Niektóre. Widzisz? Nie, nie zapomnisz.

– Jeśli o mnie chodzi, nikt nie musi wiedzieć o tym, co się tu stało. Jesteśmy tylko we dwóch, nikogo nie ma w domu, mówisz teraz cicho, prowadzimy kulturalną konwersację. Powtarzam – jeśli o mnie chodzi, nikt nie musi nic wiedzieć.

– Tak będzie lepiej. Ta rozmowa pozostanie między nami. I na tym się skończy, dobrze?

– Ja nie mówię o rozmowie, tato. Mnie chodzi o twoją reakcję, o te wszystkie zniewagi, do których wysłuchania zmusiłem się ze względu na ciebie. Ta rozmowa się na tym nie kończy. Oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie, ona się dopiero zaczyna.

– Zamierzasz powiedzieć swojej matce, Rosário, wszystkim...?

– Komu uznaję za stosowne. Czemu nie?

– Znasz swoją matkę. I siostrę...

– Znam?

– Nie mówisz serio, synu.

– To w moim interesie. A bycie serio to ciężka praca.

Mówi teraz czułym tonem, niemal żartuje, a to sprawia, że czuję się bardziej komfortowo. Nie wstydzę się siebie już tak bardzo. Połowa drogi pokonana, więc, kto wie, może kiedyś w przyszłości zaakceptuję to, co dziś wywołuje moje rozczarowanie i zakłopotanie.

– Dobrze. Rób, jak uważasz. Choć nie zgadzam się, że...

– Wystarczy, tato. Proszę, nie mów nic więcej.

Nuno ma rację, byłoby nierozsądnie, przynajmniej dziś, upierać się przy kolejnych słowach. Intensywnie szukam w sobie tego starego ojca – tego, który pogwizdywał beztrąsko, tego, który robił z papieru zabawki: łożeczkę, mewę, miecz, kapelusz, co jeszcze? Tego, który nucił: „Słuchaj mnie, słuchaj, żołnierzyku papierowy, nie maszeruj prosto, to nie stracisz głowy!”, tylko że w jego obrazoburczej wersji to brzmiało: „Leż spokojnie w łóżku, to nie stracisz głowy!”... I ruszaliśmy we troje, Rosário, Nuno i ja, szaleni dezenterzy zmierzający na podbój lasu Tijuca. Dobre wspomnienia ożywiają mnie, czynią mnie spontanicznym.

– Uściskaj mnie, synu. Potrzebuję tego.

Nuno szanuje tych, którzy są szczerzy, każdego, kto nie maszeruje prosto. Posyła mi swój szeroki, tak dobrze mi znany uśmiech. Podchodzi, zbliża się do mnie. A potem, gdy wyczuwa, co dzieje się w mojej duszy, jego czuły gest się przeobraża. Jest teraz mężczyzną z w pełni uformowanym charakterem, obejmuje mnie swoimi długimi ramionami, chroni mnie. Zawierzam mu z wdzięcznością. I opieram głowę na jego lewym ramieniu. Tam, gdzie jego serce.

CZY ROSÁRIO RYMUJE SIĘ Z MÁRIO?

„Woda szumi, woda płynie, coś zostaje, a coś ginie”.

”Wyraźnie słyszę tę myśl. Ciotka Palma miała zwyczaj powtarzać od czasu do czasu to przysłowie. Jest pociechą dla kogoś, kto cierpi z powodu straty czegoś lub kogoś bardzo mu drogiego. Ulubionej potrawy, która się nie udała, rozpadu małżeństwa, końca starej przyjaźni... Tyle sytuacji, w których te słowa mają zastosowanie.

Gdy wiele miesięcy po naszej rozmowie Nuno wyjechał, by zamieszkać za granicą, całe dni spędzałem na powtarzaniu: „Woda szumi, woda płynie, coś zostaje, a coś ginie”, ale bez żadnego efektu. Z jednej strony byłem dumny, że mój syn studiuje w Paryżu. Jednak z drugiej, nieproporcjonalnie istotniejszej, czułem *saudade* za dawnymi czasami, gdy dzień po dniu mieszkaliśmy razem. Dlaczego to tak musi być? Głupie jest to praktykowanie nieobecności. I proszę mi tu nie wytykać, że moi rodzice opuścili Portugalię, by przybyć do Brazylii albo że ja sam zostawiłem ich tutaj samiuteńkich, żeby przenieść się do Rio de Janeiro. Ani nie wysuwać tego głupiego argumentu, że, och, owszem, jest daleko, ale jest szczęśliwy i spełniony. A czemu nie mógł być szczęśliwy i spełniony w jakimś domu tuż obok albo chociaż gdzieś w okolicy? Jest tyle możliwości! W każdym razie tak, macie rację, rozumiem to... Kim jesteśmy, by decydować o losie? Lepiej powtarzać sobie cichutko: „Woda szumi, woda płynie...”. Ale żeby przejść od tego do radosnej akceptacji tego rodzaju rozstań, to zupełnie inna sprawa. Kto spokojnie przyjmuje fakt, że jego dziecko wyjeżdża, żeby zamieszkać za granicą? Nienawidzę lotnisk. Zawsze tak było. Nawet wtedy, gdy nie były aż tak nieludzkie, a rodzinna delegacja mogła wejść dalej, stanąć przy bramce i patrzeć, jak ukochana osoba odlatuje.

Rytuały odjazdu wydawały się ustalone: pasażer machał pierwszy raz entuzjastycznie na do widzenia, gdy tylko pojawiał się na płycie lotniska w drodze do samolotu. A potem z powagą wchodził po schodkach, wiedząc, że nadal obserwują go krewni i przyjaciele. Zatrzymywał się na chwilę na malutkim stopniu na samej górze i, zanim wszedł na pokład, machał długo po raz ostatni. Koniec przedstawienia, a ci, którzy zostali, mogli uронić łzę. Tak było z Nuno. Dokładnie tak.

– Co też myśli sobie nasz syn w tym momencie? Czy myśli o nas?

Isabel, która trzymała mnie wtedy pod ramię i też machała z daleka, połykając łzy, ma praktyczne podejście.

– Na litość boską, Antonio, co za pytanie! Jest tam w ścisiku razem ze wszystkimi innymi pasażerami, próbuje znaleźć swój fotel, rozgląda się za miejscem na bagaż podręczny, nie wiadomo!

Ma rację ta moja żona. Kobięca intuicja w połączeniu z instynktem macierzyńskim. Czy z tym można konkurować? Nawet nie śmiałybym próbować. I wciąż rozprawia o słusznym oburzeniu Nuno na brak miejsca pomiędzy rzędami foteli. Biedak cierpi z tymi swoimi długimi nogami.

– I nawet podstępnie wypytywał, czy nie mógłbym opłacić mu biletu pierwszej klasy. Porzuca nas w taki sposób i jeszcze mu się wygod zachciewa!

Choć mówię to żartobliwym tonem, Isabel nie podoba się ta uwaga. Mówi, że nasz syn zasłużył na podróż pierwszą klasą. Wspaniały syn, który zawsze dawał nam szczęście. No? Jak to możliwe? Czy nie jest źrenicą *moich* oczu? Cóż, Isabel zawsze miała niewiarygodną zdolność zaskakiwania mnie. W dobrym i w złym sensie. Myślę, że to nieustannie ożywia nasze małżeństwo. Byłem zdumiony, gdy Nuno poszedł odbyć z nią tę szczególną rozmowę, którą przeprowadził ze mną, niemal przyprawiając mnie o zawał. Pomyślałem sobie wtedy: O, tak, teraz to dopiero zobaczy, co to znaczy katastrofa. I co? I nic! Kataklyzm, którego oczekiwałem, nie był nawet wstrząsem o sile jednej dziesiątej stopnia w skali Richtera. Powiedziała Nuno tylko to, że jest dorosły i wystarczająco mądry, żeby wiedzieć, co jest dla niego samego dobre, a co złe – to w odniesieniu do jego eksperymentów z narkotykami. A potem w ten swój rzetelny i obiektywny sposób pochwaliła

wychowanie, jakie mu oboje zapewniłszy. Nasze zadanie wypełnione – i jej zdaniem bardzo dobrze wypełnione. Skoro Nuno, mając już w pełni ukształtowany charakter, uważa, że dobrze jest mieć za partnera chłopaka, to proszę bardzo, niech będzie szczęśliwy. Ale musi walczyć z uniesioną dumnie głową i ponosić konsekwencje swojego wyboru i nie przychodzić potem do niej z płaczem i lamentami, jak to społeczeństwo go dyskryminuje. Zdumiewające. Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony reakcją Isabel, ja czy Nuno. Jej największa troska? Czy ten Augusto to chłopak z dobrej rodziny, czy ma zasady i jakieś ambicje. Krótko mówiąc, czy będzie miał pozytywny wpływ na naszego syna. Oczywiście później, gdy zostaliśmy sami w sypialni, opuściła gardę i dała upust swoim portugalskim korzeniom. Dużo płakała. Nie dokładnie o tym marzyła dla naszego syna. Ale upierała się, że najważniejsze, żeby Nuno był szczęśliwy i żebyśmy popierali jego wybory. Taka jest moja ukochana Isabel. Zawsze mnie zaskakuje, zawsze mnie czegoś uczy.

„Po ślubie, fora ze dwora”. Rosário potraktowała to powiedzenie z powagą. W 1969 roku, gdy Nuno odpłynął z jednego portu, ona odpłynęła z innego, by zamieszkać w São Paulo. Zakochała się w pewnym majorze.

– Czterdzieści sześć lat! Ponad dwa razy tyle, co ona, i trzy lata mniej ode mnie!

– Jego wiek najmniej mnie martwi, Antonio. Za to bardzo martwi mnie to, że jest takim gburem. I na dodatek pracuje w Departamencie Porządku Polityczno-Społecznego!

– W DPSS też muszą być jacyś porządni ludzie.

– Cóż, nie ma tam ani jednego, z całą pewnością. On się zajmuje cenzurą, donosami i innymi paskudztwami, Antonio! I Rosário ma za coś takiego wyjść!

– Nic z tym teraz nie zrobimy. Wzięli ślub cywilny i kościelny i to coś jest teraz naszym zięciem. Najlepsze, co możesz teraz zrobić, to zmyć makijaż i zdjąć tę sukienkę, a ja pozbędę się tych cholernych butów, które zmasakrowały mi stopy.

– Nie mogę się z tym pogodzić. A ta jego rodzina? No powiedz. Dobry Boże, co za pretensjonalni ludzie!

– Idź się przebrać, skarbie, jest późno. Jesteś zmęczona i rozemocjonowana. I ja

także.

– Powinniśmy byli bardziej oponować, nie zgadzać się na to. Żałuję, że doszło do tego ślubu, Antonio. Bardzo, bardzo żałuję!

– Och, nie mów głupstw, kobieto. Doskonale wiesz, jaka jest Rosário. Wyszła za niego i bez naszej zgody. Jest naszą jedyną córką i jest szczęśliwa z mężczyzną, którego wybrała. Wykonaliśmy nasze zadanie i już. Niech żyją swoim życiem. Zabawne, że wobec Nuno byłaś o wiele bardziej łagodna i wyrozumiała.

– To są dwie zupełnie różne sytuacje, nie porównuj ich. Nie mam nic do Augusto. Nigdy nie miałam. Wręcz przeciwnie, wszystkie jego pobyty tutaj były bardzo przyjemne. Miły, dowcipny, kulturalny, z porządnej rodziny. To dobrzy, prości ludzie, jak my. Sam tak mówiłeś.

– Wiem. Tylko nie chcę, żebyś się zadręczała czymś, co już się stało i nie ma od tego odwrotu. Rosário rymuje się z Mário. To małżeństwo powinno się udać. Podobieństwa się przyciągają, jak mawiała ciotka Palma.

– Żartuj sobie dalej. Proszę bardzo.

W głosie Isabel słysząc raczej groźbę niż ostrzeżenie. Po chwili pełnego napięcia milczenia znowu się odzywa.

– Mogę zadać ci pytanie?

– Oczywiście.

– Myślisz, że ryż ciotki Palmy mógł mieć coś wspólnego z wyborami Nuno i Rosário?

– Dlaczego pytasz?

– Jestem ciekawa, jak zaplanowałeś jego los.

– Ostatnią wskazówkę od ciotki Palmy dostaliśmy, gdy dzieci narozrabiały, a potem Nuno upchnął ryż w poszewce Pilar. Ryż miał wrócić do majątku i znowu znaleźć się w szufladzie. I tam właśnie jest.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co dla niego planujesz?

Dzwoni telefon i – co za szczęście – Isabel przerywa coś, co mogło przerodzić się w jedną z niekończących się rozmów. Telefonistka. Połączenie z Paryża. To Nuno. Chwileczkę. Słabe połączenie. Słyszysz mnie? Tak. Bardzo kiepsko, ale tak.

U niego jest już czwarta rano, ale uznał, że nie będziemy jeszcze spać, chciał się dowiedzieć, jak się udało wesele, choć nie rozmawiał z siostrą od jakiegoś czasu. Zaczęli stawać się sobie obcy już wtedy, gdy dowiedziała się, co wyprawiał w Paryżu i przy każdej okazji mu to wytykała. Nuno radził sobie, jak mógł, dręcząc siostrę za jej „brutalnego żołdaka”. Potem niemal całkowicie zerwali stosunki z powodu jakiejś bezsensownej sprzeczki. Rosário źle się wypowiedziała o jakimś ich wspólnym przyjacielu, który, czego była pewna, okazał się nielojalny wobec jej męża. W Nuno jakby diabeł wstąpił. Próbowałem go uspokoić. Udało się? Ani trochę. Doprowadzony do ostateczności Nuno, z pulsującymi żyłami na skroniach, wbił ostatni gwóźdź do trumny.

– Tato, Rosário jest nienormalna! Potrafiłaby wypatrzeć coś złego nawet pomiędzy dwoma zawiniętymi w beciki noworodkami w dwóch oddzielnych kołyskach!

Nie mogłem się powstrzymać, wyobraziłem to sobie i dostałem ataku śmiechu. Tamta kłótnia się wtedy skończyła. Rosário wyszła, trzaskając drzwiami, zostawiając mnie i Nuno zaśmiewających się do łez. Cóż poradzić? Najgorsze było to, że mały major z DPPS dolał oliwy do ognia i przestali się do siebie odzywać. Więc w tym hojnym, międzynarodowym telefonie od Nuno nie ma nic braterskiego. Dzwoni do nas o czwartej nad ranem, żeby się dowiedzieć, czy wesele jego siostry się udało, ale tak naprawdę chce się trochę zabawić naszym kosztem, bo wie doskonale, co ja i Isabel musieliśmy znieść podczas kościelnych ceremonii i przyjęcia. Ale rozumiem takie drobne rodzinne złośliwości. Zawsze twierdziłem, że są nieszkodliwe. I dopóki są zdrowe, bo służą do spuszczenia pary, przynoszą ulgę naszym duszom i oczyszczają wątroby. Po kilku uwagach na temat przyjęcia oraz obecnych i nieobecnych, zaczęliśmy obgadywać rodzinę pana młodego. Nuno tam, a ja i Isabel tutaj. Trzymam słuchawkę, a Isabel trzyma się mnie, właściwie się po mnie wspina, żeby usłyszeć przez telefon, co on mówi. Gdy jest jej kolej, żeby rozmawiać, ja oczywiście nie robię tego samego, ale przyznaję, że zżera mnie ciekawość za każdym razem, gdy się śmieje. I stoję tam jak bezyżyteczny głupek, który chciałby wiedzieć, co mówi osoba po drugiej stronie linii. Prawda jest taka, że Isabel jest odmieniona, gdy się rozłącza. Cieszę się ze względu na nią i na mnie.

Liczne złośliwe uwagi naszego syna w połączeniu z naszymi, doskonale nam zrobiły. Isabel rozpina suknię, jakby miała dwadzieścia lat mniej. Bawi ją wspomnienie, jak Nuno, pajacujący jak zawsze, przedrzeźniał swojego gburowatego szwagra. A ja, z rozwiązanym krawatem i bez butów, czuję się jak wolny człowiek obdarzony szczęśliwą rodziną. Nasze wady i złośliwości czynią nas ludźmi i to takimi samymi, jak wszyscy na tej planecie. Założę się, że rodzice tego wojskowego typka też ostro nas krytykują. Niech czynią to bez litości, jeśli zapewni im to, jak nam, dobry sen. Rosário rymuje się z Mário, ich małżeństwo może okazać się udane i naprawdę mam nadzieję, że tak będzie. Z tym że ryż ciotki Palmy – tak na wszelki wypadek – zostanie bezpieczny tu gdzie jest, w szufladzie.

ROZWODY, SEPARACJE, ROZSTANIA

Chcecie posłuchać dalej? Dobiega końca rok 1977, jeśli dobrze pamiętam. W Brazylii uchwalone zostaje nareszcie prawo rozwodowe, które umożliwia rozwiązanie małżeństwa, jeśli ludzie tego chcą, a wiele par świętuje, by uczcić odzyskaną wolność. O ile wojskowy reżim pokazuje dopiero pierwsze objawy zmęczenia, to małżeństwo Rosário jest już w tym momencie krańcowo wyczerpane. Ona i jej mąż burzliwie zmierzają ku separacji. Na szczęście nie mają dzieci, które musiałyby być świadkami tego nieprzyjemnego procesu. Wyobrażam sobie, jakby to ciotka Palma zobaczyła i dochodzę do wniosku, że miałem świętą rację, żeby nie dać im nawet ziarenka ryżu. Czy zdołaliby cokolwiek zdziałać wobec bezpłodności ich obojga?

Nasza córka przeprowadza się do nas, do Rio de Janeiro. Sprawa w sądzie ciągnie się przez dwa lata, oznacza ciągle kłótnie przez telefon, na dalekie dystanse, a to wszystko oczywiście kosztuje. Obie strony. Mário, który miał szczęście wcześniej awansować i zdołał się dochrapać wysokiej pozycji w rządzie, staje się jeszcze bardziej arogancki i brutalny – do tego stopnia, że podnosi rękę na żonę. Jeden raz, pierwszy i ostatni. Agresja uruchamia w Rosário to, co w jej charakterze najlepsze i najgorsze. Efekt: bardzo nie po chrześcijańsku nie nadstawia drugiego policzka, tylko oddaje cios i to z nawiązką. Mário ląduje nieprzytomny na pogotowiu z powodu urazu głowy. Moim zdaniem chińska waza w stylu dynastii Ming, która należała do kolekcji senhora Avelino, nie zasłużyła sobie na taki los. Cóż zrobić. Gdy już wszystko zostaje podsumowane – rachunek za szpital uregulowany, a kłótnia zakończona – dochodzi do porozumienia. Gbur podpisuje papiery rozwodowe, zostawiając wolną drogę Rosário, która świętując z nami

odzyskaną wolność. Żałuje tylko, że straciła kilka lat u boku tej „zimnej ryby”. Później, gdy jest już mocno pijana, za to myśli klarowniej, przyznaje, że były momenty, gdy była szczęśliwa i że w pewnym stopniu – choć niewielkim – jakoś się tam jednak rymowali. W pewnym momencie Isabel – również pod wpływem szampana oraz, o czym powinienem wspomnieć, przeszczęśliwa, że nasza córka odzyskała wolność – mówi nam, że tego ranka miała w kościele gorącą utarczkę z bardziej pobożnymi przyjaciółkami.

– Rzuciły się na mnie jak harpie, bo miałam zamiar świętować rozwód Rosário. Ale jak to?! To nie jesteś katoliczką?! Nie wolno ci! Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela! Czy wypowiadałaś się już u ojca Nogueira?! Nie dopuści cię do komunii świętej!

– I co odpowiadałaś?

– Och, nie przejęłam się nimi, Antonio. Przekonywałam, że jestem katoliczką, ale wielu ludzi nie jest, więc każdy może wybrać swoją drogę. Wyraźnie dałam do zrozumienia, że ja sama, osobiście, jestem przeciwna rozwodom. Co nie oznacza, że każdy musi się zgadzać z tym, co ja uważam.

Rosário jest zaintrygowana, przyłącza się.

– A o mnie co mówili?

– Pytali, czy uważasz się za katoliczkę. Powiedziałam im prawdę, że zostałam wychowana w wierze, że zostałam ochrzczona, przystąpiłam do pierwszej komunii i tak dalej. I że też, pomimo tych wszystkich białych kwiatów pomarańczy, nie mam pojęcia, czy wychodząc za niego byłaś dziewicą.

– Mamo! Naprawdę tak powiedziałaś?!

– Powiedziałam też, że jakiś czas temu odsunęłam się od Kościoła i że w efekcie nie będziesz miała żadnych wyrzutów sumienia z powodu tej decyzji, wręcz przeciwnie. Źle zrobiłam?

– Oczywiście, że nie! Wyobrażam sobie, jak na to zareagowali!

– Najgorzej było, gdy powiedziałam, że nawet nie mogę o tobie źle myśleć z tego powodu, bo gdy wychodziłam za twojego ojca też nie byłam dziewicą, a to był rok 1946!

Natychmiast przypomina mi się scena z nami obojgiem nad małym jeziorem. Garść ryżu rozsypana na udach Isabel, nasza namiętność, nasz współudział, zarośla, zapach ziemi, zakazany seks, wszystko niezwykle wyraźne. Z miejsca, w którym teraz siedzę, patrzę na żonę z jeszcze większym podziwem, niż gdy się z nią żeniłem. Jej klarowne spojrzenie na świat napełnia mnie dumą i, przyznaję, odrobiną zazdrości. Czy nie byłoby dobrze, gdybym też taki był, gdybym nie pozwalał, żeby ta moja namiętna teatralność mąciła mi w głowie? Ileż to głupich błędów i niesprawiedliwości popełniłem przez swój temperament? Wobec swoich własnych dzieci. Ale cóż zrobić? Jak mawiała ciotka Palma, każdy z nas jest taki, jaki jest.

Pod koniec tej małej rodzinnej celebracji Rosário wypija resztki szampana z dna kieliszka i rzuca żartobliwą, kąśliwą uwagę. Przypomina mi Leonor, i to bardzo.

– Niby jak moje małżeństwo miało się udać? Przecież moje imię brzmi niemal jak kazanie przeciwko pożądaniu!

Zawsze uważałem, że Isabel zasłużyła na to, żeby kiedyś coś takiego usłyszeć. Ale nie dzisiaj, nie teraz. Więc dobrze ukrywam swój uśmiech. Isabel natychmiast odpowiada.

– Nie wybierasz się do urzędu, żeby poprosić o usunięcie nazwiska męża? To może skorzystasz z okazji i zmienisz sobie też imię?

Zbliża się wybuch, ale teraz kolej Rosário, żeby mnie zaskoczyć. Nigdy nie było mi dane ujrzeć takiej sceny. Przeprasza matkę – i to szczerze. Isabel jest wystarczająco szczęśliwa, żeby wybaczyć taką bzdurę. Przyjmijmy, że nic takiego nie padło. Przychodzi Conceição i oznajmia, że zaraz podadzą lunch. Dzięki Bogu! W brzuchu mi już burczy. Pomagam Rosário wstać z kanapy.

– Idziemy?

I idziemy, prowadzeni rozkosznym zapachem domowego jedzenia. Gdy siadamy przy stole, trudno nie zauważyć, że postarano się szczególnie. Równo rozłożony biały obrus. Talerze, kieliszki, sztućce w idealnych odległościach. Serwetki, pięknie poskładane, po lewej. Pieczywo ozdobnie ułożone w koszyku. Nie spodziewamy się gości. To rodzinny lunch, codzienny – Conceição jest bardzo skrupulatna, we wszystko wkłada miłość. I oto idzie z kuchni, stawia tuż obok mnie wazę parującej

czarnej fasoli i uśmiecha się z satysfakcją.

– Dodałam mnóstwo wieprzowej kiełbasy, senhor Antonio. Wczoraj biegał pan wszędzie i szukał choćby kawałeczka!

Zaczyna się śmiać i znika, wraca do spraw, które musi załatwić, bo nawet gdyby doba miała więcej niż dwadzieścia cztery godziny, to i tak dla niej byłoby za mało, tyle wymyśla sobie zajęć. Drażni się ze mną jeszcze na odległość.

– A jak pan chce dokładkę, to wystarczy poprosić, w garnku jest jeszcze mnóstwo!

W naszym domu nie ma zwyczaju odmawiania modlitwy przed jedzeniem. Ale dzisiaj, choć jestem bardzo głodny, odczekuję chwilę, zanim sobie nałożę. Dziękuję Bogu Niebieskiemu za chwilę piękna i szczęścia w moim życiu. Naprawdę na nie zasłużyłem? I wtedy uświadamiam sobie, że to nie jest kwestia tego, czy się zasłużyło czy nie. We wszechświecie piękno i brzydota, szczęście i smutek, czystość i brud, choroba i zdrowie, to, co po dobrej i to, co po złej stronie, wszystko jest częścią wielkiego przedstawienia i nieskończonych scen, które je tworzą. Wszyscy jesteśmy w obsadzie i tak było od początku świata. Musi być ten dobry i ten zły. Inaczej nie byłoby zabawy. Mnóstwo wchodzenia, wychodzenia, wszyscy ci ludzie na scenie, nieustanna wymiana aktorów, kostiumów i scenografii. Jest tyle nieporozumień, słynnych postaci, przypadkowych partii, nie ma znaczenia, jaka rola przypadła nam w udziale, wszyscy i tak umieramy na scenie. Oj tam, to sprytne i sprawiedliwe rozwiązanie ze strony kogoś, kto reżyseruje ten szalony wodewil. Isabel coś do mnie mówi, ale nie słyszę. Rosário zgadza się ze słowami, których nie znam. Zauważają moją nieobecność. Muszę przyznać, że sporo tracę przez to odlatywanie myślami. Isabel nie przejmuje się już nawet moimi nieobecnościami, delikatnie dotyka mnie w ramię.

– Antonio, nie nałożysz sobie?

– Oczywiście. Tylko zacząłem sobie myśleć...

– W porządku, ale najpierw zjedz. Pomyślisz potem.

W takich chwilach Isabel wie, że trzeba mnie traktować jak dziecko i zwraca się do mnie z macierzyńskim autorytetem. Nie przeszkadza mi to, tak naprawdę muszę

wyznać, że to lubię. Jeszcze nie całkiem zszedłem na ziemię. Problem w tym, że gdy moje myśli tak daleko odlatują, ja odlatuję razem z nimi. Coraz trudniej jest wrócić. Moja żona jest cierpliwa, rozumie, jak funkcjonuję. Bierze mój talerz i zaczyna mi nakładać: trochę tego, trochę tamtego, ale – przede wszystkim – ryż, nieodzowny, a na wierzch czarna fasola, nigdy z boku. Jeśli najpierw nałoży się fasolę, a potem na nią ryż, to też się krzywię. Ryż zawsze musi prowadzić, by potem nasaczyła go fasola, wtedy jest idealnie. Zawsze uczyłem dzieci dobrych manier, ale nigdy nie zakazywałem im mieszania jedzenia na talerzu. Skoro ja mieszam, to jak mógłbym im tego zakazywać? Lecz niech Bóg nas broni, byśmy zrobili coś takiego na oczach Isabel. Lepiej nawet o tym nie myśleć. Gdy mieliśmy na obiad gulasz z mielonej wołowiny i zielonego groszku albo potrawkę z kolczocha z krewetkami, to była prawdziwa tortura. Nuno i ja cierpieliśmy okrutnie. Chcieliśmy wymieszać wszystko z ryżem, mieliśmy na to ochotę. Ale nie mogliśmy. To było niezgodne z prawem. I nie podlegało żadnej dyskusji. Musieliśmy mieszać po troszku, nakładać na widelec i wkładać do ust. A potem znowu na dół, wymieszać, wziąć na widelec i z powrotem do ust. Co za poświęcenie! Gdy nasze dzieci dorosły, prawo zakazujące mieszania jedzenia zostało zniesione. Teraz każdy z nas może jeść na swój własny, nieformalny sposób.

Gdy już mam nałożone, nabijam kielbaskę – przepyszna! – i wracam do rozmowy. Wskakuję do tramwaju, który już ruszył. Temat: delikatny etap w życiu Nuno i Rosário. Wsiadam i zaczynam mówić, co tylko ślina przynosi mi na język. Czy oni oboje nie znaleźli się na tym świecie w burzliwy sposób? Czy nie zjawili się poplątani razem w brzuchu matki? No? Może dlatego, gdy coś ważnego dzieje się w życiu jednego, coś równie istotnego musi się przydarzyć temu drugiemu. Według Isabel i Rosário to czysty przypadek. Przypadek? Nie ma czegoś takiego. Ostatni przykład, w 1969 roku oboje, Nuno i Rosário, wyruszyli, by rozpocząć nowe życie ze swoimi partnerami, a teraz, w 1979 roku, gdy Rosário rozwiodła się z Mário, związek Nuno i Augusto też zbliża się ku końcowi. Oczywiście te rozstania są zupełnie inne. Choć nie byliśmy u boku syna podczas jego problemów, opisywał nam wszystko w listach i wiedzieliśmy, że już od jakiegoś czasu im się nie układa i zgodnie z tym, co Nuno nam pisał, koniec był właściwie nieunikniony. Wciąż

łączyły ich przyjaźń, dialog, szacunek, ale nie byli już w sobie zakochani – a to wydawało się Nuno niezbędne. Życie to ciągłe zmiany, zawsze to powtarzam. Rozwód Rosário przyniósł nam ulgę. Rozstanie Nuno wielki smutek. I mnie, i Isabel. Weź zrozum.

Przychodzi gruba koperta. Na krawędziach barwy francuskiej flagi. Dwa śliczne znaczki, pieczętka *par avion*. Znajome pismo, zaadresowane do Isabel. Używa małego nożyka do deserów, który akurat jest pod ręką, wyciąga niemal przezroczyście kartki, pyta nas, czy chcemy, żeby przeczytała na głos, i zaczyna. Nuno uważa, że ma już dość paryskich doświadczeń, zarówno zawodowych, jak i osobistych. Skończył studia magisterskie i podyplomowe w zakresie sztuk dramatycznych i potrzebuje odmiany. Wybiera się do Nowego Jorku. Był tam niedawno, spodobało mu się, wydaje się, że to miasto dla niego. Nie jest tak piękne jak Paryż, ale bardziej rozrywkowe i bardziej otwarte dla przybyszy. Zabiera ze sobą skromne oszczędności, trochę ubrań i książki. Zostawia urządzone mieszkanie przy Rue Marsollier Augusto. Uważam, że to z jego strony wspaniałomyślne. Isabel uważa, że słuszne i sprawiedliwe. Upieram się, że wspaniałomyślne i już.

Saudades. Ucałuj ode mnie tatę. Pozdrów Roque'a i Conceição. Dla Ciebie wyrazy miłości od syna, który zawsze jest przy Tobie.

Nuno

Isabel przerywa na chwilę, patrzy na Rosário i kontynuuje.

PS Jak będziesz rozmawiać z Rosário, przekaz jej, że chciałbym się z nią zobaczyć. Naprawdę. Myślę, że skoro się rozwiodła z tym zbirem, to nie ma już bzdurnego powodu naszych sprzeczek. Gdy tylko się urządzę w Nowym Jorku, z przyjemnością ją do siebie zaproszę. Kto wie, może będzie chciała mnie odwiedzić? Chyba dobrze byłoby, gdybyśmy sobie pogadali o naszych doświadczeniach.

Nie mam pojęcia, co się dzieje z Rosário. Przeprasza matkę za niemiłą uwagę, mnie okazuje czułość, szłocha po usłyszeniu wiadomości od brata. Czyżby zamiast gorzknieć stawała się bardziej ludzka? To dobrze. Ciosy od życia czegoś nas uczą.

Oj, uczą. I to jak. Wszystkich, bez wyjątku. Każdy, kto twierdzi, że nie oberwał, kłamie. Odrobina dyscyplinującego lania i każdy, kto chce, się nauczy. Ja się dużo nauczyłem i nadal się uczę. Wygląda na to, że Rosário zaczyna udowodniać, że jest pilną uczennicą. Dostanie takie oceny, jakich potrzebuje, bez wątpienia.

LISTY I PIÓRA

Isabel i ja żyliśmy w czasach, gdy listy pisano odręcznie wiecznymi piórami. A skierowany do niezamężnej kobiety zawsze adresowano per panna! To było zaledwie wczoraj. Kupowaliśmy bloki papieru listowego, chodziliśmy na pocztę, lizaliśmy znaczki i krawędzie kopert. Z niecierpliwością wyczekiwaliśmy odpowiedzi, która przy najlepszych wiatrach przychodziła po co najmniej dwóch tygodniach. W grudniu z powodu tych wszystkich kartek świątecznych staliśmy w długasných kolejkach, żeby wysłać bożonarodzeniowe życzenia. Długopisy wywołały furorę, gdy się pojawiły. – Nie mam zamiaru tego używać! – Jesteś zacofany! – Pismo wychodzi okropne! – Wcale nie! I nie mażą się! – Właśnie że mażą! Nie nadają się do tego, nigdy nie zajmą miejsca wiecznych piór! – To tylko kwestia czasu, kiedy wypchną je z rynku! – Bzdura. Koperta zaadresowana długopisem – co za pomysł!

Listy, które Nuno przysyłał mi z Europy w 1968 roku były już pisane długopisem. Ja wytrzymałem tak długo, jak się dało, dochowując wierności mojemu parkerowi 51, ale Isabel szybko przestawiła się na nową modę – o wiele praktyczniejszą, bez kłopotów z ciągłym napełnianiem pióra, a przecież i tak wszystko zwykle kończyło się kleksem! W tych sprawach zgadzałem się z nią. Atrament w długopisie z całą pewnością starczał na dłużej. Ale pismo wychodziło brzydkie, naprawdę. A dzisiaj Bernardo śmieje się z tego tematu. Mówi, że to jakby ktoś kłócił się o to, jakiej czcionki używać w mailach. Tylko że z nim prowadzę tę dyskusję trochę inaczej. Mówię mu, że nie ma pojęcia, jak życie wyglądało przed internetem, jakie podniecenie towarzyszyło otwieraniu koperty z wieściami z odległych stron. Dzisiaj nie ma odległych stron! Wszystko jest tuż obok! Twierdzi,

że przesadzam, a potem przytula mnie i całuje, ale to prześmiewczy uścisk i buziak, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Puszczaj mnie, nie traktujesz mnie poważnie. Puszczaj mnie? Oczywiście, że nie. Uczepił się mnie jak rzep. A ja to uwielbiam. Bo mówię puszczaj, ale wcale tego nie chcę. On to wie i dlatego nie puszcza. Jednak – choć nie zamierzam tego mówić Bernardo, bo to byłoby podłe – smutno jest być z czasów, w których jedyną pocztą w skrzynce są wyciągi bankowe, rachunki, powiadomienia o debecie i bezużyteczne reklamy.

Przechowuję wszystkie listy i kartki, które napisał do mnie Nuno. Jakiś czas temu zaczął przysyłać mi maile. Najpierw drukowałem niektóre z nich. Ale już tego nie robię. Są bardzo krótkie, to właściwie takie notki. Tylko „cześć” i tyle. Nie mają w sobie treści, niespodzianki, radości czy zachwyty starych listów. To prawda, że często rozmawiamy przez telefon, rozmowy ze Stanów są o wiele tańsze, więc jestem na bieżąco z tym co u niego. Na bieżąco tak, ale przez satelitę traci się całą poezję prawdziwego listu. Listu, który obejmuje nazwę miasta i datę w prawym górnym rogu, i który z miłości i szacunku zawsze zaczynał się od „Kochany Tato”. Niektóre akapity zapadły mi głęboko w pamięć.

Ten, gdy tuż po trzydziestce, opuszczał Paryż, żeby zamieszkać w Nowym Jorku:

Trudno było zostawić mieszkanie przy Rue Marsollier. Przede wszystkim dlatego, że Augusto był taki wyrozumiały i pełen godności. Poprosił tylko, żeby to on był tym, który wyjdzie, gdy będziemy się żegnać, a nie odwrotnie. Uznałem, że to drobiazg. I tak się właśnie stało, szybki uścisk. Gdy patrzyłem, jak wychodzi i zamyka za sobą drzwi – zabolalo, to prawda. Bardzo. Dopiero wtedy zrozumiałem, że to, o co poprosił, to wcale nie był drobiazg. To była szansa – symboliczna – dla mnie, żebym poczuł się, jakbym był w jego skórze. Teraz musiałem odczekać te „pięć minut”, zanim wyjdę, tak jak uzgodniliśmy. Czekałem o wiele dłużej. Dziesięć, dwadzieścia minut. Kto wie, może wróci? Godzina, tyle czekałem. Dopiero wtedy wziąłem głęboki oddech, zebrałem całą odwagę i wyszedłem. Omal nie spóźniłem się na samolot.

Ten opisujący nocne życie w Nowym Jorku:

I mówię Ci, Tato: tylko sam orgazm – nie sekunda przed czy sekunda po –

pozwała mi na oderwanie się od tego świata. I dlatego – bowiem nie ma sposobu, bym utrzymał owo oświecenie w ułamku sekundy, gdy dochodzę – postanowiłem, że moim celem podczas tej ziemskiej wędrówki będzie miłość, miłość i jeszcze raz miłość. Ze wszelkimi przekleństwami i błogosławieństwami, jakie niesie ze sobą taki wybór.

Z nikim nie jestem teraz związany. Pragnę wolności. Jeden ptak w locie jest więcej wart niż dwa w garści – Nowy Jork sprawił, że zrozumiałem drugą stronę tego starego powiedzonka. Zawsze powtarzałeś, że jesteśmy rodziną, my wszyscy. Nie przeinaczać twojego rozumienia, ale ja pojmuję moją rodzinę na swój sposób.

Każdy, kto mnie obejmuje, tak naprawdę, całym swoim ciałem i całuje mnie w usta, staje się moim krewnym. Każdy, kto rozgrzewa moją krew, tak naprawdę, z pewnością znajdzie miejsce na którejś ze stron mojego rodzinnego albumu. Ci w przeszłości, ci obecnie, ci, którzy dopiero nadejdą. W odpowiednim czasie poznam ich imiona.

Ten, gdy dostał tak zwaną „zieloną kartę”:

Nie mam w planach powrotu, by zamieszkać w Brazylii. Nie chciałbym cię urazić, Tato, ale tutaj jest mi dobrze. A gdy mówię tutaj, mam na myśli konkretnie Nowy Jork, który jest zupełnie inny niż reszta Stanów Zjednoczonych. Pamiętasz, jak mówiłeś, że kraje to ludzie, a ludzie to kraje? Okazuje się, że ludzie mogą przenieść się z jednego miejsca w inne, natomiast kraje nie. Więc to my, ludzie, musimy przenosić się i wymieniać doświadczenia, w tym języki i kulturę. Jako ludzie mamy więcej frajdy niż kraje. Jako kraje czcimy swoje urodziny wojskowymi paradami, w których pokazujemy imponujący arsenał i groźne miny żołnierzy. Oddajemy hołd śmierci. Jako ludzie świętujemy pośród zimnych napojów, słodczy i pikantnych przekąsek. Celebруем życie! Chciałbym dożyć tego, żeby brazylijskie święto niepodległości we wrześniu świętowano karnawałowymi pokazami, a czwarty lipca jak zabawę klubową na świeżym powietrzu. Żeby to była impreza, na której ma się prawo do tortu i zdmuchnięcia świeczek. A nie hymnów i wojskowych marszów, tylko proste, serdeczne „wszystkiego najlepszego”. Podoba mi się tutaj i dzięki swojej

pracy w teatrze chciałbym przyczynić się do wymazania granic. Niech żyją gumki!

To właśnie on, Nuno w listach, pełnych humoru, opowieści, zwierzeń. Zawsze były mi wiernymi towarzyszami. Może uda mi się wyszperać później kilka, żeby mu pokazać. Teraz, gdy ma już na karku niemal sześćdziesiąt lat, z pewnością uzna za zabawne wiele z tego, co pisał. Ten lunch, ze stryjami i ciotkami, których nie widział od wieków, i ze wszystkimi krewnymi, których nawet nie poznał, to powód, dla którego wraca do Brazylii. Lecz tym razem, ponieważ będzie razem z Andrew, zostanie na dłużej. Obiecał spędzić z nami tu, w majątku co najmniej tydzień. Potem chcą pojechać na północny wschód. Chciałbym zobaczyć znowu Susan. Jest już teraz młodą kobietą!

INNY RYŻ

3 października 1987. Isabel i ja zebraliśmy się na odwagę i pojechaliśmy do Nowego Jorku – użycie tego czasu sugeruje, jakby to się działo w przeszłości, ale to terażniejszość i zawsze nią pozostanie.

Rosário doszła już do siebie po rozwodzie i jest w Nowym Jorku, gdzie spędza urlop u brata. Dzwoni do nas stamtąd i zachęca, żebyśmy do nich dołączyli.

– Daj spokój, tato! Tutaj jesień jest taka piękna! Tyle miejsc do zobaczenia: kawiarnie, księgarnie, galerie sztuki! Wiem, że uwielbiasz takie rzeczy. Spróbuj przekonać mamę do przyjazdu! Nuno by się ucieszył, mówi, że możecie spać tu z nami, będzie jak na kempingu. Wy dwoje w sypialni, a my w salonie. Jeśli tylko możesz zamknąć drzwi, to już masz sypialnię, czy nie tak powtarzała nam zawsze babcia Maria Romana?

Entuzjizm Rosário jest zaraźliwy. Pamiętam, jaką radość sprawili mi ojciec, matka i ciotka Palma, gdy przyjechali do mnie w odwiedziny do Rio. To chyba jest najsilniejszy bodziec, który przekonuje mnie do spakowania walizek i zmierzenia się z dziesięciogodzinnym zamknięciem w kabinie samolotu. Czy będzie warto, tyle godzin tak wysoko w śmiertelnym przerażeniu? Czy będzie warto porzucić przytulne ciepło domu, ciągać walizki po lotniskach, stać w kolejce do odprawy paszportowej? Oczywiście! Błogosławiona podróż! Dla mnie to jak rodzaj recyklingu, niezbędny proces uczenia się.

Gdy tylko dotarliśmy, Nuno zabrał nas do jednej ze swoich ulubionych restauracji, która zresztą rzeczywiście okazała się znakomita. Siedzimy na małym wygodnym tarasie, z którego możemy obserwować ruchliwą ulicę. Studiujemy listę

win, przeglądamy menu, składamy zamówienia. Nie jestem skrupowany, pomimo że myślę się kilka razy w angielskim i wszyscy doskonale bawią się moim kosztem. Czy mnie to onieśmiela? Ani trochę. Koryguję bieg i jadę dalej. Gdy chce mi się pić, proszę kelnera o przyniesienie wody i osobno lodu. Dodaję z naciskiem, żeby był uprzejmy przynieść go dużo, bardzo dużo. *Bring a lot more ice, if you please. A lot more ice!* Szklanki z wodą pojawiają się niemal natychmiast. Ale ani śladu lodu. Przynoszą wino, nakrycia, przystawki. Nadal ani śladu lodu. Gdy pojawiają się główne dania, czuję się niezręcznie, uznaję, że zapomniano o mojej prośbie, ale rezygnuję z dopominania się. Wszyscy tak się cieszymy, że jesteśmy razem, a jedzenie tak pysznie pachnie, że odpuszczam, to nieważne. A potem wielka niespodzianka: kelner szykuje nagle dużo miejsca pośrodku stołu i stawia tam ogromny talerz z ryżem. To dość niezwykle, jestem zaskoczony – wszyscy jesteśmy.

– Ryż?! Na litość boską, po co tyle tego ryżu?!

Odpowiedź Nuno jest okrutna.

– Nie bez powodu, tato. Podejrzewam, że ten *rice* to *ice*, którego tak się domagałeś i na dodatek prosiłeś, żeby przynieść go osobno!

Śmiech przy stole. Nie możemy odesłać jedzenia, więc nie mamy wyboru, musimy opychać się ryżem, który jest zresztą przepyszny. Deser, kawa i rachunek. Już mamy wstawać, gdy zauważam, że Isabel wpatruje się w coś na zewnątrz.

– O co chodzi, kochanie? Coś zobaczyłaś?

Wszyscy patrzymy w tamtym kierunku. Starsza para, w towarzystwie kobiety również w podeszłym wieku, obserwuje nas z daleka. Uśmiechają się wszyscy troje, a potem nagle odchodzą. Jesteśmy zdumieni, mamy wrażenie, jakbyśmy właśnie zobaczyli ciotkę Palmę, ojca i matkę. Uświadamiamy sobie, że tego wieczoru opychaliśmy się ryżem nie tylko z powodu mojej kiepskiej wymowy.

Następnego dnia Nuno korzysta ze sposobności, że jesteśmy tylko we dwóch i porusza ten temat. Pyta o ryż ciotki Palmy. Czy nadal jest w komodzie z ołtarzykiem? Tyle lat minęło. Jaki jest sens, żeby go nadal przechowywać? Czy on i Rosário tak bardzo mnie rozczarowali? Dlaczego ryż zawsze musi być związany z małżeństwem? Czy Bóg Niebieski nie dał nam innych sposobów na miłość

i płodność? Nuno rozumie, że jego seksualne wybory mnie rozczarowały, że swego czasu uważałem jego „przyjaźń” z Augusto za bardzo kłopotliwą. Wie, że jego życie osobiste, ogólnie mówiąc, pozbawione długotrwałych zobowiązań, nie pozwala mu domagać się ryżu.

– Ale może chociaż Rosário mogłaby dostać kubek? Albo chociaż garść, czy nie zasłużyła nawet na to? Próbuję podejść do tej sprawy w oparciu o twoją logikę, tato.

– O moją logikę?!

– Oczywiście! Czy nie wyszła za mąż, z welonem i bukietem, z procesją, pięknie oświetlonym kościołem, muzyką, szpalerem gości? Owszem, wyszła za zbirą. Ale silnego, jurnego, niezależnego finansowo. Owszem, był z DPPS. Ale – do diabła! – dokonała takiego wyboru, żeby być szczęśliwą! A wiesz, że wtedy ja i Rosário nawet ze sobą nie rozmawialiśmy, więc to nie jest tak, że ja tylko jej bronię.

– Nie podobał mi się jej wybór.

– Owszem, ale uzyskała twoją zgodę. W końcu staliście tam przed ołtarzem razem z nią.

– Wygląda na to, że wracamy do tych samych korowodów, co w czasach, gdy twój stryjowie i ciotka jeszcze nie pozawierali małżeństw. Ta sprawa z ryżem jest bardzo skomplikowana, przecież wiesz.

– Nie, nie wiem.

– Och, synu, proszę cię! Nie psujmy naszej wizyty, dopiero się zaczęła. Tak dawno się nie widzieliśmy! Po co o tym teraz mówić? Jest tyle innych tematów! Twoja praca, twoje sztuki, nawet twoje życie osobiste! Zostawmy ryż ciotki Palmy w spokoju!

Nuno jest wystarczająco inteligentny i wrażliwy, żeby zorientować się, że właśnie powinniśmy kontynuować tę rozmowę i to bardziej niż kiedykolwiek. To odpowiednie miejsce. I odpowiedni czas. Więc się upiera. Wie, że może posunąć się dalej. Pyta, czy nie czuję frustracji, że nie potrafię kontynuować tradycji, którą mi powierzono, tradycji, którą tak wysoko cenię.

– Ryż, który został zasadzony w ziemi, spadł z nieba niczym manna na pustyni i został zebrany z kamieni troskliwymi, hojnymi dłońmi ciotki Palmy. A potem

został oddzielony od tych wszystkich odłamków szkła i zebrany z podłogi, dzięki mojej śmiałości. Ryż, który jest symbolem płodności i nieskończonej miłości. A ostatnią rzeczą, jaką z nim zrobiłeś ze swojej inicjatywy, było wystawienie go w szklanym słoju!

– Nie chciałem, żeby wam coś zepsuć. Ale wygląda na to, że zepsułem. I to bardzo.

– W jaki sposób?! Bo Rosário się rozwiodła i nie ma dzieci? Bo moje życie miłosne to coś, o czym niewiele wiesz? Nie było żadnego błędu, tato. Każdy z nas jest odpowiedzialny za wybory w swoim życiu, będę to powtarzać bez końca. Ale wszyscy marzymy o garści ryżu, który przyniesie nam płodność, cokolwiek ona oznacza i nieskończoną miłość, gdziekolwiek można ją znaleźć. Co w tym złego? Czy musimy być idealni, żeby starać się spełniać marzenia?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Bukiet z kwiatów pomarańczy babci Marii Romany trafił w ręce niewidomej dziewczynki, która w ogóle nie starała się go złapać. Czy w opowieści o ślubie dziadka i babci nie był to dla ciebie najbardziej uderzający moment?

– Pamiętasz nawet takie szczegóły...

– Owszem. Pamiętam, bo kocham całą historię tego waszego ryżu.

Nie mam nic do powiedzenia. A Nuno tak. I nie oszczędza mnie.

– Zastanów się, czy Rosário nie przeżywała chwil prawdziwej miłości z tym dupkiem Mário? Nie wyszło im – i co z tego? Wyjaśnili to sobie. Wszystko jest w porządku, dla obojga. Są teraz gotowi na kogoś nowego. Pomyśl, czy ja i Augusto nie cierpieliśmy straszliwie po rozstaniu! Myślisz, że z tego powodu któreś z nas przestało marzyć o odrobinie ryżu? Nie ryżu ciotki Palmy! Jakiegokolwiek!

– Zasługujecie na najlepszy.

– To nie ma nic wspólnego z zasługami, tato. Tak jak powiedziałeś, to o wiele bardziej skomplikowane. Nie sądzisz, że ryż, który zjawił się wczoraj na naszym stole, w takiej obfitości i do tego przez pomyłkę – akurat twoją pomyłkę – czy nie sądzisz, że ten ryż pobłogosławił i uczynił płodnymi nas wszystkich? Ryż z restauracji, przygotowany przez kogoś, kogo nawet nie widzieliśmy na oczy! Ryż,

który pojawił się bez najmniejszego wysiłku z naszej strony. Był nam dany przez hojność jakiejś nieznaney osoby, to nie ma nic wspólnego z zasługami.

Tamy przerwane. Natchniony Nuno wylewa z siebie to wszystko, co powstrzymywał przez tak długi czas.

– Uważasz, że czym jest płodność? Czy senhor Avelino i dona Maria Celeste nie byli płodni, gdy adoptowali mamę? Ja na przykład czuję się płodny, gdy jestem na scenie. Raz wspomniałem nawet Augusto, że to pewnie moja silna kobieca strona pozwala mi być kreatywnym. Wiesz, co odpowiedział? Że się całkowicie myłę. Że jestem najbardziej męskim mężczyzną, jakiego zna. Nie dlatego, że jestem surowy czy brutalny. Tylko w szlachetnym sensie cechy, która dana jest wyłącznie mężczyznom: potrafimy zapładniać. Nie rozbawiło mnie to wcale. A on mówił dalej, że w to nie wierzę, ale taka jest prawda. Że nieustannie zapładniam wszystko wokół siebie – otoczenie, rozmowy, ludzi, rzeczy... I dokładnie dlatego się ze mną związał.

Nuno milknie. Siedzimy we dwóch w milczeniu. Patrzę na syna. Augusto miał rację, widzę to. Kto by uwierzył, że ten brodacz przesiadywał mi kiedyś na kolanach? A potem urósł. Zrobił się ciężki, postawiłem go na ziemi, żeby nauczył się chodzić. I proszę! Stał się mężczyzną miłszym i lepiej wykształconym niż ja. Uczucia też ma bardziej wyrafinowane. Mój syn jest mną, ale lepszym. Dobrze, że tak jest. Dobrze, kiedy tak jest...

Dobrze także będzie, jeśli zrewiduję swoje poglądy na płodność.

PUDDING WYSZEDŁ IDEALNIE

Zgadza się, Antonio, znowu odleciałeś! Masz zmniejszyć ogień, odkręcić kran, zamknąć lodówkę, a ciebie nie ma. Dokąd cię poniosło? Czemu wygrzebujesz znowu tamtą rozmowę z Nuno w Nowym Jorku? Ważne jest to, że wyszedłeś z niej jako lepszy człowiek. Jak powiedziała Bernardo, ta pogawędka cię „upgradowała”. Za chwilę zjawi się tu cała rodzina. Masz zamiar witać ich w tym fartuszku? W porządku, zgadzam się, nie lubisz formalności. Zamierzasz się rozpłakać, stary durniu? Pośpiesz się, ruchy. Zaraz zjawi się twoje rodzeństwo z całym klanem. Nuno, twój syn, narobi hałasu, będzie trąbił przed bramą, założę się. On i Andrew twierdzą, że Susan nie może się doczekać przyjazdu do Brazylii! Człowieku, to twoja wnuczka! Twoja ulubienica i to od pierwszej chwili, choć na odległość, bo nie zabierali jej do ciebie do Brazylii w odwiedziny, bo w sumie nie jest nawet prawdziwą córką Nuno, bo nigdy nie nauczy się porządnie portugalskiego, bo, bo... Tyle niemających żadnego znaczenia uprzedzeń! Tyle nonsensów! A ty się zakochałeś, prawda? Zachwycałeś się wszystkim, co zrobiła albo powiedziała, jej manierami, inteligencją, zachowaniem typowym dla młodej kobiety nawet wtedy, gdy była małą dziewczynką. Zapytałeś, czy możesz nazywać ją swoją wnuczką, a gdy odpowiedziała, że tak – w naszym języku i na dodatek z minimalnym akcentem! – jeszcze bardziej się rozkleiłeś. Stwierdziłeś nawet, że jest w niej coś, co przypomina ci Isabel, gdy była dziewczynką. Czysta fantazja! I ciągle: moja wnuczka to, moja wnuczka tamto. I wszystkie łyzy, gdy musiała wracać do Stanów, pamiętasz? Oczywiście, że pamiętasz. Ty głupi, stary durniu! Jak długo się nie widzieliście? Niemal dziesięć lat! Przez kamerkę na Skypie się nie liczy. Ile czasu minęło, odkąd widziałeś ją na żywo, uściskałeś, przytuliłeś, poczułeś zapach,

dotknąłś? Jedno w tobie podziwiam, Antonio. Tę twoją umiejętność naprawiania głupich błędów, jakie popełniasz, orientowania się, że zrobiłeś coś źle i odwrócenie tego. Twoje przywiązanie do Susan to dobry przykład. Och, nie, na litość boską – martwisz się o Rosário? Ale dlaczego? Brazylijskie Design Expo? Wyluzuj, starcze! Czy Bernardo nie dzwonił, żeby ci powiedzieć, że przyjedzie razem z nim? Obowiązki w pracy? Bzdura! Przyjedzie i będzie na czas. Będzie cała twoja najbliższa rodzina, w komplecie. Powiedz szczerze, czy Isabel zdręcza się, martwiąc takimi bzdurami, kto przyjedzie, kogo nie będzie, kto się spóźni? Martwi się tylko tymi rzeczami, które zależą od niej i tyle. Proporcjonalna troska i wystarczy. Tam, w ogrodzie, wszystko jest już gotowe. Rządzą ona, Conceição i Roque – starzy twardziele, doskonała jakość. Młodszy starają się nadążyć. Oni troje z powagą traktują ciężką pracę. Dziewięćdziesiąt sześć miejsc przy dwunastu stołach po osiem osób, tak jak chciałeś. Bufet, a na nim doskonale układający się długi obrus, który należał do doni Marii Celesty. Zajrzyj tam i sprawdź. Pogoda pewna, temperatura w sam raz. Czego jeszcze chcesz?! Ty farciarzu! Naprawdę urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą! I jeszcze ta data: 11 lipca 2008! Setna rocznica ślubu twoich rodziców, Joségo Custódia i Marii Romany, sto lat ryżu ciotki Palmy! To sugestywna data. I dlatego Isabel – ma już wszystkie włosy siwe! – zajęła się najdrobniejszymi detalami, wyszykowana od stóp do głów. Energia, próżność, nowa suknia i perły, które zasugerowałeś...

Pomyśleć, że Nuno może się zjawić w każdej chwili, z Susan – twoją wnuczką, która zawsze jest daleko. I że Rosário przyjedzie z Bernardo – twoim wnukiem, który zawsze jest blisko. Że Leonor, Nicolau i Joaquim są zdrowi na ciele i umyśle, że mają siłę, by przyjechać tutaj razem z całym rodzinami. Ciotka Palma, gdziekolwiek teraz jest, na pewno docenia wysiłek, jaki wkładaliśmy przez ostatnie lata w to, żeby ze sobą rozmawiać i utrzymywać kontakt... Rodzina będzie w komplecie. Bo, pomimo wszelkich wad, świat z każdym dniem staje się lepszy. Bo szczęście jest *à point*. Bo właśnie wyjęty z formy pudding wyszedł idealnie!

TU I VOCÊ

W przeciwieństwie do jednakowego dla obu osób „you” w języku angielskim, tutaj, w Brazylii mamy dwa różne słowa na „ty” i na „wy”: „tu” i „você”. Ale ludzie dzisiaj nie trzymają się reguł i czasem zmieniają formę w środku zdania i mnie się to podoba. Kiedyś mnie martwiło, przyznaję. Nawet gdy mówiłem sam do siebie, takie nieformalne połączenie brzmiało dziwnie. Czyste uprzedzenie, rozumiem to. Ale co poradzić? Pochodzę z czasów, gdy „tu” było „tu”, a „você” było „você” i już. Mieszanie ich? Na pewno nie! W gramatyce i w społeczeństwie obowiązywało to samo prawo: różne osoby i różne narody się nie mieszają. To był błąd, który mógł się skończyć oceną niedostateczną. Czerwony ołówek nie wybaczał. Dziś wierzę, że na szczęście wszystko się zmieniło. „Tu” i „você”, tak osobne i odrębne osoby, są sobie bliższe niż kiedykolwiek i mają wszelkie prawo, by żyć razem długo i szczęśliwie.

Och, tak, pamiętam, gdzie wtedy byłem, Nowy Jork, 1987 rok! Gdy teraz sobie przypominam, to właśnie podczas tej błogosławionej podróży doszedłem do wniosku, że nie ma nic złego w tym, by „tu” i „você” szły ręką w rękę, i że ważne, bym zajmował się swoimi sprawami, a nie wtrącał w prywatne życie innych osób, czy to w liczbie pojedynczej, czy mnogiej.

Pomimo nalegań Nuno, byśmy zatrzymali się u niego, postanowiliśmy z Isabel, że nie narazimy go na kłopoty, tylko wybierzemy hotel. Tak będzie lepiej i wygodniej. Gdybyśmy mieli zostać na dzień czy dwa, czy nawet tydzień, to miałoby sens. Ale na ponad miesiąc?! A przecież już mieszkała u niego Rosário. W każdym razie udało nam się i zarezerwowaliśmy pokój bardzo blisko Two Lincoln Square – czyli jego mieszkania. Możemy na piechotę dojść do opery

Metropolitan, a dojechać wygodnie niemal wszędzie. I to tylko rzut kamieniem od Central Parku.

Przypomina mi się bardzo wyraźnie scena, którą chętnie sobie powtórzę. Tydzień po mojej rozmowie z Nuno, Isabel i ja odpoczywamy na trawie na Sheep Meadow, w naszym ulubionym zakątku, w najwyższym punkcie, najbardziej ustronnym, otoczonym gęstymi drzewami. Ona przegląda jakieś czasopismo, ja podziwiam jesienny krajobraz i ruch pod koniec dnia – ludzie, którzy właśnie skończyli pracę, spacerują po parku albo zmierzają na skróty prosto do domu. Zadowolony nucę refren piosenki, którą usłyszałem jakiś czas temu, nie pamiętam już gdzie.

– Lalalalala... *Take the long way home, take the long way home...*

W oddali, gdzieś pośrodku olbrzymiej otwartej przestrzeni, dwóch nastolatków rzuca frisbee, wykonując zadziwiające obroty i podskoki, żeby je złapać – miło popatrzeć na taki pokaz sprawności, na zabawę, która stanowi fajne tło i w ogóle nam nie przeszkadza. Coś się porusza i przyciąga moją uwagę. Nagle, zupełnie znikąd, pojawia się wysoki czarny mężczyzna, w eleganckiej skórzanej kurtce, przechodzi obok nastolatków i powoli zbliża się w naszym kierunku. Niesie dwie albo trzy książki. Może jakiś nauczyciel. Z daleka rozpoznaję, że to człowiek z charyzmą, o wyglądzie i cechach biblijnego wojownika. Nauczyciel i to dobry, nie mam wątpliwości. Zauważa nas. W naturalny sposób odwzajemnia spojrzenie – jest szczere, bezpośrednie, wzbudza zaufanie. Isabel przewraca stronę magazynu, wraca do swojego zajęcia. Gdy go dostrzega, on jest już blisko. Nieuzasadniony gest z jego i z naszej strony, nie mam pojęcia dlaczego, ale wymieniamy uśmiechy. Nie zwykłe uśmiechy, jakbyśmy się znali, nie. Uśmiechy zaskoczenia, jak te, gdy ludzie w jakiś sposób się wzajemnie rozpoznają. Pokrewieństwo dusz. Chcę poprosić go, żeby usiadł i przyłączył się do nas. Ale moje staroświeckie zahamowania mi nie pozwalają. Gdybyśmy byli dziećmi...

Idzie dalej, kto wie, z jakimi domysłami. Isabel i ja zostajemy, zastanawiając się, dlaczego mieliśmy to intrygujące poczucie znajomości, które wydało nam się dziwne. Poprzednie wcielenia? Odwołujemy się do standardowych klisz.

Zdarzają się przypadkowe spotkania, które zostawiają swój ślad, choć giną. Nie wiemy, dlaczego zrobiły na nas wrażenie. Nic się nie wydarza i popadają

w zapomnienie. Albo zostają, uwiecznione w tym momencie, niczym ukłucie pamięci. Natomiast inne spotkania stają się opowieściami o wielu rozdziałach, stanowiąc jeszcze większą tajemnicę. I tak pewnego wieczoru Nuno i Rosário zaprosili nas na kolację. Chcieli przedstawić nam swoich nowych „przyjaciół”. Nuno z zachwytem opowiada mi o Andrew. Nowojorski architekt, eleganckie biuro przy Madison Avenue. Poważny, szanowany fachowiec. Dyskretny, niezbyt zainteresowany nocnym życiem, oszczędny w słowach, hojny – takich nie spotyka się tutaj zbyt wielu. Jest przekonany, że go polubię. Poznali się w zeszłym roku, w bardzo trudnym momencie. Andrew niedawno stracił siostrę i szwagra, którzy zginęli w wypadku. Przypomina mi się dona Maria Celesta i senhor Avelino. To było tysiąc lat temu, a wydaje się jakby wczoraj! Różnica polega na tym, że Andrew musiał adoptować Susan, swoją siostrzenicę, maleńką, sześciomiesięczną dziewczynkę, która cudem wyszła z wypadku bez szwanku. Gdy Nuno mówi o Susan, jego oczy jaśnieją. Bardzo przywiązał się do dziewczynki, która niedługo skończy dwa latka i jest po prostu rozkoszna. Rosário już ich poznała. Dobrze się dogadują – zaklina się żartem na wszelkie świętości. Mówi też, że regularne wizyty siostry w Nowym Jorku dobrze robią im obojgu. Coraz lepiej się rozumieją, a teraz – niespodzianka! – Rosário jest zakochana po uszy. Co takiego?! Rosário zakochana po uszy?! Niemożliwe.

– Naprawdę! To Brazylijczyk, dziesięć lat od niej młodszy. Bardzo fajny. Ale nie mów jej, że ci powiedziałem. Będzie zła, jeśli się dowie, że zepsułem jej niespodziankę.

– W typie tamtego zbira?

– Nie!!! Boże, nie, absolutnie nie! Damião to prawdziwy dżentelmen...

– Damião? Ładne imię.

– Tak, Damião. Robi studia MBA. Na Yale. Może być?

– Moja trzydziestodwuletnia córka zakochana... I to w dużo młodszym mężczyźnie... Damião... Cóż, kto by się spodziewał?

– Przyznaję, że też byłem zaskoczony. Ale bardzo się cieszę. Wiesz, ona potrzebowała nowej miłości. I mówię ci, tato, to jest naprawdę to.

Wciąż pamiętam słowa Nuno i ton jego głosu. Ten chłopak to czarodziej. Gdy zamieszka w swoim kotle, zaczyna dostrzegać dziwne rzeczy. „I mówię ci, tato, to jest naprawdę to”. I tak było. Tu, w tej kuchni, wiele lat później, wciąż wyraźnie czuję wstrząs, jaki przeżyliśmy z Isabel, gdy Rosário przedstawiła nam Damião. Może nie wstrząs. Raczej pewnego rodzaju uczucie. Dobre uczucie, coś, czego nie rozumieliśmy, ale było cudowne i miłe, uczucie wdzięczności wobec życia, wszystko idealnie wymieszanie przez Boga Niebieskiego albo Kogokolwiek Innego – dokładnie tak, z wielkiej litery. Tuż przed uściskiem ręki – uścisk w sercu, tuż przed poznaniem – rozpoznanie. Wobec tajemnicy, która – tam, w tamtym momencie – stała się jeszcze większa.

– Tato, mamó, to jest Damião.

– Już się spotkaliśmy, Rosário.

– Jak to?!

– To prawda, Rosário. Twój rodzice i ja już się znamy.

Mam ściśnięte gardło. Przesadzam, jak zawsze jestem teatralny.

– Byliśmy kilka dni temu razem w Central Parku!

Isabel, bardziej ostrożna niż ja, śmieje się po matczynemu i uszczegóławia:

– Nie powiedziałabym, że razem. Ale bardzo blisko, to na pewno. Nawet wymieniliśmy uśmiechy.

Isabel spontanicznie całuje go w policzek, jakby był naszym synem. A ja, zupełnie oszołomiony tajemnicą, ściskam jego dłoń jak w imadle. Odwzajemnia uścisk. Mocny chwyt naszych dłoni leczy tajemnicze *saudades* przodków. Ze szczerym, dziecięcym, nerwowym śmiechem huśtamy przez chwilę rękoma, które idealnie się połączyły, niczym starzy przyjaciele. Czy to możliwe?

– Zdumiewające! Takie wielkie miasto, a nasze ścieżki skrzyżowały się w Central Parku! Nie mów, że nie dostrzegasz w tym przeznaczenia!

– Oczywiście, że tak! To nasze powitanie to nie był przypadek. Pan i dona Isabel jesteście moimi krewnymi, z którymi ponownie się spotykam, jestem tego pewien!

– Właśnie tak! Poczucie pokrewieństwa i ponownego spotkania!

Puszczamy dłonie, poklepuję go po ojcowsku po ramieniu. Obaj jednocześnie

głęboko wciągamy powietrze. Przytrzymujemy je, nieco zmęczeni zabawnym psikusiem, jaki zrobiło nam życie. Rosário, niczym mała dziewczynka, przyczepia się do ramienia swojego mężczyzny, ociera twarz o rękaw jego kurtki, muska go ustami i patrzy na mnie, dumna i szczęśliwa, jakby chciała powiedzieć: – Widzisz? To ja go znalazłam! – A ja szczypię ją delikatnie w policzek, jakbym odpowiadał: – Zasłużyłaś na to, córeczko!

Pamiętam także zszokowany wyraz twarzy Andrew – był już z nami przy barze, gdzie czekaliśmy na wolny stolik. Biedak nic z tego wszystkiego nie rozumiał! Musiał uznać, że to jedno z niepojętych szaleństw Brazylijczyków. Nuno, tak samo zaskoczony jak my, próbuje przetłumaczyć mu strzępki naszej rozmowy. W końcu prowadzą nas do stolika. Czujemy się swobodnie, jesteśmy odprężeni. Podczas kolacji nasze spotkanie zawczasu z Damião przynosi owoce, wydobywa opowieści o tym, co pomiędzy Niebem a Ziemią, o braku wiary w zbiegi okoliczności, o starym hiszpańskim przysłowiu: *Nie wierzę w czarownice – ale one istnieją, tyle wiem na pewno*. Andrew zaskakuje mnie. Wbrew moim oczekiwaniom czuje się całkiem dobrze w takich klimatach. Opowiada nam swoje wzruszające historie. Wyznaje nawet, że on i Nuno spotkali się z powodu wypadku siostry. Na szczęście tragedia przerodziła się w miłość – słodko-gorzki romans z Susan w roli głównej. To ona zbliżyła go do Nuno – który, jak zapewnia, jest doskonałą opiekunką!

I tak toczy się rozmowa, nieskomplikowana, radosna, swobodna. Wino też dobrze się pije. Wznosimy toast za toastem, wszystko jest dla nas powodem, by unieść kieliszki. Za nasze „ponowne” spotkanie z Damião! Za szczęście jego i Rosário! Dopiero co się poznali, wiem, i co z tego? Kolejny powód do toastu! I za Andrew, Nuno i Susan – muszę poznać tę dziewczynkę i to zaraz! Za Nowy Jork i za Rio de Janeiro! Zaczynamy wymyślać, jaki owoc mógłby symbolizować nasze miasto, tak jak jabłko symbolizuje Nowy Jork. Chyba powinniśmy przestać. Głośny śmiech z byle powodu, a potem nagła cisza przy wzruszającym toaście.

– Za was, za naszych rodziców, za wszystko, czym jesteście w moim życiu i w życiu Rosário!

Moja portugalska krew mocno szumi, łzy napływają do oczu i leją się obficie. Natychmiast wznoszę toast:

– Za nas wszystkich! Zdrowia, zdrowia, zdrowia! Dziękujemy, kochani! Co za prezent! Tak cudownie jest być tutaj z wami! – Całuję Isabel, wdzięczny za długotrwałą miłość. Szeroki, łzawy gest sprawia, że przewracam wino na stół. Oklaski, zamieszanie, które zwraca uwagę naszych sąsiadów. To dobrze, to na szczęście! Zostawcie. Jak mawiamy w Brazylii:

– To dla świętych!

– Ostrożnie, bo znowu przewrócisz!

Wszyscy moczemy czubki palców w rozlanym winie i przykładamy do czoła. Andrew nas naśladuje. Mówię kelnerowi, że nie, nie trzeba zmieniać obrusa. To na szczęście.

– I dla świętych!

Kelner uśmiecha się w stylu: „Okej, dobra, niech wam będzie...” i odchodzi. Znowu śmiech i pełne szczęścia słowa. Patrzę na Isabel, na nasze dzieci. Prawdziwe błogosławieństwo! Andrew i Damião zjawili się, by niczym rzadkie przyprawy doprawić naszą rodzinę. Czy można mieć jakiegokolwiek wątpliwości?

Rodzina to trudne danie do przygotowania. Buntownicza rodzina, święta rodzina. Piję dalej – w końcu to impreza – i z dumą myślę o tym, że jeśli Bóg Niebieski pisze równo w krzywych liniach, to my – z naszym okropnym ludzkim charakterem pisma i nieustannie popełnianymi rażącymi błędami – piszemy z niezmierną miłością po czystym papierze. I to jest warte więcej, myślę sobie. Odruch bezwarunkowy, przykładam serwetkę do ust, jakbym próbował wymazać coś, czego nie powinienem był mówić. To nie jest kwestia tego, czy coś jest warte więcej czy mniej, Antonio! Ty znowu z tymi swoimi skalami i porównaniami! Pij wino, bazgraj, co chcesz, jak wszyscy, na czystym papierze, ale nie wydawaj ocen! Zostaw to Bogu Niebieskiemu albo Czerwonemu! Myślę o tym, co właśnie wyszeptano mi do ucha, wycieram ponownie usta serwetką, lecz nie po to, by coś wymazać, tylko raczej, żeby dotknąć ustami czystego lnu jako gest wdzięczności wobec Kogokolwiek, kto właśnie mnie anonimowo poucza. Ma rację, ma całkowitą rację, Ten, Tam na Górze. Nuno i Rosário są przecież szczęśliwi ze swoimi nowymi partnerami. I znowu to, co przydarza się jednemu, przydarza się też drugiemu – są niczym jajko z dwoma żółtkami i zawsze będą, dobry los w taki piękny dzień jak dziś! Powinienem być

wdzięczny za taką obfitość. Potrzebuję już tylko, by Rosário i Damião spróbowali dać mi wnuka, bo wnuczkę najwyraźniej dali mi już Andrew i Nuno!

PTAKI

Nie ma na świecie nic nudniejszego niż wizyta u okulisty w sprawie nowych okularów. Czuję się jak głupi analfabeta, który widzi nieznanne mu litery i musi na nowo uczyć się czytać – poza olbrzymią literą E, która zawsze jest na górze tablicy i następną linijką, w której też są łatwe literki. A potem to już tylko znój i zgadywanie. Doktor, w tym białym fartuszk, niczym nauczyciel pierwszej klasy, pokazuje wskazówką śmiesznie małe literki, a ja, tępy uczeń, który nie zdał i powtarza klasę, przechodzę poniżający proces ponownej nauki czytania: B... T... C? Nie, nie C... Chwilka, zaraz powiem... Q... Albo może D? Och, poddaję się, nie mam pojęcia! Po tej pierwszej ciężkiej próbie przenoszę się na scenę, gdzie doktor dobiera okulary, co jest jeszcze gorsze i bardziej okrutne, bo moja odpowiedzialność wzrasta, gdy mężczyzna w bieli poważnym tonem pyta: Lepsze są te czy te? Te czy te? A teraz? Z tymi czy z tymi? Mnie wszystkie wydają się nużąco takie same, a na dodatek są paskudne! Nie ma sensu pytać, czy lepiej czy gorzej. Literki się nie zmieniają, doktorze, to tylko innego kształtu kleksy! Proszę zapewnić mi jakąkolwiek poprawę widzenia i wyjdę zadowolony.

Dochodzę do takiego samego wniosku, gdy postanawiam przestać się oceniać i porównywać do innych ludzi. To ciężka praca i zupełnie jałowa. Tak czy siak? Lepiej tak czy tak? Najlepszy przepis to nie zadawać sobie tej całej pracy i akceptować jakąkolwiek poprawę widzenia. My, ludzie nie zmieniamy się, zawsze będziemy ludźmi. Różny jest tylko stopień naszej ludzkości. Niektórym udaje się nawet wraz z upływem czasu poprawić. Myślę, że Rosário, być może dzięki dobremu wpływowi Damião, jest jedną z tych osób, których stopień ludzkości rośnie wraz z wiekiem. Temperament ma taki sam – to kobieta kontrolująca, władcza,

niezwykle wymagająca wobec swoich podwładnych w pracy i wobec samej siebie. Chwali się, że jest niezależna i spełniona w tym, co robi. Ale na szczęście zniknął ten jej dawny nawyk, by widzieć we wszystkim to, co najgorsze. Wystarczyło, by poczuła się naprawdę kochana i już. Wybacza innym ich wady, najwyżej dyskretnie komentuje. Zmianę widać nawet w sposobie, w jaki mówi i w jaki się ubiera. Wnioskuje z tego, że najlepszą metodą, by stwardniałe serce znowu zaczęło szybko bić, jest odświeżający zalew gorących pocałunków. I rzeczywiście to, co przydarzyło się Rosário i Damião, to była gwałtowna, porywająca namiętność. Dobra dla mnie, dobra dla wszystkich, bo niedługo potem zaszła w ciążę, a ósmego dnia ósmego miesiąca roku osiemdziesiątego ósmego – jak łatwo taką datę zapamiętać – na świat przyszedł nasz ukochany Bernardo. Bez wątpienia najlepszy, jakiego nasza familia zrodziła z krwi, kości i serca! Dowód na to, że mieszanie to nasza siła. Czarna fasola i biały ryż albo kawa z mlekiem to idealne połączenia, któż zaprzeczy? Bernardo pojawił się w moim kubku tak, jak lubię: gorący, odpowiednio słodki, więcej kawy niż mleka.

Wszystkie ptaki latają. Ale gdy są na ziemi, to są takie, które robią drobne kroczki i takie, które robią małe podskoki. Drozdy chodzą, a muchołówki skaczą – zauważyliście? Wszystkie dzieci są takie same, latają niczym ptaki. Ale niektóre dzieci chodzą, a inne skaczą. Dzieci, które skaczą, to cięższa praca. O wiele cięższa. Obserwowanie Bernardo, jak bawi się, biega, wspina na drzewa, wdrapuje na ściany i rzuca się w dół, obija kolana, drze ubranie, brudzi i przepaca skarpetki, wraca do domu czerwony i wypija hektolitry wody, niemal się dławiąc i wychodzi natychmiast z powrotem, bo nigdy nie ma dość odkrywania świata... Bernardo to jeden z tych ptaków, które skaczą, gdy są na ziemi. Zauważam to. On nie umie chodzić, nie potrafi, bo zawsze pragnie nieba i ziemi naraz, jednocześnie! Głowa w górze, pierś wypięta niczym u dzielnego, żywego ptaszka. Czujnego ptaszka, który przygląda się wszystkiemu wokół. Ja nie. Gdy ja byłem dzieckiem, byłem jednym z tych ptaków, które chodzą, takim spokojnym ptaszkiem. I dlatego zacząłem sprawiać kłopoty dopiero, gdy dorosłem. Wszyscy, którzy mnie znają, to wiedzą. Isabel wie wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami, może wam opowiedzieć. Jakie kłopoty? Cóż, skakanie niczym dziecko, tylko o wiele niegrzeczniejsze dziecko. Bo

dorośli, gdy staje się skaczącym ptaszkiem, nie skacze swoim ciałem, tylko swoim wnętrzem, swoim umysłem. I kto go wtedy przytrzyma? Nikt, absolutnie nikt. Chyba że ogromną miłością. Isabel dbała o mnie przez bardzo długi czas, wie, ile sprawiam kłopotu.

Nie ma sensu tak mówić, Antonio, jakbyś był starym dzieckiem. Jesteś przyszłością, teraźniejszością i przeszłością, pamiętasz? Trzy różne osoby zebrane w jedną: tajemnica Trójcy Ziemskiej. Ale podczas gdy mieszasz w tym garnku, czas mija dla was trojga. Nieważne, czy to duży zegar dziadka czy cyfrowy zegarek na rękę. Nie ma też sensu nakręcanie go czy wymiana baterii. Dzień, noc, światło czy ciemność, czas mija. Przestań. Nie! Nie chwytaj znowu pamiętnika, Antonio, zostaw! Przestań głośno do siebie pisać. Zmyślać albo obwiniać swoją pamięć. Skorzystaj z tych krótkich chwil, które zostawiłeś same w tej kuchni. Sprawdź, czy potrafisz ostudzić tę głowę, starcze! Jeśli to zrobi dobrze twej duszy, opowiedz o swoich złotych godach. Ale mów z głowy, mów z serca. Przesadzaj, jeśli musisz, Antonio. Ale przesadzaj pięknie, w taki sposób, w jaki Bóg Niebieski będzie wybaczać. Przecież jako dziecko byłeś ptaszkiem, który chodzi, a teraz, jako starzec, jesteś ptaszkiem, który skacze.

SZMACIANE LALKI

Nie chodziło wcale o przyjęcie, wiem o tym. Isabel i ja nie chcieliśmy przyjęcia. 13 czerwca 1996. Zawsze miałem dobrą pamięć do dat i numerów telefonów. 45-32-36, 25-71-12, 45-37-23 to stare numery z Rio de Janeiro, ukochane numery, które już nie istnieją, a ja wciąż mam je w pamięci. W dawnych czasach notesy z adresami służyły przez całe życie! To było wspaniałe! Miały twarde oprawy, a adresy były elegancko wypisane wiecznym piórem, moim Parkerem 51! Żadnych skreśleń. Nikt nie zmieniał miejsca zamieszkania ani numeru telefonu. Zachowywaliśmy nawet nazwiska przyjaciół, którzy zmarli, nie tylko na ich cześć, ale także dlatego, że byliśmy pewni, że ktoś z ich rodziny nadal będzie dostępny pod tym adresem. Dziś nikt nie pozostaje w bezruchu. Minęło trochę czasu, odkąd miałem jakiś notes z adresami. Podałem się. Ostatni był tak pobazgrany i poskreślany... To było smutne. Dobrze, że Bernardo dał mi notes elektroniczny. Staram się go uaktualniać na bieżąco. Tak na wszelki wypadek mam też numery telefonów w komórce.

Isabel opiekuje się mną od dłuższego czasu... Ale nigdy nie rusza mojego pamiętnika. To jeden z nawyków starych małżeństw. Jeden z przepisów na szczęście – Boże, co za wariactwo! – żeby żona nigdy nie zaglądała do pamiętnika męża ani nie szukała niczego w kieszeniach jego marynarki. Isabel nadal przestrzega tego prawa. Ja, w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat, schowany w tym majątku od wieków i wciąż musimy zachowywać ostrożność? Uważa, że to zabawne, mówi, że tak, że tak właśnie jest i tak powinno być. Ale nie to chciałem sobie przypomnieć. Chciałem opowiedzieć o naszych złotych godach. Nie chodziło wcale o przyjęcie, wiem o tym. Isabel i ja nie chcieliśmy przyjęcia. Woleliśmy lunch tylko dla najbliższych i najukochańszych oraz żeby odbył się tutaj, w Santo Antonio da União. Skromne

grono, ale przyjechali wszyscy. Stół na osiem osób. Ja przy jednym końcu, Isabel przy drugim. Rosário po mojej prawej, a Andrew po lewej. Nuno po prawej stronie Isabel, a Damião po lewej. Susan, dziesięcioletnia i Bernardo, ośmioletni, na środkowych miejscach. Bardzo dobrze ułożeni, oboje. Nie rozrabiali nawet przez moment. Narzekali tylko na to, że kwiaty ułożone na środku stołu zasłaniają im częściowo widok. Niewiele pamiętam z tego lunchu. Wiem, że był o wiele spokojniejszy niż ten w Nowym Jorku. Och, tak, mieliśmy na deser *quindims*! Ale się objadłem. Mój wysoki poziom cholesterolu to bardziej wina Conceição niż moja. Nuno skorzystał z okazji, żeby przylecieć ze Stanów na kilka dni. Andrew nigdy dotąd nie był w Brazylii. Podobało mu się wszystko. I to szaleńczo. Nie, wcale nie przesadzam. Tu, w majątku cieszył się jak mały chłopiec. Nuno może potwierdzić. Damião i Rosário, wciąż zakochani, trzymali się tak blisko siebie, że mieliśmy trudności ze stwierdzeniem, gdzie jest ciało jednego, a gdzie drugiego. Usnęli w leniwie kołyszącym się hamaku, ledwo się poruszał, a delikatne skrzypienie odmierzało rytm ich delikatnych pieszczot. W tym czasie Bernardo już się mnie uczeplił, niczym rzep psiego ogona. Był okropnie zazdrosny o Susan, a ja starałem się mu wytłumaczyć, że przyjechała z bardzo daleka, że nigdy tu nie była, że musimy poświęcić jej trochę uwagi, bo jest małą dziewczynką i powinien zachowywać się jak dżentelmen. Czy moje przemowy coś dały? Nic a nic. Ku memu wielkiemu zdziwieniu, ataki zazdrości skończyły się, gdy dałem jemu i jego kuzynce szmaciane lalki, które uszyliśmy z Isabel kilka tygodni wcześniej. A czym je wypełniliśmy? Paroma kubkami ryżu ciotki Palmy.

Niewiarygodne jak przeszłość, zupełnie zniecka, staje się terazniejszością. Lalki nabierają życia i wdzięku. Chłopczyk dla Bernardo i dziewczynka dla Susan. Isabel i ja ostrożnie wsypaliśmy ryż do każdej z nich – tyle, żeby były miękkie i miłe do trzymania. Gdy zaszywała nogi i ręce, ja przyszywałem guziki, czyli oczy. Doczepiliśmy serca z czerwonej wstążki, na zewnątrz, tak, żeby je było widać. Wyobrażaliśmy sobie różne przeznaczenia dla ryżu, który jeszcze został, ale zawsze marzyliśmy, że pewnego dnia będziemy go mogli podać na takim rodzinnym lunchu. Lalki gotowe. Z zewnątrz wyglądają zabawnie. A ich wnętrze nas wzrusza. Jesteśmy zgodni, że dzieciom na pewno się spodoba.

Zabieram Susan i Bernardo ze sobą. Ręka w rękę schodzimy do małego domku, który należał kiedyś do moich rodziców i ciotki Palmy. Szczerze mówiąc, to moje wnuki mnie tam zabierają. Chyba uważają, że muszę trzymać się ich rączek.

– Jesteśmy prawie na miejscu, to ten na samym dole, widzicie go?

Susan i Bernardo patrzą z zaciekawieni.

– Co jest w środku?

– Tylko komoda z ołtarzykiem i krzesło, które należało do waszej stryjecznej prababki Palmy. Ale idziemy tam, bo przygotowaliśmy dla was obojga niespodziankę.

– Dla Susan też?

– Zgadza się. Dla was obojga. Dla Susan też.

– A co to jest?

– Nie powiem wam teraz. Dopiero jak dojdziemy.

– Dlaczego?

– Bo tak! Przecież zepsułbym niespodziankę!

Bo tak... Ileż razy to słyszałem! Powtarzane raz za razem przez setki lat. Susan pyta, czy to cielątko. Bernardo uważa, że to komiczne. Widziałaś kiedyś cielątko w środku domu?! Wyjaśniam jej, że to nie cielątko, i że to nie jest też gra wideo. To, co mają dostać, to nie jest coś, co można kupić w sklepie. To prezent z miłości, nie ma ceny. Mówię im, że mogą przestać zgadywać, bo i tak nie zgadną.

– Och, zimno.

Kolejne zgadywanki.

– Teraz jeszcze zimniej – prowokuję dalej.

Bernardo nudzi trzymanie mnie za rękę. Nie może się doczekać niespodzianki i namawia Susan na wyścig w dół do domku. Ona go ignoruje. Jaki sens ma bieganie? Woli iść ze mną tak jak dotąd, doceniając krajobraz. Jeśli on chce, może pobiec sam. Bernardo, ptaszek, który skacze, nie zastanawia się ani chwili. Już go nie ma.

Jestem taki wzruszony tym, że idę do domu ze swoimi wnukami. Widzę wszystko to, czego oni jeszcze nie widzą, ale wkrótce zobaczą: wszystko tak, jak

było w czasach moich rodziców.

Słusznie, Antonio, doskonale umiesz opowiadać, a teraz masz kogoś, kto to po tobie przejmie. Pokaż im czwarte krzesło! Scenę z krzesłem, kurtynę z krzesłem, scenografię z krzesłem, wszystko z krzesłem! Otwórz na powrót teatr. Ciotka Palma, gdziekolwiek teraz jest, nagrodi cię oklaskami, możesz być pewien. Zobacz, że Susan i Bernardo są już na scenie. Popatrz, Antonio! Bernardo owinał nogi rękoma, siedzi dokładnie tak, jak ty siedziałeś, pamiętasz? *Encore, encore, encore!* Sto lat powtarzania raz za razem.

– I jak? Podobają wam się lalki? Widzicie? Mówiłem, że się wam spodobają. Jakie imiona im nadacie? Susan i Bernardo? Co za okropny brak wyobraźni! To chyba mało zabawne nadać im własne imiona. Dobrze, dobrze: Susan i Bernardo. Jeśli chcecie, żeby byli Susan i Bernardo, to będą Susan i Bernardo i już. Nie są istotne ani ich imiona, ani ich wygląd zewnętrzny. Skarbem jest to, co w środku, ryż, który je wypełnia. Otworzyć lalki, żeby zobaczyć ryż? Lepiej nie. Lepiej trzymać go bezpiecznie tak, jak jest. Bo ten ryż, który jest w środku, to nie jest zwykły stary ryż. To specjalny ryż, który jest częścią historii naszej rodziny. To długa historia – naprawdę chcecie ją usłyszeć? Och, drogie dzieci... Od czego zacząć?... A więc tak: pewnego razu był sobie ryż. Ryż, który wyrósł z ziemi, spadł z nieba i został zebrany z kamienia. Ryż, który się nie psuje, ryż, który przybył z daleka, z samej Portugalii, z drugiej strony Atlantyku. Przybył statkiem, razem z Josém Custódiem, moim ojcem i Marią Romaną, moją matką, i Palmą, moją ciotką. Tak, byli wtedy bardzo młodymi ludźmi! Młodymi ludźmi pełnymi entuzjazmu i marzeń...

NAJLEPSZE W PRZYJĘCIACH

Czy trzeba będzie na nich czekać? Ciotka Palma zauważa nasze równo zaczesane przedziałki, najbardziej eleganckie ubrania, naszą wytworność. I ton jej głosu się zmienia: – Leonor, dokąd się wybierasz? – A Leonor, wyszykowana i niezwykle podekscytowana: – Idę na przyjęcie! A potem: – Leonor, gdzie byłaś? – I Leonor, która wykończona przywlokła się z powrotem: – Na przyjęciu... – Zawsze tak mówi, gdy wybieramy się na jakąś imprezę w wiosce. Żadnych nakazów, żeby nie pić albo nie robić tego czy tamtego, ale zawsze ten sam stary dowcip: – Leonor, dokąd się wybierasz? Idę na przyjęcie. Leonor, gdzie byłaś? Na przyjęciu... Dzisiaj, gdy zebrało się tyle osób, co by powiedziała? Czy prowadzę rejestr? Nie, ciociu Palmo, ołówek wciąż trzymam wsunięty za ucho. Tylko, wiesz, trochę zdziecinniałem. Co – ja przesadzam? Ani trochę! Jestem teatralny? Nie! Opowieści są niezbędne, za to liczby zabijają: Isabel i ja, te nieskończone osiemdziesiąt osiem lat życia! Leonor i Sebastião, Nicolau i Amália, wszyscy po osiemdziesiątce i nawet Joaquim, wysoki, przystojny młodzieniec. Jego dwie żony odeszły dawno, dawno temu. I oto jest, solidny niczym skała. Tylko spójrzcie! Trzy obrączki na lewej dłoni i starsza dama, której żadne z nas nigdy nie widziało. Naprawdę? Nie chce od niej potomstwa. Tylko dobrej zabawy, stary łobuz. Bardzo mi miło cię poznać, Gertrudes. Czuj się jak u siebie. Prowadzić rejestr? Nie, ciociu Palmo. Czy to nasza wina, że jesteśmy o wiele starsi i bardziej pomarszczeni niż ty? Wiesz, co się stało? Czas uczynił cię młodszą od własnych bratanków! Czas udaje wariata, przychodzi i odchodzi jak szaleniec, mieszając wspomnienia i plany w naszych głowach – przyszłe wspomnienia i plany na przeszłość – bo robi z nami, co chce, pomiata nami. Jestem następny na liście – Joaquim dokucza mi tym starym idiotycznym żartem. Sądząc po

tym, jak pije i jak się obzera, to obawiam się, że on będzie następny, choć głowy nie dam. Nie miałem pojęcia, że wzrok Leonor aż tak się pogorszył, a biedny Sebastião ma opuchnięte stopy przez problemy z krążeniem. Zauważyłem, że przyszedł w kapciach. Nawet nie chcecie sobie wyobrazić, jak wyglądają opuchnięte stopy Sebastião! Czy jestem okrutny? Czemu nie mogę się śmiać? To nerwowy śmiech, nie widzicie? Och, w porządku, to złośliwe – ale nie jestem aniołem. A Nicolau – to dopiero mały diabeł! Choć jest chudy jak szczapa, to on jest najsprawniejszy i w najlepszej formie. Muszę przyznać, że Amália mnie zszokowała. Ledwo ją poznałem. Gdzie się podziała tamta zmysłowa uwodzicielka? A mimo to, gdy podchodzę, by pocałować ją w policzek, ani cały puder na jej twarzy, ani ubrania, które ma na sobie nie powstrzymują kolejnego wstrząsu: zapach jej ciała jest dokładnie taki sam! Drzę. Jak to możliwe?! Taki doskonały węch? Raczej nie. To przypływ namiętności, skok w grzech, jeden z grzechów głównych – nie pod względem cnoty, tylko skali. A ona? Co ona czuje? Czy też zapamiętała mój zapach? Czy on się zmienił? Gubię się. Czyżby? Ktoś ciągnie mnie za ramię. To mój siostrzeniec Walter: ma sześćdziesiąt dwa lata, ale mówiąc między nami, wygląda na starszego. Gromkim głosem nieskrępowanego wieśniaka woła wuja Antonia, mocno mnie ściska i informuje, że Waldir, Waldemar i Waldecir też przyjadą z całymi rodzinami. Zabawne, że żaden z nich nie jest podobny do Leonor. Wszyscy mają twarze i ciała Sebastião. Wszyscy mają mnóstwo dzieci i wnuków, album z naklejkami jest pełny! Prowadzę rejestr? Nie, ciociu Palmo. Ołówek wciąż tkwi za moim uchem, możesz być spokojna. Tylko że od posiadania tak licznych krewnych aż miesza mi się w głowie, pamiętanie tych wszystkich dat po kolei wydaje się zbyt trudne, a liczba obecnych pokoleń wzrusza. Cieszę się, że widzę Marię da Glórię, córkę Nicolau i Amálie. Powraca do mnie jej widok, gdy była małą dziewczynką, a ja pojechałem samochodem do Tijuca, żeby podwieźć ojca, matkę i ciebie do ich domu. Ona – taka malutka – wyszła na zewnątrz ze smoczkiem w buzi, przepchnęła się między nogami dorosłych i obserwowała mnie z progu, nieśmiało do widzenia... Czy naprawdę do mnie pomachała? Staram się to dojrzeć, ale nie potrafię... A teraz piękna, dorosła kobieta! Tylko jedna córka i jeden jedyny wnuk. Maleńka rodzina – Nicolau nie rozrósł się i nie rozmnożył aż tak bardzo, zawsze był ode mnie bardziej

ekonomiczny. A skoro o mnie mowa, to gdzie podzieli się Nuno i Rosário? Isabel stoi przy bufecie, już ją spostrzegłem. Obrusy Marii Celeste dodały elegancji dwunastu stołom. Przychodzi Leonor i przypomina sobie przyjęcia z okazji święta Trzech Króli, unosi rąbek jednego z obrusów, próbuje przyjrzeć się szczegółom haftu. Jest wzruszona, przesuwając delikatnie dłonią po materiale, jakby pieściła swoją *saudade*...

Kiedyś Leonor była Matką Boską, uwierzylibyście?

Och, nie strofuj mnie, ciociu Palmo, nie strofuj. Mam gorsze chwile, wiem o tym. I wcale nie mam zamiaru porzucić nawyku rzucania drobnych uwag... Może to nie jest całkiem słuszne, ale to taka fajna zabawa! To tylko głupie komentarze, ze szczyptą złośliwości, przyznaję. Ale jest w tym uczucie... Poza tym łatwo wybaczam to, co ludzie mówią o mnie złego za moimi plecami, a co mimo to do mnie dociera, wiesz, że tak jest. Bez urazy. Skoro jest uczucie, mój uścisk dłoni jest szczery, bo słowa, które mnie ranią i obrażają, pojawiają się dopiero, gdy pójde się wysikać, a to przynosi ulgę. Wciąż czuję uścisk Nicolau, przysięgam. Było wiele innych mocnych i długich uścisków, ale już uleciały. Jednak ten jeden nie opuszcza mojego ciała. Doskonale mi pasuje i będę go nosić już zawsze. Co za dzień! Co za błogosławieństwo! Andrew zaczyna rozmowę z Waldemarem i Waldecirem. Sądząc po ich śmiechu, nie mają problemu z porozumiewaniem się w różnych językach. Przy odrobinie dobrej woli wszelkie porozumienie jest możliwe na tym świecie. Co – ja naiwny?

Dziękuję, Isabel. Jest tak pięknie! Dwanaście stołów po osiem osób! Przygotowanych z taką pieczołowitością! Spójrz na zastawę, skarbie! Tylko popatrz! Nie, nie chodzi mi o blask srebrnych sztućców. Tylko o to, że nóż wygląda jak język, prawda? Zaostrzony język. A widelec to spiczaste zęby. Łyżka to podniebienie, pełne gwiazd – Krzyż Południa mnie zwodzi i odlatuję wraz z nim. Jak każdy śmiertelnik wiem, że kuję rzeźby z ulotnych chmur, wiem, że wymyślam obrazy w marmurze i na deskach podłogi, ale teraz, popatrz, to nie jest tylko moja wyobraźnia, kochanie: nóż to język, widelec to zęby, a łyżka to podniebienie. Wcale się nie wygłupiam, Isabel! Oddaję tylko hołd temu, kto je wymyślił. Dobrze, daj mi rękę. To, że się denerwuję, to przecież naturalne, nie? Zaraz mamy podać cały ryż

ciotki Palmy – wszystko, co jeszcze zostało! Sto lat! Dajesz wiarę? Mniej więcej o tej porze, tam w Viana do Castelo sypał się na ojca i matkę... Muszę biec do kuchni, pójdiesz ze mną? To chodź. Daj mi łyk wina, tą stroną kieliszka, gdzie są ślady twojej szminki. Toast za Dionizosa i za Apollina, bo w tym momencie wolałbym być w dobrych układach z nimi oboma! Chodź, pójdźmy razem, jak zawsze. Chodź i sprawdź, czy szczęście jest wystarczająco słone, czy miłość jest już gotowa do podania. To ryż, który nigdy się nie kończy, zapewni wręcz nadmiar płodności i wypełni swoje zadanie. Chodź, ryż jest już dobry i sypki, a rodzina trzyma się razem – czy kucharz mógłby być bardziej spełniony? Conceição, podaj mi tamten półmisek! Roque, pomóż mi tutaj, proszę! Ostrożnie, gorące! Jakież to błogosławieństwo, by żyć wystarczająco długo, żeby móc się nim podzielić w tak braterski sposób, bez prowadzenia rejestru, bez ołówka za uchem gotowego do notowania! Spójrz tylko na twarze Leonor, Nicolau i Joaquina! Starzy głupcy! Nawet nie marzyli o tym, że będą mogli spróbować ryżu ciotki Palmy. A teraz się popłakali. To nie przez cebulę, wiem, że nie. To mnóstwo wspomnień i marzeń, wszystko wymieszane *à la maison*. Zrobiłem to celowo, żeby was zaskoczyć! A jeśli chodzi o Amálię, zastanawiam się, jak posmakuje jej ten drugi ryż? Jak smakuje ryż, który jest dozwolony i wspólnie dzielony? Dzieci mogą myśleć, że jesteśmy starymi głupcami i że cała ta opowieść to czysta fantazja. Niemożliwe, żeby ryż tyle przetrwał – to wbrew prawom nauki. Ale mnie to nic nie obchodzi. A ciebie? Doskonale! Zjedzmy swoją porcję, ryżu wystarczy dla wszystkich! Joaquim, mój bracie, podaj oliwę!

POWRÓT DO PORTUGALII

Puszka z oliwą – taka kolorowa, pozłacana – wygląda jak ilustracja w książce dla dzieci. Naszkicowany z dbałością wiejski krajobraz oczarowuje mnie. A młoda dziewczyna z Minho, wydrukowana z przodu, zaprasza. Powrót do Portugalii! Czy to możliwe?! Mówi, że tak. To wszystko jest prawdziwe: zieleń drzew oliwkowych, zapach pól, czyste powietrze, które wypełnia mi płuca. Wiem! Jesteśmy gdzieś pomiędzy rzekami Minho i Douro. Kiedy przybyłem w te okolice po raz pierwszy? Ile razy tam byłem? Tracę rachubę. Ostatni raz jest teraz, najświeższy. Portugalia w naturalny sposób co roku młodnieje. Idzie w przeciwnym kierunku niż śmierć, zawsze słusznie porusza się w stronę ponownych narodzin. Kraje to ludzie! Chodź, piękną dziewczynę z puszek na oliwę, zatańczymy taniec *vira* tak, jak powinno się go tańczyć – w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Chcę doprowadzić czas do szaleństwa! Chcę stanąć obok Alfonsa Zdobywcy i ponownie założyć Lizbonę – po Atenach najstarszą stolicę w Europie, cztery stulecia starszą od Rzymu! Dla Fenicjan *Alis Ubbo*, dla barbarzyńców *Ulishbona*, dla muzułmanów *Al-Ushbuna*! Lizbona była już tyloma rzeczami i teraz też jest wieloma! Chodźmy więc, wieża Belém jest wciąż w zasięgu tych, którzy kochają i są odważni, a *Nau de amores* już na nas czeka...

Nagle głos Nicolau odciąga mnie od puszek. Wracam na przyjęcie. To przemowa, na którą wszyscy czekaliśmy i która – jestem pewien – wciągnie mnie w sam swój środek. Docieram na czas, by usłyszeć, jak brat prosi o ciszę – niełatwo uciszyć tych najmłodszych. Ktoś przekonuje, że to tylko dzieci. Lepiej pozwolić im, żeby biegały dokoła. Okropne byłoby ograniczanie ich po to, żeby czegoś tam posłuchały. Nicolau się nie zgadza, mówi, że zaczniesz tylko wtedy, gdy wszyscy, wszyscy bez wyjątku,

będą gotowi wysłuchać jego słów. I matki natychmiast gonią swoje dzieci, by przekonać je, żeby uspokoiły się na chwilę, bo wujek Nicolau ma coś ważnego do powiedzenia.

Wola starego człowieka dominuje i cała rodzina cichnie. Kilka kaszlnięć tu i tam, długi śmiech, uwaga na boku, a potem ciii... i chichot stłumiony w ostatniej chwili. Pierś ucisza płaczącą niemowlę i... już. Nicolau wciąż czeka, jego oczy przesuwają się po publiczności i wtedy zaczyna.

Nie ma już ryżu – oznajmia. I nie ma nikogo, dorosłego czy dziecka, kto by go nie spróbował. Mówi, że teraz, tak, teraz jesteśmy bardziej płodni niż kiedykolwiek, że błogosławieństwo przodków zostało rozmnożone. I kontynuuje – dziękuje mi za hojność, dziękuje życiu za możliwość takiego spotkania, dziękuje naszym rodzicom i ciotce Palmie za wszystko, czego nas nauczyli. Nicolau opowiada historie. Niektórymi jestem zachwycony, bo ich nie znam. Inne zaskakują mnie, bo skupiają się na jakimś innym aspekcie. Nicolau docenia rzeczy, których ja zupełnie nie zauważam, a nie zwraca uwagi na to, co było dla mnie tak istotne. Cudownie jest spojrzeć tak na naszą rodzinę, z innej perspektywy. Nasze Portugalie też już tak bardzo siebie nie przypominają. Ta jego – co jest zdumiewające! – nie znajduje się w marzeniach z puszki z oliwą, jest mniej epicka, bardziej domowa. Nicolau wspomina podróż do Viana do Castelo, którą odbyli z Amálią. Zna naprawdę zabawne opowieści o naszych kuzynach, ciotkach i wujach, którzy tam zostali. Odtwarza cudowne rozmowy, które odbył z domem Plácidem, stareńkim już wtedy wujem, który udzielił ślubu naszym rodzicom. Ze szczegółami opisuje kaplicę Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i dziedziniec kościoła, z którego zbierano ryż! Skąd może tyle o tym wiedzieć, ten stary diabeł?! Co – zazdrosny jesteś, Antonio? Lepiej ciesz się i siedź spokojnie w swoim kącie. Teraz kolej na Nicolau, wszystkie światła skierowane są na niego i w żaden sposób nie zdołasz ukraść mu tej sceny. Zgadzam się z tym, który szepcze mi do ucha. Słucham go więc, grzecznie i cicho, aż kończy przemowę, otrzymuje oklaski, a wtedy następuje kolejna niespodzianka: Joaquim i Leonor też chcą zabrać głos. Wstają jednocześnie, trzymając się za ręce. Za ręce?! Co to może znaczyć? Przemowa w duecie? Właśnie tak, Antonio. I powstrzymaj ten swój sarkazm, proszę. Rodzina jest cicho – i ty też bądź. Posłuchaj i naucz się też od

nich. W tym momencie Leonor i Joaquim są w centrum uwagi. Duet zgrany idealnie. Ich połączone słowa padają, jakby ćwiczyli je przez całe życie. Nie miałem świadomości, że łączy ich taka bliskość, takie braterstwo, taka wspólnota. Nie byłem świadom – czy też po prostu nigdy nie zwracałem na to uwagi? W takim razie zwróć teraz. Joaquim i Leonor mówią, że nigdy nie byli w Portugalii. Ale znaleźli inny sposób, żeby tam dotrzeć. Joaquim – miłośnik muzyki *fado*. Ileż kobiet zdobył swoim smutnym śpiewem? Oszukał je wszystkie, wielkolud rzucający wokół spojrzenie martwej ryby, tani podrywacz z miną porzuconego psa. Ale tego nie mówi. Swoim słuchaczom ujawnia tylko swój talent do gry na gitarze, fakt, że zna wszystkie słowa na pamięć, namiętność, jaką zawsze czuł do Amálie – nie, o Boże, nie, nie do swojej szwagierki, żartuje – ale do Amálie Rodrigues, pełnej dramatyzmu i zmysłowości śpiewaczki *fado*, zawsze otulonej czarnym szalem. Amália i ja, współnicy, wymieniamy pozbawione poczucia winy spojrzenia. Leonor jeszcze bardziej wychwala talenty swojego brata. Przypomina, że nasi rodzice i ciotka Palma zawsze prosili go, żeby coś zagrał. Joaquim odwdzięcza się za pochwałę i przechodzi sam siebie, mówiąc, że wątpi, by gdziekolwiek w Portugalii można było dostać tak pyszne ciasteczka świętej Klary, jakie piecze Leonor. A jej kokosowe babeczki *queijadinhas*? Delicje! Nikt na portugalskiej ziemi nie robi takich jak Leonor. Gotów postawić na to cały swój majątek. Leonor i Joaquim, cały czas trzymając się za ręce, wzruszają się, gdy mówią o mnie, o swoim teatralnym antonimie brata – Nicolau zgadza się, pochlipując i kiwając głową – ale mimo to kochanym i podziwianym przez wszystkich, jak przyznają. Leonor i Joaquim unoszą kieliszki, wznoszą toast za naszych rodziców, którzy dziś obchodziliby setną rocznicę ślubu, za ciotkę Palmę i jej słynny ryż, za Isabel i za mnie, którzy gościmy ich z taką miłością i za naszą świętą i buntowniczą rodzinę... I już nie wznoszą toastów, bo ich głosy załamują się w duecie. Oklaski, gwizdy, wrzawa. Niech żyje Maria Romana! Viva! Niech żyje Palma! Viva! Niech żyje José Custódio! Viva! Dzieci wrywają się matkom. Biegną pędem, nareszcie wolne. My, dorośli, zostajemy wokół stołów, wokół naszych wspomnień. Pozwalamy sobie na więcej słodyczy, więcej wina, więcej opowieści, bo je po prostu lubimy. Ile razy jeszcze będzie nam to dane?

Roque i Conceição podchodzą, by dyskretnie zapytać, czy wszystko przebiega tak, jak zaplanowałem, czy jestem zadowolony, czy czegoś nie potrzebuję. Do tej pory taki opanowany, wybucham płaczem w ich ramionach. Jesteśmy rodziną, wszyscy.

SŁOŃ I MODLISZKA

Ja, tutaj, w majątku. Ja, tu w kuchni, tuż po czwartej nad ranem. Isabel jeszcze śpi, słońce się nie śpieszy. Ja, tutaj, stary człowiek, osiemdziesiąt osiem lat...

Czy tu chodzi o wiek? Może o coś więcej... Lunch był idealny, ale minęło już trochę czasu... Tak, wiem... Wszyscy już wyjechali, wrócili do swojego codziennego życia... Wrócili do swoich obowiązków... Tak to już jest po przyjęciach... Jaki dziś dzień? Która godzina? Nie, niemożliwe... Jestem Wiecznym Dziadkiem, tym, który nie miał początku ani nie będzie mieć końca, tym, który przyszedł na świat od razu z pomarszczoną twarzą... Gubię się...

Mam na imię Antonio. Antonio jak? Antonio cokolwiek. Żyłem i swoje przeszedłem – pewnego dnia dobrze wychowany starszy pan dziękuje za okazaną mu uwagę, zamyka grzecznie oczy, wstaje i ustępuje miejsca dziecku, które właśnie ma się pojawić. Jesteśmy rodziną, wszyscy, wiecie o tym. Właśnie tak, czytacie moje myśli i to wy – w tej wyjątkowej chwili – jesteście tutaj, dotrzymując mi towarzystwa.

Ja, tu w kuchni, upadam na podłogę Jest tuż po czwartej. Całe życie przelatuje mi przed oczami w ułamku sekundy, oglądam je jak w kinie. Każdy ma tak samo? Nic w tym oryginalnego? Ja i moje majaki... Całkiem niedawno widziałem Jezusa. Miałem ochotę zaprosić Go do tańca. Pomyślałem sobie: czemu nie? Był tam, siedział całkiem przystępny, jakby czekał na kogoś, nawet najgorszego z najgorszych, kto by tylko odważył się do Niego podejść. Zebrałem się na odwagę i wziąłem głęboki wdech. Podeszedłem bliżej, naprawdę blisko, z wielką ostrożnością.

– Cześć, jestem Antonio...

On wiedział o tym. Bez zbędnych formalności przyjął moje zaproszenie i zadowolony poprowadził mnie do dźwięków walca wiedeńskiego. Zawirowaliśmy razem, dwóch wyrostków skroś nieba Galilei! A potem – *puf!* – sprowadził mnie z powrotem na dół. To nie był Jezus? A więc kto? Jakiś krewny? Stary znajomy? Czysty wytwór wyobraźni? Albo nieczysty? Razi mnie światło, jest tak jaskrawe, że aż boli... Powinienem być lepiej przygotowany na przyjście na ten świat. Wszystkiego jest za dużo. Chyba zaczynam przemianę... Ciotka Palma mogłaby przyjść i popatrzeć na tę scenę.

Nie widzę Rosário ani Nuno. Ani wnuków, gdzie oni się podzieli? To był prezent dla mnie, że Bernardo i Susan zaczęli ze sobą „kręcić” w dniu przyjęcia z okazji setnych urodzin ryżu. Zawsze uważałem, że mocno ich do siebie ciągnie. Wzruszyłem się, gdy dowiedziałem się o rytuale, jaki odprawili przy małym jeziorze. Wyobraźcie to sobie! Rozpruli lalki, tuż przy sercach i wymieszali ryż ze środka! Ci dwoje zrozumieli całą historię. Ich oszustwo się udało – gorący płomień, pośpieszne pocałunki, krew wymieszana z ryżem, to nasza tradycja. Ale żeby dziecko pojawiło się tak szybko – to coś nowego! Buntownicza rodzina, Święta Rodzina...

Co za błogosławieństwo, ta chwila, gdy ujawniona zostaje mi tajemnica Trójcy Ziemskiej. Jestem Antonio Przeszłość, Antonio Teraźniejszość i Antonio Przyszłość – trzy różne osoby, zebrane w jedną. A jeszcze większa radość będzie mogła nastąpić jutro, bowiem Bernardo i Susan zamieszkają w domku na dole – wyraźnie to widzę, nawet nie potrzebuję okularów! Będą spać w pokoju, który kiedyś służył za sypialnię moim rodzicom. Po pierwszej nocy, gdy nasycą się seksem, będą sobie pomiędzy pieszczotami wyobrażać, jaki musiał być ten pierwszy raz w tym samym miejscu dla Joségo Custódia i Marii Romany. Co za głupstwa! Namiętność jest dokładnie taka sama, nieważne kiedy. Postarają się urządzić dom inaczej, łącząc stare z nowym: pomalują drewnianą komodę z ołtarzykiem na żółto! Będzie wyglądać pięknie, promiennie! A wewnątrz, zamiast świętych, staną książki. Czwarte krzesło, z siedzeniem obitym kolorowym materiałem, z dumą zajmie honorowe miejsce. Ale najlepsze jest to, że urządzią pokój dla dziecka w sypialni

ciotki Palmy. Cudownie! Karuzelki, pluszowe maskotki, tapety. Kołyska, którą zrobił mój ojciec i w której spaliśmy ja i moje rodzeństwo, powróci w wielkim stylu, pomalowana na jasny błękit i z nową moskitierą. Moje wnuki będą patrzeć na ten pokój i wyobrażać sobie przybycie swojego dziedzica. Z badania USG już wiedzą, że to będzie dziewczynka. Och, ta technika! Z każdym dniem coraz mniej niespodzianek, coraz mniej zgadywania! Serce mi rośnie, gdy widzę Santo Antonio da União w przyszłości, młode i kwitnące. Fazenda, na której jest wszystko. Gęsty las i otwarte niebo, motyki i pług, ludzie, którzy sieją i zbierają w obfitości, gdy nadejdzie czas. Co za błogosławieństwo ta chwila, gdy ujawniona zostaje mi tajemnica Trójcy Ziemskiej. Dokładnie ten graniczny moment, gdy przestaję być przeszłością i teraźniejszością, a widzę się jako przyszłość, czas, w którym istnieje tylko nadzieja! Jakim błogosławieństwem jest taki stan, przyjemność zamiast przytomności, obserwowanie, jak duży dom zamienia się w wiejską szkołę, a moje spełnione wnuki mieszkają w małym domku u stóp wzgórza...

Gdzie jesteś Isabel? Dlaczego nie zeszłaś jeszcze na śniadanie, skarbie? A wy, którzy wciąż tu jesteście i czytacie mi w myślach... Dziękuję, że jesteście tu ze mną. W tym właśnie momencie. Czy to nie zabawne? Że to akurat jesteście wy, a ja was nawet nie znam. Jesteśmy rodziną, wszyscy. Zgadza się? Jak myślicie, dlaczego miałem tyle szczęścia? Co za cudowne uczucie! I ciotka Palma, ojciec, matka – czy przyjdą się ze mną zobaczyć? Wiecie może?

Ja, tutaj, w majątku. Ja, tu w kuchni, tuż po czwartej nad ranem. Isabel jeszcze śpi, słońce się nie śpieszy... Nie chciałem opuszczać mojego ciała takim, w chwili gdy upadło. Ale kim jestem, by móc zabrać je ze sobą? Na jakiej podstawie? Zrobiłem, co mogłem i tyle. Czy wierzę w zmartwychwstanie ciała, w życie wieczne, amen? Wszechświat wydaje mi się tak prosty i łatwy jak urocza magiczna sztuczka. Jestem słońcem i modliszką, sekwoją i dzikim kwiatem, grzbietem górskim i ziarenkiem soli, oceanem i kałużą po deszczu. Moja dusza ulatuje, a ja nawet nie wiem, co mnie czeka. Życie jest jak kalejdoskop, aż do samego końca. Nie ma sensu obracać go powoli. Okruchy i tak nagle załamują się i tworzą zaskakujący obraz. Więc po co ta ostrożność? Lepiej docenić widok: płynący potok, ludzi idących po żwirze, płonący ogień, skrzypiące drewno, urywany oddech, a potem

nagły trzepot skrzydeł. Teraz kolej na chór, wiem. Głosy zwierząt! Dusza warczy, ryczy, wyje, piszczy, rży i muczy. A potem byczy, świergocze i ćwierka...

Ach, jak dobrze jest oddychać... Czy tam też będzie powietrze? Cokolwiek podobnego?

Poza tym, że jesteśmy krewnymi, jesteśmy też przyjaciółmi, nie widzicie? Możecie puścić moją dłoń i ze spokojem zamknąć mi oczy. To jest mój czas. Moja kolej, by słuchać – sopranu, tenoru, kontraltu i basu – najpiękniejszej arii z najpiękniejszej opery. Ziarenko ryżu lśni na powierzchni słońca, tam, w samym środku tarczy. Wokół małego jeziora wyrasta ryżowe pole, nikogo to nie dziwi. A tam, w sypialni, Isabel zna zakończenie snu: rozwiązuje kawałek sznurka, który był obwiązany wokół mojego palca niczym obrączka i pozwala mi odejść. To takie proste. Zawsze tęsknie patrzymy za balonem, który unosi się ku niebu i znika w błękicie. Każdy tak ma. Bo to są tylko opowieści, parę obrazów i przekazywanych dalej przepisów. Rodzina to danie, którego, gdy jest już gotowe, nie da się powtórzyć.

KALENDARIUM

- 1908 (11 lipca) – Ślub Joségo Custódia z Marią Romaną. Palma daje im w prezencie ślubnym ryż
- 1909 – Wszyscy troje płyną do Brazylii
- 1910 – Docierają do Santo Antonio da União
- 1919 – Kryzys małżeński (po jedenastu latach nie doczekali się dzieci)
- 1920 – Narodziny Antonio. Senhor Avelino i dona Maria Celeste adoptują Isabel
- 1922 – Narodziny Leonor
- 1923 – Narodziny Nicolau
- 1924 – Narodziny Joaquina
- 1941 – Wyjazd Antonio do Rio de Janeiro
- 1943 – Wyjazd Nicolau do Rio de Janeiro
- 1944 – Wyjazd Joaquina do Rio de Janeiro. Leonor zaczyna się spotykać z Sebastião
- 1945 – Lunch z Alves Machadami
- 1946 (13 lipca) – Ślub Antonio i Isabel
- 1948 – Narodziny bliźniąt, Nuno i Rosário
- 1952 – Śmierć Avelino i Marii Celeste Alves Machado
- 1957 – Śmierć Palmy
- 1958 – Śmierć Joségo Custódia. Śmierć Marii Romany
- 1968 – Nuno poznaje Augusto. Rosário poznaje Mário
- 1969 – Nuno przeprowadza się z Augusto do Paryża. Rosário wychodzi za Mário

i przeprowadza się do São Paulo

1979 – Rosário rozwodzi się z Mário i wraca do Rio de Janeiro. Nuno rozstaje się z Augusto i przeprowadza się do Nowego Jorku

1987 – Ślub Rosário z Damião. Nuno wprowadza się do Andrew i Susan

1988 – Narodziny Bernardo

1990 – Antonio i Isabel przeprowadzają się ostatecznie do majątku

1996 (13 czerwca) – Złote gody Antonio i Isabel

2008 (11 lipca) – Setna rocznica ślubu Joségo Custódia i Marii Romany

Kiedyś – Antonio zrozumie tajemnicę Trójcy Ziemskiej. Jest przeszłością, teraźniejszością i przyszłością: trzema osobami zebranymi w jednej.

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Rodzina to trudne danie](#)

[Ślubny prezent](#)

[Bernardo i odrobina Rosário](#)

[Miary miłości](#)

[Morze ma jod, uzdrowi cię](#)

[Książki czy miarki?](#)

[Umowa](#)

[Gdzie są wszyscy? Gdzie jesteście?](#)

[Czwarte krzesło](#)

[Moja ciotka, siostra ojca](#)

[Moja siostra, moi bracia i ja](#)

[Isabel](#)

[Spakowane torby](#)

[Portugalskie kamienie](#)

[Ryż z solonym dorszem](#)

[Gdzie jesteś?](#)

[Bo tak](#)

[Właściciel ryżu](#)

[Potrzebujemy dialogu](#)

[Sen to sen, a rzeczywistość to rzeczywistość](#)

[Krew](#)

[Uświęcone rytuały](#)

[Pierwsza noc](#)

[Ołówek za uchem](#)

[Z powrotem w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat](#)

[Nuno i Rosário](#)

[Każdy z nas podąża swoją drogą](#)

[Goście bez noclegu](#)

[Saudade](#)

[Tak i nie](#)
[Niewidoczne i nieistniejące](#)
[Santo Antonio da União](#)
[Nieoczekiwane spotkanie](#)
[Skrajności](#)
[Kwiaty](#)
[Maria Romana i Palma](#)
[Władza i kwiaty](#)
[Gałązki](#)
[Spuścizna](#)
[Ci, którzy narzekają i ci, którzy mówią dziękuję](#)
[Ważność dzisiejszego dnia](#)
[Jakieś miłe miejsce](#)
[To, co możliwe](#)
[Wstrząs](#)
[Błogosławieństwo czy klątwa?](#)
[Inna droga](#)
[Nuno, 1968](#)
[Czy Rosário rymuje się z Mário?](#)
[Rozwody, separacje, rozstania](#)
[Listy i pióra](#)
[Inny ryż](#)
[Pudding wyszedł idealnie](#)
[Tu i você](#)
[Ptaki](#)
[Szmaciane lalki](#)
[Najlepsze w przyjęciach](#)
[Powrót do Portugalii](#)
[Słoń i modliszka](#)
[Kalendarium](#)
[Karta redakcyjna](#)

TYTUŁ ORYGINAŁU:
Once Upon A Time In Rio

Kompleksowe opracowanie redakcyjne: Studio Editio
Projekt okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz
Zdjęcie na okładce: sutichak (fotolia.pl)

Copyright © Francisco Azevedo, 2008

Copyright © 2016 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Daria Kuczyńska-Szymala

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2016
ISBN 978-83-65506-16-0



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

